Rex Stout

Zabójcza gra

Fer-de-Lance

Nero Wolfe 01

Przełożyła Beata Misiek

Rozdział 1

Właściwie do dziś nie wiem, dlaczego to nie mnie zlecono tę wycieczkę po piwo. Od zeszłego tygodnia, kiedy sprawa Narodowego Banku w Fairmont została ostatecznie zamknięta, nie miałem nic do roboty, nie licząc sprawunków, bo Wolfe nigdy się nie krępował wysłać mnie choćby na Murray Street po puszkę pasty do butów, gdy akurat naszła go ochota. Jednak to Fritz otrzymał owo polecenie. Zaraz po lanczu, zanim zdążył pozmywać, dzwonek wywołał go z kuchni, toteż - zanotowawszy szczegóły zadania - usiadł za kółkiem roadstera, zaparkowanego jak zazwyczaj przed główną bramą. Po godzinie wrócił z tylnym siedzeniem wyładowanym po brzegi butelkami. Ja byłem w salonie, a Wolfe siedział w biurze - to znaczy on i ja tak je nazywaliśmy, Fritz używał określenia „biblioteka". Czytałem książkę o ranach postrzałowych, z której nic do mnie nie docierało, kiedy zobaczyłem przez okno nasz wóz parkujący przy krawężniku. Był to dobry pretekst, żeby rozprostować nogi, więc wyszedłem i pomogłem Fritzowi wyładować oraz przydźwigać wszystko do kuchni. Zaczęliśmy wyjmować butelki i wstawiać je do spiżarni, gdy rozległ się gong. Poszliśmy więc z Fritzem do biura.

Gdy się pojawiliśmy, Wolfe uniósł głowę znad biurka. Zarejestrowałem ów fakt, gdyż jego głowa była tak ogromna, że zawsze kiedy ją unosił, doznawałem pewnego rodzaju szoku. Prawdopodobnie była nawet dużo większa, niż wyglądała, ponieważ cała reszta Wolfe'a była tak olbrzymia, że każda mniejsza głowa byłaby chyba niewidzialna.

- Gdzie piwo?

- W kuchni, sir. Dolna szafka po prawej.

- Przynieś. Zimne? Weź otwieracz i dwie szklanki.

- Idealnie zmrożone, sir.

Uśmiechnąłem się, i - usiadłszy w fotelu - zacząłem się zastanawiać, co robi Wolfe z kilkoma kawałkami papieru, wyciętymi na kształt krążków, które w różnych konfiguracjach rozkładał na bibularzu. Fritz zaczął wnosić butelki ułożone równo na tacy, po sześć za każdym wejściem. Przy trzecim razie uśmiechnąłem się ponownie, widząc Wolfe'a lustrującego wzrokiem rząd butelek na biurku, a później znikającego za drzwiami Fritza. Przyniósł kolejne dwie tace, po czym Wolfe przerwał ten pochód.

- Fritz, czy możesz mnie poinformować, jak długo jeszcze będzie trwać ten cyrk?

- Już niedługo, sir. Zostało dziewiętnaście. W sumie było czterdzieści dziewięć.

- Nonsens. Przepraszam cię, Fritz, ale to kompletny nonsens.

- Kazał pan przynieść po jednej z każdego gatunku. Odwiedziłem dwanaście sklepów. Co najmniej.

- Dobrze. Przynieś je tu. I trochę zwykłych słonych krakersów. Nie zmarnują się.

Chodziło o to, że Wolfe, jak mi objaśnił, otwierając jedna po drugiej butelki, postanowił zrezygnować z picia nielegalnego piwa, kupowanego w beczkach i trzymanego w piwnicznej chłodni, o ile znajdzie legalne o zawartości procentowej nie mniejszej niż 3,2, które będzie się nadawało do spożycia. Uznał także, że picie sześciu kwart dziennie nie jest konieczne i zabiera zbyt wiele czasu, dlatego od tej chwili postanawia ograniczyć się do pięciu. Wyszczerzyłem się w uśmiechu, najpierw dlatego, że nie mogłem uwierzyć, a za chwilę znowu, bo wyobraziłem sobie, jak to miejsce (o ile w końcu Wolfe nie ruszy stąd tyłka) zamienia się w jeden wielki skład butelek. Spytałem go (nie pierwszy już raz), jak to jest, że on, wypijający dziennie sześć kwart piwa, którego działanie spowalnia przecież pracę mózgu, potrafi działać tak szybko i skutecznie, że nikt w całym państwie nie może mu dorównać. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Odpowiedział (jak zwykle), że mózg nie ma tu nic do rzeczy, że to się dzieje na poziomie autonomicznego układu nerwowego. Kiedy otwierałem dla niego piątą butelkę, dodał - także nie pierwszy raz - iż doceniając moje wyrazy uznania, nie chciałby mnie urazić, niemniej jednak, szczerze powiedziawszy, bałwan ze mnie, a jak się dobrze zastanowić, kanalia.

Oblizał usta, testując piąty z kolei gatunek, i uniósłszy szklankę pod światło, oceniał barwę trunku.

- Miłe zaskoczenie, Archie. Nie uwierzyłbym, doprawdy. Oto jak dobrze być pesymistą. Pesymista zwykle doznaje miłych niespodzianek, optymista wręcz przeciwnie. Tak na dobrą sprawę, to żadne z tych piw nie jest sikaczem. Jak widzisz, Fritz zaznaczył na każdej z butelek cenę, a ja zacząłem od najtańszego. Dobra, dawaj następne.

W tym momencie usłyszałem ciche brzęczenie, dochodzące od frontowych drzwi. Ten właśnie dźwięk wywołał z lasu bestię. Choć w tamtej chwili jeszcze tego nie wiedzieliśmy, bo tylko zjawił się Durkin, przychodzący po prośbie.

Durkin wyglądał jak zwykle bez zarzutu. Kiedy tylko zastanowiłem się nad jego głupotą - z całą sympatią, jaką dla niego żywiłem - nie mogłem się nadziwić, jak sobie radził. Był niczym pies, który nie zdając sobie sprawy po co, merda ogonem i instynktownie wie, że to może pomóc. Fred Durkin umiał robić użytek ze swojego ogona. Kiedyś spytałem go, skąd się to u niego bierze. Odpowiedział: „Podchodzę do gościa i pytam, dokąd idzie - jak zniknie mi z oczu, wiem, gdzie go szukać". Myślę, że zdawał sobie sprawę ze swojego dowcipu. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Od jakiegoś czasu sytuacja finansowa firmy była tak zła, że Wolfe musiał ciąć wszelkie koszta (podobnie zresztą jak wszyscy, od bankiera poczynając, na włóczędze kończąc). Saul Panzer i ja otrzymywaliśmy wciąż jeszcze regularnie chudą pensję, ale Durkin został właściwie całkiem odcięty od źródła dochodu. Wolfe dzwonił do niego, gdy go potrzebował, i płacił wtedy od ręki. Toteż widywałem Durkina od czasu do czasu i wiedziałem, że cienko przędzie. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, w związku z czym nie widziałem gościa na oczy mniej więcej przez miesiąc, aż

do tamtego dnia. Fritz poszedł otworzyć i wprowadził go do biura.

Wolfe podniósł wzrok i skinął na powitanie.

- Witaj, Fred. Czyżbym był ci coś winien?

Durkin podszedł do biurka, mnąc kapelusz w dłoniach, i pokręcił głową.

- Dałbym wiele, żeby tak było. Gdyby ktoś był mi coś winien, nie odstępowałbym go na krok.

- Siadaj. Piwa?

- Dziękuję, nie. - Fred nie siadał. - Przyszedłem prosić o pomoc.

Wolfe ponownie uniósł wzrok. Jego wydatne usta wydęły się lekko i zacisnęły - ledwo zauważalny ruch - wydęły i zacisnęły, po czym jeszcze raz i jeszcze. Jakże ja to uwielbiałem! Nigdy chyba nie byłem bardziej podekscytowany niż wtedy, gdy Wolfe wykonywał ten gest. Nieważne, czy chodziło o drobnostkę w stylu Durkina, czy o śledztwo w grubej sprawie. Wiedziałem, że coś zaczyna się wtedy dziać. Zachodziła jakaś błyskawiczna reakcja, nagle wszystko stawało się jasne, jakbyś w jednym mgnieniu zobaczył cały świat na dłoni. To było niepojęte, on sam nie potrafił tego wytłumaczyć, nawet gdyby się bardzo starał, czego nigdy zresztą nie robił. Od czasu do czasu, gdy starczało mu cierpliwości, próbował mi tę rzecz objaśnić i nawet miało to jakiś sens. Później jednak zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę dopiero dalsze wydarzenia, fakt, że zawsze trafiał w dziesiątkę, rzucały światło na owo niezrozumiałe zjawisko. Kiedyś powiedziałem Saulowi Panzerowi, że czasem czuję się, jakbym był z Wolfe'em w ciemnym pokoju, w którym nigdy żaden z nas wcześniej nie był, a Wolfe opisał wszystkie jego szczegóły i potem, po włączeniu świateł, gdy okazuje się, że wszystko wygląda dokładnie tak, jak przedstawił, zaczyna wydawać ci się to proste i oczywiste.

Wolfe powiedział:

- Wiesz, że jestem w kiepskiej kondycji, jeżeli chodzi o pieniądze. Ale jeżeli nie przychodzisz prosić o pożyczkę, z przyjemnością służę pomocą. W czym więc rzecz?

Durkin rzucił mu chmurne spojrzenie. Wolfe zawsze go irytował.

- Nikt nie potrzebuje pożyczki bardziej ode mnie. Skąd pan wie, że chodzi o coś innego?

- Nieważne. Archie może ci to wyjaśnić. Jesteś zakłopotany w zbyt małym stopniu, poza tym, gdybyś potrzebował pieniędzy, nie przychodziłbyś z kobietą.

Wtrąciłem się:

- Cholera, on jest sam. Mam dobry słuch!

Nieznaczny tik, niezauważalny dla oka innego niż moje, które wyławiało go już kilkakrotnie wcześniej, przeszedł przez ogromne cielsko.

- Ależ oczywiście, Archie, doskonały. Z tym, że tu nie ma nic do słyszenia, ta dama nie wydaje dźwięków, które docierałyby tutaj. Fritz także nic do niej nie mówił. Ale w tonie jego głosu,

gdy witał gości, dało się wyczuć kurtuazję, którą zachowuje jedynie dla słabej płci. Gdybym usłyszał Fritza witającego się w ten sposób z mężczyzną, wysłałbym go natychmiast do odpowiedniego specjalisty.

- To przyjaciółka mojej żony - wyjaśnił Durkin. - Najlepsza przyjaciółka. Jak wiecie, moja żona jest Włoszką. Możecie zresztą o tym nie wiedzieć. Tak czy inaczej, ta przyjaciółka ma problem, a przynajmniej tak sądzi. Według mnie sprawa jest przegrana. Ale Maria zamęcza tą sprawą Fanny, a Fanny zamęcza mnie, i obydwie razem mnie zamęczają, a wszystko dlatego, że kiedyś powiedziałem Fanny, że ma pan w sobie diabła, który potrafi odkryć każdą tajemnicę na ziemi. Głupia sprawa, panie Wolfe, ale wie pan, jak to jest, gdy ludzie zaczynają coś sobie wyobrażać.

- Przyprowadź ją tu - rzucił Wolfe.

Durkin wyszedł i za chwilę pojawił się znowu, prowadząc kobietę. Była drobna, ale nie chuda, czarnowłosa i czarnooka - Włoszka na pierwszy rzut oka, ale nie w staroświeckim stylu. Mniej więcej w średnim wieku, wyglądała schludnie i czysto w różowej, bawełnianej sukience oraz żakiecie ze sztucznego jedwabiu. Podałem jej krzesło. Usiadła, wpatrując się w Wolfe'a jak w obraz.

- Panna Maria Maffei, pan Wolfe - dokonał prezentacji Durkin.

Posłała Fredowi uśmiech, ukazując drobne białe zęby, po czym zwróciła się do Wolfe'a:

- Maria Maffei - powiedziała, wymawiając to nazwisko nieco inaczej.

- Nie „pani" Maria Maffei? - spytał Wolfe.

Pokręciła głową.

- Nie, proszę pana. Nie jestem mężatką.

- Ale tak czy owak w kłopocie.

- Tak, proszę pana. Pan Durkin powiedział, że jest pan dobry...

- Proszę nam o tym opowiedzieć.

- Tak, proszę pana. Chodzi o mojego brata Carla. Zaginął.

- Gdzie zaginął?

- Nie wiem, proszę pana. Dlatego właśnie się martwię. Zaginął dwa dni temu.

- Gdzie on... Nie, nie. Zacznijmy od faktów - Wolfe zwrócił się do mnie. - Archie, twoja kolej.

Zanim doszedł do „nie, nie", zdążyłem wyjąć notatnik. Lubiłem ten etap roboty z Wolfe'em bardziej niż każdy inny, bo wiedziałem, że jestem w tym dobry jak cholera. Ale teraz nie miałem specjalnie czym błysnąć, bo panna Maffei znała się na rzeczy nie gorzej ode mnie. Jej relacja była zwięzła i logiczna. Prowadziła dom jakichś bogaczy przy Park Avenue, gdzie także mieszkała. Jej brat Carlo, dwa lata starszy, wynajmował pokój w domu przy Sullivan Street. Pracował, wykonując

rzeczy z metalu, był świetny w tym, co robił, pierwszej klasy fachman, jak mówiła. Przez lata zarabiał grubą forsę, wykonując biżuterię dla Rathburn & Cross, ale że lubił popijać i zdarzały mu się bumelki, to gdy nadciągnął Wielki Kryzys, był pierwszy do zwolnienia. Potem wykonywał różne dziwne prace, gdzie się dało, w końcu jednak wyczerpał swoje skromne oszczędności i ostatnie pól roku spędził na garnuszku u siostry. Mniej więcej w połowie kwietnia, kompletnie zniechęcony, postanowił wrócić do Włoch. Maria zgodziła się pokryć koszty. Żeby opłacić bilet na statek, musiała się jednak zapożyczyć. Ale tydzień później Carlo nagle oświadczył, że na razie nie ma zamiaru wyjeżdżać. Nie powiedział dlaczego, ale zadeklarował, że nie będzie już potrzebował pieniędzy i wkrótce zwróci wszystko, co do tej pory pożyczył. I być może w ogóle zostanie tu na stałe. Nigdy wcześniej nie był specjalnie rozmowny, a już w tej kwestii okazał się nieprzejednanie tajemniczy. W końcu zniknął. Zadzwonił do niej w niedzielę, mówiąc, że chciałby się spotkać w poniedziałek wieczór, kiedy miała wolne, we włoskiej restauracji przy Prince Street, gdzie często jadali razem, i oświadczył radosnym głosem, że ma na tyle pieniędzy, by zwrócić jej wszystko, a nawet może pożyczyć, jeżeli tylko by potrzebowała. W poniedziałkowy wieczór czekała na niego do dziesiątej. Potem poszła do mieszkania, które wynajmował, a tam powiedziano jej, że wyszedł o siódmej i do tej pory nie wrócił.

- Chodzi o ostatni poniedziałek? Przedwczoraj? - wtrąciłem.

Durkin, jak zauważyłem, także otworzył notatnik i dodał:

- Poniedziałek, czwartego czerwca.

Wolfe pokręcił głową. Siedział cicho i niewzruszenie jak góra, z podbródkiem opartym na piersi. Nie angażując żadnej części ciała, nie licząc dyskretnego kiwnięcia głową, mruknął:

- Durkin, dziś mamy środę, siódmego czerwca.

- Tak? - Fred utkwił w nim wzrok. - Jak to?

Wolfe uniósł palec w stronę Marii.

- Czy to był poniedziałek?

- Tak, proszę pana. W poniedziałki wieczór mam wolne.

- Tak więc nie może się pani mylić. Durkin, uaktualnij swoje notatki albo lepiej wyrzuć je w cholerę. Jesteś przybyszem z przyszłości. Czwartego czerwca wypadnie w poniedziałek w przyszłym roku. - Zwrócił się ponownie do kobiety: - Mario Maffei, przykro mi, że muszę ofiarować pani desperacką poradę. Proszę zwrócić się o pomoc do policji.

- Już to zrobiłam, proszę pana. - Jej twarz wyrażała niezadowolenie. - Powiedzieli, że uciekł do Włoch z moimi pieniędzmi.

- Niewykluczone.

- O, nie, panie Wolfe. Pan dobrze wie, że to nieprawda. Na pewno zdążył się pan zorientować, iż wiem wystarczająco dużo o swoim bracie, żeby w to nie wierzyć.

- Czy na policji powiedziano, którym statkiem odpłynął?

- Niby jak? Nie było żadnego statku. W ogóle nie wszczęli śledztwa. Nawet nie mieli zamiaru. Powiedzieli, że popłynął do Włoch i tyle.

- Rozumiem. Działali pod wpływem impulsu. Cóż... Przykro mi, że nie potrafię pomóc. Mogę jedynie zgadywać. Napad rabunkowy. Ale gdzie w takim razie zniknęło ciało? Proszę spróbować jeszcze raz na policji. Wcześniej czy później ktoś znajdzie ciało i zagadka zostanie rozwiązana.

Maria Maffei zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Nie wierzę w to, panie Wolfe. Po prostu nie wierzę. Poza tym był jeszcze telefon...

Wtrąciłem się:

- Nie wspominała pani o żadnym telefonie.

Uśmiechnęła się do mnie, odsłaniając zęby.

- A właśnie, że wspominałam. Ktoś dzwonił do brata chwilę przed siódmą, na numer domu, w którym wynajmował mieszkanie. Aparat jest w przedpokoju na parterze. Pokojówka słyszała, jak Carlo rozmawiał. Był podekscytowany i umówił się z kimś na wpół do ósmej.

Zwróciła się do Wolfe'a:

- Może mi pan pomóc, proszę pana. Może mi pan pomóc odnaleźć Carla. Nauczyłam się udawać zimną jak trawa o świcie, żyjąc tyle lat wśród tych wszystkich Amerykanów, ale w głębi serca jestem Włoszką. Muszę odnaleźć brata - nie daruję temu, kto go skrzywdził.

Wolfe pokręcił głową, ale nawet nie zwróciła na to uwagi.

- Musi pan to zrobić. Pan Durkin mówi, że jest pan w dużych tarapatach finansowych. Ja wciąż coś mam. Pokryję wszystkie koszty i dorzucę jeszcze coś ekstra. Poza tym jest pan przyjacielem pana Durkina, a ja jestem przyjaciółką Fanny, pani Durkin.

- Nie jestem niczyim przyjacielem - powiedział Wolfe. - Ile może pani zapłacić?

Zawahała się.

- Ile pani ma?

- Mam... sporo ponad tysiąc dolarów.

- Ile z tego może pani wydać?

- Mogę wydać... wszystko. Jeżeli znajdzie pan mojego brata żywego, zapłacę wszystko, co mam. Jeżeli znajdzie go pan martwego i pokaże mi ciało oraz wskaże mordercę, także nieźle zapłacę. Będę musiała tylko pokryć koszty pogrzebu.

Wolfe opuścił i uniósł powoli powieki. To oznaczało aprobatę - wiedziałem o tym, czekałem zwykle właśnie na ten znak (często na próżno), kiedy składałem mu relację z obrotu spraw.

- Jest pani praktyczną kobietą, Mario Maffei. Co więcej, najwyraźniej kobietą honoru. Ma pani rację, mam w sobie coś, dzięki czemu mógłbym pani pomóc. To coś nazywa się geniusz. Ale

jak dotąd nie znalazła pani sposobu, by obudzić go na dobre, i to, czy odnajdę pani brata, czy nie, jest kwestią sporną. Tak czy inaczej, na początku zaczynamy rutynowo, a koszty tego nie są wysokie.

Zwrócił się do mnie:

- Archie, jedź do domu, gdzie mieszkał Carlo Maffei. Jego siostra będzie ci towarzyszyć jako ekspert. Pogadaj z dziewczyną, która słyszała rozmowę, a także z innymi. Sprawdź mieszkanie. Jeżeli cokolwiek znajdziesz, poinformuj Saula Panzera. Dzwoń o dowolnej porze, byle po piątej. Po drodze zgarnij wszystkie rzeczy, które wydadzą ci się nic nieznaczące.

Pomyślałem, że nie musiał zwracać się do mnie w taki sposób w obecności nieznajomej, ale zdążyłem się nauczyć, że nie ma sensu rozpamiętywać jego manier. Maria Maffei wstała i podziękowała.

Durkin podszedł niepewnym krokiem do Wolfe'a.

- Z tymi problemami finansowymi... Wie pan, jak ludzie gadają.

Ulitowałem się nad nim.

- Chodź, Fred, jedziemy, podrzucę cię.

Rozdział 2

Po zaparkowaniu imponujących rozmiarów lśniącego, czarnego roadstera na Sullivan Street pod numerem, który wskazała mi Maria Maffei, poczułem, że mogę już nigdy go nie zobaczyć zdrowego i całego (samochodu, ma się rozumieć), gdyż ulica była zalana rzeką śmieci, po których biegały we wszystkich kierunkach włoskie bachory, wrzeszcząc dziko jak czarnookie diabły. Ale zdarzało mi się bywać już w gorszych miejscach, jak na przykład tamtej nocy, gdy ścigałem młodego Gravesa, nawiewającego swoim pierce'em coupe z workiem diamentów między nogami z Nowego Milford przez całe Pike County, po górach i błocie, w ulewie, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem na oczy. Na szczęście z polecenia Wolfe'a roadster po złapaniu najmniejszej gumy odbywał gruntowny przegląd, a to dodawało mi pewności siebie.

Zobaczyłem zwyczajne mieszkanie do wynajęcia, takie jak każde inne. Z jakiegoś powodu one wszystkie są takie same. Nieważne, czy to snobistyczny apartament na Fifth Avenue, pełna artystek z bogatych rodzin kamienica z brunatnej cegły w Central Parku, czy włoska nora, jak ta na Sullivan Street. Nie licząc, oczywiście, pewnych mało istotnych szczegółów. Maria Maffei zaprowadziła mnie najpierw do gospodyni - grzecznej kobiety obfitych kształtów z zadartym nosem i pierścieniami na każdym palcu, a potem na górę do pokoju brata. Nieco się rozejrzałem, kiedy poszła poszukać dziewczyny, która słyszała rozmowę telefoniczną. To był pokaźnych rozmiarów pokój na trzecim piętrze, z dwoma oknami. Dywan wyświechtany, meble stare, podniszczone, ale wnętrze było czyste i w gruncie rzeczy nie najgorsze, nie licząc dochodzącego z dołu wrzasku chuliganów, który usłyszałem, kiedy otworzyłem okno, by sprawdzić, czy roadster wciąż jest na swoim miejscu. W rogu pokoju stały dwie walizy podróżne - jedna tania, stara i znoszona, druga też nie pierwszej nowości, ale solidna. Obydwie otwarte - ta gorsza była pusta, zaś lepsza wypełniona mnóstwem narzędzi różnych kształtów i rozmiarów. Na części z nich widniały metki lombardu. Były tam też kawałki drewna, metalu, sprężyny i inne hocki-klocki. W szafie znajdowało się trochę starych ubrań - dwa robocze kombinezony, płaszcz, dwie pary butów, filcowy kapelusz. W szufladzie komody ustawionej pomiędzy oknami zalegał - niezgorszy jak na gościa żyjącego od roku na utrzymaniu siostry - skład koszul, krawatów, chusteczek do nosa, skarpet i nieprzeliczone mnóstwo innego badziewia, jak sznurówki, ołówki, zdjęcia i puste cygaretki. W górnej szufladzie znalazłem spięty gumką stosik siedemnastu listów w kopertach opieczętowanych włoskimi znaczkami. Poza tym leżały tam porozrzucane recepty, rachunki, notatnik, kilka wycinków z gazet i psia obroża. Na blacie, prócz grzebienia, szczotki i innych impedimentów, jak mawiał Wolfe, było pół tuzina książek - wszystkie, prócz jednej, pełnej zdjęć i szkiców, w języku włoskim - oraz gruby zestaw magazynów - miesięczników z trzech ostatnich lat, wszystkie pod jednym tytułem: *Rzemiosło metalowe.* W prawym rogu pomieszczenia, pod oknem, stał prosty, drewniany,

nieheblowany stół z pociętym oraz pobrużdżonym blatem, a na nim - imadło, szlifierka, polerka z przewodem elektrycznym sięgającym oprawki lampy i kilka innych szpejów, podobnych do tamtych w podróżnej torbie. Przyglądałem się szlifierce, chcąc sprawdzić, jak dawno temu była w użyciu, gdy weszła Maria Maffei z dziewczyną.

- To jest Anna Fiore - powiedziała.

Podszedłem do dziewczyny i uścisnąłem jej dłoń. Była prostą, nieatrakcyjną kobietą w wieku około dwudziestu lat o ciastowatej cerze i wyrazie twarzy, jakby ktoś wystraszył ją w kołysce i tak już zostało. Przedstawiłem się i powiedziałem, że wiem od panny Maffei o rozmowie telefonicznej. Przytaknęła.

- Przypuszczam, że chciałaby pani już wracać do siebie, panno Maffei - zwróciłem się do Marii. - Anna i ja poradzimy sobie we dwójkę.

Pokręciła głową.

- Wystarczy, jak dotrę na obiad.

Poczułem, że tracę dobre maniery. Szczerze powiedziawszy, byłem podobnego zdania, co Durkin - że to przegrana sprawa i jedyne, co możemy na tym zyskać, to zabawa w ciuciubabkę. Powiedziałem więc Marii Maffei, iż nie jest już do niczego potrzebna i że naprawdę lepiej będzie, jeżeli już sobie pójdzie, słyszała bowiem chyba od Wolfe'a, że i tak niczego więcej się nie dowie. Omiotła wzrokiem dziewczynę, rzuciła mi pełne złości spojrzenie i wyszła.

Ustawiłem dwa krzesła i posadziłem Annę naprzeciw siebie, po czym wyciągnąłem notatnik.

- Nie masz powodu do obaw - powiedziałem. - Najgorszą rzeczą, która może ci się przytrafić, jest to, że wyświadczysz przysługę pannie Maffei i ona oraz jej brat być może ci za to zapłacą. Lubisz pannę Maffei?

Wyglądała na przerażoną, jak gdyby zdziwiło ją niezmiernie, że ktoś może zadawać sobie trud, żeby dowiedzieć się, kogo też ona lubi lub nie. Jednak odpowiedziała bez wahania:

- Tak, lubię. Jest miła.

- A pana Maffei? Lubisz go?

- No pewno, wszyscy go lubią. Ale nie jak jest pijany, wtedy niedobrze wchodzić mu w drogę.

- Jak to się stało, że usłyszałaś jego rozmowę przez telefon w poniedziałek wieczór? Czy wiedziałaś wcześniej, że będzie mieć miejsce?

- Skąd bym miała wiedzieć?

- Nie wiem. Ty odebrałaś?

- Nie, proszę pana. Odebrała pani Ricci. Kazała mi zawołać pana Maffei, więc poszłam po niego na górę. Później wycierałam stół w jadalni. Drzwi były otwarte i słyszałam, jak rozmawiał.

- Usłyszałaś, co mówił?

- Pewnie. - Spojrzała z wyższością. - Zawsze słyszymy wszystko, co ktoś mówi przez telefon. Pani Ricci też słyszała. To samo, co ja.

- Co mówił?

- Najpierw powiedział: „Dzień dobry". Potem powiedział: „Tak, tu Carlo Maffei, czego chcesz". Potem powiedział: „Moja sprawa, dowiesz się, gdy się spotkamy". Potem powiedział: „Dlaczego niby nie u mnie". Potem powiedział chyba: „Nie, nie boję się, nie jestem z tych, co się boją" (ale tego dobrze nie pamiętam). Potem powiedział: „Tak chcę tych pieniędzy i tamtych też". Potem powiedział: „Dobra wpół do ósmej na rogu". Potem powiedział: „Nie interesuj się nie swoimi sprawami". Potem powiedział: „Dobra wpół do ósmej, kojarzę ten samochód".

Skończyła.

- Z kim rozmawiał? - spytałem.

Oczywiście spodziewałem się, że nie będzie wiedzieć, skoro nie wiedziała tego Maria Maffei, ale odpowiedziała:

- Z tym samym, który telefonował wcześniej.

- Wcześniej? Kiedy wcześniej?

- Kilka razy wcześniej. W maju. Jednego dnia aż dwa razy. Pani Ricci mówi, że dziewięć razy, nie licząc tego poniedziałku.

- Słyszałaś jego głos?

- Nie, proszę pana. Zawsze odbierała pani Ricci.

- Czy słyszałaś imię tego człowieka?

- Nie, proszę pana. Kiedy panią Ricci nachodziła ciekawość, pytała, z kim ma przyjemność, ale on zawsze mówił tylko: „Nieważne, proszę go zawołać do telefonu".

Pomyślałem, że zaczyna się robić zabawnie, może nawet jest szansa wyjąć trochę grosza. Nie żebym dbał o pieniądze - to była działka Wolfe'a. Ja tęskniłem za dobrą rozrywką. Być może nie chodziło tylko o zwykły napad rabunkowy i trupa na dnie East River. Postanowiłem sprawdzić, co się da zrobić i pójść dalej tą drogą. Widziałem nieraz Wolfe'a w takiej akcji. I choć większość jego sukcesów brała się z jakiegoś dodatkowego zmysłu, którego ja nie miałem, wiele zawdzięczał także swojej cierpliwości oraz metodzie prób i błędów. Tak więc szedłem tym tropem. Trwało to dwie godziny, podczas których zebrałem sporo faktów, żaden jednak nie posuwał moim zdaniem sprawy. Był moment, kiedy relacja dziewczyny zaczęła nabierać rumieńców - gdy powiedziała, że Carlo miał dwie kobiety, z którymi pokazywał się publicznie, a jedna z nich była mężatką. Ale kiedy spróbowałem powiązać ten fakt z rozmową telefoniczną i nic z tego nie wyszło, zarzuciłem ów ślad. Maffei wspomniał o podróży do Włoch, ale nie podał żadnych szczegółów. Trzymał to w tajemnicy. Nie telefonował do niego nikt prócz siostry i kumpla z okresu dawnych, lepszych

czasów, z którym czasami wychodził zjeść. Męczyłem dziewczynę przez dwie godziny i nic się nie rozjaśniło, ale było coś w tej całej historii z telefonem, co powstrzymywało mnie od przekreślenia tego dnia i zarzucenia całej sprawy. W końcu powiedziałem:

- Poczekaj tu przez chwilę, Anno, a ja zejdę na dół i porozmawiam z panią Ricci.

Gospodyni potwierdziła wersję rozmowy telefonicznej i powiedziała, że nie ma pojęcia, kim był rozmówca, choć próbowała kilkakrotnie się dowiedzieć. Zadałem jej jeszcze parę pytań i poprosiłem o zgodę na zabranie dziewczyny ze sobą na dalsze przesłuchanie. Odmówiła, twierdząc, że nie da sobie sama rady przy obiedzie. Wyjąłem dolarowy banknot - spytała, kiedy ma się spodziewać Anny z powrotem, dodając, że nie może to być później niż o dziewiątej.

Powiedziała to po zainkasowaniu mojego dolara! Oświadczyłem:

- Nie mogę tego obiecać, pani Ricci. Kiedy mój szef zaczyna przesłuchanie, czas przestaje istnieć. Ale z całą pewnością wróci zdrowa i cała tak szybko, jak to będzie możliwe.

Poszedłem na górę i wziąłem ze sobą Annę oraz kilka rzeczy z szuflady komody. Kiedy wyszliśmy na ulicę, poczułem ulgę, że roadster jest cały i nikt nie zwinął zderzaka ani zapasowej opony.

Pojechałem naokoło, nie spiesząc się - nie chciałem dotrzeć za wcześnie, wiedząc, że codziennie między czwartą a szóstą Wolfe spędza czas na górze, doglądając roślin, i lepiej mu nie przerywać tej czynności, o ile nie jest to absolutnie niezbędne. Jazda roadsterem wprawiła Annę w stan oszołomienia. Siedziała sztywno z podkulonymi pod siedzeniem nogami, zaciskając dłonie. To połechtało moją próżność i poczułem do dziewczyny przypływ sympatii. Obiecałem dać jej dolara, jeżeli powie mojemu szefowi wszystko, co wie. Była minuta albo dwie po szóstej, kiedy zaparkowałem przed starą kamienicą z brązowej cegły, sąsiadującą z domem nad rzeką Hudson, gdzie od dwudziestu lat mieszkał Wolfe, a ja z nim przez trzecią część tego czasu.

Anna nie wróciła tego wieczoru do domu o dziewiątej. Było po jedenastej, kiedy posłał mnie do redakcji „Timesa" po gazety, a kiedy wreszcie natrafiliśmy z pomocą Anny na to, czego szukał - dobrze po północy. Pani Ricci zdążyła zatelefonować przez ten czas trzy razy i kiedy w końcu dotarłem z dziewczyną na Sullivan Street chwilę przed pierwszą, czekała na progu, prawdopodobnie z nożem w pończosze. Nie odezwała się jednak słowem, łypnęła tylko na mnie znacząco. Dałem Annie dolara, bo sprawa w końcu ruszyła z miejsca.

Relację z przesłuchania zdałem Wolfe'owi na górze, w pokoju roślinnym, zostawiwszy Annę na dole w biurze. Siedział w ogromnym fotelu, z szeroką na osiem cali czerwono-brązową orchideą za plecami, i sprawiał wrażenie znudzonego. Naprawdę nie był zainteresowany. Ledwie rzucił okiem na wycinki z gazet i przedmioty, które przyniosłem z mieszkania Carla Maffei. Przyznał, że faktycznie rozmowa telefoniczna może dać jakiś cień szansy na rozwiązanie sprawy,

ale i tak nie widzi w tym wszystkim nic ciekawego. Próbowałem go przekonać, że skoro już dziewczyna jest na dole, mógłby podjąć próbę i zobaczyć, co się da zrobić. Dodałem przy tym chytrze:

- Bądź co bądź wydaliśmy dolca. Musiałem go zapłacić gospodyni.

- To twój dolar, Archie.

- O nie, sir. To dolar wliczony w koszty. Jest już wciągnięty do rachunków.

Poszedłem za Wolfe'em do windy. Gdyby był zmuszony pokonywać schody samodzielnie, nie sądzę, by kiedykolwiek wszedł na górę, nawet do swoich roślin.

Zaczął z Anną od razu. To było piękne. Pięć lat wcześniej nie umiałbym tego docenić. Wolfe potrafił sprawić, by wizyta dziewczyny nie poszła na marne! Nie uchował się w jej świadomości najmniejszy okruch wiedzy czy subiektywne wrażenie, mogące naprowadzić nas na właściwą drogę, których Wolfe nie wyciągnąłby na światło dzienne. Maglował ją przez pięć godzin. Pytał o ton głosu Carla Maffei, jego przyzwyczajenia, ubranie, menu, temperament, zachowanie przy stole, relacje z siostrą, panią Ricci, samą Anną oraz każdym, z kim kiedykolwiek go widziała. Pytał o panią Ricci, o wszystkich lokatorów kamienicy w ciągu dwóch ostatnich lat, o sąsiadów i doręczycieli wszelkich rzeczy do domu. Wszystko to robił z gracją i na luzie, dbając, by zanadto jej nie zmęczyć (w zupełnym przeciwieństwie do tego, jak obszedł się kiedyś z niejakim Lonem Gravesem, nad którym znęcał się całe popołudnie, niemal doprowadzając gościa do obłędu). Najwyraźniej jednak udało mu się wydobyć od dziewczyny tylko jedną istotną informację - przyznała się, że usunęła coś z pokoju Carla tamtej środy, wcześnie rano. Dwa niewielkie kawałki papieru z klejem z tyłu i nadrukiem: S. S. LUCIA i S. S. FIORENZA. Rzecz jasna - okrętowe naklejki na bagaż. Ze wzmianki w gazecie dowiedziałem się, że „Lucia" wypłynęła osiemnastego maja, a „Fiorenza" trzeciego czerwca. Najwyraźniej Maffei wybierał się do Włoch dwukrotnie i dwukrotnie rezygnował z podróży. Anna wzięła naklejki, gdyż, jak twierdziła, były śliczne oraz kolorowe, i chciała je sobie nakleić na kuferek, w którym trzymała garderobę.

Było tego jednak zbyt mało, by popchnąć sprawę.

Podczas kolacji, którą spożywaliśmy wszyscy troje w pokoju jadalnym, Wolfe zostawił Annę samej sobie i zwracał się przez cały czas wyłącznie do mnie, rozprawiając głównie na temat piwa, ale na kawę zabrał nas już z powrotem do biura i zaczął wszystko od początku. Od nowa badał grunt i czepiał się rzeczy tak przypadkowych i niezwiązanych ze sprawą, że każdy, kto nie znał go wcześniej, na widok tych akrobacji uznałby go za kompletnego wariata. Przed jedenastą miałem już serdecznie dość, ziewałem ze zmęczenia I miałem zamiar się poddać. Irytowało mnie, że on nie okazał do tej pory śladu zniecierpliwienia czy zniechęcenia.

I nagle coś zaskoczyło.

- A więc mówisz, że pan Maffei nigdy nie podarował ci żadnego prezentu?

- Nie, proszę pana. Nie licząc pudełka kredy, o którym już wspominałam. No i gazet, o ile można nazwać to prezentem.

- Tak, mówiłaś, że zawsze oddawał ci poranne wydanie „Timesa".

- Tak, proszę pana. Powiedział mi raz, że kupuje „Timesa", bo są w nim dobre reklamy. Wie pan, o pracy.

- Czy dał ci gazetę w poniedziałek rano?

- Zawsze dawał mi ją po południu. W poniedziałek po południu.

- Czy tamtym razem nie wydarzyło się nic szczególnego?

- Nie, proszę pana.

Najwidoczniej Wolfe uchwycił jednak jakiś niewyraźny błysk w jej oczach, nieznaczny ruch, którego ja nie zdołałem rozpoznać. W każdym razie drążył dalej.

- Zupełnie nic?

- Nie, proszę pana. Prócz, oczywiście, tego wycinka.

- Wycinka?

- Wyciął coś tam z gazety. Duży kawałek jednej strony.

- Często tak robił?

- Tak, proszę pana. Zazwyczaj reklamy. Chyba tylko. Używałam gazet do wycierania kurzu i musiałam uważać na dziury.

- Ale to była duża dziura.

- Tak, proszę pana.

- A więc nie ogłoszenie. Proszę mi wybaczyć, panno Fiore, że nie będę używał słowa „reklama". Nie przepadam za nim. A więc fragment, który wyciął z poniedziałkowej gazety, to nie było ogłoszenie?

- Nie, nie. To było na pierwszej stronie.

- No tak. Czy kiedykolwiek wcześniej wycinał coś z pierwszej strony?

- Nie, proszę pana. Na pewno nie.

- Zawsze tylko ogłoszenia?

- Tego nie wiem. Może tylko reklamy, chyba tak.

Wolfe siedział przez chwilę z brodą zwieszoną na piersi. Potem zwrócił się do mnie:

- Archie, leć na Czterdziestą Drugą i weź dwadzieścia egzemplarzy poniedziałkowego „Timesa".

Byłem wdzięczny, że mogę w końcu się ruszyć. Choć powodu do ekscytacji jeszcze nie miałem. Wolfe trafił dopiero na niewielką rysę, przez którą przedostała się odrobina światła. Nie spodziewałem się po tym niczego i nie sądzę, żeby on się czegoś spodziewał. Była jednak wspaniała czerwcowa noc - chłodna, ale łagodna i przyjemna. Moje płuca wypełniły świeże

powietrze i wiatr, który czułem, pędząc przez miasto w stronę Broadwayu, a później na północ. Na Times Square natknąłem się na znajomego glinę, Marve'a Doyle'a, który zwykle węszył na Czternastej Ulicy. Kazał mi zostawić samochód przy Broadwayu. Kiedy przedzierałem się do redakcji „Timesa", ulicę zalewa! tłum amatorów kina i teatru, roztrząsających w podgrupach dylemat, czy wydać dwa dolce na film, czy 10 centów w barze szybkiej obsługi u Nedicka.

Gdy wróciłem do biura, Wolfe ofiarowywał właśnie dziewczynie chwilę wytchnienia. Posłał Fritza po piwo, które Anna sączyła jak gorącą herbatę, z wąsami z piany na górnej wardze. Sam Wolfe zdążył wykończyć już trzy butelki, mimo że moja nieobecność nie mogła trwać dłużej niż dwadzieścia minut.

Kiedy wszedłem, rzucił:

- Powinienem był ci powiedzieć, żebyś przyniósł wydanie lokalne.

- Jasne, to właśnie wziąłem.

- Świetnie.

Zwrócił się do dziewczyny:

- O ile nie ma pani nic przeciw temu, panno Fiore, lepiej będzie, by nie towarzyszyła pani naszej pracy. Odwróć jej krzesło tyłem, Archie. Tak. I przysuń stolik na piwo. Teraz gazety. Nie, nie wyrywaj, zostawmy całe, takie, jakimi widziała je po raz pierwszy. Usuń pozostałe strony, będą, jak znalazł, dla panny Fiore. Pomyśl, ile kurzu będzie mogła się pozbyć za ich pomocą.

Rozłożyłem przed nim na biurku pierwszą stronę. Uniósł się w fotelu i pochylił nad gazetą jak hipopotam w zoo wstający do posiłku. Usunąłem ze wszystkich egzemplarzy niepotrzebne strony i odłożyłem na krzesło, po czym sam zacząłem przeglądać pierwszą. Na pierwszy rzut oka wyglądało to nijak. Górnicy strajkowali w Pensylwanii, Krajowe Stowarzyszenie Strzelców ratowało kraj aż w trzech różnych wzmiankach, dwóch chłopców przepłynęło Atlantyk łódką długości trzydziestu stóp, rektor koledżu doznał ataku serca, grając w golfa, ktoś strzelał z pistoletu gazowego do gangstera z Brooklyn, w Alabamie dokonano samosądu na jakimś Murzynie, ktoś znalazł stary obraz gdzieś w Europie. Popatrzyłem na Wolfe'a. Pochłaniał stronę z wypiekami na twarzy.

Jedyną informacją, która wydawała mi się godna jakiejkolwiek uwagi, była wzmianka o obrazie znalezionym w Szwajcarii, wywiezionym przypuszczalnie z Włoch. Ale gdy Wolfe wreszcie sięgnął do szuflady po nożyczki, nie wyciął tego ustępu, lecz notkę o gangsterze. Odłożył gazetę i poprosił o następną. Podałem mu ją i uśmiechnąłem się, zobaczywszy, jak wycina artykuł o obrazie - bądź co bądź udało się za drugim podejściem. Kiedy poprosił o trzecią, wzięła mnie ciekawość - spojrzałem nań ze zdziwieniem, gdy zabrał się do wycinania wzmianki o rektorze. Nie spojrzawszy w moją stronę, rzekł:

- Módl się, Archie, żeby to było to. Jeżeli się tak okaże, będziemy mieć na Święta Bożego

Narodzenia nowy egzemplarz *Angraecum sesquipedale.*

Byłem obeznany w tych sprawach, bo prowadziłem zarówno księgi wydatków związanych z jego hodowlą orchidei, jak i wszystkie inne, nie mogłem jednak dojrzeć żadnego związku pomiędzy rektorem a Carlem Maffei.

Wolfe polecił:

- Pokaż jej jedną.

Ostatnia strona, z której wyciął artykuł, leżała na wierzchu, wyjąłem jednak tę spod spodu - artykuł o obrazie zajmował dużą powierzchnię w prawym dolnym rogu. Kiedy zbliżałem się do Anny, trzymając w rękach rozłożoną gazetę, Wolfe nakazał:

- Proszę spojrzeć, panno Fiore. Czy po wycięciu części strony poniedziałkowa gazeta wyglądała tak?

Spojrzała tylko raz.

- Nie, proszę pana. To był duży artykuł na górze, tutaj, niech pokażę...

Chwyciłem gazetę, zanim zdążyła ją wziąć do ręki, rzuciłem na stół i złapałem następną. Rozpostarłem ją przed oczami Anny. Tym razem spojrzała dwukrotnie, po czym powiedziała:

- Tak, proszę pana.

- Myślisz, że to ten kawałek?

- Wyglądało to właśnie tak, proszę pana.

Wolfe nie odzywał się przez moment. Usłyszałem, jak bierze głęboki oddech i mówi:

- Odwróć ją, Archie.

Złapałem oparcie fotela i obróciłem go wraz z dziewczyną o sto osiemdziesiąt stopni.

Wolfe spojrzał na nią i rzekł:

- Na ile jest pani pewna, panno Fiore, że właśnie ten fragment został wycięty?

- Wiem, że to ten, proszę pana. Jestem pewna.

- Czy potem widziała go pani gdzieś? W pokoju Carla - na przykład w koszu na śmieci - albo u niego w rękach?

- Nie, nie widziałam. Nie mógł być w koszu na śmieci, bo nie ma tam żadnego kosza.

- Dobrze. Gdyby wszystko inne mogło być tak proste i oczywiste jak to... Może pani jechać do domu, panno Fiore. Jest pani dobrą dziewczyną - dobrą, cierpliwą i wyrozumiałą. I w przeciwieństwie do większości innych osób, których towarzystwa unikałbym, gdybym tylko mógł, umiejącą robić z języka właściwy użytek. Ale czy odpowie mi pani na jeszcze jedno pytanie? Proszę je potraktować jak prośbę.

Dziewczyna była kompletnie wykończona, ale wciąż miała w sobie na tyle życia, że jej oczy zapłonęły zainteresowaniem. Utkwiła w rozmówcy wzrok.

- Tylko jedno, ostatnie - obiecał Wolfe. - Czy kiedykolwiek widziała pani w pokoju Carla

Maffei kij do golfa?

Jeżeli szukał punktu zapalnego, odnalazł go. Po raz pierwszy podczas tych wszystkich godzin dziewczynę zamurowało. To było tak oczywiste, że aż zabawne. Przez chwilę tylko patrzyła, milcząc. Potem, gdy dotarł do niej sens pytania, resztka kolorów zniknęła z jej twarzy, pozostawiając trupią bladość, a usta otwarły się szeroko. Wyglądała jak kompletna idiotka i trzęsła się na całym ciele.

Wolfe męczył ją dalej, ściszając głos:

- Kiedy go pani widziała?

W tym momencie z całej siły zacisnęła usta, a jej dłonie zwinęły się w pięści.

- Nie, proszę pana. Nie widziałam.

Wolfe patrzył na nią przez chwilę, po czym powiedział:

- W porządku. Wszystko w porządku, panno Fiore.

Zwrócił się do mnie:

- Zabierz ją do domu.

Nie wstała aż do chwili, kiedy podszedłem i dotknąłem jej ramienia. Wtedy oparła dłonie na poręczach fotela i podniosła się.

Najwyraźniej wziął ją pod włos, nie wyglądała jednak na prawdziwie przestraszoną, raczej na wycofaną. Zdjąłem jej żakiet z poręczy i pomogłem się ubrać. Kiedy szła w stronę wyjścia, odwróciłem się, by powiedzieć coś do Wolfe'a, i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Podniósł się z krzesła! Wstał! Naprawdę. Pamiętam, że nie zadał sobie tego trudu nawet wtedy, gdy opuszczała te progi onegdaj pewna dama warta dwadzieścia milionów dolarów, która poślubiła angielskiego księcia.

Powiedziałem jednak tylko to, co wcześniej miałem w planie:

- Obiecałem, że dam jej dolara.

- Obawiam się zatem, że nie masz innego wyjścia.

Podniósł nieco głos, by zdołała go usłyszeć:

- Dobrej nocy, panno Fiore.

Nie odpowiedziała. Wyszedłem za nią i zapakowałem do auta. Kiedy dotarliśmy na Sullivan Street, pani Ricci czekała przed wejściem z takim wyrazem twarzy, że za żadne skarby nie zabawiłbym tam ani chwili.

Rozdział 3

Odstawiwszy samochód do garażu i pokonawszy dwie przecznice, dotarłem na Trzydziestą Piątą. W biurze było ciemno. Po wejściu na górę dostrzegłem smugę światła sączącą się spod drzwi łazienki Wolfe'a. Zastanawiałem się nieraz, w jaki sposób jest w stanie sam się rozebrać, ale wiedziałem, że nikt mu w tym" nie pomaga. Fritz spał piętro wyżej, naprzeciw pomieszczeń, w których znajdowała się hodowla roślin, ja na drugim piętrze, tym samym co Wolfe, w dużym pokoju z osobną łazienką i dwoma oknami. Mieszkałem tu od siedmiu lat i traktowałem to miejsce jak własny dom. Co więcej, wyglądało na to, że tak zostanie przez następne siedem, a może i dwadzieścia siedem lat, gdyż jedyna dziewczyna, w jakiej byłem kiedykolwiek zakochany na poważnie, znalazła sobie lepszą partię. Tak więc spotkałem któregoś dnia Wolfe'a - ale to już inna historia, w każdym razie nie na tę chwilę.

W tym mieszkanku było parę rzeczy, które domagały się pewnych usprawnień, ale faktem jest, że czułem się tu jak u siebie. Łóżko było duże i solidne, miałem komodę z mnóstwem pojemnych szuflad i trzy fotele - głębokie i wygodne - oraz prawdziwy dywan zajmujący całą podłogę, a nie jakieś beznadziejne małe chodniczki, na których człowiek ślizga się jak masło na rozgrzanej patelni. Obrazy na ścianach pochodziły z mojej prywatnej kolekcji i myślę, że stanowiły niezły zbiorek: jeden pędzla Mounta Vernona, z domem George'a Washingtona, inny, w żywych kolorach, przedstawiający głowę lwa, jeszcze inny, równie barwny, z lasem pełnym drzew i kwiatów. Wisiała też wśród nich duża oprawiona w ramy fotografia, na której byli moi rodzice - oboje zmarli, gdy byłem dzieckiem. Miałem jeszcze jeden obraz, zatytułowany *Wrześniowy poranek,* przedstawiający młodą kobietę bez ubrania, z upiętymi wysoko włosami, ale ten wisiał w łazience. Nie było tu nic szczególnego, ot, zwykły wygodny pokój, nie licząc wielkiego gongu umieszczonego na ścianie pod łóżkiem, poza zasięgiem wzroku. Urządzenie było tak skonstruowane, że kiedy Wolfe wcisnął guzik w swoim pokoju (co robił każdej nocy), rozlegał się taki dźwięk, jakby ktoś wypadł na korytarz wraz z drzwiami albo rozbiło się okno. Gong był podłączony również do drzwi wszystkich pomieszczeń, w których znajdowały się kwiaty. Wolfe powiedział mi kiedyś - choć nie miało to jakiegoś większego znaczenia - że nie chodzi o to, że jest strachliwy, lecz o to, iż nienawidzi, jak się go denerwuje, dotyka lub zmusza bez uprzedzenia do gwałtownych ruchów. Biorąc pod uwagę jego nastawienie do podejmowania jakichkolwiek ruchów, potrafiłem w to uwierzyć. Z jakichś powodów zagadnienie tchórzostwa w odniesieniu do Wolfe'a nie interesowało mnie, choć z innym facetem, którego bym o nie podejrzewał, raczej nie usiadłbym przy jednym stole.

Wziąłem ze sobą na górę jedną z gazet. Przebrawszy się w piżamę i rozsiadłszy wygodnie w fotelu z papierosami oraz popielniczką w zasięgu ręki, przeczytałem artykuł o rektorze trzykrotnie.

Tekst zatytułowano:

PETER OLIVER BARSTOW UMIERA NA ZAWAŁ REKTOR HOLLAND COLLEGE PONOSI ŚMIERĆ NA POLU GOLFOWYM

Przyjaciele znajdują go martwego

Był to sporych rozmiarów artykuł, zajmujący całą szpaltę na pierwszej stronie i półtorej wewnątrz oraz dodatkowy tekst zawierający długą klepsydrę z komentarzami znanych osób. Sama historia nie miała w sobie nic nadzwyczajnego poza tym, że kolejny człowiek odszedł z tego świata. Czytałem tę gazetę codziennie, to wydanie pochodziło sprzed dwóch dni, ale nie przypominałem sobie w ogóle takiego wydarzenia. Barstow, 58-letni rektor Holland College, grał w golfa w niedzielę po południu na polu Green Meadow Club koło Pleasantville, trzydzieści mil od Nowego Jorku. Towarzyszyło mu trzech mężczyzn: syn Lawrence oraz dwaj przyjaciele - E. D. Kimball i Manuel Kimball. Przy czwartym dołku Barstow nagle zasłabł, przewrócił się na twarz i rzucał w konwulsjach przez kilka sekund, po czym zastygł bez ruchu. Chłopak noszący kije rzucił mu się na pomoc, ale nim nadbiegli pozostali, mężczyzna już nie żył. Wśród obecnych na polu członków klubu był lekarz - stary przyjaciel Barstowa, który wraz z synem zawiózł ciało samochodem ofiary do jej domu, położonego sześć mil stamtąd. Lekarz ów zdiagnozował atak serca. Resztę tekstu wypełniała czcza paplanina na temat kariery Barstowa, jego zdjęcie i różne nieistotne szczegóły: jak to żona zemdlała, kiedy wniesiono go do domu, i jak dzielnie znieśli to jego syn oraz córka. Po trzeciej lekturze zacząłem ziewać i dałem sobie spokój. Jedyny związek, jaki widziałem pomiędzy śmiercią Barstowa a Carlem Maffei, to pytanie o kij golfowy, które Wolfe zadał Annie Fiore. Odrzuciłem gazetę w kąt i wstałem, mówiąc głośno do siebie:

- No, panie Goodwin, chyba nie może pan jeszcze włożyć tej sprawy do teczki z napisem ZAŁATWIONE.

Przyniosłem sobie szklankę wody i położyłem się do łóżka.

Była prawie dziesiąta, kiedy następnego ranka zwlokłem się na dół, gdyż kiedy tylko mogę sobie pozwolić na osiem godzin snu, korzystam z tej możliwości, zwłaszcza że Wolfe nigdy nie zjawiał się na dole przed jedenastą. Wstawał zawsze punkt ósma, niezależnie od tego, o której poszedł spać, jadł śniadanie u siebie, przeglądając gazety, po czym spędzał dwie godziny - od dziewiątej do jedenastej, w towarzystwie swoich kwiatów. Czasami, ubierając się albo biorąc kąpiel, słyszałem starego Horstmanna, który doglądał hodowli, jak się wydziera. Wolfe zdawał się wywoływać w Horstmannie takie instynkty jak sędzia meczu u Johny'ego J. McGrawa. To nie tak, że ów starzec naprawdę nienawidził Wolfe'a - tak z pewnością nie byto. Według mnie nie obawiał się też, iż Wolfe, przekroczywszy pewnego dnia masę krytyczną, straci równowagę i runie,

przerabiając delikatne roślinki na mielone kotlety. Horstmann dbał o te kwiaty jak o zeszłoroczny śnieg. Spał w małej kanciapie, odgrodzonej w rogu, i nie zdziwiłbym się, gdyby pewnej nocy zrównał ten cały interes z ziemią.

Kiedy uporałem się już w kuchni z posiłkiem złożonym z cynaderek i gofrów oraz kilku szklanek mleka (konsekwentnie nie godziłem się na to, by Fritz nakrywał dla mnie rano w jadalnym - zawsze spożywałem śniadania w samotności), wyszedłem na dziesięć minut zaczerpnąć świeżego powietrza. Zrobiłem sobie spacer do przystani i z powrotem, po czym, ogarnąwszy trochę bałagan w biurze oraz napełniwszy wieczne pióro Wolfe'a atramentem, usiadłem przy swoim narożnym biurku i zabrałem się do pracy. Pocztę Wolfe'a pozostawiłem tradycyjnie nietkniętą na jego biurku. Taka była umowa - to nie należało do moich obowiązków. Wypisałem dwa czy trzy czeki i zrobiłem bilans wydatków. Nie było tego wiele, nie za dużo się ostatnio działo. Później zacząłem przeglądać dokumentację hodowli, żeby upewnić się, czy Horstmann dopełnił wszystkich obowiązków. Byłem w połowie, gdy usłyszałem dzwonek u drzwi. Minutę później zjawił się Fritz, oznajmiając, iż przybył niejaki pan O'Grady i chce się spotkać z panem Wolfe'em. Spojrzałem na wizytówkę - nazwisko nie było mi znajome. Znałem wielu gliniarzy z wydziału zabójstw, ale o O'Gradym nigdy nie słyszałem. Poleciłem Fritzowi poprosić go do środka.

O'Grady był młody i wysportowany - sądząc z jego stroju i sposobu zachowania. Niezbyt dobrze patrzyło mu z oczu - wydawał się podejrzliwy i nieufny. Przeszywał mnie wzrokiem tak, że ktoś stojący z boku mógłby pomyśleć, że ukrywam w kieszeni porwanego syna Charlesa Lindbergha.

- Pan Nero Wolfe? - spytał.

Wskazałem mu krzesło.

- Proszę usiąść. - Spojrzałem na zegarek. - Pan Wolfe zejdzie za dziewiętnaście minut.

Skrzywił się.

- To ważne. Czy mógłby go pan zawołać? Przekazałem moją wizytówkę, jestem z wydziału zabójstw.

- Oczywiście, wiem, wszystko w porządku. Proszę usiąść. Gdybym ośmielił się go zawołać, zlinczowałby mnie.

Usiadł, a ja wróciłem do czytania raportów z hodowli. Gdy tak czekał, przeszło mi ze dwa razy przez myśl, że mógłbym spróbować pociągnąć go za język, choćby dla rozrywki, ale wyraz jego twarzy sprawił, że się powstrzymałem. Był zbyt młody i zbyt serio, nie miałoby to sensu. Przez dziewiętnaście minut siedział bez słowa, jak na kazaniu.

Wstał z krzesła, gdy Wolfe wkroczył do biura. Ten, kierując się statecznie w stronę biurka, rzucił w moją stronę „dzień dobry", polecił otworzyć drugie okno i popatrzył przelotnie na gościa. Usadowiwszy się w swoim fotelu, spojrzał bez zainteresowania na wizytówkę, którą położyłem na

jego biurku, po czym przebiegł wzrokiem pocztę, odginając rogi kopert szybkim ruchem palców, jak bankier przeliczający banknoty. Odsunął plik listów na bok i dopiero wtedy zwrócił się do gliniarza:

- Pan O'Grady?

O'Grady zrobił krok w jego stronę.

- Pan Nero Wolfe?

Wolfe skinął głową.

- Panie Wolfe, proszę o zwrot dokumentów oraz przedmiotów, które zabrał pan wczoraj z mieszkania Carla Maffei.

- Nie! - Wolfe uniósł głowę, by lepiej mu się przyjrzeć. - Co pan powie? To interesujące, panie O'Grady. Proszę spocząć. Podaj panu krzesło, Archie.

- Nie, dziękuję. Mam dużo pracy. Zabiorę jedynie te papiery. I rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Te, które pan zabrał.

- Proszę wymienić.

O'Grady wysunął do przodu podbródek.

- Nie mam czasu na głupie żarty. Śpieszę się.

Wolfe wyciągnął palec w jego stronę.

- Spokojnie, panie O'Grady. - Jego głos był mocny i niezachwiany, rzadko przemawiał takim tonem - użył go wobec mnie tylko raz, przy naszym pierwszym spotkaniu - zapamiętałem go jednak na całe życie. Brzmiało to tak, jakby Wolfe miał za chwilę skrócić cię o głowę, nie ruszając się z miejsca. - Spokojnie. Proszę usiąść. Mówię poważnie.

Przysunąłem gliniarzowi krzesło. Usiadł powoli.

- Teraz chwila darmowej, ale wartościowej nauki - powiedział Wolfe. - Jest pan młody, co może stanowić pewne usprawiedliwienie. Od kiedy wszedłem do tego pokoju, popełnia pan same gafy. Zachowuje się pan nieuprzejmie, co świadczy o złych manierach. Wygłasza pan stwierdzenia sprzeczne z rzeczywistością, co oznacza głupotę. Myli pan swoje podejrzenia z faktami, co świadczy o tym, że cała ta sprawa jest bzdurą. Czy chce pan, abym wyjaśnił, co powinien pan zrobić? Moje intencje są całkowicie bezinteresowne.

- Nie interesują mnie pańskie intencje...

- Dobrze. Oczywiście nie mógł pan wiedzieć, jak absurdalną rzeczą było insynuowanie, że odbyłem, wbrew swoim zwyczajom, daleką podróż do mieszkania Carla Maffei. Nie miał pan świadomości, że nie podjąłbym się takiego wyzwania nawet za cenę katlei *Dowiana aurei*. A już z całą pewnością nie po parę świstków i - jak pan raczył określić - przedmiotów. Archie Goodwin - Wolfe wycelował we mnie palec - nie ma tego rodzaju uprzedzeń, więc to on, a nie ja, się tam

wybrał. Oto, co powinien był pan zrobić. Po pierwsze - odpowiedzieć mi na „dzień dobry". Po drugie - wyrazić swoją prośbę grzecznie, rzeczowo, nie mieszając faktów. Po trzecie - i to jest najbardziej istotne - choćby ze względu na powszechnie przyjętą etykietę - poinformować mnie o tym, że ciało zamordowanego Carla Maffei zostało odnalezione i zidentyfikowane, w związku z czym wspomniane dokumenty mogą być pomocne w odszukaniu mordercy. Czy nie zgodzi się pan ze mną, że ten sposób byłby lepszy, panie O'Grady?

Gliniarz spojrzał zszokowany.

- Skąd, do cholery... - zaczął, po czym przerwał, by za chwilę podjąć temat na nowo. - Więc gazety już o tym piszą... Nie przypuszczałem, o całej sprawie dowiedziałem się sam nie dalej niż dwie godziny temu. Ależ to blef, panie Wolfe.

- Dziękuję. Ja też nie dowiedziałem się o tym z gazet. Ale, biorąc pod uwagę fakt, że zaginięcie brata Marii Maffei nie skłoniło policji do żadnych działań poza dopełnieniem rutynowych czynności oraz czczych spekulacji, można się chyba domyślić, iż dopiero morderstwo mogło spowodować tak wiekopomne odkrycie jak to, że Archie był w mieszkaniu ofiary i zabrał te papiery. Skoro tak, to czy byłby pan tak uprzejmy poinformować mnie, gdzie zostało znalezione ciało?

O'Grady wstał.

- Będzie mógł pan przeczytać o tym wieczorem. Jest pan szaleńcem, panie Wolfe. Teraz poproszę o zwrot dokumentów.

- Oczywiście. - Wolfe nie ruszył się z miejsca. - Proszę jednak o rozważenie mojej propozycji. Wszystko, czego chcę od pana, to by zechciał pan poświęcić mi trzy minuty swego cennego czasu I powierzyć informację, która za parę godzin i tak będzie powszechnie znana. Niewykluczone, że - kto wie? - dziś, jutro, a może w przyszłym roku - w związku z taką lub inną sprawą to ja będę wiedział o kilku drobnych faktach, które - w połączeniu z pańską wiedzą - będą mogły oznaczać dla pana awans, sławę, pieniądze. Poza tym - pozwoli pan, że się powtórzę - robi pan duży błąd, odrzucając ogólnie przyjęte w cywilizowanym świecie normy zachowania. Czy ciało nie zostało przypadkiem odnalezione w Westchester County?

- Do diabła - rzucił O'Grady. - Gdybym pana nie zobaczył na własne oczy i nie wiedział, że musiałby pan dysponować wagonem towarowym, żeby się dostać w tamto miejsce, pewien byłbym, iż to pan jest mordercą. Zgadza się, Westchester County. W zaroślach, sto stóp od polnej drogi, trzy mile za Scarsdale, wczoraj o dwudziestej. Przez dwóch chłopaków urządzających sobie polowanie na ptasie gniazda.

- Zastrzelony?

- Zasztyletowany. Lekarz twierdzi, że nóż tkwił w ciele przez jakiś czas, godzinę lub dwie. Ale narzędzia nie odnaleziono. Kieszenie denata były puste. Miał na sobie ubranie z etykietką

sklepu przy Grand Street. Ta wiadomość oraz rachunek z pralni zostały mi dostarczone dzisiaj o siódmej. Przed dziewiątą znałem już jego nazwisko. Potem sprawdziłem mieszkanie i odbyłem rozmowę z właścicielką oraz pokojówką.

- Wspaniałe - powiedział Wolfe. - Doprawdy genialne.

- Ta dziewczyna - gliniarz zmarszczył czoło - albo coś ukrywa, albo ma tak niepoukładane w głowie, że nie jest w stanie przypomnieć sobie, co jadła dziś na śniadanie. Czym można wytłumaczyć chociażby fakt, że nie pamięta kompletnie nic z rozmowy telefonicznej, którą właścicielka potrafiła przytoczyć słowo w słowo?

Popatrzyłem na Wolfe'a, ale ten nawet nie mrugnął. Powiedział tylko:

- Panna Anna Fiore rzeczywiście nie jest specjalnie rozgarnięta. Więc i pan zauważył, że nie grzeszy zbyt dobrą pamięcią?

- Dobrą? Zapomniała, jak Maffei miał na imię!

- Tak. To szkoda.

Wolfe wysunął się z krzesłem zza biurka, odpychając się od niego obiema rękami. Najwyraźniej miał zamiar wstać.

- Wróćmy do papierów z biurka nieszczęsnego Carla Maffei. Pozostałe rzeczy to jedynie puste pudełko po tytoniu i cztery zdjęcia. Będę musiał poprosić pana o coś. Pozwoli pan, że pan Goodwin wyprowadzi pana na chwilę z pokoju? Takie ekscentryczne dziwactwo. Mam straszną awersję do otwierania swojego sejfu w obecności innych osób. Bez urazy, oczywiście. Byłoby tak samo, a może nawet gorzej, gdyby był pan właścicielem banku, w którym trzymam pieniądze.

Znałem Wolfe'a tak długo, że zwykle potrafiłem za nim nadążyć, ale tym razem naprawdę mnie zatkało. Już otwarłem usta, żeby powiedzieć, że te przedmioty są w szufladzie biurka, gdzie włożyłem je zeszłego wieczoru w jego obecności, ale natrafiwszy na wzrok Wolfe'a, zamknąłem się. Glina zawahał się, ale Wolfe nalegał:

- Ależ panie O'Grady. Wnioskowanie, że mam zamiar coś zataić, jest w tym wypadku bez sensu, bo nawet gdyby tak było, miałoby się to nijak w stosunku do zasobu środków, którymi pan dysponuje, by mi to uniemożliwić. Między profesjonalistami podejrzenia tego typu nie prowadzą do niczego.

Wyprowadziłem glinę z pokoju i zamknąłem drzwi. Podejrzewałem, że Wolfe pokombinuje coś z drzwiczkami do sejfu, żebyśmy mogli usłyszeć, jak je otwiera, ale na wszelki wypadek, gdyby nie Podjął się tego trudu, zająłem O'Grady'ego rozmową. Za moment zostaliśmy poproszeni z powrotem. Wolfe stał po zewnętrznej stronie biurka, trzymając w ręku pudełko po tytoniu oraz kopertę, do Której schowałem wycinki i zdjęcia. Wręczył je gliniarzowi.

- Powodzenia, panie O'Grady. Zapewniam pana i może pan wierzyć memu słowu: jeżeli kiedykolwiek znajdziemy coś, co w naszym przekonaniu będzie mogło mieć dla pana znaczenie

albo panu pomóc, natychmiast się z panem skontaktujemy.

- Będę wielce zobowiązany. O ile to prawda.

- Ależ oczywiście. Ma pan moje słowo.

Glina opuścił biuro. Kiedy usłyszałem trzaśnięcie frontowych drzwi, poszedłem do salonu i wyjrzałem przez okno, by się upewnić, czy wyszedł, po czym wróciłem do biura. Podszedłem do biurka, za które Wolfe wgramolił się w tym czasie ponownie, i uśmiechnąłem promiennie.

- Ale z pana kanalia!

Fałdy z jego policzków uniosły się lekko nad koniuszkami ust - ten ruch oznaczał, że zdaje mu się, iż się uśmiecha.

- Co pan zwinął?

Wyjął z kieszeni kamizelki kawałek papieru, długi na dwa cale oraz szeroki na pół i mi go podał. Był to jeden z wycinków, które znalazłem w biurku Carla Maffei. Niesamowite, że Wolfe w ogóle zwrócił uwagę na jego istnienie, biorąc pod uwagę, że zeszłego wieczoru ledwo raczył spojrzeć na całość. A jednak zadał sobie kłopot, żeby wyprosić O'Grady'ego z pokoju i zatrzymać świstek o treści:

SPECJALISTA OD OBRÓBKI METALU, ekspert w dziedzinie projektowania i wykonawstwa, pragnący wrócić na stałe do Europy. Atrakcyjna oferta. Times L467 Downtown.

Przebiegłem wzrokiem ogłoszenie raz i drugi, nie znalazłem w nim jednak nic więcej ponad to, co poprzedniego dnia w mieszkaniu ofiary.

- Dobrze - powiedziałem. - Jeżeli próbuje pan sugerować, że to dokądś prowadzi, mogę wybrać się z powrotem na Sullivan Street i zedrzeć te naklejki z kuferka Anny. Ale tak między nami, zakładając nawet, że jest pan na dobrym tropie - jak, do licha, pan do tego doszedł? Niech mi pan nie opowiada, że potrafi przeczytać tekst bez użycia wzroku, bo w to za cholerę nie uwierzę...

Nagle przerwałem. No jasne. Wyszczerzyłem się do niego.

- Przeczytał pan to w czasie, gdy odwoziłem Annę wczoraj wieczór do domu.

Nie odpowiadał do chwili, aż rozsiadł się ponownie wygodnie w swoim fotelu i wtedy mruknął z sarkazmem:

- Brawo, Archie!

- W porządku - powiedziałem, siadając naprzeciw niego. - Czy mogę zadać panu kilka pytań? Są trzy rzeczy, które chciałbym wiedzieć. Czy może raczej mam już sobie iść i zabrać się za odrabianie lekcji?

Byłem oczywiście trochę rozgoryczony. Zawsze tak było, kiedy na moich oczach kończył pakować elegancki prezent, a ja nawet nie miałem pojęcia, co jest w środku.

- Żadnych lekcji - powiedział. - Weźmiesz samochód i pojedziesz - z rozsądną prędkością - do White Plains. Jeżeli twoje pytania są krótkie...

- Krótkie, ale jeżeli jest coś, co mogę zrobić, poczekają. Skoro do White Plains, to - jak sądzę - mam rzucić okiem na dziurę w ciele Carla Maffei i na parę innych rzeczy, które wydadzą mi się zupełnie nieistotne.

- Nie. Niech to diabli, Archie, przestań spekulować głośno w mojej obecności. Jeżeli już będziesz musiał zostać drugim O'Gradym, niech przynajmniej stanie się to jak najpóźniej.

- O'Grady odwalił dziś rano niezłą robotę.

- Kompletny osioł. - Wolfe pokręcił głową z dezaprobatą. - Jak brzmią twoje pytania?

- Mogą poczekać. Co takiego szczególnego jest w White Plains, jeżeli nie Maffei?

Wolfe obdarzył mnie substytutem uśmiechu - trwającym jak na niego całkiem długo - po czym powiedział:

- Możliwość zarobienia gotówki. Czy - bez zaglądania do ksiąg - nazwisko Fletcher M. Anderson coś ci mówi?

- Tak się składa - parsknąłem. - Tym razem niech pan sobie daruje brawa. Tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy. Asystent prokuratora okręgowego w sprawie Goldsmitha. Rok później zostaje przeniesiony - obecnie prokurator okręgowy Westchester County. Przyznałby się, że jest panu coś winien jedynie na ucho i przy zamkniętych drzwiach. Ożeniony z pieniędzmi.

Wolfe przytaknął.

- Nieźle. Należą ci się brawa, Archie, ale nie chwalmy dnia przed zachodem słońca. W White Plains spotkasz się z Andersonem i przedstawisz mu prowokującą, a być może i lukratywną, propozycję do ewentualnego rozważenia. Czekam na wiadomość od pewnego informatora, który powinien zjawić się lada moment. - Zatoczył dłonią spory okrąg, by sięgnąć do kieszeni kamizelki po platynowy zegarek. - Jak widzę, sprzedawcy sprzętu sportowego nie są bardziej punktualni, niż można się tego po nich spodziewać. Dzwoniłem o dziewiątej. Przesyłka miała być dostarczona najpóźniej o jedenastej. Jest jedenasta czterdzieści. Szkoda, że tego nie przewidziałem. Byłoby rozsądniej uniknąć niepotrzebnych opóźnień, posyłając w tym celu ciebie. O!

To był dzwonek. Fritz poszedł otworzyć. Za chwilę z korytarza dobiegł obcy głos, słowa Fritza i odpowiedź. Wkrótce odgłos ciężkich stóp zagłuszył pytania Fritza i w progu pojawił się młody mężczyzna o wyglądzie futbolisty, dźwigający na plecach ogromny pakunek, długi na trzy stopy i szeroki jak Wolfe we własnej osobie. Oddychając ciężko, gość oznajmił:

- Przesyłka z Corliss Holmes.

Na polecenie Wolfe'a zaoferowałem przybyszowi pomoc. Położyliśmy pakunek na ziemi. Młody człowiek uklęknął i jął rozwiązywać sznurek, ale trwało to tak długo, że w końcu zniecierpliwiony sięgnąłem do kieszeni po nóż. Z fotela dobiegł mruk Wolfe'a:

- Nie, Archie, dobry węzeł nie zasługuje na takie traktowanie.

Schowałem nóż z powrotem do kieszeni. W końcu sprzedawca poluzował węzeł i sznur

puścił. Pomogłem mu odwinąć pakunek. Wstałem, by przyjrzeć się lepiej przesyłce. Spojrzałem na Wolfe'a i ponownie na wznoszący się na podłodze stos. To były kije golfowe, chyba ze sto sztuk - wystarczająco dużo, by zabić milion węży. Tak pomyślałem, gdyż nie wiedziałem, do czego innego mogłyby się nam przydać.

- Trochę sportu dobrze panu zrobi - powiedziałem do Wolfe'a.

Nie ruszając się z miejsca, Wolfe nakazał ułożyć wszystko na biurku. Wraz z dostawcą podnieśliśmy wspólnymi siłami tobół. Zacząłem układać kije rzędem - były wśród nich długie i krótkie, ciężkie i lekkie, żelazne, drewniane, stalowe, chromowane, do wyboru, do koloru. Wolfe oglądał je po kolei i po obejrzeniu mniej więcej tuzina, powiedział:

- Te z żelazną końcówką odpadają. Zabierzcie je. Zostawcie tylko te z drewnianym wykończeniem.

Zwrócił się do sprzedawcy:

- Czy ta część się nazywa: „wykończenie"?

Młody człowiek spojrzał ze zdziwieniem i pewnego rodzaju wyższością.

- To się nazywa „główka".

- Proszę wybaczyć. Jak brzmi pana nazwisko?

- Moje? Townsend.

- Proszę wybaczyć, panie Townsend. Widziałem kije golfowe raz, na wystawie sklepu, przez okno samochodu, gdy kiedyś złapałem gumę. Ale nie miały na końcach napisanej nazwy „główka". A czym one właściwie się od siebie różnią?

- Czym się różnią? Wszystkim. Każdy z nich jest zupełnie inny.

- Oczywiście, oczywiście. Główki zwykłe drewniane oraz zdobione, wyłożone kością słoniową. Skoro to jest główka, to ta jej część, jak mniemam, nazywa się lico?

- Tak, oczywiście. To jest lico.

- Oczywiście. A do czego służą te rowki? Każda rzecz w życiu musi bądź co bądź czemuś służyć, nie licząc hodowli storczyków.

- Do czego służą?

- No, tak. Do czego?

- No... - Młody człowiek zawahał się. - Oczywiście służą do lepszego wybicia. To znaczy wybicia piłki, tą częścią uderza się piłkę.

- Rozumiem. To mi wystarczy. Wspaniale. Mamy uchwyty drewniane, eleganckie i delikatne oraz stalowe - przypuszczam, że stalowe uchwyty są wydrążone w środku?

- Żłobione stalowe shafty, tak proszę pana. Kwestia gustu. To jest driver. Ten drugi to brassie. „Brass" czyli mosiądz. Widzi pan na spodzie mosiądz? To właśnie brassie.

- Trafna uwaga - mruknął Wolfe. - To, jak sądzę, wystarczy. Lekcja skończona. Wie pan,

panie Townsend, dobrze się składa, że dzięki wrodzonym predyspozycjom oraz różnym okolicznościom, które nas spotykają, mamy okazję dać czasem ujście miłości własnej. Moja ignorancja w dziedzinie tej całej nomenklatury schlebia panu, zaś pańska nieznajomość kwestii elementarnych procesów myślowych - mnie. Wracając do celu pańskiej wizyty - nie kupuję nic, gdyż te przedmioty pozostaną dla mnie kompletnie bezużyteczne. Proszę je poskładać i zabrać z powrotem. Załóżmy jednak, że kupię trzy z nich, a zysk z każdego wynosi dolara. Trzy dolary. Czy taka kwota będzie wystarczająca?

Facet uniósł się ambicją, jeżeli nie własną, to przynajmniej firmy Corliss Holmes.

- Nie musi pan nic kupować. Nie ma takiej konieczności.

- Nie ma, ale ja jeszcze nie skończyłem. Chciałem poprosić pana o przysługę. Czy może pan wziąć do ręki jeden z tych kijów - o, ten, stanąć tu, obok fotela, i wykonać nim wymach, tak jak to robią profesjonaliści?

- Wymach?

- Tak. Wymach, zamach, uderzenie, cios, czy jak to się tam nazywa. Proszę sobie wyobrazić, że uderza pan piłkę.

Tym razem gość nie potrafił jednak powstrzymać się przed okazaniem pewnego rodzaju wyższości. Wziął od Wolfe'a kij, odszedł kilka kroków od biurka, odsunął krzesło, rozejrzał się, uniósł kij w górę, powyżej ramienia, opuścił w dół, po czym wykonał zamach, czemu towarzyszył przeraźliwy świst.

Wolfe wzdrygnął się.

- Nieposkromiona furia - mruknął. - Jeszcze raz, wolniej.

Mężczyzna spełnił prośbę.

- Jeżeli to możliwe, panie Townsend, jeszcze trochę wolniej.

Tym razem mężczyzna wykonał ruch w zwolnionym tempie, karykaturalny, podszyty szyderstwem, ale Wolfe wpatrywał się w niego z gorliwą uwagą i fascynacją.

W końcu powiedział:

- Rewelacyjnie. Tysięczne dzięki, panie Townsend. Archie, zapłać panu trzy dolary. Pośpiesz się trochę, jeżeli możesz. Wyprawa, o której wspomniałem, jest pilna, a wręcz niecierpiąca zwłoki.

Po tych wszystkich tygodniach przestoju prośba Wolfe'a o pośpiech sprawiła, że moje serce zabiło szybciej. Wraz z młodym człowiekiem spakowaliśmy wszystko z powrotem w ciągu sekundy. Odprowadziłem go do wyjścia i wróciłem do biura. Wolfe siedział z ustami zwiniętymi tak, jakby gwizdał, ale nie wydobywał się z nich żaden wyraźny dźwięk - słychać było jedynie, jak przechodzi przez nie powietrze, powodując rytmiczne unoszenie i opadanie klatki piersiowej. Czasami, gdy znalazłem się bliżej niego, próbowałem usłyszeć melodię, którą wyobrażał sobie, że

wykonuje, ale bez skutku.

Gdy wszedłem, przerwał i powiedział do mnie:

- To zajmie jedynie minutę, Archie. Siadaj i wyjmij notatnik.

Rozdział 4

Kiedy prowadzę, nie widzę wiele więcej prócz drogi przed sobą, gdyż dysponuję tym rodzajem umysłu, który zanim nie skończy jednej roboty, nie zabiera się za kolejną. Tego dnia dociskałem ostro pedał gazu i choć z powodu wzmożonego ruchu zajęło mi sporo czasu przedostanie się do Woodlawn, to już stamtąd do White Plains dojechałem w dwadzieścia jeden minut. Ale dzięki posiadaniu wspomnianej cechy zdążyłem nacieszyć oczy. Na większości drzew rosnących wzdłuż alei kwitły kwiaty, świeże liście powiewały swobodnie na wietrze jak w tańcu, trawa lśniła soczystą zielenią (pomyślałem sobie, że nie ma na świecie dywanu w cenie poniżej tysiąca dolarów, po którym chodziłoby się z większą przyjemnością).

Pośpiech nie na wiele się zdał. Gdy dotarłem do sądu, wszystko zaczęło iść jak po grudzie. Anderson był nieobecny i miało go nie być do poniedziałku - przez cztery dni. Wyjechał do Adirondacks, jak mi powiedziano (nie miałbym nic przeciw temu, by wcisnąć pedał gazu i pognać do Lake Placid, ale nie zgodzili się dać mi adresu). Jego prawa ręka, Derwin, o którym nigdy do tej pory nie słyszałem, wyszedł na lancz i miało go nie być jeszcze przez pół godziny. Nikt z obecnych nie miał najmniejszej ochoty udzielić mi żadnych dodatkowych informacji.

Wyszedłem i zatelefonowałem do Wolfe'a. Kazał mi czekać na Derwina i spróbować wyciągnąć coś od niego. W porządku, pomyślałem, nie mam nic przeciwko zjedzeniu kilku kanapek i szklance mleka, zanim ten się pojawi. Kiedy wróciłem do biura, Derwin już był, ale musiałem czekać kolejne dwadzieścia minut - niezbędnych, jak sądzę, do dłubania w zębach, gdyż nie miał nic do roboty, bo sąd był wymarły.

Jak się dobrze zastanowić, często dochodzę do wniosku - choć być może to zabrzmi głupio - że wszyscy prawnicy są tacy sami. Mają w spojrzeniu specyficzną mieszankę strachu i zadowolenia z siebie - jak gdyby znaleźli się na ruchliwej ulicy i przeczuwali, że za chwilę zostaną rozjechani przez ciężarówkę, ale mieli satysfakcję z posiadania wiedzy, jaki papier wręczyć kierowcy, który ich zabije, i trzymali ten właśnie dokument w swojej kieszeni. Derwin był właśnie takim typem. Naturalnie wyglądał wielce szacownie - dobrze ubrany, dobrze odżywiony, około czterdziestki - raczej poniżej niż powyżej, z ciemnymi, gładko zaczesanymi włosami i twarzą o wyrazie gościa zadowolonego z życia. Położyłem kapelusz na skraju jego biurka i, usiadłszy, powiedziałem:

- Szkoda, że nie zastałem pana Andersona. Nie wiem, czy będzie pan zainteresowany tym, z czym przychodzę, ale jestem pewien, że on by był.

Derwin odchylił się na krześle z dyplomatycznym uśmiechem.

- Jeżeli to leży w interesie naszej firmy, z pewnością ja także jestem, panie Goodwin.

- Leży, z całą pewnością. Mamy niestety to nieszczęście, że pan nie zna mojego pracodawcy, Nero Wolfe'a, którego zna pan Anderson.

- Nero Wolfe? - Derwin zmarszczył z wysiłkiem czoło. - Słyszałem o nim. Prywatny detektyw, to o niego oczywiście chodzi. Jesteśmy w White Plains. Prowincja zaczyna się nieco dalej na północ.

- Zgadza się. Nie nazwałbym osobiście Nero Wolfe'a prywatnym detektywem - w wyjaśnieniu dodam, że z pewnych względów ten termin kojarzy mi się z bardziej aktywną profesją. Ale to właśnie człowiek, dla którego pracuję.

- Ma pan do przekazania wiadomość od niego?

- Tak, proszę pana. Jak powiedziałem, jest przeznaczona dla pana Andersona, ale tak się składa, że telefonowałem do mego pracodawcy pół godziny temu i polecił mi przekazać ją panu. Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, gdyż z tego, co wiem, pan Anderson jest posiadaczem niezłej fortuny, a tej wiedzy nie mam o panu. Być może jest pan w takiej sytuacji jak ja, to znaczy ledwie wiąże koniec z końcem.

Derwin roześmiał się nieszczerze, by za chwilę nadać swojej twarzy poważny wyraz człowieka interesu.

- Niewykluczone. Jednak - choć, być może, nie jestem w tym momencie nad wyraz zajęty - wolałbym przejść do konkretów.

- Dobrze więc. Sprawa przedstawia się tak. Zeszłej niedzieli, cztery dni temu, niejaki Peter Oliver Barstow, rektor Holland College, umarł nagle podczas gry w golfa na polu Green Meadow Club znajdującym się w okolicy Pleasantville. Słyszał pan o tym?

- Oczywiście. To wielka strata dla środowiska naukowego, można powiedzieć - wielka strata dla całego kraju. Oczywiście, słyszałem.

Przytaknąłem.

- Pogrzeb odbył się we wtorek, na cmentarzu w Agawalk. Pan Nero Wolfe chciałby założyć się z panem - a raczej z pana przełożonym, ale zgodził się na zastępstwo - że jeżeli ciało zostanie ekshumowane, sekcja zwłok wykaże otrucie. Jest gotów wyłożyć dziesięć tysięcy dolarów i wystawić czek na tę kwotę na dowolną osobę, którą pan wskaże.

Uśmiechnąłem się szeroko w odpowiedzi na wyraz jego twarzy. Utkwił we mnie wzrok na dłuższą chwilę, po czym stwierdził:

- Nero Wolfe jest szaleńcem.

- Co to, to nie - odpowiedziałem. - O to akurat bym się nie zakładał. To jeszcze nie wszystko na temat propozycji pana Wolfe'a. Ciąg dalszy wygląda następująco: w brzuchu Barstowa, najpewniej trochę poniżej żołądka, cal do trzech cali pod skórą, tkwi krótka, ostra, cienka igła, prawdopodobnie wykonana ze stali, ale niewykluczone, że z bardzo twardego drewna. Jest skierowana w górę pod kątem mniej więcej czterdziestu stopni, o ile nie natrafiła na kość.

Derwin utkwił we mnie spłoszony wzrok. Kiedy skończyłem, spróbował znów się

uśmiechnąć, ale tym razem poszło mu jeszcze gorzej.

- W życiu nie słyszałem większego steku bzdur - powiedział. - Mam nadzieję, że wie pan, w co się bawi, chyba że jest pan równie szalony jak pana pracodawca.

- Zgadza się, wiem. - Sięgnąłem do kieszeni po czek. - Nie znam wielu ludzi, którzy ryzykowaliby dziesięć tysięcy dolców w imieniu steku bzdur i może pan mi wierzyć, że Nero Wolfe do nich nie należy. Peter Oliver Barstow został zamordowany i w jego ciele tkwi wspomniana igła. Mówię to ja, mówi to Nero Wolfe i mówi to te dziesięć tysięcy. To nie najgorsze świadectwo, panie Derwin.

Prawnik utracił nieco ze swojego wyglądu szczerego i zadowolonego z życia faceta. Podniósł się z krzesła i za chwilę znowu usiadł. Czekałem.

- To niedorzeczność - wymamrotał. - Kompletna niedorzeczność.

- Wolfe nie chce zakładać się o niedorzeczność. Chce się założyć, że to prawda.

- Ale to nie może być. To zwykła niedorzeczność i... i koszmar. Nie wiem, w co pan gra, ale trafił pan na niewłaściwego człowieka. Tak się składa, że znam rodzinę Barstowa i jestem zaznajomiony z faktami. Nie mam zamiaru się z nich rozliczać przed panem. To nonsens. Czy pan wie, kto wydawał świadectwo zgonu? Nie sądzę...

- Oczywiście - wtrąciłem. - Doktor Nathaniel Bradford. Zakrzep tętnicy wieńcowej. Ale nawet jeżeli wszyscy lekarze świata tak dobrzy jak ten orzekliby zakrzep tętnicy, oferta Nero Wolfe'a byłaby wciąż aktualna.

Zauważyłem zmianę zachodzącą w wyrazie twarzy Derwina. Opanował pierwszy szok i zdawało się, że zaczyna myśleć trzeźwo. Powiedział zdecydowanym głosem:

- O co chodzi w tej całej zabawie?

- Nie chodzi o zabawę. Chyba że nazwać tak możliwość przejęcia dziesięciu tysięcy baksów.

- Proszę pokazać czek.

Wręczyłem mu czek. Przyjrzał mu się uważnie, po czym sięgnął po telefon stojący na biurku, podniósł słuchawkę i za chwilę polecił komuś:

- Pani Ritter, proszę mnie połączyć z oddziałem Metropolitan Trust Company przy Trzydziestej Czwartej.

Usiadł i spojrzał raz jeszcze na czek, a ja założyłem ramiona na piersi i cierpliwie czekałem. Kiedy telefon zadzwonił, podniósł ponownie słuchawkę i zaczął zadawać pytania, mnóstwo pytań, oczywiście musiał się upewnić, czy nie popełnia błędu. Kiedy skończył, powiedziałem grzecznie:

- Tak więc ruszyliśmy z miejsca. Teraz już pan wie, że te pieniądze nie są wymyślone.

Nie zwrócił uwagi na moje słowa, tylko siedział ze zmarszczonym czołem, analizując czek. W końcu zapytał zduszonym głosem:

- Czy na pewno jest pan upoważniony do realizacji tego czeku?

- Tak, proszę pana. Jest wystawiony na moje nazwisko i uwierzytelniony. Mogę podpisać go w każdej chwili. Jeżeli chce pan zatelefonować do Wolfe'a, proszę wybrać numer 92828. Żeby uniknąć wszelkich nieporozumień, sugeruję, by użył pan stenografii dla upamiętnienia szczegółów rozmowy. Powinienem dodać, że Wolfe nie ma zamiaru składać żadnych wyjaśnień, sugestii, dawać wskazówek ani wdawać się w dyskusje na temat tej sprawy. Chodzi o zakład, to wszystko.

- Zakład, do diabła. Jaki zakład? Kto niby miałby się z panem założyć, okręg Westchester County?

Uśmiechnąłem się.

- Liczyliśmy na pana Andersona, ale wszak nie jest niezastąpiony. To może być każdy, Wolfe nie dba o to, kto - szef policji, redaktor gazety czy wpływowy polityk z silnym poczuciem obywatelskiego obowiązku. Byle dysponował dziesięcioma tysiącami.

- Jasne.

- Otóż to, jasne. Moje zadanie polega na tym, by przed zachodem słońca zabezpieczyć tę forsę.

Derwin wstał, odsuwając gwałtownie krzesło.

- Ta! Zakład? Bzdura!

- Tak pan uważa? Proszę mnie sprawdzić.

Najwyraźniej coś postanowił, gdyż po moich słowach skierował się do drzwi. Przed wyjściem odwrócił się i powiedział:

- Czy może poczekać pan dziesięć minut? Sądzę, że tak, biorąc pod uwagę, że mam w kieszeni pana czek.

Czek nie był podpisany. Derwin wyszedł, zanim zdążyłem wykonać jakikolwiek ruch. Jedyne, co mi pozostało, to czekać. Nie wiedziałem tak naprawdę, jak sprawy się miały. Czyżbym coś przegapił? - zastanawiałem się. Może powinienem powstrzymać się z ostatnią uwagą i tak go nie popędzać? Ale jak inaczej miałem zmusić go do działania? I, ostatecznie, czy trzeciorzędny urzędas mógł mieć na tyle możliwości i charakteru, żeby podjąć się takiej sprawy pod nieobecność przełożonego? Wolfe'owi zależało na pośpiechu. Oczywiście nie chodziło mu o zakład - liczył nań nie bardziej niż ja na to, że podaruje mi te dziesięć tysięcy baksów na urodziny. Zależało mu na przeprowadzeniu autopsji. Zrozumiałem w tym momencie, w jaki sposób Wolfe do tego wszystkiego doszedł, ale jak powiązał tę sprawę z Carlem Maffei? Dałem sobie spokój i wróciłem do swojej roboty. Co będzie, jeżeli Derwin odpuścił i zrobił ze mnie głupca? Między czwartą a szóstą byłem zdany na siebie. Nie odważyłbym się przeszkodzić Wolfe'owi telefonem w czasie, gdy ten siedział na górze przy tych swoich cholernych roślinach. Była za dziesięć trzecia. Derwin wyszedł dziesięć minut wcześniej. Zacząłem się czuć nieswojo. Co, jeśli zostawił mnie tu

siedzącego z założonymi rękami na całe popołudnie, a sam zniknął, nie wiadomo gdzie, z moim czekiem w kieszeni? Jeżeli dałem się tak podejść jakiemuś trzeciorzędnemu karierowiczowi, nigdy nie będę mógł spojrzeć Wolfe'owi prosto w tę jego wielką, nalaną gębę. Nie powinienem był spuszczać gościa z oczu, a już na pewno pozwolić mu wychodzić z czekiem. Zerwałem się z krzesła i skierowałem szybkim krokiem do wyjścia, ale przy drzwiach zatrzymałem się i wziąłem głęboki oddech. Powoli przekręciłem klamkę i, uchyliwszy drzwi, wystawiłem głowę. Na zewnątrz był niewielki korytarz, prowadzący do pomieszczenia, z którego dobiegł mnie głos dziewczyny rozmawiającej przez telefon.

- Nie, proszę pani, osobiście. Tylko pan Anderson.

Poczekałem, aż skończy, po czym podszedłem do jej biurka.

- Czy sprawiłoby pani duży kłopot poinformowanie mnie, dokąd udał się pan Derwin?

Spojrzała na mnie przeciągle. Ale zaraz odpowiedziała krótko:

- Jest w pokoju pana Andersona. Rozmawia przez telefon.

- Nie zmyśliła pani tego ot, tak sobie, dla podtrzymania formy?

- Jestem w wystarczająco dobrej formie, dziękuję.

- Oczywiście. Czy będzie miała pani coś przeciwko, gdy zajmę jedno z tych krzeseł? Bardzo niemiło tak siedzieć samemu.

Zająłem miejsce parę kroków od drzwi wejściowych, ale nie zdążyłem jeszcze wygodnie usiąść, gdy te otwarły się i ukazał się w nich krępy mężczyzna o wyglądzie kogoś wielce zapracowanego, ubrany w błękitny garnitur, czarne buty i słomiany kapelusz. Skierował się prosto w stronę dziewczyny. Z miejsca, w którym się znajdowałem - za jego plecami - nietrudno było dostrzec, że facet ma przy sobie broń. Dziewczyna powitała go:

- Się pan ma, panie Cook. Pan Derwin jest w gabinecie pana Andersona.

Kiedy mężczyzna zniknął za drugimi drzwiami, zwróciłem się do niej:

- Czy to przypadkiem nie Ben Cook?

Skinęła głową, nie spojrzawszy w moją stronę. Uśmiechnąłem się, usiadłem i czekałem na rozwój wypadków.

Nie minęło piętnaście minut, gdy drzwi gabinetu Andersona otworzyły się ponownie i pojawił się w nich Derwin, zapraszając mnie do środka.

- Proszę wejść, panie Goodwin.

Wszedłem. Gdy znalazłem się w gabinecie i zobaczyłem przygotowania, jakie zdążyli poczynić, by mnie wystawić, nie mogłem się nie roześmiać. Ben Cook siedział na krześle ustawionym przy biurku obok drugiego, należącego oczywiście do Derwina. Trzecie - przeznaczone dla mnie - stało po drugiej stronie biurka, pod światło, dokładnie naprzeciw.

- Śmieszne, co? - mruknął krępy.

Derwin odczekał, aż ten usadowił się z powrotem, by poinformować mnie:

- Oto szef policji.

Zamrugałem, udając, że razi mnie światło.

- Niemożliwe - zadrwiłem. - Myśli pan, że sława Bena Cooka kończy się w Bronx Park?

Derwin spojrzał na mnie ponurym wzrokiem. Boże, to było naprawdę zabawne. Posunął się nawet do tego, że wyciągnął palec w moim kierunku.

- Goodwin, tak się składa, że ciężko pracowałem przez ostatnie pół godziny i teraz mam zamiar poinformować cię, co następuje. Powiesz nam wszystko, co wiesz, o ile wiesz cokolwiek, zanim przybędzie Wolfe. Podasz powody, dla których...

Nie znoszę przerywać takich scenek jak ta, ale nie wytrzymałem. Wyrwało mi się:

- Zanim przybędzie Wolfe? Tutaj?

- Oczywiście, tutaj. O ile potrafi poprawnie rozumować. Za chwilę wykonam do niego telefon.

Nie roześmiałem się. Powiedziałem tylko:

- Proszę posłuchać, panie Derwin. Ma pan dziś wyjątkowo zły dzień. Nigdy dotąd nie stracił pan takiej okazji jak ta, pomimo tysiąca parszywych spraw, w których maczał pan swoje paluchy. Prawdopodobieństwo, że Nero Wolfe stawi się w tym miejscu, jest równe temu, że powiem panu, kto zamordował Barstowa.

- Tak? - rzucił Ben Cook. - Powiesz nam mnóstwo rzeczy. Całe mnóstwo.

- Być może. Ale nie powiem, kto zabił Barstowa, bo sam tego nie wiem. - A jeżeli chcecie spytać mnie o drogę...

- Skończmy z tym. - Derwin był coraz bardziej wkurzony. - Goodwin, wysunąłeś całe mnóstwo poważnych oskarżeń o wybitnie kryminalnym charakterze. Nie będę udawał, że zadam ci wiele pytań, ponieważ jest oczywiste, że nie ma ku temu najmniejszych podstaw. Chcę wiedzieć tylko jedno i oczekuję natychmiastowej, pełnej odpowiedzi. Z jakiego powodu i w jakim celu twój pracodawca cię tu dzisiaj przysłał?

Westchnąłem i powiedziałem poważnym tonem:

- Powiedziałem już - chodziło o zakład.

- Dobrze, baw się tak dalej, jeżeli widzisz w tym sens. Ale nie wymigasz się tak łatwo - doskonale, cholera, zdajesz sobie z tego sprawę. Posłuchajmy więc, co masz do powiedzenia. Gadaj.

Ben Cook dodał:

- I nie staraj się być zbyt dowcipny. Zdziwiłbyś się, jak traktujemy tutaj dowcipnisiów.

Myślę, że mógłbym brnąć w uprzedniej stylistyce cały wieczór, gdybym tylko miał na to ochotę, ale liczył się czas, poza tym poczułem się urażony.

- Posłuchajcie przez chwilę, panowie. Jesteście zdenerwowani - to się niedobrze składa, ale nic nie poradzę. Przypuśćmy, że powiem wam, żebyście poszli do diabła, a potem wstanę i wyjdę. Co wtedy zrobicie? Tak, szefie, wiem, że stąd blisko na posterunek, ale ani mi się śni udawać się w tamtym kierunku. Szczerze mówiąc, zachowujecie się jak para kretynów. Dziwię się panu, panie Derwin. Nero Wolfe prowadzi pana po sznurku na trop wielkiej sprawy, a pierwszą rzeczą, jaką pan robi, jest wyśpiewanie wszystkiego Benowi Cookowi, a drugą zmuszenie mnie, żebym odebrał ją wam obydwu i rzucił na pastwę sępów. Nie macie na mnie nic, nie dam się wrobić. Nero Wolfe oszaleje ze szczęścia, mogąc wytoczyć proces o bezpodstawne aresztowanie, a ja nigdy nie odwiedzam posterunków policji dla przyjemności (nie licząc wizyt u przyjaciół), o ile nie zobaczę nakazu. Pomyślcie tylko, jaka przednia będzie zabawa, gdy cała ta historia wpadnie w łapy pismaków, a potem okaże się, że Barstow faktycznie został zamordowany. Nie ukrywam, że powoli zaczyna mnie to wszystko irytować. Jestem o krok od tego, by zażądać z powrotem swojego czeku i opuścić panów. Zrozumcie: nie powiem wam nic. Czy dotarło to do was? A teraz oddajcie mi czek albo udajcie się po rozum do głowy.

Derwin usiadł z rękami założonymi na piersi i spojrzał na mnie, nie próbując nawet się odezwać. Ben Cook rzucił:

- A więc masz zamiar ruszyć w teren i przekazać to, co wiesz, padalcom. Synu, żeby cię aresztować w dowolnej chwili, nie potrzebuję żadnego innego powodu prócz własnego widzimisię. To mi w zupełności wystarczy.

- Nie przesadzaj z serdecznością - odparłem. - Derwin sprzedał ci bombę, którą mógł sam odpalić, i doskonale o tym wiesz.

Zwróciłem się do Derwina:

- Dzwoniłeś do Nowego Jorku. Do kogo? Do centrali?

- Nie. Do prokuratora okręgowego.

- Rozmawiałeś z nim?

Derwin rozłożył ręce, oparł się mocniej o tył krzesła i spojrzał bezradnie.

- Rozmawiałem z Morleyem.

Pokiwałem głową.

- Dick Morley. Co powiedział?

- Powiedział, że jeśli Nero Wolfe będzie chciał postawić na coś jeszcze dziesięć tysięcy, on chętnie da tysiąc - nikt inny nie zaoferuje dziesięciu do jednego.

Byłem zbyt rozdrażniony, żeby zdołało mnie to ubawić. Rzuciłem:

- I wciąż trzymacie mnie tu na rozmowie przy herbatce, zamiast chwycić za łopatę i pędzić na cmentarz Agawalk. Powtarzam: nie powiem wam nic i Nero Wolfe też nic wam nie powie, ale i tak wiecie już wystarczająco dużo, żeby bez wahania wziąć się do roboty.

Derwin otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i odchrząknął dwukrotnie.

- Goodwin - wyjaśnił - będę z tobą szczery. Tracę grunt pod nogami. Rzecz nie nadaje się do wiadomości publicznej, ale to fakt. Po prostu tracę grunt. Dobry Boże, czy wiesz, co oznacza... ekshumacja i sekcja zwłok Petera Olivera Barstowa?

- Przesada - skomentowałem. - Wystarczy przeprosić kilka osób.

- No, dobrze, być może nie jestem szczególnie dobry w przeprosinach. Poza tym znam tę rodzinę. Nie mogę tego zrobić. Telefonowałem do Lake Placid, do Andersona, ale jest nieosiągalny. Będzie przed szóstą, przed siódmą na sto procent. Może wsiąść w sypialny i zjawić się tu jutro rano. Tylko on może podjąć decyzję.

- To opóźnia sprawę o cały dzień - powiedziałem.

- Tak. Nie ma rady. Nie mogę sam tego zrobić.

- Dobrze. - Wstałem. - Pójdę zatelefonować do Wolfe'a i spytam, czy może tak długo czekać. Jeśli się zgodzi, będę się trzymał z dala od padalców. Chyba mogę poprosić już o zwrot czeku?

Derwin sięgnął do kieszeni po czek i mi go wręczył.

Wyszczerzyłem się w uśmiechu do Bena Cooka.

- Podrzucić pana na komisariat, szefie?

- Spadaj, synu, spadaj.

Rozdział 5

Nieoczekiwanie tego wieczoru Wolfe był radosny jak skowronek. Dotarłem do domu na kolację. Aż do końca posiłku nie dał mi wspomnieć słowem na temat White Plains. Zresztą i tak wymiana myśli była niemożliwa, gdyż słuchał radia na cały regulator. Lubi! powtarzać, że nastały wspaniałe czasy dla domatorów - dawniej człowiek o takich upodobaniach mógł co prawda rozkoszować się niezwykłymi sprawami minionych wieków, siedząc w fotelu z Gibbonem, Rankem, Tacytem czy Greene'em w dłoni, jednak kiedy chciał zmierzyć się ze współczesnością, zmuszony był wyruszać w drogę, podczas gdy dziś, gdy zmęczą go sprawy Galby czy Vitelliusa, wystarczy przekręcić gałkę radia i rozsiąść się wygodnie w fotelu.

Programem, który Wolfe rzadko opuszczał, byli *Weseli chłopcy.* Nie miałem pojęcia dlaczego. Siadał z palcami splecionymi na brzuchu, przymykał oczy i wydymał usta, jakby miał zamiar splunąć. Zazwyczaj udawałem się w takich chwilach na spacer, ale oczywiście tylko wtedy, gdy program nie zbiegał się w czasie z kolacją. Sam także mam swoje ulubione programy, ale akurat *Weseli chłopcy* zawsze wydawali mi się cholernie prymitywni.

Gdy po kolacji znaleźliśmy się w biurze, relacja z wyprawy nie zajęła mi zbyt dużo czasu. Nienawidziłem przepraszać Wolfe'a, gdyż zawsze wtedy stawał się nad wyraz miły. Zawsze przyjmował za pewnik, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy i jeśli cokolwiek poszło nie tak, to jedynie wina nieprzychylnych okoliczności. Nie czynił żadnych uwag i w ogóle nie wyglądał na zbytnio zainteresowanego ani przeprosinami, ani samym raportem. Próbowałem go skłonić, żeby coś powiedział, choćby tyle, czy naprawdę wierzył w coś tak szalonego, jak nabranie prokuratora okręgowego na zakład o dziesięć tysięcy dolców, ale on wciąż tylko uprzejmie milczał. Spytałem, czy uważał, że istniało jakiekolwiek prawdopodobieństwo, aby skłonić Derwina do wszczęcia akcji na cmentarzu jeszcze tego popołudnia. Odpowiedział, że nie sądzi.

- Ogórek nie śpiewa. - Siedział przy biurku, studiując przez szkło powiększające *Cymbidium Alexanderi,* której łodyżka z powodu zaniedbań Horstmanna zaczynała więdnąć. - Do tego potrzeba odrobiny wyobraźni, dosłownie odrobiny, ale z tego, co mówisz, wnoszę, że ów typ jest jej całkowicie pozbawiony. Błagam, nie tłumacz się. I tak pewnie nie byłoby z tego żadnej korzyści. Z Fletcherem Andersonem poszłoby zupełnie inaczej. To dziany gość o dużych ambicjach i do tego niegłupi. Bez trudu doszedłby do wniosku, że gdyby dokonana bez rozgłosu sekcja nie potwierdziła moich przypuszczeń, zyskałby dziesięć tysięcy dolarów, gdyby zaś potwierdziła je - co prawda sam musiałby zapłacić, ale miałby na swoim koncie znaczące i niezwykłe odkrycie. Mógłby także wywnioskować, że jeżeli okazałoby się, iż racja jest po mojej stronie, to prawdopodobnie mam dalsze informacje, które będą do jego dyspozycji, gdy wezmę od niego pieniądze. Twoja wyprawa do White Plains była w istocie jedynie zwykłym przedsięwzięciem biznesowym. Gdyby Anderson

był na miejscu, na pewno by się z tym zgodził. Ale jeszcze nic straconego. Warto włożyć w tę sprawę nieco wysiłku. Coś mi się jednak zdaje, że zbiera się na deszcz.

- Co pan robi? Próbuje pan zmienić temat? - Przysunąłem się do jego biurka, choć widziałem, że uprzejmość z jego strony jest wymuszona. Miałem jednak kilka ważnych pytań:

- Zbierało się na deszcz, zanim przyszedłem. Czy to może jakaś metafora?

Siedział spokojnie, bez ruchu, nad swoją lupą.

- Pewnego dnia, Archie, kiedy dojdę do wniosku, że nie zdołam cię dłużej znosić, będziesz musiał się bardzo postarać, żeby znaleźć dziewczynę na tyle skromną i cierpliwą, by doceniła twoje wredne poczucie humoru. Wspomniałem o deszczu w twoim interesie, mając na myśli twą osobistą wygodę. Wydaje mi się, że dobrze by było złożyć tego wieczoru wizytę na Sullivan Street, ale ostatecznie jutro też jest dzień.

Mogłoby to zakrawać na żart, gdybym nie znał Wolfe'a od tylu lat i nie wiedział, że mówi śmiertelnie poważnie. Opuszczanie domu przy jakiejkolwiek pogodzie uważał za wielką niedogodność, a już wychodzenie w deszcz było jego zdaniem bliskie szaleństwu.

- Myśli pan, że jestem z cukru? Jasne, że się tam wybiorę. To właśnie jedna z rzeczy, których nie rozumiem. Jak pan myśli, dlaczego Anna Fiore była tak cięta na O'Grady'ego? Czy dlatego, że nie jest tak miły i czarujący jak pan czyja?

- Niewykluczone. Błyskotliwy wniosek, Archie. Zwłaszcza że gdy posłałem tam dziś Panzera, ledwo przyznała się do swego nazwiska i nie puściła pary z ust. Tak więc twój urok okazał się niezastąpiony. Jeśli się da, przywieź ją tu jutro rano o jedenastej. To nie jest znów takie pilne... Lepiej nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów - tak zawzięta osoba wymaga specjalnego podejścia.

- Przywiozę ją za chwilę.

- Nie. Mówię poważnie. Jutro będzie lepiej. Usiądź. Wolę, żebyś posiedział tu bezczynnie, podczas gdy ja będę przypatrywał się kompletnie bez sensu tej i tak spisanej na straty roślinie - bezużytecznej i bezpłodnej. Jak już wspomniałem, twoja obecność w tym momencie jest niezwykle inspirująca, gdyż dzięki niej wciąż na nowo zdaję sobie sprawę, jak to dobrze, że nie mam przy sobie nikogo na tyle uciążliwego (żony na ten przykład), kogo nie mógłbym natychmiast oddalić, gdyby naszła mnie taka chęć.

- Tak jest, sir. - Wyszczerzyłem się. - Zamieniam się w słuch.

- Nie teraz. Nie w taki deszcz. Nie chcę cię fatygować.

- Dobrze. W takim razie niech mi pan odpowie na kilka pytań. Skąd pan wiedział, że Carlo Maffei został zamordowany, a Barstow otruty? Skąd pan wiedział o igle? Oczywiście rozumiem, jak się dostała do ciała Barstowa, bo pokazał nam to ten chłopak z Corliss Holmes, ale w jaki sposób połączył pan ze sobą te wszystkie fakty?

Wolfe odłożył lupę i westchnął. Wiedziałem, że tego nie lubi, ale prócz mojej ciekawości chodziło w końcu o interesy. Zdawał się w ogóle nie brać pod uwagę, że choć daję sobie radę, bazując na wierze, iż jego wnioski nie zaprowadzą nas w kozi róg, to jednak mógłbym wykonać swoją rolę nieco lepiej, wiedząc, na czym stoję. Sądzę, że gdybym nie wiercił mu ustawicznie dziury w brzuchu, w ogóle nigdy nie dzieliłby się ze mną swymi odkryciami.

Westchnął ponownie.

- Czy zawsze muszę ci przypominać, Archie o tym, jak zareagowałby Velazquez, gdybyś zapytał go, dlaczego Ezop na jego obrazie trzyma rękę pod suknią, zamiast swobodnie zwieszoną przy boku? Czy muszę wiecznie przekonywać, że o ile zadawanie pytań o drogę dojścia do prawdy jest sensowne w przypadku naukowca, to z artystą postępuje się inaczej? Czy muszę ci powtarzać kolejny raz, że jestem artystą?

- Nie, sir. Interesuje mnie jedynie, jak się pan dowiedział o otruciu Barstowa?

Wziął do ręki szkło powiększające. Usiadłem i czekałem, zapalając kolejnego papierosa. Skończyłem palić i miałem już wstać, aby pójść na drugi koniec pokoju po książkę albo gazetę, gdy przemówił:

- Carlo Maffei znika. Wygląda to na pierwszy rzut oka na napad na tle rabunkowym, ale tamta rozmowa telefoniczna i ogłoszenie zmieniają postać rzeczy. Rozmowa nie miałaby w sobie nic niezwykłego, gdyby nie to, że zawiera groźbę - „Nie jestem z tych, którzy się boją" - co może nie być bez znaczenia. W ogłoszeniu jest mowa o warunkach, które spełnia Carlo Maffei. Niewykluczone, że to on jest człowiekiem, który wykonał ów skomplikowany przedmiot - użyty później w wiadomym celu. Samo sformułowanie „specjalista od obróbki metalu" czyni jego ogłoszenie intrygującym, a wzmianka o dociekliwym umyśle potwierdza to prawdopodobieństwo. Poza tym, zupełnie przez przypadek (czyż całe nasze życie nie jest przypadkiem?), trafiamy na inny ślad - to właśnie Carlo Maffei, w dzień swego zniknięcia, wycina z gazety artykuł o wypadku Barstowa. Tak więc przeczytaj sobie teraz ten tekst jeszcze raz i spróbuj znaleźć powiązanie między nim a sprawą Carla Maffei. Ciemny włoski imigrant - rzemieślnik specjalizujący się w wyrobach z metalu - i słynny, wykształcony, zamożny rektor koledżu. Niby nic ich nie łączy, a jednak ta niezgodność może uczynić sprawę jeszcze prostszą, gdy spojrzymy na całość z nieco szerszej perspektywy. Oto artykuł - spróbuj znaleźć powiązanie. Skup się nad każdym słowem - przejdź do następnego, dopiero gdy będziesz pewien, że nie ma ono nic do rzeczy. Nie będziesz się musiał zbytnio wysilać, gdyż rozwiązanie jest tak banalne, że masz je podane niemal na talerzu. W momencie upadku i chwilę wcześniej Barstow miał w ręku nie zwykły sprzęt do gry w golfa, lecz skomplikowany i nad podziw wyrafinowany mechanizm. Doskonale spreparowane narzędzie zbrodni. Ale o ile sztuka nie wymaga żadnego uzasadnienia i służy jedynie kontemplacji, o tyle dzieła odgrywające praktyczne role proszą się o dodatkowe instrukcje. Toteż spytałem Annę Fiore,

czy widziała kiedykolwiek w mieszkaniu Carla kij golfowy. No i udało się.

- Dobrze - przytaknąłem. - A co gdyby dziewczyna powiedziała, że nie widziała żadnego kija?

- Mówiłem ci już nieraz, Archie, że nawet dla twojej przyjemności nie będę odpowiadać na hipotetyczne pytania.

- Jasne, mamy sprawę z głowy.

Wolfe zwiesił głowę na piersi.

- Moja odpowiedź oznaczałaby zgodę na twój sposób zadawania pytań, ale nauczyłem się już nie oczekiwać od ciebie niczego lepszego. Skąd do diabła mam wiedzieć, co by było GDYBY? Prawdopodobnie życzyłbym jej dobrej nocy. Czy znalazłbym inne uzasadnienie dla swojego twierdzenia? Może tak, może nie. Czy mam cię spytać, w jaki sposób byś jadł, gdybyś miał twarz z tyłu głowy?

Wyszczerzyłem się:

- Nie umarłbym z głodu, podobnie jak i pan - tego akurat jestem pewien na sto procent. Ale skąd pan wiedział, że Maffei został zamordowany?

- Nie wiedziałem. Aż do wizyty O'Grady'ego. Słyszałeś, co mu powiedziałem. Policja przeszukiwała mieszkanie Carla. To się zdarza tylko wtedy, gdy ktoś jest oskarżony o przestępstwo albo zamordowany. W świetle pewnych faktów pierwsza ewentualność jest mało prawdopodobna.

- No, dobrze. No to teraz, na koniec, najlepsze. Kto zabił Barstowa?

- A... - Wolfe mruknął cicho. - To już będzie zupełnie inne dzieło sztuki, drogocenne, jak sądzę. Drogie dla nabywcy i przynoszące korzyść artyście. W dodatku jeden z jego bohaterów okaże się interesującym obiektem rozlicznych dysertacji. Kontynuując moją wyświechtaną metaforykę - nie powinno się odsłaniać obrazu, zanim nie jest się pewnym nabywcy. Zwłaszcza w sytuacji, gdy nie mamy popleczników. Powinniśmy zorganizować sobie jakiegoś - sprowadzając tu jutro rano pannę Fiore.

- Proszę mi pozwolić przywieźć ją teraz. Jest parę minut po dziewiątej.

- W ten deszcz? Nie. Jutro wystarczy.

Wiedziałem, że nie ma sensu nalegać, toteż przejrzawszy kilka magazynów, które szybko mnie znudziły, poszedłem na górę po płaszcz i wybrałem się do kina. Nie przyznałbym się do tego nikomu, ale musiałem sam sobie powiedzieć, że nie rozumiałem z tego nic a nic. Często już wcześniej tak bywało, ale to nijak mi w tej chwili nie polepszało nastroju. Z jednej strony wierzyłem bezwarunkowo swojej intuicji, która mówiła mi, że Wolfe nie pociągnie nas w ciemny dół, nie mając przy sobie drabiny, ale z drugiej - miałem całe mnóstwo wątpliwości.

Do końca życia nie zapomnę sytuacji, gdy Wolfe doprowadził do aresztowania prezesa banku (to znaczy raczej ja to zrobiłem), mając za jedyny dowód fakt, że znalezione na jego biurku

pióro było suche. Nigdy nie poczułem większej ulgi jak wtedy, gdy ów facet godzinę później strzelił sobie w łeb. Ale kiedy Wolfe coś zaczynał, nie sposób było powstrzymać go przed natychmiastowym wyciąganiem ryzykownych wniosków. Kilka razy próbowałem. Gdy usiłowałem uświadomić mu, jak łatwo może się pomylić, odpowiadał krótko:

- Znasz się na rzeczach, które możesz zobaczyć gołym okiem, Archie, ale nie czujesz istoty zjawisk.

Sprawdzenie w słowniku hasła „zjawisko" niczego mi nie rozjaśniło, ale spieranie się z Wolfe'em nie miało sensu.

Tak więc nadal czułem się niepewnie. Chciałem to przemyśleć, toteż ubrałem płaszcz i poszedłem do kina, gdzie schowałem się w ciemności wpatrzony w srebrny ekran, który utrzymywał w uwadze wzrok, a jednocześnie pozwalał umysłowi spokojnie pracować. Nie było trudno dojść, w jaki sposób Wolfe wyciągnął te wszystkie wnioski. Komuś zależało na zamordowaniu Barstowa - nazwijmy go X. Zamieścił w gazecie ogłoszenie, że poszukuje eksperta, który wykona dla niego „pewną rzecz". Dodał, że ma być nim człowiek, który chce opuścić na stałe kraj - w celu uniknięcia ewentualnych komplikacji, gdyby coś poszło nie tak. Maffei odpowiedział na ogłoszenie i dostał tę robotę. Polegała ona na zainstalowaniu wewnątrz kija golfowego mechanizmu działającego w taki sposób, że w momencie uderzenia w piłkę uwalnia się przycisk, który wystrzeliwuje w górę zamocowaną w rękojeści igłę. X prawdopodobnie udał, że chodzi o sztuczkę w celu zaskoczenia europejskiej komisji sportu czy coś takiego. Zapłacił jednak Włochowi tyle forsy, że ten ostatecznie zdecydował nie wracać do kraju. No i powstał problem. Mimo to X postanowił wykorzystać przedmiot tak, jak zaplanował wcześniej - i włożył do torby ze sprzętem Barstowa kij (identyczny, ma się rozumieć, z wyglądu do tego, którego Barstow używał wcześniej). Tymczasem Maffei natrafił na artykuł w poniedziałkowym wydaniu „Timesa" i szybko się połapał, w czym rzecz - co nie było trudne, biorąc pod uwagę niecodzienne zlecenie. X zaczął do niego wydzwaniać. Maffei spotkał się z nim i zrobił mu niemiłą niespodziankę, zwierzając się ze swoich podejrzeń. Zaczął X-a szantażować. Tym razem X nie marnował czasu na szukanie eksperta od oryginalnych rozwiązań, tylko tradycyjnie użył noża, którego nawet nie wyjął z pleców ofiary, nie chcąc pobrudzić sobie tapicerki w wozie. Później objechał wzgórza Westchester w poszukiwaniu odludnego miejsca i porzucił ciało, wyciągając zeń wcześniej nóż, który wrzucił do pobliskiego strumienia. Wróciwszy do domu o przyzwoitej porze, wychylił jeden lub dwa głębsze przed zaśnięciem, a gdy wstał nazajutrz rano, założył frak zamiast urzędowego garnituru, gdyż wybierał się na pogrzeb swego przyjaciela Barstowa.

Oczywiście to była zakrawająca na szaleństwo wersja Wolfe'a, jednak siedząc wtedy w kinie, zdałem sobie sprawę, że choć wiązała ona ze sobą poprawnie wszystkie elementy układanki, każdy przecież mógł wpaść na coś takiego tysiąc lat temu, kiedy panował jeszcze pogląd, że Słońce

krąży wokół Ziemi. Nie został pominięty żaden ze znanych faktów, ale co wtedy, jeżeli są jeszcze inne, nieznane? A Wolfe tak po prostu ryzykuje dziesięć tysięcy i swoją reputację.

Kiedyś jeden z klientów zarzucił mu nieznośną beztroskę. Ja lubiłem tę jego cechę. On też ją lubił. Ale nie oddalało to ode mnie troski, że jeżeli rozetną ciało Barstowa i nie znajdą w nim nic prócz tego, co zdiagnozowano wcześniej, w ciągu tygodnia każdy, od prokuratora okręgowego poczynając, a kończąc na najzwyklejszym krawężniku, zaoszczędzi dwadzieścia centów, zostając w domu i śmiejąc się z nas do rozpuku, zamiast wybrać się do kina na seans z Myszką Miki. Nie byłem taki tępy, by nie rozumieć, że błądzenie jest rzeczą ludzką, wiedziałem jednak też, iż taki bufon jak Wolfe musi być nieomylny.

Nie wiedziałem więc, co o tym wszystkim myśleć. Zamartwiałem się, a jednocześnie czułem podświadomą pewność, że Wolfe ma rację. Z takim przekonaniem kładłem się spać, wróciwszy z kina i stwierdziwszy, iż Wolfe poszedł już do siebie.

Następnego dnia obudziłem się parę minut po siódmej. Pomarudziłem jednak jeszcze w łóżku, wiedząc, że nawet jeśli wstanę od razu, i tak będę musiał się nudzić aż do momentu wyjazdu po Annę Fiore, co będę mógł zrobić dopiero niedługo przed czasem, kiedy Wolfe wróci od swoich roślin. Leżałem, ziewając, popatrując na obraz z wizerunkiem kwiatów na łące i na fotografię rodziców. W końcu zamknąłem oczy - nie żeby jeszcze pospać, gdyż byłem już całkowicie obudzony, lecz by zabawić się w rozpoznawanie odgłosów na ulicy. Robiłem to do chwili, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. To był Fritz.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Poproszę sok z grejpfruta i małą filiżankę czekolady.

Fritz uśmiechnął się. Rozmarzonym nieobecnym uśmiechem. Znał się na żartach, ale nigdy na nie nie odpowiadał.

- Dzień dobry. Na dole czeka dżentelmen, który chce rozmawiać z panem Wolfe'em.

Usiadłem.

- Jak się nazywa?

- Mówi, że Anderson. Nie ma wizytówki.

- Co!? - Wcisnąłem się w kąt łóżka. - Zaraz, zaraz. To nie dżentelmen, Fritz, to nuworysz. Pan Wolfe żywi nadzieję, że wkrótce mniej „rysz".[„rysz" (z fr. „riche") bogaty] Powiedz mu... Nie, lepiej nie. Zaraz zejdę.

Ochlapałem twarz zimną wodą, ubrałem się w to, co miałem pod ręką, i przejechałem włosy kilkakrotnie grzebieniem. Popędziłem na dół.

Anderson nie raczył podnieść się z krzesła, gdy wszedłem do biura. Był tak mocno opalony, że na ulicy bym go nie poznał. Wyglądał na sennego i poirytowanego, a jego włosy nie były w lepszym stanie niż moje.

Przedstawiłem się:

- Nazywam się Archie Goodwin. Nie sądzę, żeby mnie pan pamiętał.

Nie ruszył się.

- Niestety. Przykro mi. Przyjechałem zobaczyć się z Wolfe'em.

- Tak, sir. Przypuszczam, że będzie pan musiał chwilę zaczekać. Pan Wolfe jest jeszcze na górze.

- Mam nadzieję, że niedługo.

- Trudno powiedzieć. Zobaczę. Jeżeli będzie pan łaskaw. - Pomknąłem przez hall i zatrzymałem się w dole schodów. Musiałem zdecydować, czy ten przypadek zasługuje na to, by Wolfe złamał swoje zasady. Dochodziła za piętnaście ósma. W końcu poszedłem na górę. Dotarłem korytarzem do miejsca znajdującego się jakieś dziesięć stóp od drzwi Wolfe'a. Był tam przycisk alarmu. Wcisnąłem go i zaraz usłyszałem głos:

- Tak?

- Niech pan wyłączy. To ja. Wchodzę.

Nastąpiło ciche kliknięcie i zaraz padło:

- Wejdź!

Nigdy w życiu nie uwierzyłbym w istnienie czegoś takiego jak Wolfe w swoim łóżku, gdybym nie widział tego na własne oczy. Ale choć widywałem go często, za każdym razem doznawałem czegoś w rodzaju szoku. Na samej górze znajdowała się jedwabna, puchowa kołdra, której Wolfe używał zawsze, niezależnie od pory roku. Na środku wznosił się gigantyczny stromy kopiec, i aby zobaczyć twarz, trzeba było stanąć na palcach i wsadzić głowę pod baldachim zamocowany u wezgłowia łóżka. Baldachim, podobnie jak pościel, wykonany był z czarnego jedwabiu i opadał nisko ze wszystkich trzech stron. Spoczywająca wewnątrz na białej poduszce wielka nalana twarz wyglądała na tle tego wszystkiego jak posąg w świątyni.

Wielka dłoń wynurzyła się spod baldachimu, by pociągnąć za sznur wiszący po prawej stronie i zasłona zwinęła się na oparciu łóżka. Wolfe zamrugał. Poinformowałem go, że Fletcher M. Anderson czeka na dole i chce się z nim widzieć.

Zaklął. Nie znosiłem, jak przeklinał. To działało mi na nerwy. Powiedział mi kiedyś, że o ile dla większości ludzi przeklinanie stanowi jedynie słowny przerywnik, dla niego jest wyrazem rozmyślnej ekspresji głębokich emocji. Robił to bardzo rzadko. Tego ranka klął jak szewc. W końcu rzucił:

- Zostaw mnie! Wyjdź! Wynoś się!

Nie znosiłem również momentów, w których zaczynałem się jąkać:

- Ale... Ale... Anderson...

- Jeżeli pan Anderson ma ochotę się ze mną spotkać, może to zrobić o jedenastej. Ale po co ja to mówię? Za co ci płacę?

- Dobrze, sir. Oczywiście, ma pan rację. Złamałem zasady i zrobiłem się bezczelny. Ale czy mógłbym jednak zasugerować, że byłoby niegłupio zejść na dół i pogadać z Andersonem?

- Nie mógłbyś.

- Dziesięć tysięcy dolarów!

- Nie!

- Na Boga, sir, dlaczego nie?!

- Niech to szlag, ale mnie wkurzasz! - Głowa Wolfe'a poruszyła się na poduszce, a jej właściciel zatoczył dłonią łuk, by wyciągnąć w moją stronę palec. - Tak, wkurzasz mnie! Ale to czasem ma swoje dobre strony, więc nie będę się czepiał. Zamiast tego odpowiem na twoje pytanie. Nie zobaczę się z Andersonem z trzech powodów. Po pierwsze - będąc jeszcze w łóżku, jestem nieubrany i źle usposobiony. Po drugie - sam możesz z nim załatwić sprawę. Po trzecie - wiem, na czym polega istota ekscentryzmu. Wszelkie mozolne wysiłki, by zasłużyć sobie na opinię dziwaka, legną w gruzach, gdy na byle gwizdnięcie będę gotowy zmienić swe zasady i postępować jak pierwszy lepszy. A teraz zjeżdżaj! I to już!

Opuściłem pokój, zszedłem na dół do biura i powiedziałem Andersonowi, że jeżeli zechce poczekać, będzie mógł spotkać się z Wolfe'em o jedenastej.

Oczywiście nie wierzył własnym uszom. Zaraz po otrzymaniu wiadomej informacji, to znaczy gdy tylko dotarł do niego jej sens, niemal eksplodował. Był tak rozjuszony, bo przecież przyjechał do Wolfe'a prosto ze stacji Grand Central, po całonocnej jeździe. Udawałem głupiego, tłumaczyłem po dziesięć razy, że Wolfe to wielki ekscentryk i nic na to nie można poradzić. Powiedziałem mu, iż to ja byłem w White Plains zeszłego dnia i jestem obeznany ze sprawą. To go nieco uspokoiło i zaczął zadawać mi pytania. Dzieliłem się z nim szczegółami stopniowo, bez pośpiechu i miałem niezły ubaw, obserwując, co dzieje się z jego twarzą, gdy dotarłem do momentu, w którym Derwin wzywa Bena Cooka. Kiedy poznał już całą historię, usiadł ponownie, potarł w zamyśleniu czoło i utkwił wzrok gdzieś ponad moją głową.

W końcu spojrzał na mnie.

- To wstrząsające, co sugeruje Wolfe, nieprawdaż?

- Tak, sir. Zaiste.

- Skoro Wolfe jest takiego zdania, musi posiadać wstrząsające informacje.

Uśmiechnąłem się.

- Panie Anderson, miło się z panem rozmawia, ale nie ma sensu dłużej marnować czasu. W kwestii wstrząsających informacji i ja, i Wolfe będziemy milczeć jak grób aż do momentu ekshumacji ciała Barstowa oraz sekcji zwłok. Innej możliwości nie ma.

- Dobrze. To znaczy, niedobrze. Mógłbym zaoferować Wolfe'owi pewną sumę pokrywającą koszty śledztwa.

- Sumę? To jak rzucanie grochem o ścianę.

- Powiedzmy pięćset dolarów.

Pokręciłem głową.

- Obawiam się, że jest zbyt zajęty. Ja również jestem zajęty. Niewykluczone, że dziś rano czeka mnie wyprawa do White Plains.

- Niech to. - Anderson przygryzł usta i spojrzał mi prosto w oczy. - Wiesz o tym, Goodwin, że rzadko tracę cierpliwość, ale czy nie dociera do ciebie, że cała ta sprawa śmierdzi? Powiedzmy dobitniej - jest nieetyczna?

Zaczęło mnie to coraz bardziej wkurzać. Wytrzymałem jego wzrok i powiedziałem:

- Proszę się lepiej przyjrzeć, panie Anderson. Twierdzi pan, że mnie pan nie pamięta. Ja pana pamiętam. A pan z pewnością pamięta sprawę Goldsmitha sprzed pięciu lat. Nie uczyniłoby panu wiele szkody podanie do informacji publicznej, ile zawdzięcza pan w tej kwestii Wolfe'owi. Ale nieważne, być może musiał pan zatrzymać prawdę dla siebie. Nie dbamy o to tak bardzo. Ale na ile etyczne, według pana, było wywrócenie całej historii tak, że Wolfe dostał kopa w tyłek, choć należało mu się podziękowanie za to, co zrobił? Chyba inaczej rozumiemy słowo „etyka".

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Dobrze więc. Jeżeli jednak udam się dzisiaj do White Plains, ktoś się dowie, o czym mówię. I cokolwiek to będzie, słono pan za to zapłaci.

Anderson uśmiechnął się i wstał.

- Proszę się nie trudzić, panie Goodwin. Pańska dzisiejsza wizyta w White Plains nie będzie konieczna. Informacje, które otrzymałem, są wystarczające, by przeprowadzić ekshumację zwłok Barstowa. Podjąłem już decyzję. Z kim mam się kontaktować - z panem czy z Wolfe'em? Niewykluczone, że będę chciał z nim jeszcze rozmawiać.

- Wolfe jest zawsze na miejscu, ale między dziewiątą a jedenastą i między szesnastą a osiemnastą nie rozmawia z nikim.

- No tak. Niezły dziwak!

- Zgadza się, sir. Pański kapelusz jest w przedpokoju.

Podszedłem do okna i odprowadziłem wzrokiem taksówkę, którą odjeżdżał. Wtedy wróciłem do biura i podniosłem słuchawkę telefonu. Zawahałem się. Byłem jednak pewien, że Wolfe się nie myli, a skoro tak, mały rozgłos z pewnością nam nie zaszkodzi. Zadzwoniłem do redakcji „Gazette", do Harry'ego Forstera, i na szczęście udało mi się go złapać.

- Harry? Tu Archie Goodwin. Mam coś dla ciebie, ale ani mru-mru. Dziś rano w White Plains Anderson, prokurator generalny, ma zamiar wydać sądowy nakaz ekshumacji i sekcji zwłok Petera Olivera Barstowa. Prawdopodobnie będzie chciał utrzymać to w tajemnicy, ale na pewno znajdziesz jakiś sposób. I posłuchaj - kiedyś, w swoim czasie, powiem ci z przyjemnością coś

jeszcze ciekawego o Andersonie. Ale póki co, cicho sza!

Wróciłem do siebie, ogoliłem się i przebrałem. Gdy skończyłem śniadanie i krótką pogawędkę z Fritzem w kuchni na temat posiłku, było wpół do dziesiątej. Poszedłem do garażu, dolałem do baku benzyny, uzupełniłem olej i ruszyłem na południe, na Sullivan Street.

Znalazłem się tam w porze lekcji, toteż nie było tym razem tak głośno i brudno jak poprzednio - ale na zmianę wpłynęło także coś innego. Mogłem to być może przewidzieć, ale nigdy wcześniej nie spotkałem się z niczym podobnym. Z bramy zwisała wielka czarna rozeta z długimi czarnymi wstążkami, a nad nią figurował wieniec z liści i kwiatów. Wokół zgromadził się mały tłumek - głównie po drugiej stronie ulicy. Parę metrów dalej stał gliniarz - miał znudzony wyraz twarzy, ale na widok parkującego pod udekorowaną bramą roadstera spojrzał w moją stronę uważnie. Wysiadłem i podszedłem do niego, by się przywitać.

Wręczyłem mu wizytówkę.

- Archie Goodwin z biura Nero Wolfe'a. Zostaliśmy wynajęci przez siostrę Carla Maffei w celu jego odnalezienia na dzień przed odkryciem ciała. Przyszedłem zobaczyć się z gospodynią i trochę rozejrzeć.

- Taak? - Gliniarz wetknął sobie moją wizytówkę do kieszeni. - Ja tam nic nie wiem. Archie Goodwin? Milo poznać.

Wymieniliśmy uścisk dłoni i zanim odszedłem, poprosiłem, by miał oko na mój samochód.

Pani Ricci nie wyglądała na uszczęśliwioną wizytą, ale potrafiłem to zrozumieć. Ten dupek O'Grady prawdopodobnie dał jej nieźle w kość za to, że pozwoliła mi na wyniesienie wtedy tych rzeczy z pokoju Carla - zupełnie zresztą bezpodstawnie i bez powodu, ale znając tego typu gości, pewnie nie mógł sobie darować. Uśmiechnąłem się do siebie na widok, jak usta gospodyni zaciskają się w oczekiwaniu na spodziewane pytania. Nie ma nic zabawnego w sytuacji, gdy w twoim domu znajduje się trup, nawet jeżeli to tylko były lokator. Toteż wymieniłem z nią kilka kurtuazyjnych uprzejmości, zanim przeszedłem do rzeczy, oświadczając, że chcę się widzieć z Anną Fiore.

- Jest zajęta.

- Jasne. Ale to ważne. Mój szef chce z nią rozmawiać. To nie zajmie dłużej niż godzinę czy coś koło tego. Oto dwa dolary...

- Nie! Na Boga, czy nie może pan zostawić nas w spokoju we własnym domu? Czy nie może pan pozwolić biednej kobiecie pogrzebać brata, nie doprowadzając jej swoim gdakaniem do szaleństwa? Za kogo pan się uważa, że...

Oczywiście nie mogła sobie darować tej reprymendy. Zdałem sobie sprawę, że nie mogę liczyć na pomoc z jej strony - nawet mnie nie słuchała, więc usunąłem się z pola widzenia, wycofując na korytarz. Drzwi do salonu były otwarte, ale w środku nie było nikogo. Wśliznąwszy

się tam, usłyszałem kroki na korytarzu i wyjrzałem przez szczelinę pomiędzy drzwiami a framugą. Pani Ricci wchodziła na górę, nie przestając pomstować na swój los. Przyczaiłem się za drzwiami w oczekiwaniu i wkrótce dopisało mi szczęście. Nie minęło dziesięć minut, gdy ponownie usłyszałem kroki i wyglądając przez framugę, ujrzałem Annę. Zawołałem cicho jej imię. Zatrzymała się i rozejrzała. Zawołałem jeszcze raz, wciąż cicho:

- W salonie.

Podeszła do drzwi, a ja wychyliłem się, żeby mogła mnie zobaczyć.

- Witaj, Anno. Pani Ricci kazała mi tu na ciebie poczekać.

- O! Pan Archie!

- Jasne, a któż by inny? Mam zamiar zabrać panią na przejażdżkę. Pani Ricci była trochę zła, że po panią przyjechałem, ale jak pani pamięta, w środę dałem jej dolara. Dzisiaj zapłaciłem dwa, więc się zgodziła. Ale musimy się śpieszyć. Obiecałem, że wróci pani przed południem.

Chwyciłem ją za rękę, ale stawiła opór.

- Tym samym samochodem, co kiedyś?

- Jasne. Chodźmy!

- Mój żakiet jest na górze. I w ogóle proszę spojrzeć, jak jestem ubrana...

- Jest za ciepło na żakiet. Szybciej! Jeszcze pani Ricci się rozmyśli. Kupimy pani nowy - chodźmy!

Złapałem ją za ramię i wyprowadziłem z salonu, a potem niedługim korytarzem do wyjścia. Nie chciałem jednak wzbudzać podejrzeń - trudno opisać, jak ważny w swoim pojęciu czuł się tamten gliniarz i byle poruszenie mogło spowodować, że cały plan spali na panewce. Toteż otworzyłem drzwi i powiedziałem:

- Proszę iść i wsiadać. Pójdę pożegnać się z panią Ricci.

Odczekałem krótką chwilę, zanim poszedłem jej śladem. Zdążyła dojść do samochodu i właśnie otwierała drzwiczki. Wsiadłem od swojej strony, zapaliłem, pomachałem do gliniarza i wystrzeliłem z Sullivan Street z rykiem silnika, żeby zagłuszyć ewentualne wrzaski pani Ricci.

Anna rzeczywiście wyglądała jak strach na wróble. Jej sukienka to był istny dramat. Wizja towarzyskiej śmierci nie przeraziła mnie jednak. Kierując się ponownie w stronę przedmieścia, okrążyłem Plac Waszyngtona i wjechałem w Fifth Avenue. Miałem to gdzieś. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał dwadzieścia po dziesiątej.

- Dokąd jedziemy, panie Archie? - spytała Anna.

- Widzi pani, jaka fajna sprawa z tym niskim siedzeniem? Nikt nie zobaczy pani sukienki, bo widać tylko pani głowę. Co powie pani na przejażdżkę wokół Central Parku? Mamy piękny poranek.

- O, tak!

Nie odezwałem się słowem, podobnie jak i Anna przez jakieś dziesięć przecznic i wtedy ona powiedziała jeszcze raz:

- O, tak!

Z całą pewnością bawiła się doskonale. Pojechałem Park Avenue w stronę Sześćdziesiątej, potem wzdłuż Sto Dziesiątej, przejechałem Riverside Drive, objechałem Grant's Tomb i skręciłem w stronę centrum.

Nie sądzę, żeby podziwiała drzewa, rośliny czy rzekę - przyglądała się raczej ludziom jadącym w innych samochodach. Było za pięć jedenasta, gdy zatrzymałem się przed domem Wolfe'a.

Pani Ricci zdążyła zatelefonować do tej pory dwukrotnie. Fritz miał rozbawiony wyraz twarzy, gdy mi o tym mówił. Postanowiłem rozwiązać ten problem od ręki - zadzwoniłem do niej i palnąłem mowę na temat utrudniania śledztwa. Nie wiem, ile z tego do niej dotarło, biorąc pod uwagę, że cały czas wydzierała się do słuchawki, ale najwyraźniej zadziałało. Nie dała znaku życia już ani razu, aż do południa, kiedy odwiozłem Annę do domu.

Wolfe zszedł, w momencie kiedy telefonowałem. Widziałem, jak zatrzymał się, by przywitać się z dziewczyną, zanim dotarł do swego biurka. Był w stosunku do kobiet uprzejmy. Miał wypaczone zdanie na ich temat, czego nigdy do końca nie rozgryzłem, ale zawsze zachowywał się w ich towarzystwie elegancko. Nie potrafię opisać, jak wyglądało jego zachowanie - to dla mnie zbyt trudne. Niełatwo było zrozumieć, jak ta zwalista góra mięsa może być elegancka, ale nie da się ukryć, że jakoś sobie z tym radził - nawet gdy ostro przesłuchiwał jakąś damę, jak wtedy, kiedy ciągnął za język Nyurę Pronn w sprawie interesów w Klubie Dyplomatycznym (nigdy nie widziałem lepszego show - wycisnął ją dosłownie jak gąbkę!).

Z Anną zaczął subtelnie. Przerzuciwszy pocztę, odwróci! się i patrzył na nią przez chwilę, zanim powiedział:

- Nie mamy już potrzeby dłużej rozpływać się w domysłach na temat miejsca pobytu pani przyjaciela Carla Maffei. Proszę przyjąć moje kondolencje. Widziała pani ciało?

- Tak, proszę pana.

- To smutne, naprawdę smutne, to nie był zły człowiek i nie chciał źle. Wplątał się we wszystko przez nieporozumienie. To nie do pojęcia, jak cienka jest nić przeznaczenia, na której wisi ludzkie życie, panno Fiore. Kiedy i w jakich okolicznościach zobaczyła pani w pokoju Carla kij do gry w golfa?

- Tak, proszę pana.

- Tak. Teraz będzie pani łatwiej o tym mówić. Być może pytanie, które zadałem pani wtedy, odświeżyło coś w pani pamięci.

- Tak, proszę pana.

- Co takiego?

Zamilkła. Nie zauważyłem, żeby była zaniepokojona czy przestraszona. Po prostu milczała.

- Kiedy spytałem panią o to poprzednim razem, wydała się pani nieco zdenerwowana. Przykro mi z tego powodu. Czy może pani powiedzieć, co ją tak zdenerwowało?

- Tak, proszę pana.

- Być może powodem było wspomnienie czegoś nieprzyjemnego, co wydarzyło się tego dnia, gdy zobaczyła pani kij?

- Tak, proszę pana.

Znów cisza. Poczułem, że coś jest nie tak. Wolfe nie po to zadał ostatnie pytanie, by się czegokolwiek dowiedzieć. Znałem ten odcień jego głosu - nie był zainteresowany odpowiedzią, w każdym razie nie tą odpowiedzią. Coś naprowadziło go na nowy ślad. Następne pytanie rzucił już zupełnie innym tonem:

- Kiedy zadecydowała pani odpowiadać „tak, proszę pana" na każde pytanie, które zadam?

Milczała, ale Wolfe drążył dalej, nie czekając na odpowiedź.

- Panno Fiore, chcę, żeby zrozumiała pani jedno. Moje ostatnie pytanie nie dotyczyło w żaden sposób kija do gry w golfa ani Carla Maffei. Czy dostrzega to pani? Tak więc jeżeli postanowiła pani odpowiadać jedynie „tak, proszę pana" na każde pytanie związane z Carlem Maffei - w porządku. Ma pani do tego absolutne prawo, ponieważ tak pani zadecydowała. Ale jeżeli zadam pani pytanie na inny temat, nie ma pani prawa odpowiadać w kółko „tak, proszę pana", ponieważ o tym pani nie zadecydowała. Na inne pytania powinna pani odpowiadać jak człowiek. A więc, czy pani odpowiedź „tak, proszę pana" była spowodowana tym, co zrobił Carlo Maffei?

Anna spojrzała na niego uważnie, patrząc mu prosto w oczy. Było jasne, że nic nie podejrzewa, ani że nie chce toczyć z nim walki, chciała tylko zrozumieć, o co w tym chodzi. Po chwili powiedziała:

- Nie, proszę pana.

- A, wspaniale. A więc to nie ma nic wspólnego z tym, co zrobił. Teraz zadam pytanie z zupełnie innej beczki, a zatem będzie mogła mi pani udzielić odpowiedzi. Oczywiście rozumie to pani. Jeżeli zadecydowała pani nic nie mówić o Carlu Maffei, nie będę więcej o niego pytał. Ale teraz inna para kaloszy. Czy zadecydowała pani odpowiadać „tak, proszę pana" panu O'Grady'emu - temu, który przyszedł panią przesłuchać wczoraj rano?

- Tak, proszę pana.

- Dlaczego?

Zmarszczyła czoło, ale odpowiedziała:

- Bo coś się stało.

- Rozumiem. Co takiego? Pokręciła głową.

- Proszę powiedzieć, panno Fiore. - Wolfe mówił spokojnie. - Nie ma na świecie powodu, dla którego nie mogłaby mi pani tego powiedzieć.

Odwróciła się do mnie, potem z powrotem do niego. Po chwili oświadczyła:

- Powiem panu Archiemu.

- Dobrze. Proszę powiedzieć panu Archiemu.

Powiedziała do mnie:

- Dostałam list.

Wolfe rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie, które odwzajemniłem.

- Dostała pani wczoraj list?

Pokiwała głową.

- Wczoraj rano.

- Od kogo?

- Nie wiem. Został napisany na maszynie, bez podpisu, a na kopercie było tylko „Anna" i adres. Nawet bez mojego nazwiska. Pani Ricci wyjęła pocztę ze skrzynki i przyniosła mi list, ale nie chciałam otwierać przy niej, bo nigdy nie dostaję listów. Poszłam na górę, do mojej sypialni i tam go otworzyłam.

- Co w nim było?

Patrzyła na mnie przez chwilę, milcząc, po czym nagle przez jej twarz przemknął dziwaczny uśmiech, który sprawił, że poczułem się nieswojo i z trudem mogłem wytrzymać jej wzrok. Ale jakoś dałem radę. Wtedy powiedziała:

- Pokażę panu.

Sięgnęła ręką w dół, podciągnęła spódnicę nad kolano i włożyła rękę pod pończochę, zza której coś wyjęła. Patrzyłem, jak rozwijała pięć dwudziestodolarowych banknotów i rozkładała je przede mną, bym się przyjrzał.

- Czy to było w liście?

Pokiwała głową.

- Sto dolarów.

- Widzę. Ale było jeszcze coś napisane?

- Tak. Było o tym, że jeżeli nie powiem nikomu nic o Carlu Maffei ani o niczym, co kiedykolwiek zrobił, mogę zatrzymać te pieniądze. Ale jeżeli tak nie zrobię, jeżeli komuś powiem, mam je spalić. Spaliłam list, ale nie spaliłam pieniędzy. Mam zamiar je zatrzymać.

- Spaliła pani list?

- Tak.

- I kopertę też?

- Tak.

- I nie zamierza pani powiedzieć nikomu o panu Maffei i o tym kiju do golfa?

- Nigdy.

Spojrzałem na nią. Wolfe siedział z brodą zwieszoną na piersi, ale również nie spuszczał z niej wzroku. Wstałem z fotela.

- No nie, jeszcze żadna cholerna bajeczka...

- Archie! Przeproś panią!

- Ale, na Boga...

- Przeproś!

Zwróciłem się do dziewczyny:

- Przepraszam, ale gdy pomyślę, ile benzyny spaliłem, wożąc panią wkoło parku...

Usiadłem. Wolfe powiedział:

- Panno Fiore, czy zwróciła pani uwagę na pieczęć? Małą okrągłą rzecz na kopercie, z informacją, gdzie nadano list?

- Nie, proszę pana.

- Oczywiście. A tak przy okazji - te pieniądze nie należały do człowieka, który je pani przysłał. Wyjął je z portfela Carla.

- Zatrzymam je, proszę pana.

- Oczywiście, nie dziwi mnie to. Być może nie domyśla się pani, że gdy policja się o tym dowie, upomni się o nie bez zbytnich czułości. Ale proszę się nie denerwować - dobrze pani ulokowała swoje zaufanie, pan Archie jest niezawodny.

Zwrócił się do mnie:

- Czar i wdzięk są zawsze godne podziwu, a czasami nawet bywają przydatne. Odwieź pannę Fiore do domu.

Zaprotestowałem.

- Ale dlaczego nie...

- Nie! Zmusić ją, by spaliła banknoty i zwrócić jej równowartość z naszego konta? I tak tego nie zrobi, a nawet gdyby - nie mam zamiaru oglądać sztuki dla sztuki pod tytułem *Płonąca forsa.* Dewastacja pieniędzy to ostatnie świętokradztwo, na jakie możemy sobie pozwolić. Prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy, co oznacza dla panny Fiore sto dolarów - to niewyobrażalna suma, stanowiąca nagrodę za nadludzki i heroiczny akt. Teraz, gdy spoczywają na powrót bezpiecznie w przynależnej im kryjówce, możesz zawieźć ją do domu. - Zaczął podnosić się z fotela. - Miłego dnia, panno Fiore. Powiedziałem pani rzadki komplement. Mam nadzieję, że wie pani, co pani robi. Do widzenia.

Przynagliłem ją do wyjścia.

W trakcie jazdy traktowałem dziewczynę jak nieobecną. Byłem wściekły, że tyle wysiłku -

porwanie, wystawianie się na pośmiewisko podczas kurtuazyjnej jazdy po mieście z nią na przednim siedzeniu - wszystko poszło na marne. Na Sullivan Street wypchnąłem ją dosłownie z wozu na ulicę z poczuciem satysfakcji, myśląc, że Wolfe okazał już tyle uprzejmości, że wystarczy za nas dwóch.

Została w miejscu, w którym ją wysadziłem. Kiedy włączyłem ponownie silnik, powiedziała:

- Dziękuję, panie Archie.

Starała się być elegancka! Nauczyła się od Wolfe'a.

- Ja nie dziękuję. Ale i tak życzę miłego dnia. Bez urazy.

Odjechałem.

Rozdział 6

W przeciągu pół godziny, gdy odwoziłem Annę Fiore do domu, Wolfe zdążył wpaść w paskudny nastrój - wyjątkowo głęboki i ciągnący się przez trzy dni. Kiedy wróciłem na Trzydziestą Piątą, siedział w kuchni przy stole, gdzie zwykle jadłem śniadanie, pił czwarte z kolei piwo i kłócił się z Fritzem o to, czy tartę z pomidorami posypuje się szczypiorkiem, czy też nie. Postałem przez chwilę bez słowa, po czym w końcu poszedłem na górę do swego pokoju i nalałem sobie żytniej whisky.

Nigdy nie potrafiłem ogarnąć tych depresji Wolfe'a. Czasami przebiegały bez większych komplikacji - ot, zwyczajne zniechęcenie i chandra - jak na przykład raz, gdy wystawił nas taki jeden taksiarz w sprawie z Pine Street. Zdarzały się jednak także przypadki beznadziejne. Czasem, gdy wszystko szło już jak po maśle i wydawało się, że wystarczy jedynie spakować paczkę i wysłać ją na koszt odbiorcy, Wolfe nagle tracił cały zapał. Błądził myślami gdzieś na zewnątrz i nic nie mogło przywrócić go do rzeczywistości. Czasem mijało to w ciągu jednego popołudnia, ale mogło też ciągnąć się kilka tygodni. Zdarzało się nawet, że odpływał na dobre i otrząsał się dopiero wtedy, gdy nastąpił jakiś nieoczekiwany zwrot. W trakcie takich stanów nie ruszał się z łóżka, żyjąc o chlebie i zupie cebulowej, nie przyjmując nikogo poza mną (a i wtedy zakazywał mi się odzywać), albo siedział w kuchni, dyktując Fritzowi, co ma jak przyrządzić, i obżerając się bez pamięci. Raz zjadł pół barana w ciągu dwóch dni, przy czym poszczególne części kazał sobie przygotować na dwadzieścia sposobów. W takich przypadkach nieraz zjeździłem całe miasto od Battery do Bronx Park w poszukiwaniu zioła, korzenia albo syropu niezbędnego do przyrządzenia takiej a nie innej potrawy. Tylko raz chciałem zrezygnować z pracy u Wolfe'a - gdy posłał mnie kiedyś na przystań na Brooklynie, gdzie cumował parowiec z Chin, po zakup jakiegoś egzotycznego zioła. Kapitan statku miał prawdopodobnie przy sobie niezłą baterię opium czy czegoś takiego i nabrał podejrzeń. Tak czy inaczej przyjął za pewnik, że szukam guza i spełnił moje oczekiwania, zostawiając mi na głowie pół tuzina guzów na pamiątkę. Następnego dnia zatelefonowałem do Wolfe'a ze szpitala, oświadczając, że odchodzę. Ale na drugi dzień przyjechał po mnie, a ja byłem tak zaskoczony, że dokonał tego osobiście, iż zapomniałem o swojej decyzji. Tak się wtedy zakończyła jego depresja.

Tego dnia od razu zorientowałem się, co jest grane, zobaczywszy go w kuchni, jak wykłóca się z Fritzem. Byłem tak wkurzony, że po wypiciu kilku drinków wyszedłem z domu. Zdążyłem przejść kilka przecznic, kiedy poczułem, że alkohol wzbudził mój apetyt, i zaszedłem do restauracji coś przekąsić. Kuchnia Fritza była zwykle o niebo lepsza od wszystkich restauracji razem wziętych, nie miałem jednak ochoty wracać - po pierwsze byłem wkurzony, a po drugie na „depresyjnej" odmianie kuchni trudno było polegać - czasami była to uczta dla podniebienia, czasami efektowne byle co za osiemdziesiąt centów u Shrafta, a czasami totalna porażka.

Tak czy inaczej po jedzeniu poczułem się lepiej, wróciłem do domu i zdałem Wolfe'owi relację z porannej rozmowy z Andersonem, dodając, że jak na mój gust jeszcze przed zachodem słońca coś się wykroi. Powiedział tylko:

- Nie wymawiaj nazwiska tej hieny w mojej obecności.

Drążyłem dalej, mając nadzieję wytrącić go z równowagi.

- Dzwoniłem rano do Harry'ego Forstera z „Gazette" i powiedziałem mu, co się święci. Wiem, że przyda się panu wsparcie ze strony prasy.

Nie słuchał mnie. Rzucił do Fritza:

- Miej w pogotowiu gorącą wodę, może trzeba będzie to przelać.

Poszedłem na górę, aby poinformować Horstmanna, że będzie musiał sam niańczyć swoje maleństwa tego popołudnia, a może i przez cały tydzień. Wiedziałem, że będzie niepocieszony. Zawsze bawił mnie sposób, w jaki udawał złość w obecności Wolfe'a, ale kiedy z jakiegoś powodu ten nie pojawił się na posterunku punktualnie o dziewiątej czy szesnastej, był tak zmartwiony i zaniepokojony, jakby hodowlę zaatakowała plaga insektów. Tak więc poszedłem na górę go zmartwić.

To było w piątek, o drugiej po południu. Dopiero w poniedziałek o jedenastej, sześćdziesiąt dziewięć godzin później, Wolfe zaczął powracać do świata żywych.

W tym czasie wydarzyło się parę rzeczy. Na początek, w piątek koło czwartej, zadzwonił Harry Forster. Czekałem na ten moment. Powiedział mi, że ciało Barstowa zostało ekshumowane i wykonano sekcję, ale nic więcej nie wiadomo. Teraz to już nie był jego interes - inni podchwycili temat i czyhali pod gabinetem koronera.

Chwilę po szóstej telefon znów zabrzęczał. Tym razem był to Anderson. Wyszczerzyłem się na dźwięk jego głosu i spojrzałem na zegarek. Wyobraziłem sobie, jak chodził w kółko wkurzony, czekając do szóstej. Oznajmił, że chce rozmawiać z Wolfe'em.

- Niestety. Pan Wolfe jest zajęty. Goodwin przy telefonie.

Powiedział, że oczekuje Wolfe'a w White Plains. Roześmiałem się. Rzucił słuchawką. Zezłościło mnie to. Nie lubiłem, gdy traktowano mnie jak idiotę. Pomyślawszy chwilę, zadzwoniłem na numer domowy Henry'ego H. Barbera i wypytałem go o szczegóły postępowania w przypadku współudziału w przestępstwie oraz o prawa przysługujące ważnym świadkom. Poszedłem do kuchni i poinformowałem Wolfe'a o obydwu telefonach. Pomachał w moją stronę łyżką.

- Archie, ten Anderson to zaraza. Wyczyść lepiej telefon. Czy nie zakazałem ci wymawiać tego nazwiska?

- Mogłem się spodziewać takiej odpowiedzi - zaripostowałem - Mam powiedzieć, co myślę, sir? Świr to świr, nawet gdy nazywa się Nero Wolfe. Chcę rozmawiać z Fritzem.

Wolfe nie słuchał. Powiedziałem do Fritza, że na kolację wezmę ze sobą do biura kanapki, a kiedy zadzwoni dzwonek do drzwi, ma nie otwierać pod żadnym pozorem. Sam zejdę i otworzę. Wiedziałem, że to była przesadna ostrożność, ale zdecydowałem, że nie pozwolę, by ktokolwiek zastał teraz Wolfe'a w tym hiobowym nastroju. Na szczęście tym razem nie próbował mnie nigdzie wysłać i miałem nadzieję, że nie będzie próbował, gdyż i tak bym się nie ruszył. Może to i była hucpa, zgoda, ale postanowiłem, że na ile tylko dam radę, nie pozwolę nikomu zrobić z nas głupka. Tamtej nocy nic się nie wydarzyło. Następnego dnia rano trzymałem się z dala od Wolfe'a, kręcąc się przez większość czasu w okolicach frontowych drzwi. Otwierałem kolejno: człowiekowi z gazowni, listonoszowi, a także młodemu spryciarzowi, który zbierał pieniądze na szkołę.

Było koło jedenastej, gdy ponownie rozległ się dzwonek. Pod drzwiami stał napakowany facio, który bez zaproszenia zaczął pchać się do środka. Chwyciłem go za ramię, wypchnąłem na zewnątrz i wyszedłem, zatrzaskując za sobą drzwi. Powiedziałem:

- Dzień dobry. Ktoś pana zapraszał?

- Z pewnością nie pan. Chcę się widzieć z Nero Wolfe'em.

- To niemożliwe. Jest chory. Czego pan chce?

Uśmiechnął się i - tym razem spokojnie - wręczył mi wizytówkę.

- Z biura Andersona.

Jasne. Jego prawa ręka.

- Czego pan szuka? - spytałem.

- Wie pan czego. Wejdźmy do środka i porozmawiajmy.

Nie widziałem sensu w dalszym zgrywaniu się. Nie miałem jednak zielonego pojęcia, kiedy Wolfe wygrzebie się ze swojego stanu, i to doprowadzało mnie do szału. Powiedziałem najkrócej, jak potrafiłem, że Wolfe nie wie na temat tej sprawy nic ponad to, co już usłyszeli. W każdym razie nic, co mogłoby dotyczyć Barstowa. A to, co wie, po prostu mu się przyśniło. Dodałem, że jeżeli chcą wynająć Wolfe'a za kasę, niech podadzą stawkę, a Wolfe to przemyśli. A jeżeli spróbują jakichkolwiek głupich sztuczek, zdziwią się, gdy się okaże, jak łatwo Wolfe ukręci temu łeb. Na koniec powiedziałem facetowi, że widząc, iż waży dwadzieścia funtów więcej ode mnie, nie będę próbował wejść do domu, zanim nie zniknie mi z oczu, i będę wdzięczny, jeżeli zrobi to najszybciej, jak może, gdyż właśnie czytam niezwykle interesującą książkę. W trakcie mojego słowotoku próbował wtrącić kilka uwag, ale gdy skończyłem, rzucił tylko:

- Proszę przekazać Wolfe'owi, że tak łatwo się z tego nie wywinie.

- Jasne. Coś jeszcze?

- Idź pan do diabła!

Wyszczerzyłem się, po czym postałem chwilę jeszcze na progu, patrząc, jak odchodzi,

kierując się ku wschodniej stronie miasta. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem, ale też nie znałem dobrze Westchester. Na wizytówce widniało nazwisko H. R. Corbett. Wróciłem do salonu, usiadłem i zapaliłem papierosa.

Po lanczu, gdzieś koło czwartej, usłyszałem na ulicy chłopaka roznoszącego gazety, który obwieszczał wrzaskiem sensacyjne wieści. Wyszedłem, zawołałem go i kupiłem numer. Tekst zajmował połowę pierwszej strony. Tytuł donosił BARSTOW OTRUTY - STRZAŁA W CIELE OFIARY. Przeczytałem artykuł. Jeżeli kiedykolwiek poczułem ukłucie prawdziwego żalu, to było właśnie w tym momencie. Oczywiście nie było słowa ani o mnie, ani o Wolfie. Można się było tego spodziewać, ale gdy pomyślałem sobie, ile takie coś mogło dla nas znaczyć... Wściekałem się na siebie, że spartaczyłem sprawę najpierw z Derwinem, a potem z Andersonem, będąc pewien, że jakoś wszystko się uda. Choć trudno powiedzieć, jak by się to miało stać. Wściekałem się na Wolfe'a za ten jego cholerny stan. A przynajmniej próbowałem się wściekać. Przeczytałem tekst jeszcze raz. Oczywiście nie było żadnej strzały, tylko krótka, stalowa igła - dokładnie tak, jak przewidział Wolfe - która utkwiła poniżej żołądka. Choć byłem wściekły na Wolfe'a, zaniosłem mu gazetę. Tak czy inaczej to było jego dzieło.

Wszedłem do kuchni i bez słowa położyłem dziennik na stole, po czym ponownie wyszedłem. Zawołał za mną:

- Archie! Idź po samochód, oto lista.

Udałem, że nie słyszę. Pojechał Fritz.

Następnego dnia niedzielne gazety pękały w szwach od informacji. Ekipy pismaków węszyły wzdłuż i wszerz Westchester County, ale nie natrafiono na żaden ślad. Przeczytałem wszystko, co się ukazało, i dowiedziałam się mnóstwa szczegółów na temat Green Meadow Club, rodziny Barstowa, rodziny Kimballów, którzy tworzyli wtedy wraz Barstowami czteroosobowy zespół, lekarzu, który postawił kretyńską diagnozę i wielu innych tego typu bzdetach, ale nigdzie nie było ani słowa konkretu więcej ponad to, co Wolfe wiedział już w tamtą środę wieczorem, gdy zadawał Annie Fiore pytanie o kij do golfa.

To nie było wiele, biorąc pod uwagę, że nie została nawet ustalona wiarygodna wersja tego, w jaki sposób igła dostała się do ciała ofiary. We wszystkich gazetach znajdowały się dodatkowe informacje na temat trucizn i opis ich działania.

W niedzielny wieczór wyszedłem do kina, nakazując Fritzowi nikogo nie wpuszczać. Teraz już nie oczekiwałem niczego. Wyglądało na to, że Anderson działa na własną rękę. Być może wpadł na coś, poskładawszy wszystko razem do kupy. Gdyby nie to, że była niedziela, urżnąłbym się tego wieczoru w trupa. Zanim wróciłem z kina, Wolfe zdążył już schować się w swojej krypcie na górze, ale Fritz jeszcze zmywał w kuchni. Usmażyłem sobie kawałek szynki do kanapek i

nalałem szklankę mleka, bo nie zjadłem zbyt wiele na kolację. Zobaczyłem, że „Times", który położyłem na stole dziś rano przed Wolfe'em, leży nietknięty, tak jak go zostawiłem. Było pewne na stówę, że nawet nie rzucił nań okiem.

Czytałem w swoim pokoju jeszcze po północy, a potem miałem kłopoty z zaśnięciem. Biłem się z myślami. Ale gdy w końcu zasnąłem, do samego rana spałem jak zabity. Kiedy otworzyłem oczy na tyle, by spojrzeć na zegarek na nocnym stoliku, było po dziewiątej. Siedziałem na łóżku, ziewając, gdy nagle usłyszałem nad głową hałas, który obudził mnie na dobre. Albo to był odgłos kroków, które tak dobrze znałem, albo wciąż śniłem. Wyszedłem na korytarz i nasłuchiwałem dobrą chwilę, po czym zszedłem na dół. Fritz siedział w kuchni i pił kawę.

- Czy pan Wolfe jest na górze z Horstmannem?

- Się wie - to było jedyne slangowe wyrażenie, jakiego Fritz używał i zawsze szukał okazji, by móc je wtrącić. Uśmiechnął się, zadowolony, że widzi mnie podekscytowanego i pełnego energii.

- Teraz muszę tylko dostać jagnięcą nogę i wetrzeć w nią czosnek.

- Wetrzyj trujący bluszcz, jak masz ochotę.

Poszedłem się ubrać. Kryzys minął! Byłem uradowany. Ogoliłem się dokładnie i wykąpałem, pogwizdując w wannie. Teraz, kiedy Wolfe był znów normalny, mogło się wydarzyć wszystko. Gdy wróciłem do kuchni, na stole czekał na mnie talerz fig i tłusty omlet, a na stoliku kawowym leżała świeża gazeta. Zacząłem od fig i nagłówków, ale już pierwszy owoc o mało nie stanął mi w gardle. Przebiegłem chciwie oczami poszczególne akapity, przełykając gwałtownie.

Prosta sprawa - jak coś jest w gazecie, musi to być prawda. Choć nie potrzebowałem się upewniać, odwróciłem jeszcze raz stronę i obejrzałem ją z góry na dół i na wspak. To coś znajdowało się na dole ósmej strony - mały elegancki anons w efektownej ramce, o następującej treści:

ZAPŁACĘ PIĘĆDZIESIĄT TYSIĘCY DOLARÓW KAŻDEMU, KTO DOSTARCZY MI INFORMACJI POMOCNYCH W WYKRYCIU I WYMIERZENIU ZASŁUŻONEJ KARY MORDERCY MOJEGO MĘŻA PETERA OLIVERA BARSTOWA.

ELLEN BARSTOW

Przeczytałem tekst trzykrotnie, po czym odłożyłem gazetę i usiadłem, by spokojnie pomyśleć. Skończyłem owoce i omlet z trzema grzankami, a następnie wypiłem trzy filiżanki kawy.

Dla konta Wolfe'a, wiszącego na włosku niczym mokra końska derka na sznurze do bielizny, pięćdziesiąt tysięcy baksów to byłaby naprawdę niezła gratka. Nie mówiąc o szansie na

pierwsze miejsce w kategorii „show sezonu". Starałem się utrzymać spokój i opanowanie, ale było dopiero dwadzieścia po dziesiątej. Poszedłem do biura, otwarłem sejf, wytarłem kurze i czekałem.

Kiedy Wolfe zszedł na dół o jedenastej, wyglądał na wypoczętego, ale nie tryskał dobrym humorem. Skinął tylko na powitanie i w dalszym ciągu nie sprawiał wrażenia zainteresowanego moją obecnością. Usiadł w fotelu i zabrał się do przeglądania korespondencji. Czekałem bez słowa, chcąc mu pokazać, że nie tylko on potrafi być takim twardzielem, ale kiedy zaczął analizować miesięczny rachunek od Harveya, rzuciłem:

- Mam nadzieję, że miał pan przyjemny weekend, sir?

Nie spojrzał w moją stronę, wydymując tylko policzki.

- Dziękuję, Archie, wspaniały. Ale gdy obudziłem się dzisiaj rano, poczułem się tak kompletnie wypompowany, że leżąc dłużej w tym wyrze jedynie w swoim towarzystwie, chyba uległbym wkrótce rozkładowi. Pod czaszką kołatało mi: „Archie Goodwin", „Fritz Brenner", „Theodore Horstmann", „odpowiedzialność". Tak więc wstałem, aby dźwigać dalej brzemię odpowiedzialności. Nie chcę narzekać, lecz odpowiedzialność spoczywa na nas wszystkich. Choć moją część mogę wziąć w swoje ręce jedynie ja.

- Proszę wybaczyć, sir, ale to cholerne kłamstwo. Jedyne, co pan zrobił, to rzut oka na gazetę.

Analizował wzrokiem poszczególne pozycje rachunku.

- Nie uda ci się mnie wkurzyć, Archie, nie dzisiaj. Gazeta? Jedyne, czemu przyjrzałem się dziś rano, to życie, a tego nie ma w gazetach.

- A więc nie wie pan jeszcze o tym, że pani Barstow zaoferowała pięćdziesiąt tysięcy dolarów za odnalezienie mordercy swojego męża?

Wolfe nie podniósł wzroku znad rachunku, ale ołówek utknął mu nieruchomo w palcach na parę sekund. W końcu wetknął rachunek pod przycisk do papieru, odłożył ołówek i podniósł głowę.

- Pokaż mi to.

Zaprezentowałem najpierw ogłoszenie, a później artykuł z pierwszej strony. Ogłoszenie przeczytał uważnie, słowo w słowo. Artykuł tylko przebiegł wzrokiem.

- W rzeczy samej - powiedział. - W rzeczy samej. Anderson nie potrzebuje pieniędzy, nawet gdyby potrafił na nie zapracować, a ja ledwo co wspominałem o odpowiedzialności. Archie, czy wiesz, o czym myślałem dziś rano, leżąc w łóżku? Myślałem, jak koszmarnie, a zarazem zabawnie byłoby odesłać w cholerę Theodore'a i pozwolić tym wszystkim żyjącym i oddychającym roślinkom, tym wyniosłym i rozpieszczonym cudom natury umrzeć z głodu oraz pragnienia.

- Dobry Boże!

- Tak. Takie tam poranne fantazje. Nie mam zamiaru do tego dopuścić. Byłbym bardziej skłonny oddać je na aukcję (czyż mógłbym zrzec się odpowiedzialności?) i zarezerwować rejs do

Egiptu. Wiesz oczywiście, że posiadam dom w Egipcie, którego nigdy nie widziałem? Człowiek, który mi go podarował nieco ponad dziesięć lat temu... Tak, Fritz, o co chodzi?

Fritz był chyba nieprzytomny - miał na sobie marynarkę założoną w pośpiechu w drodze do drzwi.

- Jakaś pani do pana, sir.

- Nazwisko?

- Nie ma wizytówki, sir.

Wolfe skinął z aprobatą i Fritz wyszedł zaprosić gościa. Za chwilę przyprowadził młodą kobietę. Wstałem. Skierowała się w moją stronę, a ja wskazałem skinieniem głowy Wolfe'a. Spojrzała nań, zatrzymała się i spytała:

- Pan Nero Wolfe? Nazywam się Sara Barstow.

- Proszę usiąść - uprzejmie zagadnął Wolfe. - Musi mi pani wybaczyć. Z przyczyn technicznych wstaję tylko w chwilach wyższej konieczności.

- To właśnie chwila wyższej konieczności - odpowiedziała.

Rozdział 7

Na temat Sary Barstow zdążyłem dowiedzieć się dosyć sporo z gazety. Miała dwadzieścia pięć lat, skończyła Smith College i była gwiazdą zarówno środowiska akademickiego w Holland, jak i całej towarzyskiej śmietanki zbierającej się latem w Westchester. Zgodnie z tym, co pisano, olśniewała urodą. Gdy siadała na krześle ze wzrokiem wbitym w Wolfe'a, pomyślałem sobie, że ten fragment tekstu był rzeczywiście zgodny z prawdą. Miała na sobie brązową, lnianą sukienkę z dopasowaną marynarką, a na głowie czarny kapelusik. Rękawiczki wskazywały, że przyjechała samochodem. Twarz miała drobną, ale proporcjonalną. Jej oczy były niezdrowo rozszerzone i podkrążone ze zmęczenia, a być może i z płaczu, jednak choć była bardzo blada, to emanowały z niej zdrowie oraz radość życia. Mówiła głosem niskim i zmysłowym. Polubiłem ją.

Zaczęła się tłumaczyć, jednak Wolfe powstrzymał ją gestem dłoni.

- To niepotrzebne i prawdopodobnie bolesne dla pani, panno Barstow - wszystko rozumiem. Była pani jedyną córką Petera Olivera Barstowa. Proszę mówić od razu, z czym pani przychodzi.

- Tak... - zawahała się. - Zapewne pan wie o wszystkim, panie Wolfe. To trochę niezręczna sprawa - może jednak przyda się jakiś wstęp. - Próbowała się uśmiechnąć. - Chciałabym prosić o przysługę, ale nie wiem, na ile to będzie skuteczne.

- Powiem to pani.

- Oczywiście. Najpierw muszę zapytać, czy wie pan o ogłoszeniu, które zamieściła w dzisiejszej gazecie moja matka.

Wolfe nabrał głęboko powietrza i zwiesił brodę.

- Niecodzienna prośba, panno Barstow. Czy oczekuje pani tak niecodziennej reakcji, jak wypełnienie jej woli bez słowa, czy mogę liczyć na jakieś słowa wyjaśnienia.

- Oczywiście, zaraz wszystko wyjaśnię - zawahała się. - To nie jest tajemnica. Powszechnie wiadomo, że moja matka bywa... w pewnym stopniu i w pewnych okolicznościach... nieodpowiedzialna. - Przewiercała go wzrokiem na wylot. - Proszę nie myśleć, że powodują mną jakieś niskie pobudki albo chodzi o pieniądze. Mamy mnóstwo pieniędzy i ani mój brat, ani ja nie jesteśmy skąpi. Proszę również nie myśleć, że moja matka nie jest osobą kompetentną, przynajmniej w prawnym sensie. Ale zdarzały się chwile, kiedy bardzo potrzebowała naszej troski i miłości, gdy ta... ta straszna rzecz jej się przytrafiła. Zwykle nie jest mściwa, ale to ogłoszenie - mój brat określił je jako żądzę krwi. Najbliżsi przyjaciele oczywiście zrozumieją, ale są jeszcze inni ludzie. A w przypadku mojego ojca jest ich bardzo wielu... Cieszymy się, gdy łączą się z nami w żalu po nim, ale nie chcielibyśmy - i on także z pewnością by tego nie chciał - żeby patrzono na nas jak na żywicieli hien.

Przerwała na chwilę, biorąc głębszy oddech, i spojrzała na mnie, a potem znowu na Wolfe'a.

- Rozumiem, panno Barstow, że uważa mnie pani za hienę. Nie ma sprawy, nie czuję się urażony. Proszę mówić dalej.

- Przepraszam, zachowałam się nietaktownie, jak idiotka. Byłoby lepiej, gdyby przyszedł doktor Bradford.

- Czy doktor Bradford rozpatrywał taką ewentualność?

- Tak, uważał, że należy temu zapobiec.

- A pani brat?

- Tak... To znaczy, brat ubolewa, że doszło do publikacji tego ogłoszenia, ale nie poparł w pełni mojej wizyty u pana. Uważał, że będzie... bezowocna.

- Teoretycznie trudno odwieść hienę od zdobyczy. Prawdopodobnie pani brat zna się dobrze na tym gatunku. Czy to już wszystko, panno Barstow? Czy może są jeszcze jakieś inne powody pani wizyty?

Pokręciła głową.

- Nie, panie Wolfe. To wystarczający powód.

- Tak więc rozumiem, że pani marzeniem jest niepodejmowanie żadnych kroków w celu schwytania i ukarania mordercy pani ojca?

Spojrzała na niego.

- Ależ... nie. Tego nie powiedziałam.

- Czy przysługa, o którą mnie pani prosi, polega na tym, żebym zaprzestał dalszych działań?

Jej usta zacisnęły się. Otworzyła je jedynie na tyle, by powiedzieć:

- Rozumiem. Stawia pan sprawę na ostrzu noża.

- Niezupełnie. Absolutnie nie na ostrzu. To normalne, że jest pani zdezorientowana, ale mój umysł jest wolny od trosk i pracuje bez zarzutu. Pani prośba, na tyle przynajmniej, na ile ją pani zarysowała, jest nielogiczna. Może mnie pani prosić o jedną przysługę, ale nie o kilka naraz, zwłaszcza że wykluczają się one nawzajem. Mówi pani, na przykład, że życzyłaby pani sobie, bym odkrył mordercę jej ojca, ale prosi mnie jednocześnie, żebym zrezygnował z zapłaty, którą zaoferowała pani matka. Czy tego dotyczy pani prośba?

- Ależ nie. Wie pan, że nie.

- Albo może chce mi pani powiedzieć, że mogę odszukać mordercę i zainkasować honorarium, które mi się zgodnie z prawem należy, ale pani rodzina uznaje takie działanie za nieuczciwe z etycznego punktu widzenia? Czy o to chodzi?

- Tak. - Jej usta zaczęły drżeć, ale po chwili wzięła się w garść. Podniosła się z krzesła zdecydowanym ruchem i rzuciła: - Nie! Przepraszam, że pana niepokoiłam. Profesor Gottlieb był w błędzie... Może ma pan rację. Miłego dnia, panie Wolfe.

- Do zobaczenia, panno Barstow. - Wolfe nie wykonał żadnego ruchu. - Z technicznych

względów nie będę wstawał.

Ruszyła do wyjścia. Ale w połowie drogi zawahała się, przystanęła i dodała:

- Jest pan hieną. Nie ma pan serca.

- Bardzo prawdopodobne. - Wolfe zgiął palec wskazujący. - Proszę wrócić i usiąść. Pani wizyta zbyt wiele znaczy, żeby wszystko zepsuć z powodu chwilowego resentymentu. Tak będzie lepiej, opanowanie jest cechą godną najwyższego podziwu. A teraz, panno Barstow, możemy dokonać jednej z dwóch rzeczy. Albo grzecznie, ale zdecydowanie odrzucę pani oryginalną prośbę i rozstaniemy się w niezbyt przyjaznym nastroju, albo odpowie pani na kilka pytań, które zadam, i wtedy zobaczymy, co da się zrobić. Czy możemy pójść na taki układ?

Ledwo trzymała się na nogach, ale nie dała za wygraną. Wróciła na krzesło i spojrzała na Wolfe'a nieufnym wzrokiem.

- Przez ostatnie dwa dni zdążyłam już odpowiedzieć na wiele pytań - powiedziała.

- Nie wątpię. Mogę sobie wyobrazić ich treść i to, jak byty kretyńskie. Nie będę trwonił czasu na obrażanie pani inteligencji. Skąd dowiedziała się pani, że zajmuję się tą sprawą?

Wyglądała na zdziwioną:

- Skąd? Przecież to pan tego wszystkiego dokonał. To pana odkrycie. Każdy o tym wie. Pisano o tym w prasie. Nie nowojorskiej. Lokalnej.

Uśmiechnąłem się na te słowa. Bądź co bądź Derwin zadzwonił wtedy do Bena Cooka, żeby ten mnie aresztował, czyż nie?

Wolfe pokiwał głową.

- Czy zwróciła się pani z tą samą prośbą do pana Andersona?

- Nie.

- Dlaczego?

Zawahała się.

- Jakby to powiedzieć... To nie wydawało się konieczne. Nie wiem dlaczego. Nie potrafię wyjaśnić.

- Proszę wysilić swój umysł, panno Barstow. Czy może dlatego, że wydało się pani mało prawdopodobne, że Anderson na własną rękę zdoła odkryć coś godnego uwagi?

Trzymała się twardo. Jej dłonie - cholernie kształtne dłonie o silnych palcach i mocnych przegubach - zacisnęły się w piąstki.

- Nie! - zaprzeczyła.

- Bardzo słusznie. W takim razie co sprawiło, że wydało się pani bardziej prawdopodobne, iż moje odkrycie może znaczyć coś więcej?

- Nie myślałam... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Proszę się uspokoić. To proste i uczciwe pytanie. Czy uważa mnie pani za bardziej

kompetentnego od Andersona? Czy dlatego, że właśnie ja poczyniłem to niecodzienne odkrycie?

- Tak.

- Czy dlatego, że dzięki swoim sposobom dowiedziałem się, że pani ojciec został otruty za pomocą igły ukrytej w kiju do golfa?

- Nie wiem. Nie wiem, panie Wolfe.

- Odwagi. Już niedługo. Ciekawość podsuwa mi kolejne pytanie. Co sprawiło, iż uznała mnie pani za tak szlachetną istotę, że zgodzę się przystać na tak kretyńskie warunki, jakie mi pani zaproponowała?

- Nie wiem. Naprawdę nie miałam nic na myśli. Ale postanowiłam spróbować. Poza tym słyszałam o panu od profesora Gottlieba - psychologa z uniwersytetu. Napisał książkę *Nowoczesne metody w kryminalistyce...*

- Książkę, w której rozpływa się w pochwałach na temat pracy każdego znajomego detektywa.

- Być może. Ale jego opinia o panu jest szczególnie pochlebna. Kiedy zatelefonowałam do niego, powiedział mi, że analiza pana pracy nie jest łatwa, gdyż dysponuje pan iście diabelską intuicją i jest pan nie tylko człowiekiem godnym zaufania, ale także wrażliwym artystą. To zabrzmiało tak, że... że zdecydowałam się z panem zobaczyć. Panie Wolfe, błagam pana, błagam...

Byłem pewien, że zaraz się rozpłacze i chciałem temu zapobiec. Ale Wolfe przerwał jej szorstko:

- To wszystko, panno Barstow. Wszystko, co chciałem wiedzieć. Teraz ja mam prośbę do pani. Czy pozwoli pani, że pan Goodwin zabierze panią na górę i pokaże moją hodowlę kwiatów?

Spojrzała ze zdziwieniem. Dodał więc:

- Proszę się nie obawiać, nie ma w tym żadnej sztuczki. Po prostu chcę pobyć chwilę sam na sam z diabłem. Jakieś pół godzinki. Muszę też wykonać jeden telefon. Kiedy pani wróci, przedstawię pani pewną propozycję.

Zwrócił się do mnie:

- Fritz cię zawoła.

Wstała i wyszła ze mną bez słowa. Pomyślałem, że to się nawet dobrze składa, bo była cała roztrzęsiona i pełna podejrzeń. Zamiast kazać jej wchodzić po schodach dwa piętra do góry, zaprowadziłem ją do windy Wolfe'a. Kiedy wysiadaliśmy, zatrzymała mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Panie Goodwin, po co pan Wolfe mnie tu wysłał?

Pokręciłem głową.

- Nie mam dobrych wieści, panno Barstow. Nawet gdybym wiedział, nie odpowiedziałbym na pani pytanie. A że niestety nie wiem, nie pozostaje nam nic innego, jak pójść podziwiać kwiaty.

Kiedy otwierałem drzwi na korytarz, z pokoju z roślinami wyjrzał Horstmann.

- Wszystko w porządku, Horstmann. Czy możemy się chwilę rozejrzeć?

Pokiwał głową i wrócił do swoich zajęć.

Za każdym razem, gdy wchodziłem do oranżerii, zapierało mi z wrażenia dech. Tak było i z innymi rzeczami - nieważne, który raz z rzędu patrzyłem, jak gość na ekranie skacze w przepaść albo powala w pojedynkę cały zastęp wrogów - zawsze przyspieszało mi wtedy tętno. Podobnie było w zetknięciu z tym miejscem.

Wolfe używał kamiennych donic i giętych żelaznych konstrukcji. Zamontowany był tu specjalny system zraszania, według pomysłu Horstmanna, dzięki czemu w pomieszczeniu utrzymywała się stała wilgotność. Całość składała się z trzech głównych pokoi - jednego przeznaczonego do hodowli kwiatów z rodziny leliokatlei, drugiego dla *Odontoglossum, Oncidium* i krzyżówek miltonii oraz trzeciego dla odmian tropikalnych. Był też pokój do przechowywania nasion, sypialnia Horstmanna i małe narożne pomieszczenie, w którym znajdowały się sadzonki. Konewki z wodą i inne naczynia, piasek, torf, kompost, glina oraz węgiel drzewny trzymane były w nieogrzewanym pomieszczeniu bez okien, znajdującym się na samym końcu, gdzie dochodził szyb zewnętrznej windy. Był akurat czerwiec i rośliny zostały częściowo osłonięte przed słońcem za pomocą ekranów wykonanych z listwy, dzięki czemu przeplatane cieniem promienie słońca tworzyły niezwykłe wzory wszędzie, gdzie nie spojrzeć - na szerokich liściach, kwiatach, ścieżkach - tysiące niesamowitych plam. Lubiłem ten obraz - dodawał temu miejscu życia i barw.

Dla Sary Barstow to była nowa lekcja. Oczywiście z początku cieszyło ją wszystko w równym stopniu jak mnie ewentualność zrezygnowania z nagrody, oferowanej przez jej matkę. Przy pierwszym rządku katlei Sara starała się być na tyle miła, że nawet udała pewne zainteresowanie. Pierwszą rośliną, która naprawdę ją oczarowała, był maleńki pączek orchidei o nazwie leliokatleja *Lustre.* Ucieszył mnie ten fakt, bo był to jeden z moich ulubionych okazów. Zatrzymałem się przy nim.

- Niesamowite - powiedziała. - Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego. Te kolory - cudowne.

- Tak. To sztucznie wyhodowana hybryda. Nie występuje w naturze.

Połknęła haczyk. Kawałek dalej rosły brassokatleje *Truffautianas.* Uciąłem kilka kwiatów i wręczyłem Sarze. Powiedziałem jej to i owo na temat krzyżowania gatunków i o sadzonkach, ale nie wiem, czy mnie słuchała. W następnym pokoju przeżyłem rozczarowanie. *Odontoglossum* spodobała się jej bardziej niż katleje i jej krzyżówki! Mogłem się tego spodziewać, gdyż była droższa i bardziej wymagająca, ale okazało się, że Sara nie miała o tym zielonego pojęcia. O gustach się nie dyskutuje - pomyślałem. Najbardziej ze wszystkiego, kiedy przemierzyliśmy pomieszczenie z roślinami tropikalnymi, spodobał jej się mały kwiatuszek, na którego moim

zdaniem szkoda było czasu, by dwa razy spojrzeć - miltonia *Blueanaeximina.* Zachwycała się jego delikatnością i kształtem. Potakiwałem i zaczynałem się nudzić, myśląc o tym, co też ten Wolfe wyczynia tak długo. W końcu pojawił się Fritz. Minął kwiatowe alejki bez zainteresowania, kierując się prosto w naszą stronę. Zatrzymał się na środku pokoju i obwieścił, że Wolfe nas oczekuje. Uśmiechnąłem się i naszła mnie ochota dać mu kuksańca pod żebro, ale wiedziałem, że nigdy by mi tego nie wybaczył.

Wolfe siedział nadal w fotelu i nic nie wskazywało na to, żeby się z niego ruszył w czasie naszej nieobecności. Wskazał pannie Barstow i mnie krzesła, a gdy zajęliśmy miejsca, spytał:

- Podobały się pani kwiaty?

- Są cudowne! - Ujrzała go teraz w zupełnie innym świetle, to się rzucało w oczy. - Mają w sobie tyle piękna!

Wolfe pokiwał głową.

- Tak jest za pierwszym razem. Ale dłuższa zażyłość pozbawia złudzeń. Zaczyna się dostrzegać płytkość ich charakteru. Wrażenie, które na pani zrobiły, to czysty blef. Nie ma na świecie takiej rzeczy jak piękno samo w sobie.

- Być może. - Sara zaczęła tracić zainteresowanie tą kwestią. - Niewykluczone.

- Tak czy inaczej poświęciła im pani swój czas. Zapewne jest pani ciekawa, na co ja poświęciłem swój. Otóż, po pierwsze, zadzwoniłem do banku i poprosiłem o sporządzenie raportu na temat sytuacji finansowej Ellen Barstow, pani matki, oraz ostatniej woli Petera Olivera Barstowa, pani ojca. Po drugie, zatelefonowałem do doktora Bradforda i usiłowałem przekonać go, by złożył mi wizytę dzisiejszego popołudnia lub wieczoru, ale oświadczył, że jest zajęty i nie da rady. Potem usiadłem i czekałem. Po pięciu minutach odebrałem telefon z banku - przekazano mi raport, o który prosiłem. Posłałem po was Fritza. To wszystko.

Zaczęła się na nowo irytować. Jej usta zacisnęły się i najwyraźniej nie miała zamiaru ich otwierać.

Wolfe mówił dalej:

- Powiedziałem, że złożę pani propozycję. Oto i ona (Archie, wyciągnij notes i notuj słowo w słowo). Dokonam wszelkich starań, żeby odnaleźć mordercę Petera Olivera Barstowa. Przedstawię pani, panno Saro Barstow, efekty moich starań i - o ile nie wykaże pani sprzeciwu, przedstawię je także do wiadomości właściwych osób, po czym, w odpowiednim ku temu czasie, zgłoszę się po czek opiewający na sumę oferowaną przez pani matkę. Jeżeli jednak moje śledztwo doprowadzi do konkluzji, że mordercą jest osoba, która w jakiś sposób jest z panią związana i z tego powodu chce ją pani chronić przed wymiarem sprawiedliwości, nie dowie się o tym nikt więcej oprócz mnie i pana Goodwina. Jeszcze chwila! To ważne, panno Barstow - proszę słuchać uważnie. Dwie rzeczy. Proszę wziąć pod uwagę, że ta propozycja wynika wyłącznie z mojej dobrej

woli. Nie jestem pracownikiem służby społecznej, nie jestem nawet członkiem żadnego towarzyskiego klubu i nie przyrzekałem hołdować żadnym zasadom. Sytuacja życiowa osoby chroniącej zbrodniarza w gruncie rzeczy mnie nie wzrusza. Tak więc, jeżeli pani obawy okażą się uzasadnione i zdecyduję się nie wyjawiać swojego odkrycia - jaką będę miał z tego korzyść? Znajduję w sobie zbyt duże pokłady sentymentu i romantyzmu, żeby całkowicie odrzucić pani prośbę. A słowo „szantaż" należy do tych słów, których unikam. Ale pomimo że dałem się zniewolić sentymentom i romantyzmowi, nie byłbym z siebie dumny, gdyby względy finansowe powstrzymały mnie przed wykonaniem zadania. Toteż, jeżeli sądzi pani, że wynagrodzenie w charakterze prezentu lepiej spełni swoją funkcję, będę mógł na to przystać. Przeczytaj całość głośno, Archie - w celu sprawdzenia, czy wszystko zostało dobrze zrozumiane.

Zanim zacząłem czytać, panna Barstow krzyknęła:

- Ależ... Ależ to absurd! To...

Przeczytałem przemowę Wolfe'a. Gdy skończyłem, ten dorzucił jeszcze:

- Radzę pani to sobie dobrze zapamiętać, panno Barstow. Będę kontynuował śledztwo niezależnie od okoliczności. Jeżeli obawia się pani jego rezultatu, powinna pani przyjąć pomoc, którą zaoferuję. Oferta jest, mówiąc między nami, skrajnie egoistyczna. Polega na tym, że oczekuję od pani pełnej lojalności i współpracy, co będzie z korzyścią także i dla pani, gdyż niezależnie od tego, jaki będzie rezultat, przebrniemy przez to razem najszybciej, jak to możliwe. Bez pani pomocy mogę natrafić zaś na poważne utrudnienia, które tylko opóźnią całą sprawę. Żaden ze mnie altruista ani *bon enfant*, jestem zwyczajnym człowiekiem, chcącym zarobić trochę grosza. Powiedziała pani, że na górze jest mnóstwo piękna. Ja powiadam inaczej: na górze jest mnóstwo bardzo drogiego piękna. Czy zdaje pani sobie sprawę, ile kosztuje utrzymanie takiej hodowli?

Sara Barstow spojrzała nań bez słowa.

- Przystąpmy do rzeczy - podsumował Wolfe. - Oczywiście nie będziemy sporządzać żadnego cyrografu. Niech to będzie - jak to zabawnie ktoś nazwał - dżentelmeńska umowa. Pierwszym krokiem będzie wizyta pana Goodwina u pani jutro rano - to może poczekać do tej chwili - w celu, za pani pozwoleniem, rozmowy z panią, pani bratem, matką i każdym innym, z kim pan Goodwin uzna za stosowne porozmawiać.

- Nie! - wybuchnęła.

- Ależ tak. Bardzo mi przykro, ale to absolutnie konieczne. Pan Goodwin jest człowiekiem dyskretnym, ułożonym i pełnym nieocenionych zalet. To naprawdę konieczne. Powiem pani coś, panno Barstow. - Położył obie dłonie na biurku, odepchnął się odeń wraz z krzesłem i stanął. - Pójdzie teraz pani do domu, na zakupy czy gdziekolwiek pani zechce. Ludzie zazwyczaj mają kłopoty z zebraniem myśli w moim towarzystwie - zajmuję zbyt dużo przestrzeni. Zdaję sobie sprawę, iż pani cierpi, że targają panią bolesne, trudne do zniesienia, a zarazem sprzeczne emocje.

Musi pani jednak uwolnić od nich umysł, by zmobilizować go do pracy. Proszę iść kupić sobie nowy kapelusz, umówić się na randkę, odwiedzić matkę, cokolwiek pani przyjdzie na myśl. Proszę zadzwonić do mnie dziś wieczór między szóstą a siódmą i powiedzieć, o której pan Goodwin może jutro rano przyjechać, albo powiedzieć, że nie może przyjechać i tym samym uczynić ze mnie swojego wroga. Do zobaczenia.

Wstała.

- Kiedy... Nie wiem... O Boże, nie wiem...

- Proszę! To nie są pani prawdziwe myśli, tylko sieczka bezładnych chaotycznych emocji, które nie mają żadnego znaczenia. Nie chcę zostać pani wrogiem.

Stała dokładnie naprzeciw niego, twarzą w twarz, z czołem uniesionym tak wysoko, że jej oczy były na wysokości oczu Wolfe'a.

- Wierzę panu - powiedziała. - Wierzę, że pan sobie tego nie życzy.

- Z całą pewnością. Miłego dnia, panno Barstow.

- Miłego dnia, panie Wolfe.

Odprowadziłem ją do drzwi. Miałem nadzieję, że również będzie mi życzyć miłego dnia, ale wyszła bez słowa. Wówczas zobaczyłem jej samochód (ciemnoniebieskie coupe), zaparkowany przy krawężniku.

Gdy wróciłem do biura, Wolfe siedział znów w swoim fotelu. Stanąłem przed nim i spytałem:

- I co pan o tym wszystkim sądzi?

Wydął policzki.

- Wiem jedno - jestem głodny. To miło czuć nawrót apetytu. Nie zdarzyło mi się to od wielu tygodni.

Nic dziwnego, że się mocno wkurzyłem.

- Jak może pan mówić coś takiego po ostatnim weekendzie?!

- Nie mówię, że nie jadłem, lecz że nie miałem apetytu. To było desperackie działanie w celu odnalezienia utraconych życiowych przyjemności. Lancz będzie za dwadzieścia minut. Póki co - dowiedziałem się, że w każdym klubie golfowym jest osoba określana mianem eksperta. Dowiedz się, kto pełni taką funkcję w Green Meadow Club, sprawdź, czy nie mamy jakiegoś wdzięcznego klienta, który mógłby przedstawić nas sobie przez telefon, i zaproś pana eksperta do nas dziś na kolację. Została gęś z soboty. Po lanczu złóż wizytę doktorowi Nathanielowi Bradfordowi i wstąp po drodze do biblioteki po kilka książek, które będą mi potrzebne.

- Jak pan myśli, kogo panna Barstow...

- Nie wiem, Archie. Chcę teraz posiedzieć tu w spokoju i ponapawać się uczuciem głodu. Wrócimy do tego po lanczu.

Rozdział 8

We wtorek trzynastego czerwca o dziesiątej przejeżdżałem przez bramę posiadłości Barstowów, którą otworzył przede mną funkcjonariusz policji stanowej, będący tu strażnikiem. Był z nim drugi ochroniarz - prywatny bodyguard Barstowów. Musiałem gęsto się przed nimi tłumaczyć i długo udowadniać, jak się nazywam i że jestem umówiony z Sarą Barstow. Wyglądało na to, że przez ostatni weekend gazetowe pismaki obsiadły wszystkie drzewa w okolicy i teraz ci goście stosują zasadę podwójnej nieufności w stosunku do każdego obcego.

Dom stał w najniższym punkcie położonej pomiędzy dwoma wzgórzami kotliny, około siedmiu mil na północny wschód od Pleasantville. Zbudowany z kamienia, pokaźnych rozmiarów, na oko było w nim dobrze ponad dwadzieścia pokoi i wiele innych pomniejszych zabudowań. Po przejechaniu około trzystujardowej alei obsadzonej drzewami i inną roślinnością, trzeba było skręcić wzdłuż pochyłego zieleńca, a droga dalej biegła pod dachem, nad którym znajdował się osłonięty taras. To był boczny narożnik domu. Część frontowa znajdowała się za kolejnym zakrętem i wychodziła na zieleniec położony u stóp wzgórza. Minąłem kilka okazałych ogrodów, rozpostartych po obu stronach zieleńca z licznymi skalniakami i basenem. Ta przejażdżka uzmysłowiła mi, że pięćdziesiąt patyków to dla tych ludzi jak splunięcie. Miałem na sobie ciemnobłękitny garnitur i błękitną koszulę z brązowym krawatem, a na głowie swój ulubiony kapelusz panama, który po pamiętnej przejażdżce odczyściłem gruntownie. Uważałem, że dobrym założeniem jest dobierać ubiór stosownie do miejsca wizyty.

Byłem umówiony z Sarą Barstow o dziesiątej i stawiłem się dokładnie na czas. Zaparkowałem na żwirowanej alejce naprzeciw wejścia i nacisnąłem dzwonek u drzwi na tarasie. Otworzyły się przede mną samoczynnie. Za nimi były jeszcze drugie podwójne, matowe drzwi, przez które niewiele mogłem zobaczyć. Wkrótce usłyszałem kroki, po czym jedno ze skrzydeł otworzyło się w moją stronę i pojawił się w nich wysoki kościsty lokaj w czarnym garniturze.

- Pan Goodwin? - zapytał uprzejmie.

Przytaknąłem.

- Jestem umówiony z panną Barstow.

- Wiem. Proszę tędy. Panna Barstow oczekuje pana w ogrodzie.

Przemierzyłem za nim taras i korytarz prowadzący na drugą stronę domu, potem przeszliśmy pod altaną, wzdłuż alei wysadzanej krzewami, aż w końcu trafiliśmy do ogrodu pełnego kwiatów. Panna Barstow siedziała na jego końcu na ocienionej ławce.

- Dziękuję - powiedziałem. - Dalej już trafię.

Zatrzymał się, skinął głową, zrobił w tył zwrot i odmaszerował.

Wyglądała kiepsko, gorzej niż poprzedniego dnia. Najwyraźniej nie spała za dużo.

Zapomniawszy czy zlekceważywszy instrukcje Wolfe'a, zadzwoniła przed szóstą. Odebrałem - z jej głosu można było wywnioskować, że robi to niechętnie. Była konkretna i szorstka - oznajmiła tylko, że będzie na mnie czekać o dziesiątej rano, i rozłączyła się.

Poprosiła, bym usiadł obok niej. Nie dostałem od Wolfe'a żadnych instrukcji. Powiedział, że będzie lepiej, jak zostawi mi pole do popisu, dorzucając swoje ulubione powiedzonko, że każda nitka zaprowadzi kota do kłębka. Dodał też, że naszym największym atutem jest fakt, iż nikt nie ma pojęcia, ile tak naprawdę wiemy, i że dzięki naszym oryginalnym metodom pracy bywamy uważani za omnibusów. Zakończył swój wywód ziewnięciem, za pomocą którego mógłby pochłonąć piłkę do tenisa, i dorzucił:

- Postaraj się nie schrzanić tego wrażenia.

Powiedziałem do panny Barstow:

- Może i nie ma tu orchidei, ale jak się dobrze przyjrzeć, można wypatrzeć gdzieniegdzie jakiś pojedynczy kwiatuszek.

- Też tak sądzę - zgodziła się. - Poprosiłam, by Small przyprowadził pana w to miejsce, bo tu nikt nam nie będzie przeszkadzał. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. Tu jest bardzo przyjemnie. Przepraszam, że muszę panią nachodzić. Ale nie ma innej możliwości, żeby zgromadzić pewne informacje. Wolfe twierdzi, że czuje istotę zjawisk, ja zaś zbieram fakty. Nie twierdzę, że wiem, co znaczy słowo „zjawisko", choć sprawdziłem w słowniku. Powtarzam tylko słowa mojego pracodawcy. - Otworzyłem notatnik. - Po pierwsze, proszę wtajemniczyć mnie w podstawowe informacje na temat rodziny, ile pani ma lat, kogo zamierza poślubić i tego typu sprawy.

Siedziała, zaciskając dłonie, i mówiła. Trochę już wiedziałem z gazet i z publikacji *Kto jest kim,* ale nie przerywałem. Rodzina składała się obecnie tylko z matki, brata i Sary. Brat o imieniu Lawrence miał dwadzieścia siedem lat, dwa lata więcej od niej. Skończył Holland College w wieku dwudziestu jeden lat, po czym zmarnował pięć kolejnych (i, jak wyczytałem pomiędzy wierszami, także sporo ojcowskiego czasu i cierpliwości). Przed rokiem nagle odkrył w sobie talent do mechaniki i aktualnie poświęcał się jej właśnie, przy czym w szczególności pasjonowało go lotnictwo. Rodzice byli ze sobą bardzo związani przez trzydzieści lat. Nie pamiętała, kiedy zaczęły się problemy matki, bo stało się to dawno temu, gdy była dzieckiem. Rodzina nigdy nie uważała tego tematu za wstydliwy ani go nie ukrywała. Tak się złożyło - uważano po prostu, że komuś, kogo się kocha, przytrafiło się coś przykrego i starano się z tym jakoś sobie radzić. Doktor Bradford i dwóch specjalistów orzekli, że Ellen padła ofiarą choroby nerwowej, ale dla Sary to były puste słowa. „Choroba" kojarzyła się jej wówczas z kimś przykutym do łóżka, a matka była przecież aktywna i pełna życia.

To miejsce w Westchester było starą rodzinną posiadłością, ale Barstowowie spędzali tu

jedynie niecałe trzy miesiące w roku, gdyż od września do czerwca musieli być w koledżu. Przyjeżdżali co roku na dziesięć lub jedenaście tygodni, przywożąc ze sobą służbę, i opuszczali posiadłość wraz z nastaniem jesieni. Znali mnóstwo ludzi w sąsiedztwie. Znajomości ojca Sary wykraczały oczywiście znacznie poza region Westchester, ale paru najstarszych i najbliższych przyjaciół mieszkało wciąż w okolicy. Podała mi ich nazwiska, co skrzętnie odnotowałem. Spisałem także nazwiska służących i dotyczące ich szczegóły. Podczas gdy to robiłem, panna Barstow nagle wstała i poszła przed siebie nasłonecznioną ścieżką, opuszczając ukryte w cieniu drzew schronienie. Znad głowy dobiegł nas warkot silnika samolotu, tak bliski, że musieliśmy mówić podniesionym głosem. Notowałem: „UH, sk. 61. , lotn. ", po czym spojrzałem na Sarę. Stała z odchyloną głową, ze wzrokiem utkwionym w górę, i machała chusteczką. Poderwałem się i wbiłem spojrzenie w samolot. Leciał dokładnie nad nami, nisko, a po obu jego stronach widać było wyciągnięte ręce, odpowiadające machaniem na jej pozdrowienie. Samolot jeszcze obniżył lot, zakołysał się, po czym zawrócił i po chwili zniknął z pola widzenia. Wróciła na ławkę, a ja dołączyłem do niej. Powiedziała:

- To mój brat. Wsiadł do samolotu po raz pierwszy, od kiedy nasz ojciec...

- Musi być bardzo odważny. I mieć bardzo długie ręce.

- On nie pilotuje. Przynajmniej nie w pojedynkę. Był z nim Manuel Kimball, samolot należy do jego ojca.

- Ach, jeden z czwórki.

- Tak.

Pokiwałem głową i wróciłem do faktów. Nadszedł czas na golfa.

Peter Oliver Barstow nie był jego przesadnym fanatykiem. Rzadko grywał w ciągu roku akademickiego i nie częściej niż raz, góra dwa razy w tygodniu w czasie wakacji. Prawie zawsze robił to w klubie Green Meadow, którego był członkiem (oczywiście miał tam swoje miejsce, w którym trzymał rzeczy). Był niezłym graczem, biorąc pod uwagę częstotliwość, z jaką trenował. Jego partnerami w grze bywali zwykle ludzie w jego wieku, ale czasami grał także ze swoimi dziećmi. Jego żona nigdy nie brała w tym udziału. Tamtej fatalnej niedzieli zespół składał się z pana Kimballa, jego syna Manuela, Barstowa i Lawrenca. Nigdy wcześniej, jak sądziła, nie grali w tym składzie. Uważała, że to nie miało większego znaczenia, kto był partnerem w grze. Brat nie mówił jej, czy tamtym razem zostało to ustalone wcześniej, ale ona wiedziała, że od czasu do czasu sam grywał z Manuelem. Osobiście wątpiła, by skład z góry ustalono, bo to były pierwsze odwiedziny jej ojca w Green Meadow tego lata. Barstowowie przyjechali w tym roku do Westchester trzy tygodnie wcześniej niż mieli w zwyczaju, ze względu na stan zdrowia pani Barstow, a ojciec Sary miał w planie wrócić jeszcze tamtego niedzielnego wieczoru.

Po tych słowach Sara umilkła. Podniosłem głowę znad swoich notatek. Siedziała z

zaciśniętymi dłońmi i wzrokiem utkwionym gdzieś w dal, w pustkę przed sobą. Po chwili dodała, nie kierując słów do mnie:

- Teraz już nigdy tam nie wróci. Wszystko, czego chciał dokonać... Wszystko, czego dokonał... Już nigdy....

Odczekałem chwilę, po czym spróbowałem wytrącić ją z tego stanu pytaniem:

- Czy pani ojciec zostawiał w klubie sprzęt do gry, gdy wyjeżdżał z Westchester na cały rok?

Wróciła do rzeczywistości.

- Nie. Oczywiście, że nie. Czemu pan o to pyta? Nie zostawiał - czasami korzystał z tych rzeczy w koledżu.

- Miał tylko jeden zestaw sprzętu?

- Tak! - potwierdziła z naciskiem.

- Więc przywiózł go ze sobą. Dotarliście do Westchester w sobotę w południe. Jechaliście samochodem, a rzeczy wiozła bagażówka jadąca za wami. Czy sprzęt był w samochodzie, czy w bagażówce?

Nietrudno było zauważyć, że trafiłem w czuły punkt. Mięśnie na jej szyi napięły się, ramiona przycisnęły do boków, cała zesztywniała. Udałem, że nic nie zauważyłem, siedziałem spokojnie, trzymając ołówek w pogotowiu.

- Nie wiem - powiedziała. - Naprawdę, nie pamiętam.

- Myślę, że w bagażówce - zasugerowałem. - Skoro nie był takim znowu strasznym entuzjastą, więc pewnie nie robiłby sobie kłopotu, wożąc to wszystko w osobowym samochodzie. Gdzie znajdują się teraz te rzeczy?

Myślałem, że zdenerwuje się jeszcze bardziej, ale ku mojemu zdziwieniu tak się nie stało. Siedziała nadal w milczeniu, ale była raczej opanowana.

- Tego także nie wiem. Myślałam, że jest pan zorientowany w tej sprawie. Zaginęły.

- O! - zdziwiłem się. - Zaginęła torba ze sprzętem do gry?

- Tak. Ludzie z White Plaints i Pleasantville przeszukali wszystko - cały dom, budynek klubu i nawet całe pole golfowe. Nie znaleźli nic.

Tak - pomyślałem - a z pewnością ty, młoda damo, jesteś z tego powodu diabelnie szczęśliwa. Dodałem:

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że nikt nie może sobie nic na ten temat przypomnieć?

- Nie. To znaczy, tak - zawahała się. - Z tego, co wiem, chłopak noszący ojcu kije twierdzi, że zaniósł torbę do samochodu i położył ją obok siedzenia kierowcy - zanim Larry i doktor Bradford odwieźli ojca do domu. Ani Larry, ani doktor Bradford nie przypominają sobie, żeby ją tam widzieli.

- Dziwne. Nie przybyłem tu co prawda, żeby zbierać opinie, tylko fakty, ale jeśli pani pozwoli - nie wydaje się to pani dziwne?

- Nie. W takiej chwili jak tamta mieli prawo nie zawracać sobie głowy torbą ze sprzętem.

- No, ale kiedy już dotarli na miejsce, musieli ją jakoś przenieść. Ktoś to zrobił - służący, szofer?

- Nikt nie pamięta.

- Czy mogę z nimi porozmawiać?

- Proszę bardzo - próbowała nadać swym słowom pogardliwy ton. Nie wiem, jaki zawód chciała wykonywać w przyszłości, ale mam nadzieję, że nie planowała zostać aktorką. Nietrudno było ją przejrzeć na wylot. Trafiłem na właściwy trop.

- Jakich kijów używał pani ojciec? Drewnianych czy stalowych?

- Drewnianych. Nie lubił stalowych.

- Z końcówką prostą czy z wkładką?

- Chyba prostą. Tak mi się wydaje. Nie jestem pewna. Larry miał z wkładką, ja też.

- Sprzęt brata dobrze pani pamięta.

- Tak. - Utkwiła we mnie czujny wzrok. - Czy to przesłuchanie? Mam nadzieję, że nie, panie Goodwin.

- Przepraszam. - Uśmiechnąłem się do niej. - Proszę wybaczyć, jestem nieco rozczarowany. Wręcz zły. Na nic tak nie liczyłem, jak na to, że zobaczę tę torbę ze sprzętem, a zwłaszcza kij.

- Przykro mi.

- Nie jestem pewien. To pociąga za sobą całą masę pytań. Kto wyjął walizkę z samochodu? Jeżeli ktoś ze służby, to kto i na ile można wierzyć w jego bezinteresowność? Pięć dni po wypadku, gdy okazało się, że jeden z kijów został przerobiony przez mordercę w narzędzie zbrodni, ktoś był w posiadaniu rzeczy, którą ukrył lub zniszczył. Kto to był? Pani, pani brat czy doktor Bradford? I gdzie ją ukrył albo w jaki sposób zniszczył? Nie jest tak łatwo pozbyć się tak dużej rzeczy.

Wstała i słuchała spokojnie, z wyrazem twarzy pełnym godności. Powiedziała spokojnym głosem:

- Dość tego. Nie umawialiśmy się, że będę zmuszona wysłuchiwać idiotycznych insynuacji.

- Brawo, panno Barstow. - Wstałem również. - Ma pani absolutną rację. Nie chciałem być nietaktowny, ale zostałem wytrącony z równowagi. Teraz chciałbym porozmawiać przez chwilę z pani matką. Od tej chwili będę nad sobą panować.

- Nie. Nie może się pan z nią widzieć.

- Ale to było w umowie.

- Złamał ją pan.

- Bzdura. - Uśmiechnąłem się. - Umawialiśmy się, że będzie z korzyścią dla pani mi na to

pozwolić. Nie będę się tak zachowywał w stosunku do pani matki. Wiem, kiedy i na co mogę sobie pozwolić, a kiedy i na co nie.

Spojrzała na mnie.

- Czy pięć minut panu wystarczy?

- Nie wiem. Uwinę się z tym tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Odwróciła się i ruszyła alejką w stronę domu. Poszedłem za nią. Po drodze miałem ochotę kopać kamienie. Zaginięcie sprzętu stanowiło fatalną porażkę. Jasne, że nie liczyłem, iż uda mi się ów kij położyć z satysfakcją dziś wieczór przed nosem Wolfe'a, bo myślałem, że zdążył go już skonfiskować Anderson. Postanowiłem dać mu czas, by pozbierał fakty do kupy, ale liczyłem na to, że Sara Barstow zdoła go przekonać, by dał nam nań rzucić okiem. Tymczasem okazało się, że tę cholerną torbę trafił szlag! Ten fakt nie tylko mnie wkurzył, ale też cholernie wszystko komplikował. Gdyby zniknął sam kij, to jeszcze miałoby sens, ale cała torba?

Wnętrze domu wypełniał po brzegi przepych. Większość ludzi znała takie miejsca jedynie z filmów. Choć było mnóstwo okien, światło słoneczne wpadało przez nie subtelnie, a dywany i meble wyglądały na wyjątkowo zadbane, czyste i piekielnie drogie. Wszędzie stały wazony z kwiatami i rozchodził się upojny zapach. Było chłodno i przyjemnie, choć na zewnątrz zaczynało się robić upalnie. Sara Barstow poprowadziła mnie rozległym korytarzem, potem przez obszerny pokój i znów korytarz, a następnie przez drzwi znajdujące się na jego drugim końcu. Znaleźliśmy się w czymś w rodzaju słonecznego pokoju, którego jedną stronę wypełniało światło, ale zasłony zaciągnięto niemal do samej ziemi, więc w sumie nie było zbyt jasno. Znajdowało się tu trochę roślin i mnóstwo wyplatanych krzeseł oraz sof. Na jednym z krzeseł, przy stole, siedziała kobieta i układała puzzle. Panna Barstow podeszła do niej.

- Mamo, to pan Goodwin. Mówiłam ci o jego wizycie.

Pani Barstow odwróciła się w moją stronę i wskazała mi krzesło. Usiadłem. Kobieta odłożyła kawałki układanki na stół i mi się przyjrzała.

Była bardzo elegancka. Miała pięćdziesiąt sześć lat, o czym wiedziałem od jej córki, ale wyglądała jakby przekroczyła sześćdziesiątkę. Jej oczy były szare, zapadnięte i szeroko rozstawione, włosy prawie całkiem białe. Miała szlachetne rysy twarzy, ale odniosłem wrażenie, że wynika to przede wszystkim z silnego charakteru i surowych zasad. Wpatrywała się we mnie bez słowa tak długo, aż zdałem sobie sprawę, że być może sam nie wyglądam wystarczająco dystyngowanie. Sara Barstow usiadła na drugim krześle, zachowując stosowny dystans. Chciałem już zacząć swój wywód, ale pani Barstow niespodziewanie uprzedziła mnie.

- Wiem, po co pan przychodzi, panie Goodwin.

Skinąłem głową.

- To właściwie nie mój interes, przychodzę w imieniu mojego pracodawcy - pana Nero

Wolfe'a. Prosił, bym podziękował, że zgodziła się mnie pani przyjąć.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Nie spuszczała ze mnie swych przenikliwych oczu. - Jestem wdzięczna, że ktoś - choćby i nieznajomy, którego nigdy w życiu nie widziałam - nie uważa mnie za pomyloną.

- Mamo!

- Tak, Saro. Nie czuj się urażona, moja droga. Ja wiem - i nieistotne, co wie na ten temat obecny tu pan Goodwin - że to niczyja wina. To nie ty sprawiłaś, że dałam za wygraną, ani nawet twój ojciec. Zgodnie z tym, co mówi Than, tak zdecydował Bóg, a być może i on nie miał wiele do powiedzenia, gdy szatan postanowił spłatać mi ten żart.

- Mamo, proszę. - Sara Barstow wstała i podeszła do nas. - Jeżeli chce pan o coś zapytać, panie Goodwin...

- Mam dwa pytania. Czy mogę je zadać, pani Barstow? - spytałem.

- Oczywiście. Na tym polega pańska praca.

- Dobrze. Pierwsze jest łatwe dla pytającego, ale odpowiadającemu może sprawić pewną trudność. To znaczy może wymagać namysłu i poszukania pewnych spraw w pamięci. Jest pani prawdopodobnie najbardziej odpowiednią osobą ze wszystkich, by udzielić na nie odpowiedzi. Kto miał lub mógł mieć interes w zamordowaniu Petera Olivera Barstowa? Kto mógł żywić do niego żal - świeży albo może zagrzebany w odległej przeszłości? Kto był jego wrogiem? Kto mógł go nienawidzić?

- To niejedno pytanie. To cztery pytania.

- Być może potrafię sformułować tylko jedno.

- Nie trzeba. - Nie traciła zimnej krwi. - Mogę odpowiedzieć na wszystkie naraz. Ja.

Spojrzałem na nią. Sara stała przy niej z ręką wspartą na jej ramieniu.

- Mamo! Obiecałaś...

- Spokojnie, Saro. - Pani Barstow uniosła rękę i poklepała dłoń córki. - Nie pozwoliłaś tamtemu drugiemu człowiekowi na spotkanie ze mną, za co jestem ci wdzięczna. Ale jeżeli pan Goodwin pyta, musi dostać odpowiedź. Pamiętasz, co zwykł mawiać twój ojciec? „Nigdy nie próbuj uciec przed prawdą".

Panna Barstow rzuciła się w moją stronę.

- Panie Goodwin, proszę.

- Nonsens. - Szare oczy rozbłysły. - Mam swoich obrońców, moja droga, tak dobrych, że nie potrzebuję twojej pomocy. Panie Goodwin, dostał pan odpowiedź na pierwsze pytanie. Jak brzmi drugie?

- Proszę nie kpić ze mnie, pani Barstow. - Zignorowałem uwagę Sary, a szare oczy nie przestawały przewiercać mnie na wylot. - To nie jest wyczerpująca odpowiedź. Być może byli

jeszcze inni, może nie była pani jedyna.

- Inni, którzy chcieliby zamordować mojego męża? - Po raz pierwszy surowość jej twarzy ustąpiła nieznacznie i na ustach zagościł lekki uśmiech. - Nie. Mój mąż był dobry, sprawiedliwy, szlachetny i uwielbiany przez wszystkich. Wiem, czego pan ode mnie oczekuje, panie Goodwin - bym spojrzała wstecz na wszystkie te lata, szczęśliwe i nieszczęśliwe, i odszukała w pamięci jakiś jego niewybaczalny błąd albo skierowane doń czyjeś groźby. Zapewniam, że nic takiego nie miało miejsca. Nie ma na świecie człowieka, którego mój mąż by skrzywdził i który mógłby uchodzić za jego wroga. Ani żadnej kobiety. Nie oszukiwał mnie. Moja odpowiedź na pańskie pytanie była bezpośrednia oraz szczera i sprawiła mi dużą ulgę, ale jest pan jeszcze bardzo młodym człowiekiem, prawie chłopcem, toteż poczuł się pan zszokowany, podobnie jak moja córka. Starałam się panu to wyjaśnić na tyle, na ile potrafiłam. Nie miałam zamiaru wyprowadzić pana w pole. Nie chciałam sprawić przykrości mojej córce. Pan Bóg, odbierając mi zdrowe zmysły, nie poprzestał na tym. Jeżeli kiedyś uda się panu zrozumieć Jego wolę, zrozumie pan także moją odpowiedź.

- Dziękuję, pani Barstow. A teraz drugie pytanie. Dlaczego zaoferowała pani nagrodę?

- Nie! - Sara Barstow wkroczyła pomiędzy nas. - Nie! Koniec z tym!

- Saro! - Pani Barstow odezwała się ostro, po czym jej glos złagodniał. - Saro, kochanie. Odpowiem. To moja sprawa. Czy będziesz tak stała między nami? Saro!

Sara Barstow wróciła do matki i stanęła przy niej ponownie. Położyła rękę na jej ramieniu i schyliła głowę nad jej siwym czołem. Na twarzy pani Barstow ponownie zagościł surowy wyraz.

- Tak, panie Goodwin, nagroda. Nie jestem kompletną wariatką, jedynie dziwaczką. Szczerze żałuję, że ją zaoferowałam, gdyż zdałam sobie sprawę, że kierowały mną wówczas niskie uczucia. Miałam chwilę słabości, kiedy wpadłam na pomysł dokonania tej osobliwej zemsty. Nikt nie mógł zamordować mojego męża, skoro nikt nie mógł pragnąć jego śmierci. Jestem pewna, że ta śmierć nie była pożądana przez nikogo z wyjątkiem mnie, a i ja pragnęłam jej jedynie w chwilach straszliwych mąk, których Bóg powinien oszczędzić nawet grzesznikom. Przyszło mi na myśl, że może istnieje gdzieś człowiek, który ukarze samego Boga za jego czyny. Nie sądzę, żeby był nim pan, panie Goodwin, a pana pracodawcy nie znam. Teraz żałuję swego posunięcia, ale jeżeli ktokolwiek zasłuży na tę nagrodę, otrzyma ją.

- Dziękuję, pani Barstow. Kim jest Than?

- Słucham?

- Than. Wspomniała pani, że Than powiedział, że to Bóg sprowadził na panią nieszczęście.

- Ach tak, oczywiście. Doktor Nathaniel Bradford.

- Dziękuję. - Zamknąłem notes i wstałem. - Pan Wolfe kazał podziękować pani za wyrozumiałość. Wiedział, że będzie potrzebna, znając metody mojej pracy.

- Proszę przekazać panu Wolfe'owi wyrazy szacunku.

Wstałem i skierowałem się do wyjścia, chwytając kątem oka, jak panna Barstow zajmuje na chwilę moje krzesło.

Rozdział 9

Panna Barstow zaprosiła mnie na lancz.

Ujęła mnie tym jeszcze bardziej. Czekałem na nią przeszło dziesięć minut w hallu łączącym słoneczny pokój z innymi pomieszczeniami. Kiedy do mnie dołączyła, jej złość zdążyła minąć. Nie zdziwiło mnie to specjalnie - nie użyłem żadnej ze swoich sztuczek, żeby ciągnąć panią Barstow za język - sama podała mi wszystko na talerzu i nie było w tym mojej zasługi. Ale kto na miejscu Sary wziąłby to pod uwagę? Nie wiem, czy jeden na tysiąc. Każdy inny byłby wściekły, nawet zdając sobie sprawę, że na to nie zasługuję, i starając mi się tego nie okazać. A jednak ona nie była zła. Zawarła umowę i wypełniała jej warunki, niezależnie od tego, ile bezsennych nocy miało ją to kosztować i ilu nieprzyjemnych rzeczy już musiała doświadczyć. A bez wątpienia ich nie uniknęła. Wiedziałem, że pani Barstow w każdym momencie mogła zmienić swoje nastawienie i nasze spotkanie upłynęłoby na uprzejmym milczeniu. Nie miałem pojęcia, co sprawiło, że tak się przede mną otworzyła, ale jeżeli sprawiły to moja błękitna koszula i brązowy krawat, pieniądze, które na nie wydałem, nie poszły na marne.

Niezła jazda, jakby powiedział Saul Panzer.

Sara zaprosiła mnie więc na lancz. Powiedziała, że będzie również jej brat, a skoro i tak chcę się z nim widzieć, tak będzie najwygodniej. Podziękowałem jej, mówiąc:

- Jest pani wspaniała, panno Barstow. Naprawdę. Dzięki Bogu za to, że Nero Wolfe jest najgenialniejszym człowiekiem na ziemi i skłonił panią do naszej umowy, bo jeśli wpadnie pani w tarapaty, to będzie jedyna rzecz, która pomoże pani z nich wyjść.

- Jeżeli wpadnę w tarapaty? - spytała zdziwiona.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że już ma pani mnóstwo problemów. Ale najgorszy z nich jest strach przed tym, co jeszcze może panią czekać. To znaczy, chciałem jedynie powiedzieć, że jest pani wspaniałą osobą.

Jak się za chwilę okazało, na lanczu miałem okazję poznać nie tylko jej brata, ale też Manuela Kimballa. Ucieszyłem się, gdyż dowiedziałem się dziś rano, że członkowie pamiętnej czwórki mogli okazać się ważniejsi, niż wcześniej sądziłem. Poprzedniego popołudnia po mniej więcej dwóch godzinach wiszenia na telefonie w końcu odnalazłem eksperta z Green Meadow Club i ten przyjął zaproszenie Wolfe'a na kolację. Nigdy nic nie łączyło go z Barstowem, znali się tylko z widzenia, ale Wolfe wyciągnął z niego całą masę informacji dotyczących stosunków panujących w klubie i tym podobnych. Zanim gość poszedł do domu, co miało miejsce około północy, zdążył wykończyć całą butelkę najlepszego porto z kolekcji Wolfe'a, a Wolfe wiedział na temat klubu tyle, ile sam ekspert. Między innymi dowiedział się, że członkowie klubu mają swoje szafy, w których trzymają rzeczy, i że niektórzy zostawiają szafy niezamknięte, a nawet gdy je zamykają, to nie

trzeba być geniuszem, żeby dorobić do nich klucz. Mając taki duplikat, nietrudno znaleźć odpowiedni moment, by dostać się do szafy i podmienić kij. Tak więc, skoro każdy z członków lub nawet odwiedzających klub, kto tylko miał dostęp do szatni, mógł podmienić kij, fakt, z kim grał Barstow tamtego niedzielnego popołudnia, stracił na znaczeniu.

Ale wiadomość, że torby Barstowa nie było w szatni od września zeszłego roku, zmieniała postać rzeczy. Przywiózł ją ze sobą z koledżu. To stawiało sprawę w innym świetle i na powrót czyniło niedzielnych partnerów Barstowa godnymi szczególnej uwagi.

Pokój, w którym jedliśmy lancz, nie był z pewnością przeznaczonym do tego pomieszczeniem - zdawał się na to zbyt mały. Tylko stół, krzesła i kilka okien, przez które nie było zbyt wiele widać ze względu na obfitą roślinność porastającą teren tuż za nimi. Przy stole usługiwał nam wysoki, chudy człowiek w czarnym uniformie, zwany Smallem. Był to lokaj pracujący w tym charakterze w wypadku wizyty tak ważnych gości jak moja osoba. Ogólnie posiłek smakował nieźle, aczkolwiek nie było tam nic takiego, co mogłoby zawstydzić naszego Fritza. Trzeba jednak przyznać, że w oryginalnych naczyniach podano coś naprawdę pysznego. Jedliśmy przy małym stole, naprzeciw mnie siedziała panna Barstow, po mojej prawej jej brat, a po lewej Manuel Kimball.

Lawrence Barstow nie był podobny do siostry, za to w jego twarzy wyraźnie można było dostrzec rysy matki. Był dobrze zbudowany i biła z niego pewność siebie wynikająca ze stylu życia. Miał miłą twarz o regularnych rysach, bez żadnych rzucających się w oczy szczegółów. Widywałem setki takich jak on w restauracjach przy Wall Street. Zdawał się odruchowo mrużyć oczy, gdy natknął się na czyjś wzrok, ale może dlatego, że przedpołudnie spędził w powietrzu. Jego oczy były szare, podobnie jak oczy matki, lecz nie miały w sobie tamtej surowości.

Manuel Kimball reprezentował zupełnie inny typ. Miał ciemną karnację, był krępej postury, czarne włosy zaczesywał prosto do tyłu, a czarne ruchliwe oczy zdawały się znajdować ukojenie jedynie w chwilach, gdy lądowały na Sarze Barstow. Denerwował mnie i wyglądało na to, że Sarę jego obecność również irytuje. Zachowanie Kimballa mogło być jednak spowodowane tym, że nie został uprzedzony o mojej wizycie i nie wiedział, co tu robię w tej trudnej dla rodziny chwili, bo i skąd miałby wiedzieć. Rano Sara powiedziała mi, że nie ma żadnej szczególnej zażyłości pomiędzy Barstowami i Kimballami, poza bliskością ich letnich rezydencji oraz tym, że Manuel, który uwielbia latać, i jest w tym dobry, zaproponował dawać lekcje Larry'emu. To okazało się wspaniałym zbiegiem okoliczności, gdy brat odnalazł w sobie podobną pasję. Ona sama latała z Manuelem dwa czy trzy razy zeszłego lata, ale poza tym bardzo rzadko go widywała, a jeżeli już, to w towarzystwie Larry'ego. Kimballowie byli nowi w tej okolicy. Kupili posiadłość dwie mile stąd na południe zaledwie trzy lata temu. Ojca Manuela Barstowowie znali jedynie z przypadkowych spotkań i nielicznych przyjęć w szerszym gronie. Matka zmarła dawno temu, w niejasnych

okolicznościach. Sara nie pamiętała, by jej ojciec zamienił z Manuelem Kimballem kiedykolwiek więcej niż kilka zdawkowych uwag, może poza jednym popołudniem zeszłego lata, kiedy Larry zaprosił go na partię tenisa i ona wraz z ojcem sędziowali ich grze.

A jednak z jakiegoś powodu osoba Manuela Kimballa mnie intrygowała. Tak czy inaczej był jednym z czwórki rozgrywającej pamiętnej niedzieli wspólną partię golfa. Poza tym wyglądał na obcokrajowca, miał dziwne imię niepasujące do nazwiska i w ogóle mnie denerwował.

Podczas lanczu rozmowa dotyczyła przede wszystkim tematów związanych z lotnictwem. Podtrzymywała ją głównie Sara, a kiedy brat raz czy dwa zboczył z tematu na sprawy bliższe jej sercu, gwałtownie mu przerywała. Ja zająłem się wyłącznie posiłkiem. Kiedy w końcu panna Barstow niespodziewanie odsunęła się z krzesłem od stołu, wbijając oparcie w żołądek Smalla, wszyscy wstaliśmy. Wtedy Larry Barstow zwrócił się do mnie po raz pierwszy (wcześniej traktował mnie jak powietrze):

- Chciał pan ze mną rozmawiać?

- Jeżeli może mi pan poświęcić kwadrans.

Zwrócił się do Kimballa:

- Czy możesz na mnie poczekać, Manny? Obiecałem siostruni, że porozmawiam z tym panem.

- Oczywiście. - Świdrujące oczy spoczęły na Sarze Barstow. - Może panna Barstow umili mi czekanie swoim towarzystwem.

Zgodziła się bez entuzjazmu. Najwyraźniej nie miała na to szczególnej ochoty. Powiedziałem więc do niej:

- Czy mogę przypomnieć, że obiecała pani towarzyszyć bratu w naszej rozmowie? - Nie było o tym mowy, ale wydawało mi się to oczywiste, poza tym chciałem, żeby przy tym była.

- Ach, faktycznie. - Chyba odetchnęła z ulgą. - Przepraszam, panie Kimball, czy możemy pana na chwilę zostawić? Może napije się pan kawy?

- Nie, dziękuję. - Ukłonił się jej i zwrócił do Larry'ego: - Pójdę rzucić okiem na ten silnik. Czy któreś z waszych aut może mnie podrzucić? Dzięki. Będę w hangarze. Wpadaj o każdej porze dnia i nocy. Dziękuję za przemiły lancz, panno Barstow.

Tym, co zadziwiło mnie w postaci Manuela najbardziej, był jego głos. Z racji postury można się było po nim spodziewać piskliwego tenoru, tymczasem dźwięk, który wydawał z siebie, przywoływał raczej na myśl ryczącego byka - był głęboki i nieco drżący, ale w gruncie rzeczy przyjemny. Larry Barstow wyszedł z Manuelem, by nakazać komuś ze służby odwiezienie go do domu. Poczekaliśmy z Sarą chwilę, po czym wszyscy troje wyszliśmy do ogrodu, w to samo miejsce, gdzie rano rozmawiałem z panną Barstow. Larry usiadł na trawie, a Sara i ja zajęliśmy miejsce na ławce.

Wyjaśniłem, że zależało mi na obecności panny Barstow, ponieważ umowa została zawarta między nią a Nero Wolfe'em i chciałbym, żeby Sara miała pewność, iż nie zostanie powiedziane ani zrobione nic, co wykraczałoby poza ustalenia. Mam kilka pytań i jeżeli zajdzie jakakolwiek wątpliwość, czy jestem upoważniony do ich zadania, Sara to jedyna osoba, która ma prawo ją zgłosić.

- W porządku. Jestem więc na miejscu - powiedziała.

Wyglądała na zmęczoną. Rano siedziała sztywno wyprostowana, teraz jakby oklapła.

- Z tego, co wiem, nazywa się pan Goodwin, zgadza się? - zaczął Larry.

- Zgadza.

- Dobrze. A ta pańska umowa, jak ją pan raczy nazywać, to nie jest nic innego jak tania, bezczelna sztuczka.

- Coś jeszcze, panie Barstow?

- Tak, jeżeli panu mało. Szantaż.

- Larry! Jak się umawialiśmy? - zareagowała Sara.

- Moment, panno Barstow. - Zacząłem przeglądać notatki. - Może pani brat powinien to usłyszeć. Znajdę ten fragment za minutkę. - Oto i on.

Przeczytałem słowa Wolfe'a, nie za szybko, po czym zamknąłem notatnik.

- Tak brzmi umowa, panie Barstow. Mogę potwierdzić z pełnym przekonaniem, że mój pracodawca, Nero Wolfe, trzyma swe nerwy na wodzy, ale mnie się zdarza, od czasu do czasu, stracić panowanie nad sobą. Jeżeli jeszcze raz nazwie go pan szantażystą, rezultat tego prawdopodobnie będzie opłakany. Skoro nie potrafi pan docenić przysługi, która zostaje panu wyświadczona, cios w szczękę powinien pan odebrać jako komplement.

- Siostrzyczko, będzie lepiej, jak pójdziesz do domu - powiedział.

- Za chwilę pójdzie - oświadczyłem. - Jeżeli wyrzucamy umowę za burtę, powinna jednak być przy tym obecna. Jeżeli się to panu nie podobało, dlaczego pozwolił jej pan przyjść samej do domu Wolfe'a? Z przyjemnością porozmawiałby z panem osobiście. Powiedział Sarze, że nie zrezygnujemy ze śledztwa w żadnym wypadku. To nasza praca, nie żadne zaplute lewe interesy. Niech pan popyta, a dowie się pan, z kim mieliśmy do czynienia. To samo ja powtórzę panu - z umową czy bez, nie spoczniemy, dopóki nie odnajdziemy mordercy Petera Olivera Barstowa. Jeżeli chce pan znać moje zdanie, to Sara ubiła świetny interes. Jeśli myśli pan inaczej, musi być tego jakiś powód i to jest jedna z rzeczy, których mamy zamiar się dowiedzieć.

- Larry. - Panna Barstow wstała. - Larry! - powtórzyła. Jej głos mówił wiele. Były w nim napomnienie, prośba i przestroga w jednym.

- Niech pan da spokój - powiedziałem do Barstowa. - Rozumiem pana zdenerwowanie, a lustrowanie mojej osoby wzrokiem przez cały lancz w niczym nie pomogło. Ale jeśli coś jest nie

tak z pana samolotem, z pewnością nie kopie pan w niego i nie wyje z wściekłości, tylko ściąga pan wizytowy garnitur i próbuje coś z tym zrobić, czy nie tak?

Siedział, wpatrując się nie we mnie, lecz w swoją siostrę - z wydętą dolną wargą, przez co wyglądał po części jak dziecko, które ma zamiar za chwilę się rozpłakać, a po części jak ktoś, kto postanowił właśnie wysłać cały świat do diabła.

- Dobrze, siostrzyczko - rzucił w końcu. Nie okazał śladu skruchy w stosunku do mnie, ale pomyślałem sobie, że tę kwestię możemy póki co odłożyć na później.

Kiedy zacząłem zadawać mu pytania, odpowiadał jasno i zwięźle. Nie gmatwał i nie owijał w bawełnę. Nawet gdy doszło do niebezpiecznego tematu walizki, przy którym jego siostra miotała się jak ryba w sieci, wszystko poszło prosto i klarownie. Torbę przywieziono bagażówką. W samochodzie, którym przyjechali, nie było żadnych bagaży prócz jednej walizki, należącej do matki. Kiedy ciężarówka przyjechała pod dom około trzeciej po południu, wszystkie rzeczy z miejsca rozładowano - torbę ze sprzętem prawdopodobnie zaniesiono prosto do pokoju ojca, choć Larry sam tego nie widział. W niedzielę przy śniadaniu zdecydowali z ojcem, by zagrać po południu w golfa.

- Kto wpadł na ten pomysł? Pan czy ojciec?

Nie pamiętał. Gdy Barstow zszedł na dół po lanczu, miał torbę przy sobie. Pojechali do Green Meadow Club sedanem, zaparkowali i ojciec skierował się prosto do pierwszej podstawki, z torbą w ręce, podczas gdy Larry poszedł znaleźć pomocników. Larry nie przywiązywał do tego szczególnej wagi, ale ojciec miał z zeszłego roku swojego ulubieńca. Akurat tak się złożyło, że chłopak był na miejscu, więc Larry zgarnął jego i jeszcze drugiego. Po drodze Larry natrafił na Kimballów, również przygotowujących się do gry. Nie widział Manuela od paru miesięcy i miał wielką ochotę obgadać z nim plany na lato, toteż, wiedząc, że ojciec nie będzie miał nic przeciw temu, zaproponował im grę w czwórkę. Kiedy dotarli do stanowiska, ojciec stał kawałek dalej, ćwicząc wymachy kijem typu mashie. Peter Oliver Barstow był w dobrych stosunkach z Kimballami. Przywitał się serdecznie z ich pomocnikiem i posłał go po piłkę.

Poczekali na swoją kolejkę i rozpoczęli grę. Manuel Kimball uderzał pierwszy, potem Larry, następnie Barstow, na końcu starszy Kimball. Larry nie pamiętał, czy ojciec wyjmował kij z torby osobiście, czy podawał go pomocnik. Gdy czekali, Barstow rozmawiał z Manuelem, a tuż przed jego kolejką Larry był akurat zajęty własną zagrywką. Ale ze względu na niezwykłość sytuacji zapamiętał dokładnie to, co nastąpiło potem. W momencie gdy ojciec uderzył kijem w piłkę, ten wykonał jakby dziwaczne szarpnięcie i kiedy piłka popędziła w niewłaściwym kierunku, Barstow krzyknął, po czym skrzywił się i złapał rękami za brzuch. Larry nigdy wcześniej nie widział, by ojciec, tak zawsze hołdujący dystynkcji i etykiecie, do tego stopnia zapomniał się w publicznym miejscu. Zaczęli go pytać, co się stało, a on powiedział coś o szerszeniu czy osie i zaczął rozpinać

koszulę. Larry był zszokowany zachowaniem ojca. Zajrzał mu pod koszulę i zobaczył na brzuchu mały, niemal niewidoczny punkt. Ojciec zaczął odzyskiwać spokój, utrzymując, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i nic się nie stało. Starszy Kimball wykonał uderzenie i wszyscy razem ruszyli wzdłuż toru.

Resztę opisały ze szczegółami gazety. Trzydzieści minut później, na drodze prowadzącej do czwartego z kolei dołka, Barstow nagle upadł na ziemię i zaczął zwijać się z bólu. Kiedy jego pomocnik dobiegł do niego, wciąż był żywy, ale zanim nadciągnęli pozostali, zdążył wyzionąć ducha. Wokół zgromadził się tłum - wśród ludzi znalazł się od lat zaprzyjaźniony z rodziną doktor Nathaniel Bradford. Manuel Kimball poszedł po auto. Ułożono ciało na tylnym siedzeniu, doktor Bradford usiadł obok, przytrzymując głowę zmarłego. Larry zajął miejsce za kierownicą.

Nie pamiętał nic związanego z tamtą torbą. Absolutnie nic. Słyszał relację chłopaka, który mówił, że położono ją z przodu naprzeciw siedzenia, ale nie potrafił sobie przypomnieć, czy ją widział w trakcie drogi albo później. Powiedział, że przejechał te sześć mil powoli i ostrożnie, a po powrocie do domu odkrył krew na brodzie i dolnej wardze - ślad po własnych zębach.

Potrafił kłamać dużo lepiej niż jego siostra. Gdyby ona nie zdradziła się wcześniej, byłbym gotów kupić bajeczkę, którą Larry usiłować mi wcisnąć. Próbowałem podchodzić go z różnych stron, ale nie dał się zwieść.

Chwilowo dałem sobie spokój i spytałem go o Kimballów. Powiedział mi to samo, co jego siostra. Rodziny nie utrzymywały ze sobą na tyle zażyłych kontaktów, by warto było o tym mówić, nie licząc znajomości Larry'ego z Manuelem, opartej na fakcie, iż ten drugi był właścicielem i pilotem samolotu. Larry miał zamiar sprawić sobie własny pojazd, gdy tylko zdobędzie licencję.

W końcu poruszyłem temat, którym przed lanczem tak zdenerwowałem panią Barstow. Zadałem to samo pytanie Larry'emu i jego siostrze, ale tym razem nie doszło do żadnego konfliktu - w ogóle do niczego nie doszło. Stwierdzili, że nie znają nikogo, kto mógłby mieć jakikolwiek żal do ich ojca, czuć do niego wrogość lub nienawiść i w ogóle niemożliwe jest, by ktoś taki istniał. W trakcie swej znaczącej kariery - został szefem Holland College w wieku czterdziestu ośmiu lat, dziesięć lat temu - natrafiał na wielu przeciwników, ale zawsze znajdował sposób, by ich obłaskawiać, a nie niszczyć. Jego prywatne życie to tylko rodzina. Syn, jak się zorientowałem, obdarzał go szacunkiem i pewnym rodzajem uczucia, córka szczerze go kochała. Byli zgodni co do tego, że nikt nie mógł go nienawidzić. Sara, powtarzając mi to, czego przed trzema godzinami dowiedziałem się od matki, przewiercała mnie wzrokiem, w którym były wyzwanie i prośba jednocześnie.

Zapytałem z kolei o doktora Bradforda - zwracając się tym razem do panny Barstow. W świetle tego, co już wiedziałem, oczekiwałem zakłopotania i poplątanych zeznań, ale nic takiego nie nastąpiło. Objaśniła mi, bez zbędnych ozdobników, że Bradford i jej ojciec znali się jeszcze ze

szkoły, że przyjaźnili się niemal od zawsze, a Bradford, który był wdowcem, przynależał na dobrą sprawę do rodziny, zwłaszcza w porze wakacji, kiedy w dodatku mieszkał po sąsiedzku. Pełnił także funkcję lekarza rodzinnego i to głównie on leczył ojca z jego schorzeń, choć zasięgał czasem opinii specjalisty.

- Lubi go pani? - spytałem Sarę Barstow.

- Czy go lubię?

- Tak. Czy lubi pani doktora Bradforda?

- Oczywiście. Jest jednym z najwspanialszych i najuczciwszych ludzi, jakich znam.

Zwróciłem się do jej brata:

- Czy lubi pan doktora Bradforda, panie Barstow?

Larry zmarszczył czoło. Był zmęczony. Wykazał już dużo cierpliwości - znęcałem się nad nim przez dwie godziny.

- Lubię go wystarczająco. Zgodnie z tym, co mówi moja siostra, jest w porządku, aczkolwiek przesadza z prawieniem kazań. W tej chwili mi to nie przeszkadza, ale jak byłem mały, zmykałem przed nim, gdzie pieprz rośnie.

- Przyjechaliście w sobotę w południe. Czy doktor Bradford był tutaj pomiędzy tą chwilą a waszym niedzielnym spotkaniem?

- Nie wiem. A tak, oczywiście. Był w sobotę na kolacji.

- Sądzi pan, że istnieje szansa, by to on zabił pana ojca?

Larry wlepił we mnie wzrok.

- Boże! Czy chce mnie pan wziąć z zaskoczenia i wymusić zeznanie?

- Co pani sądzi, panno Barstow?

- Nonsens.

- W porządku, nonsens. Kto w takim razie wpadł na pomysł, by to Bradford zdiagnozował zawał? Które z was? On sam?

Larry nie odrywał ode mnie wzroku. Jego siostra powiedziała cicho:

- Życzył pan sobie, żebym pilnowała przestrzegania warunków umowy, panie Goodwin. Wykazałam już wystarczająco wiele cierpliwości.

- Dobrze. Zmieniam temat.

Zwróciłem się do jej brata.

- Znów się pan zdenerwował, panie Barstow. Proszę o tym zapomnieć. Ludzie pana pokroju nie są przyzwyczajeni do impertynencji, ale nawet pan nie wie, jak łatwo do tego przywyknąć. Zostało już niewiele. Gdzie pan był w poniedziałek, piątego czerwca, pomiędzy godziną dziewiętnastą a dwudziestą czwartą?

- Nie wiem. Skąd niby mam wiedzieć?

- Z pamięci. To nie jest kolejna impertynencja. Pytam poważnie, to istotne. Poniedziałek, piątego czerwca. Pogrzeb pana ojca miał miejsce we wtorek. Pytam o wieczór poprzedzający dzień pogrzebu.

- Ja mogę odpowiedzieć na to pytanie - wtrąciła panna Barstow.

- Wolałbym, żeby zrobił to pani brat, jeżeli mogę o to prosić.

Mogłem, jak się okazało.

- Nie ma powodu, żebym nie odpowiedział. Byłem w tym czasie w domu.

- Przez cały wieczór?

- Tak.

- Czy był z panem ktoś jeszcze?

- Moja matka, siostra i Robertsonowie.

- Robertsonowie?

- Zgadza się.

- Robertsonowie to starzy przyjaciele - wtrąciła znowu Sara. - Małżeństwo z dwoma córkami.

- O której godzinie przyszli?

- Zaraz po kolacji. Właściwie jeszcze jej nie skończyliśmy. Około wpół do ósmej.

- Czy doktor Bradford też był obecny?

- Nie.

- Czy to nie dziwne?

- Dziwne? Dlaczego? No, może trochę. Musiał pojechać na jakieś zawodowe spotkanie do Nowego Jorku.

- Rozumiem. Dziękuję panno Barstow.

Zwróciłem się znów do jej brata:

- Ostatnie pytanie. Raczej prośba. Czy Manuel Kimball ma w swoim hangarze telefon?

- Tak.

- Czy może pan do niego zatelefonować z informacją, że jadę się z nim zobaczyć, i poprosić go, by zechciał się ze mną spotkać?

- Nie. Dlaczego miałbym to zrobić?

Panna Barstow dodała:

- Nie ma pan prawa o to prosić. Jeżeli chce pan rozmawiać z Kimballem, jest to tylko i wyłącznie pański interes.

- Racja. - Zamknąłem notes i wstałem. - Nie da się ukryć, święta racja. Jednak gdy sam do niego zadzwonię, spławi mnie i będzie po sprawie. Jest przyjacielem rodziny, a przynajmniej tak mu się wydaje. Potrzebuję waszego wsparcia.

- Tak, bez wątpienia, przydałoby się panu. - Larry wstał również i zaczął otrzepywać spodnie z trawy. - Nie otrzyma go pan jednak. Gdzie pański kapelusz? W domu?

- Owszem. Znajdzie go pan po drodze do telefonu. Proszę posłuchać - jestem zmuszony prosić, by zadzwonił pan do Kimballa, do Robertsonów i do Green Meadow Club. Na razie tyle. Niewykluczone, że coś jeszcze mi się przypomni. Muszę się rozejrzeć, porozmawiać z ludźmi, zapoznać z paroma faktami. Im bardziej mi to ułatwicie, tym lepiej dla was. Nero Wolfe zdobył dość informacji, żeby skłonić policję do ekshumacji ciała. Nie zdradził im jednak wszystkiego. Czy chcecie mnie zmusić, bym poszedł do prokuratora okręgowego i przyszpilił go tak, by dał mi przepustkę w każde miejsce, o które poproszę? Zrobi to, bo wie, że trzymamy go w szachu. Pójdę tam niezwłocznie i się z nim zaprzyjaźnię, nie mam nic przeciw temu, lubię zawierać nowe przyjaźnie. Wy, moi drodzy, jak sądzę, niekoniecznie. Jeżeli uważa to pan za kolejny szantaż, panie Barstow, wezmę swój kapelusz i skończę z tym. Na pańskie życzenie.

Wymierzyłem, mówiąc to, cios poniżej pasa, ale sami się o to prosili. Ich problem, a zwłaszcza jego, polegał na tym, że przez całe życie czuli się tak pewni siebie, niezależni i dumni, że najwyraźniej zapomnieli, w jakim tkwią bagnie, i ktoś musiał im o tym przypomnieć. Udało się. Gdy przyszło co do czego, wyszło na jaw, że naprawdę trzęśli portkami ze strachu. A gdybym miał ochotę sprezentować im tego popołudnia miłą niespodziankę, podzieliłbym się z nimi swoimi spostrzeżeniami i okazałoby się, że mieli ku temu powody.

Dali za wygraną, co było do przewidzenia. Weszliśmy do domu i Sara Barstow zatelefonowała do Robertsonów, a jej brat do klubu i do Manuela Kimballa. Doszedłem do wniosku, że nie ma szans większych niż jedna na milion, żeby wyciągnąć cokolwiek od służby, zwłaszcza jeśli została przećwiczona przez Smalla, toteż gdy tylko wszystkie konieczne telefony zostały wykonane, wziąłem z hallu swoją panamę i zebrałem się do wyjścia. Larry Barstow odprowadził mnie na boczny taras, prawdopodobnie po to, by mieć pewność, że nie wśliznę się z powrotem, aby podsłuchiwać przez dziurkę od klucza. Kiedy wyszliśmy, przed domem właśnie parkował samochód. Ubawiłem się setnie, zobaczywszy, jak wysiada z niego niejaki H. R. Corbett - glina z biura Andersona, który niedawno usiłował staranować drzwi domu Wolfe'a, gdy grałem rolę odźwiernego. Zasalutowałem mu radośnie i zacząłem odchodzić w swoją stronę. Zawołał za mną:

- Hej, ty!

Zatrzymałem się i odwróciłem. Larry Barstow stał na tarasie, obserwując nas.

- Czy mówił pan do mnie, sir? - spytałem.

Corbett ruszył ku mnie, nie reagując na moją ripostę.

- Co, do cholery, tutaj robisz?

Stanąłem i wyszczerzyłem się w uśmiechu, zwracając się do Larry'ego, nadal stojącego na tarasie:

- To pański dom, panie Barstow, więc może będzie lepiej, jak to pan objaśni, co, do cholery, tutaj robię.

Nie było trudno wyczytać z twarzy Larry'ego, ze choć istnieje małe prawdopodobieństwo, bym spodziewał się od niego kartki świątecznej, wysłałby mi ją sto razy chętniej niż Corbettowi. Powiedział:

- Pan Barstow przybył tu na zaproszenie mojej siostry, by omówić parę spraw. Prawdopodobnie nie jest to jego ostatnia wizyta. Chce pan zbadać to dokładniej?

Corbett odchrząknął i spojrzał na mnie uważnie:

- Może ma pan ochotę na wycieczkę do White Plains?

- W żadnym wypadku. - Pokręciłem głową. - Nie lubię tego miasteczka. Jest tak zacofane, że nawet nie można tam zrobić uczciwego zakładu. Na razie, Corbett. Nie życzę ci źle, bo nawet przy pomyślnych wiatrach nie dorobisz się zbytnio na tej stypie.

Nie zawracając sobie głowy odpowiedzią na groźby i obelgi, które rzucał pod moim adresem, podszedłem do roadstera, wsiadłem, i tyle mnie widzieli.

Rozdział 10

Pojechałem najpierw do Robertsonów, wiedząc, że nie zajmie mi to wiele czasu i lepiej od razu mieć tę sprawę z głowy. Pani Robertson czekała na mnie w domu wraz z dwiema córkami, uprzedzona przez Sarę. Potwierdziły, że całą rodziną byli u Barstowów na kolacji piątego czerwca, w dniu poprzedzającym pogrzeb - przyjechali tam dobrze przed ósmą i wrócili do domu po północy. Pamiętały z całą pewnością, że Larry, Sara oraz pani Barstow towarzyszyli im przez cały wieczór. Spytałem, czy są absolutnie pewne, że nie pomyliły daty, zadałem też kilka standardowych pytań odnośnie do rodziny Barstowów, ale wkrótce dałem sobie spokój. Nie chciały rozmawiać z nieznajomym na temat swoich starych przyjaciół, nie zdradziły nawet, że pani Barstow nie jest zupełnie przy zdrowych zmysłach, niepewne tego, co już na ten temat wiem.

Do rezydencji Kimballów zajechałem nieco po piątej. Nie była tak imponująca jak włości Barstowów, ale za to dużo większa. Wjechawszy na prywatną drogę, musiałem przemierzyć jeszcze ponad pół mili. Posiadłość położona była głównie na równinnym terenie. Otaczały ją po części resztki starego muru i przecinało kilka dzikich strumyków. Po lewej stronie rosło parę drzew. Dom stał na pagórku, otoczony parkanem wiecznie zielonych krzewów, z dobrze utrzymanym, choć niezbyt rozległym trawnikiem, na którym nie było jednak żadnych kwiatów, w każdym razie widocznych z samochodu. Dom był mniejszy od domu Barstowów - zupełnie nowy, zbudowany z drewna, ze stromym dachem krytym dachówkami - jeden z wielu, które - pomimo pewnych drobnych różnic - wrzucałem do jednego worka z etykietką: Queen William.

Za domem rozciągała się rozległa łąka. Tłusty facet w stroju lokaja, który pojawił się w drzwiach, kazał mi jechać w tamtym kierunku, wzdłuż wąskiej żwirowanej alejki. Na łące nie zauważyłem pozostałości muru. Była płaska, równo skoszona, w sam raz na prywatne lotnisko. Na jej skraju, mniej więcej w połowie drogi od domu, stał niski betonowy budynek. Żwirowana alejka prowadziła prosto do niego. Od frontu biegł długi wybetonowany pas startowy, przy którym stały zaparkowane dwa samochody.

Zastałem Manuela Kimballa w środku, myjącego ręce pod kranem. Samolot zajmował prawie całe wnętrze - czarne skrzydła, czerwony kadłub - stał, opierając się na ogonie. Dłubał przy nim jakiś mężczyzna ubrany w roboczy kombinezon. Wszystko było tu czyste i panował nienaganny porządek. Na stalowych półkach, biegnących wzdłuż jednej ze ścian, leżały równo ułożone różne przedmioty - narzędzia, puszki z olejem i inne rupiecie. Nad zlewem znajdowała się nawet specjalna półka, na której było kilka czystych ręczników.

- Nazywam się Goodwin - przypomniałem.

- Tak, wiem, czekałem na pana - odpowiedział. - Skończyłem już na dzisiaj. Możemy pójść do domu i porozmawiać w spokoju.

Zwrócił się do mężczyzny w kombinezonie:

- Możemy odłożyć to do jutra, Skinner, nie planuję latać wcześniej niż popołudniu.

Wytarł ręce i wyszliśmy na zewnątrz. Kimball poszedł do swojego samochodu, ja wsiadłem do roadstera i pojechaliśmy.

Manuel był grzeczny i uprzejmy - nie da się ukryć - choć wyglądał jak obcokrajowiec, a jego zachowanie podczas lanczu irytowało mnie. Zaprowadził mnie do przestronnego pokoju i wskazał duży, wygodny, skórzany fotel. Skinął na grubego lokaja, który po chwili przyniósł nam drinki w wysokich szklankach. Zauważywszy, że się rozglądam, objaśnił, że dom został umeblowany przez niego i ojca, zgodnie z ich własnym gustem - nie mieszkała tu żadna kobieta, a oni nie uznawali dekoratorów wnętrz.

Przytaknąłem ze zrozumieniem.

- Pani Barstow wspomniała, że pańska matka zmarła wiele lat temu.

Powiedziałem to tak sobie, bez emocji, ale jak zawsze obserwowałem rozmówcę i zaskoczył mnie efekt, jaki wywołały moje słowa. Przez jego twarz przeszedł spazm - trudno to ująć inaczej. Trwał ułamek sekundy, ale przez ten czas z całą pewnością coś zdążyło mocno go zranić. Nie byłem pewien, czy ów ból spowodowało wspomnienie matki, ale był widoczny. Tak czy inaczej, nie poruszałem więcej tego tematu.

- Jak rozumiem, prowadzi pan śledztwo w sprawie śmierci ojca panny Barstow? - powiedział.

- Zgadza się. Na jej prośbę, w pewnym sensie. Także ojca Larry'ego Barstowa i męża pani Barstow.

Uśmiechnął się i skierował na mnie spojrzenie swych przenikliwych czarnych oczu.

- Jeżeli to jest pierwsze pytanie, to zostało celnie zadane. Faktycznie nie powinienem postrzegać tego świętej pamięci człowieka w ten sposób. Rzecz w tym, że uwielbiam pannę Barstow i nic na to nie mogę poradzić.

- W porządku. Ja również. To nie było pytanie, tylko luźna uwaga. Chcę pana zapytać o okoliczności towarzyszące wydarzeniom tamtej niedzieli, a konkretnie samej grze. Pewnie był pan już na ten temat przepytywany.

- Tak. Dwukrotnie przez detektywa o nazwisku Corbett' i raz przez prokuratora Andersona.

- Więc powinien znać pan już tę historię na pamięć. Czy mógłby pan powtórzyć ją jeszcze raz?

Siedziałem ze szklanką w dłoni i słuchałem, nie wtrącając się. Nie notowałem, bo byłem już w posiadaniu notatek z relacji Larry'ego i ewentualne różnice mogłem skonfrontować później.

Manuel Kimball był dokładny i precyzyjny. Kiedy skończył, zostało mi niewiele pytań, aczkolwiek było parę szczegółów, które nie dawały mi spokoju. A zwłaszcza jeden, którym

opowieść Kimballa różniła się od historii Larry'ego. Manuel powiedział, że Barstow, gdy - jak sądził - użądliła go osa, upuścił kij, który podniósł jego pomocnik. Tymczasem Larry utrzymywał wcześniej, że ojciec, rozpinając jedną ręką koszulę, drugą oparł się o kij. Manuel oświadczył, że wydaje mu się, iż dobrze to pamięta, ale może było tak, jak mówi Larry. To nie miało większego znaczenia, skoro i tak kij trafił później do torby, a historia Manuela poza tym zgadzała się z wersją Larry'ego.

Zachęcony tym, że Manuel posiał po następną kolejkę drinków, poszerzyłem nieco temat rozmowy. Nie miał nic przeciw temu. Jego ojciec zajmował się handlem zbożem i codziennie wyjeżdżał do swego biura w Nowym Jorku, na Pearl Street, zaś on, Manuel, myślał o założeniu fabryki samolotów. Był, jak twierdził, dobrze wyszkolonym pilotem. Ojciec obiecał mu finansowe wsparcie, aczkolwiek nie miał wielkiego przekonania co do tego przedsięwzięcia i był w ogóle raczej sceptyczny wobec samolotów. Manuel sądził, że Larry jest obiecującym projektantem - uważał, iż ma w tym kierunku prawdziwy talent - i miał nadzieję przekonać go do udziału w tym pomyśle. Dodał jeszcze:

- Oczywiście Larry nie jest na to gotowy w tym momencie i nie mam zamiaru go popędzać. Nie ma co się dziwić - najpierw nagła śmierć ojca, potem autopsja i jej zaskakujący rezultat. Tak przy okazji, panie Goodwin, oczywiście każdy zastanawia się, w jaki sposób Nero Wolfe - tak, zdaje się, nazywa się pana pracodawca? - zdołał przewidzieć ów rezultat z takimi detalami. Wiem o tej sprawie od Andersona, który zdał mi relację parę dni temu, siedząc w tym samym fotelu co pan. No, ale ta historia jest powszechnie znana - dwa dni temu w Green Meadow Club rozmawiano wyłącznie na dwa tematy: kto zabił Barstowa i w jaki sposób Nero Wolfe wpadł na ten trop. Czy zamierzacie wyjawić odpowiedź na drugie pytanie dopiero po odkryciu odpowiedzi na pierwsze?

- Być może. Mam nadzieję, panie Kimball. Tak czy inaczej, nie odpowiemy na nie wcześniej. Nie, dziękuję, dla mnie wystarczy. Po jeszcze jednym pańskim wykwintnym drinku gotów byłbym odpowiedzieć na prawie każde pytanie. A to z pewnością nie zrobiłoby dobrze sprawie. Nawet gdybym później wszystko odwołał.

- Wobec tego tym bardziej proszę wypić jeszcze jeden. Oczywiście, interesuję się tą kwestią, podobnie jak każdy inny. Nero Wolfe musi być niezwykłym człowiekiem.

- Dobrze, powiem panu. - Odchyliłem głowę, by wlać w siebie pozostałą zawartość szklanki. Jak tylko resztki lodu i ostatnie krople płynu sięgnęły moich ust, natychmiast opuściłem podbródek wraz ze szklanką. To była jedna z moich małych sztuczek. Wywołało to jedynie błysk zainteresowania na twarzy Kimballa, ale wszak mówił już, że jest zaciekawiony, więc raczej nie poczyniłem odkrycia na światową skalę. Po chwili mówiłem dalej:

- Jeżeli Nero Wolfe nie jest niezwykłym człowiekiem, Napoleon nie był nikim więcej niż starszym sierżantem. Przykro mi, że nie mogę zdradzić panu sekretów jego pracy, ale muszę

zasłużyć na pensję, którą mi płaci, a składa się na nią między innymi trzymanie języka za zębami. - Spojrzałem na zegarek. - Zbliża się pewnie pora pańskiej kolacji. Jest pan bardzo gościnny. Doceniam to i na pewno doceni to również Nero Wolfe.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę się nie krępować. Ojciec nie wraca, a ja nie lubię jadać samotnie. Zamierzałem zjeść kolację później, w klubie.

- Więc pana ojca nie będzie? - Zmartwiłem się. - To nieco opóźnia sprawę. Właśnie miałem zamiar udać się do Pleasantville lub White Plains coś zjeść, a później wrócić i zobaczyć się z nim. Szczerze mówiąc, właśnie chciałem poprosić pana o drobną przysługę - by powiedział mu pan, że mam zamiar złożyć mu wizytę.

- Przykro mi.

- Nie wróci do domu na noc?

- Nie. Wyjechał w zeszłym tygodniu do Chicago w interesach. Nie pan pierwszy jest rozczarowany tym faktem. Anderson i ten drugi detektyw piszą do niego dzień w dzień. Nie bardzo wiem dlaczego. Ledwo co znał Barstowa. Nie przypuszczam, by przejął się ich telegramami na tyle, by skrócić wyjazd. Musi najpierw pozałatwiać swoje sprawy. Taki już jest. Nie lubi niedokończonych rzeczy.

- Kiedy ma zamiar wrócić?

- Nie wiem dokładnie. Około piętnastego - tak twierdził, gdy wyjeżdżał.

- Tak? To niedobrze. Oczywiście to rutynowa kwestia, ale dobry detektyw w takiej sytuacji chciałby przesłuchać każdego ze świadków. Skoro więc nie może mi pan pomóc w tym, o co prosiłem, być może mógłby pan oddać mi inną przysługę. To także rutynowa kwestia. Proszę powiedzieć, gdzie pan był między piątą popołudniu a północą w poniedziałek, piątego czerwca. Wieczór przed dniem pogrzebu. Czy był pan na pogrzebie? Chodzi o poprzedni wieczór.

Manuel Kimball spojrzał na mnie z napięciem na twarzy, jak ktoś, kto usilnie próbuje sobie o czymś przypomnieć. Powiedział:

- Tak, byłem na pogrzebie. To był wtorek. Dokładnie tydzień temu. A, tak. Myślę, że wiem, tak. Jestem pewien. Skinner może potwierdzić. Byłem w chmurach.

- W chmurach?

Pokiwał głową.

- Ćwiczyłem latanie i lądowanie nocą. Kilka razy w maju i w tamten poniedziałek także. Skinner potwierdzi. Pomagał mi przy starcie i kazałem mu czekać, bo chciałem, żeby zobaczył, czy światła są w porządku. To niełatwa sztuka, coś zupełnie innego niż w dzień.

- Kiedy pan wyleciał?

- Około szóstej. Oczywiście całkiem ciemno zrobiło się dopiero o dziewiątej. Ale chciałem wylecieć przed zmrokiem.

- Udało się panu całkiem nieźle. O której pan wrócił?

- O dziesiątej, może trochę po. O to też najlepiej zapytać Skinnera. Szwendał się tu z zegarkiem w ręku jak głupi do samej północy.

- Czy latał pan sam?

- Zupełnie. - Rozciągnął usta w uśmiechu, ale dało się zauważyć, że oczy nie podążyły tym śladem. - Musi pan przyznać, panie Goodwin, że wykazałem już wystarczająco dużo cierpliwości. Co, do diabła, mój lot w poniedziałkową noc, czy w jakąkolwiek inną, może pana obchodzić? Czy nie sądzi pan, że mam prawo być tym nieco zirytowany?

- Jasne. - Wyszczerzyłem się. - Na pana miejscu też byłbym nieco zirytowany. Ale, niestety, panie Kimball, mus to mus. Rutyna, cholerna rutyna. - Wstałem i potrząsnąłem nogą, by spuścić mankiety spodni. - Jestem niezwykle zobowiązany i doceniam pana cierpliwość. Myślę, że latanie w nocy musi być dużo bardziej ekscytujące niż w dzień.

Wstał również.

- Jest. I proszę się nie czuć zobowiązanym. To zaszczyt dla mnie gościć w mych progach człowieka Nero Wolfe'a.

Polecił lokajowi przynieść mój kapelusz.

Pół godziny później, tnąc na południe wzdłuż Bronx River Parkway, trawiłem w myślach jego słowa. Choć nie było widać żadnych powiązań między Kimballem a Barstowem, kijem do golfa i całą tą sprawą, ten gość wciąż w niewyjaśniony sposób mnie irytował. Ostatecznie Wolfe powiedział, że nie mam głowy do zjawisk! Następnym razem, gdy mi zarzuci coś podobnego, przypomnę mu o swoich przeczuciach względem Manuela Kimballa, zdecydowałem. Oczywiście, jeżeli okaże się, że to on zabił Barstowa, co - musiałem przyznać - nie wydawało się póki co zbyt prawdopodobne. Kiedy wróciłem do domu około wpół do dziewiątej, Wolfe właśnie skończył kolację. Zatelefonowałem wcześniej z domu towarowego na Grand Concourse i Fritz czekał na mnie z gorącym posiłkiem złożonym z flądry w najprzedniejszym serowym sosie z listkiem sałaty, pomidorami oraz mnóstwem pysznego zimnego mleka. Biorąc pod uwagę, że byłem jedynie po cienkim lanczu u Barstowów, nie przerastało to moich możliwości. Wyczyściłem talerz do ostatniego kęsa. Fritz skomentował, że miło widzieć mnie znów w akcji.

Odpowiedziałem:

- Niech mnie drzwi ścisną, jeżeli jesteś w błędzie. To całe bagno nadawałoby się dla szeryfa, niestety, padło na mnie.

Zachichotał. Był jedynym człowiekiem, jakiego znałem, który robił to, nie dając ci żadnych wątpliwości co do swych intencji.

Wolfe siedział w fotelu i odpędzał muchy. Nienawidził ich. Rzadko kiedy się tu dostawały, ale jakimś sposobem dwie zdołały wlecieć i krążyły wytrwale wokół jego biurka. Choć nie cierpiał

tych owadów jak niczego innego na świecie, nie potrafił ich zabijać, bo - jak twierdził - podczas gdy żywa mucha doprowadza go do szewskiej pasji, zamordowana obraża jego szacunek dla powagi śmierci, co jest jeszcze gorsze. Moim zdaniem po prostu się ich brzydził. Tak czy inaczej siedział w fotelu z packą w dłoni, bacząc, na ile mocno może nią wymierzyć w muchę, by nie pozbawić nieszczęsną życia. Kiedy wszedłem, wręczył mi śmiercionośne narzędzie, a ja uporałem się z tym czym prędzej, po czym wrzuciłem ofiary do kosza na śmieci.

- Dziękuję - powiedział Wolfe. - Przez te diabelskie insekty niemal zapomniałbym, że *Dendrobiums chlorostele* wypuściło dwa nowe pączki.

- Nie! Naprawdę?

Pokiwał głową.

- To, które stoi w pełnym słońcu. Pozostałe ustąpiły mu miejsca.

- Jeden będzie dla Horstmanna.

- Tak. Kto zabił Barstowa?

Uśmiechnąłem się.

- Niech mi pan da chwilę. Nazwisko wyleciało mi z głowy. Za moment sobie przypomnę.

- Powinieneś był je sobie zapisać. Dobrze, niech będzie. Wystarczyło ci jedzenia? To dawaj, co masz.

Raport był satysfakcjonujący tylko połowicznie. Nie byłem z niego zbyt dumny, ale i nie miałem się czego wstydzić. Wolfe przerwał mi jedynie raz. Jak zwykle gdy miałem do opowiedzenia dłuższą historię, siedział oparty wygodnie w fotelu, z brodą opuszczoną na piersi, łokciami opartymi na poręczach i dłońmi splecionymi na brzuchu. Oczy miał półprzymknięte, ale nie odrywał ich od mojej twarzy. Przerwał w połowie, by zlecić Fritzowi przyniesienie piwa, po czym ustawiwszy dwie butelki i szklankę w zasięgu ręki, przyjął ponownie swą zwyczajową pozycję. Dobrnąłem do końca. Była północ.

Wolfe wydał długie westchnienie. Poszedłem do kuchni po szklankę mleka. Gdy wróciłem, szczypał się w czubek ucha z sennym wyrazem twarzy.

- Może masz jakieś pomysły? - spytał.

Usiadłem.

- Mgliste. Bardzo to wszystko niewyraźne. Pani Barstow jest zdrowo stuknięta. Niewykluczone, że mogła zabić swego męża, ale z pewnością nie zabiła Carla Maffei. Pannę Barstow poznał pan osobiście. Jest poza podejrzeniami. Podobnie jak jej brat - w każdym razie względem pana Maffei - jego alibi z piątego czerwca jest tak mocne, że można nim tłuc orzechy. Doktor Bradford z pewnością jest bardzo interesującym człowiekiem, chętnie bym się z nim kiedyś zobaczył. Jeżeli chodzi o Manuela Kimballa, nie sądzę, żeby to on zabił Barstowa, ale założę się, że w trakcie podniebnych wojaży załatwił na swej drodze niejednego anioła.

- Skąd ten pomysł? Jest okrutny? Ma szyderczy uśmiech? Źle mu patrzy z oczu?

- Nie. Ale spójrzmy chociażby na jego nazwisko. Denerwuje mnie. Wygląda jak Hiszpan. Skąd nazwisko Kimball?

- Nie widziałeś jego ojca.

- Wiem. Jasne, zła wiadomość, że torby ze sprzętem nie było w szafie, wytrąciła mnie z równowagi i szukam ofiary, na której mógłbym się wyżyć.

- Zła wiadomość? Dlaczego niby taka zła? - spytał Wolfe.

- O Boże! Myśleliśmy, że wystarczy przecedzić środowisko klubowiczów Green Meadow Club, tymczasem podejrzany jest każdy, kto przewinął się przez dom Barstowa przy koledżu przez ostatnie dziewięć miesięcy.

- Ależ skąd! Nie ma takiej możliwości. Żadna ze znanych trucizn, wystawiona na działanie powietrza - na przykład przez posmarowanie nią igły, nie może utrzymać dłużej niż przez dzień lub dwa swej mocy na tyle, by pozbawić życia mężczyznę takiego jak Barstow.

Uśmiechnąłem się.

- To już lepiej. Co jeszcze wyczytałeś?

- Mnóstwo ciekawych rzeczy. Wiele nieprzyjemnych również. W każdym razie historia torby ze sprzętem nie jest dla nas żadną złą wiadomością. Jej zniknięcie interesuje nas jedynie pobocznie, bo nawet nie wiemy, czy był w niej feralny kij, czy nie. Ale kto spowodował jej zniknięcie i po co?

- Jasne. Jednak jeśli się głębiej temu przyjrzeć - kto przyszedł prosić pana, by zrezygnował pan z nagrody i po co? Znamy już kogoś z tej rodziny, kto miewa oryginalne pomysły.

Wolfe wyciągnął palec w moją stronę.

- Łatwiej rozpoznać styl utworu z całego zdania niż z pojedynczego słowa. Ale co się tyczy tego, o czym wspomniałeś - o ile sprzątnięcie torby ze sceny było gestem oczywistym, naturalnym i zrozumiałym, o tyle przyjście do naszego biura to już, mimo wszystko, akt zwyczajnie desperacki.

- Lekarze wiedzą wszystko na temat trucizn - powiedziałem.

- Tak. Ten, który nas interesuje - doktor Bradford - jest osobą dostatecznie kompetentną. Dzisiejszego dnia trzykrotnie dowiedziałem się, że jest zbyt zajęty, by podejść do telefonu, i wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie to się nie zmieni. Czy zamierzasz jutro rano kontynuować badania?

- Tak. Najpierw klub, potem koroner, później wracam do miasta wyhaczyć Bradforda. Żałuję, że stary Kimball wyjechał. Chciałbym mieć z głowy tę całą czwórkę. Nie sądzi pan, że Saul Panzer ucieszyłby się na myśl o wypadzie do Chicago?

- To by nas kosztowało sto dolarów.

- To niewiele przy pięćdziesięciu kawałkach.

Wolfe pokręcił głową.

- Jesteś utracjuszem, Archie. Zupełnie bez sensu. Upewnijmy się w pierwszej kolejności, czy morderca nie ukrywa się w zasięgu ręki.

- Dobrze. - Wstałem i przeciągnąłem się. - Dobrej nocy, sir.

- Dobrej nocy, Archie.

Rozdział 11

Jest taki jeden punkt na publicznej drodze, z której widać cały Green Meadow Club z odpowiedniego dystansu. Żeby się tam dostać, trzeba zjechać z autostrady w niewielki lasek, a kiedy się już z niego wyjedzie, skręcić i udać się na pobliski pagórek. Do klubu należy kawałek lasu, rosnącego na niewysokim wzgórzu - po jednej jego stronie rozciągają się korty tenisowe i otwarty basen, poza tym we wszystkich pozostałych kierunkach biegną płaskie kręte fairwaye, upstrzone małymi kopczykami, piaskowe bunkry różnych kształtów i rozmiarów oraz żywy, aksamitny dywan golfowych pól. Są tam dwa tory, po osiemnaście dołków każdy. Zespół Barstowa rozgrywał przy północnym, dłuższym fairwayu.

Eksperta z klubu, który jadł z nami kolację w poniedziałkowy wieczór, nie było tam jeszcze o tej porze - miał zjawić się nie wcześniej niż o jedenastej, toteż za jedyną rekomendację mojej wizyty musiał mi wystarczyć telefon od Larry'ego Barstowa wykonany zeszłego popołudnia. Odebrał zarządca obiektu. Okazał się całkiem uprzejmym gościem - zaprowadził mnie prosto do szefa chłopców noszących kije. Dowiedziałem się, że dwóch z tych, z którymi chciałem porozmawiać, nie przychodzi do klubu w ciągu tygodnia ze względu na zajęcia w szkole, a dwóch pozostałych jest na którymś z pól, gdzie rozpoczęto już poranne rozgrywki. Łaziłem bezowocnie przez godzinę, próbując zahaczyć kogoś, kto mógłby być pomocny w zapełnieniu pustych stron w moim notatniku, ale każda próba okazywała się warta funta kłaków. Wskoczyłem za kółko roadstera i wyruszyłem do White Plains.

Biuro koronera mieściło się w tym samym budynku, co Andersona - byłem tam już przed sześcioma dniami, próbując zabezpieczyć pieniądze Wolfe'a, więc kiedy mijałem drzwi z wymalowanym na szkle napisem PROKURATOR OKRĘGOWY, z satysfakcją wywaliłem w tamtą stronę język. Koronera nie było, ale udało mi się zastać lekarza, który dokonał sekcji zwłok Barstowa. Przed wyjściem z domu wykonałem telefon do Sary, w związku z czym wspomniany lekarz oznajmił, że Lawrence Barstow uprzedził go, iż w imieniu rodziny odwiedzę biuro koronera. Pomyślałem sobie, że zanim doprowadzę tę sprawę do końca, gówniarz będzie czyścił mu buty.

Niestety, także stamtąd wyszedłem z kwitkiem. Nie dowiedziałem się niczego nowego ponad to, co wyczytałem trzy dni wcześniej w gazetach, nie licząc wieku medycznych terminów, których gazety nie drukowały, zapewne ze strachu przed buntem korektorów. Osobiście nie mam nic przeciwko specjalistycznej terminologii - wiem, że istnieje wiele rzeczy, których po prostu nie da się ująć w prostych słowach. Przydługawa mowa doktora roiła się jednak od nazw, które nijak się miały do kwestii otrucia Barstowa, gdyż nikt nie potrafił zidentyfikować trucizny. Część materiału została wysłana do laboratorium w Nowym Jorku, ale jak dotąd nie było odpowiedzi. Igłę przejęła Prokuratura Rejonowa i należało domniemywać, że gdzieś prowadzono dalsze badania w

tej sprawie.

- A tak przy okazji - zagaiłem - czy denat aby na pewno nie umarł po prostu śmiercią naturalną? Czy istnieje stuprocentowa pewność, że został otruty?

- Nie ma co do tego wątpliwości - potwierdził doktor. - Ewidentnie trucizna. - *Haemolysis...*

- Jasne. A tak między nami - co powiedziałby pan o lekarzu, który zetknąwszy się z takim przypadkiem jak ten, orzeka zakrzep tętnicy?

Zastygł w bezruchu, jakby sam przechodził zesztywnienie pośmiertne, i to w przyśpieszonym tempie.

- To nie jest pytanie do mnie, panie Goodwin. Nie mnie wydawać wyroki w tej sprawie.

- Nie proszę pana o wyrok. Interesuje mnie jedynie pańska opinia.

- Nie mam żadnej opinii w tej sprawie.

- Znaczy - ma pan, ale woli pan to jeszcze przemyśleć. Nie ma sprawy. Jestem pańskim dłużnikiem.

Gdy opuszczałem biuro koronera, naszła mnie ochota, by wstąpić do Derwina i poprosić o telefon do Bena Cooka, lub wyciąć inny numer w tym stylu, ale miałem za dużo na głowie. Kiedy wróciłem do Green Meadow Club, było prawie południe. Doszedłem do wniosku, że dopóki nie dostąpię przyjemności spotkania doktora Bradforda, na moje życie będzie składało się już wyłącznie jeżdżenie w kółko autostradą prowadzącą donikąd.

W klubie odnalazłem poszukiwanych wcześniej tragarzy do noszenia kijów. To znaczy ich szef odszukał chłopców i przyprowadził do mnie, a ja ubiłem z nimi interes - kupiłem kanapki (po dwie dla każdego, banany, lody i piwo korzenne), po czym usiedliśmy pod drzewem - oni zadowoleni z jedzenia i picia, ja z pewności, że nie będę musiał płacić dodatkowo za ich stracony czas.

Jeden z nich - chudy, blady i brązowowłosy dzieciak był pomocnikiem Manuela Kimballa, drugi - Petera Olivera Barstowa. Ten ostatni był przysadzistej postury, miał bystre brązowe oczy i mnóstwo piegów. Nazywał się Mike Allen. Kiedy rozłożyliśmy się pod drzewem, zanim wziął pierwszy kęs, powiedział:

- Wie pan, że nam za to nie płacą?

- Jak to? Pracujecie dla zabawy?

- Płacą nam tylko za konkretną robotę. Nie marnujemy ani chwilki. Teraz nie będziemy mogli wziąć udziału w żadnym meczu, dopiero po lanczu.

- Och, nie mówiliście. Jesteście nazbyt uczciwi. Jak nie będziecie uważać, na pewno dostaniecie robotę w banku. Częstujcie się, nie krępujcie... W trakcie gdy przeżuwali spokojnie kanapki, ja nakierowałem ich uwagę w stronę tamtej czwórki graczy. Z tego, jak bez chwili namysłu wyrzucali z siebie odpowiedzi na pytania, można się było zorientować, że mieli okazję

powtarzać już tę historię wcześniej nieskończoną liczbę razy - Andersonowi, zapewne także Corbettowi, innym chłopakom, przyjaciołom, rodzinie... Byli elokwentni i gotowi na każde pytanie, na które udzielali wyczerpujących odpowiedzi. Najwyraźniej nie było najmniejszych szans, by wyciągnąć od nich cokolwiek nowego - odmalowywali te obrazki już po tyle razy, że teraz robili to automatycznie, z zamkniętymi oczami. Nie, żebym oczekiwał po tej cholernej rozmowie czegoś szczególnego, ale wystarczająco długo praktykowałem u Wolfe'a, by wiedzieć, że zaginiona dziesięciocentówka zwykle znajduje się w tym kącie, do którego nie dochodzi światło. W ich opowieści nie było nic godnego uwagi, co odróżniałoby tę wersję od wersji Larry'ego Barstowa i Manuela Kimballa. Kiedy skończyły się kanapki i prawie wszystkie pozostałe dobra, zauważyłem, że blady chudzielec jest jeszcze bledszy niż na początku rozmowy, więc odesłałem go do pracy. Mike'a zatrzymałem jeszcze chwilę. Był rezolutny i istniała szansa, że jednak przypomni sobie jakiś dodatkowy szczegół, na przykład - czy było coś dziwnego w zachowaniu doktora Bradforda, gdy wkroczył do akcji tamtego popołudnia. Ale nic nie udało mi się ugryźć. Chłopak pamiętał jedynie, że doktor przybiegł na miejsce, z trudem łapiąc oddech, i kiedy wstał, zbadawszy Barstowa, był blady i milczący.

Wróciłem do sprawy torby - z całą pewnością położył ją z przodu samochodu, opierając o siedzenie kierowcy - mówił jednak o tym bez przekonania.

Powiedziałem:

- To oczywiste, Mike, że działałeś pod wpływem emocji. To normalne w takiej sytuacji. Być może - w takich okolicznościach - zdarzyło ci się włożyć torbę do innego samochodu?

- Nie, sir. To niemożliwe. Nie było w pobliżu żadnego innego samochodu.

- Może włożyłeś tam jakąś inną torbę?

- Nie, sir, nie jestem idiotą. Jak tu pracujesz, masz nawyk sprawdzania po grze, czy wszystkie kije są w środku. To znaczy przeliczasz główki. Przed włożeniem torby do samochodu zrobiłem to jak zwykle. I wiem, że wszystkie - a były to nówki - znalazły się na swoim miejscu.

- Nówki?!

- Oczywiście, wszystkie były zupełnie nowe.

- Jak to się stało? Chcesz powiedzieć, że Barstow wymienił wszystkie główki w kijach?

- Nie, sir. Całe kije były nowe. Żona sprezentowała mu torbę nowych kijów.

- Co takiego?

- Ano tak.

Nie chciałem go wystraszyć. Wyrwałem źdźbło trawy i zacząłem żuć.

- Skąd wiesz, że żona sprezentowała mu kije?

- Powiedział mi o tym.

- Jak to się stało, że ci powiedział?

- No... Podszedłem do niego, a on uścisnął mi dłoń i powiedział, że miło mu znowu mnie widzieć - w zeszłym roku był jednym z moich dzieciaków.

- Na Boga, Mike, zaczekaj. Co znaczy, że był jednym z twoich „dzieciaków"?

Chłopak wyszczerzył się radośnie.

- Tak na to się tutaj mówi. Kiedy facet upatrzy sobie ciebie i nie chce innego pomocnika, jest twoim dzieciakiem.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Powiedział, że cieszy się, że znów mnie widzi, a kiedy wziąłem jego torbę, zobaczyłem, że ma zupełnie nowe hendersony, oryginałki, a wtedy on powiedział, iż cieszy się, że mi się podoba prezent, który dostał na urodziny od żony.

Zostało jeszcze kilka bananów. Podałem jednego Mike'owi. Zaczął obierać owoc ze skórki, a ja przyglądałem mu się uważnie. Po chwili spytałem:

- Wiesz o tym, że Barstowa zabiła trucizna, która wystrzeliła z uchwytu kija?

Miał pełne usta. Przełknął i powiedział:

- Wiem tyle, co mówią.

- Jak to? Więc myślisz, że to nieprawda?

Pokręci! głową.

- Musieliby mi to udowodnić.

- Dlaczego?

- Bo... - wziął kolejny kęs i przełknął. - Nie wierzę, że ktoś mógł to zrobić. Pracowałem już w różnych klubach golfowych. Nie wierzę i tyle.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Jesteś sceptykiem, Mike. Wiesz, co powiada mój szef? Ze sceptycyzm jest dobrym psem, o ile wiesz, kiedy spuścić go z łańcucha. Nie sądzę, byś wiedział, kiedy Barstow obchodzi urodziny?

Nie wiedział. Podpytywałem go, ale niewiele mi z tego przyszło. Poza tym skończyła się pora lanczu i zaczęli się schodzić popołudniowi gracze. Zobaczyłem, że Mike zerka ze zniecierpliwieniem w kierunku ławki dla pomocników i najwyraźniej traci zainteresowanie moją osobą. Miałem zamiar właśnie zebrać manele i oznajmić mu, że piknik ma się ku końcowi, ale mnie uprzedził. Zerwał się nagle na nogi błyskawicznym skokiem, na jaki stać jedynie bardzo młodego zawodnika, i rzucił w moją stronę:

- Proszę wybaczyć, ale właśnie pojawił się mój dzieciak.

I tyle go widziałem.

Zebrałem śmieci, skórki od bananów i skierowałem się do budynku klubu. Było tu teraz dużo więcej ludzi niż rano, kiedy przyjechałem, i musiałem wysłać gościa z obsługi po zarządcę, którego nie mogłem znaleźć. Był zajęty, ale poświęcił mi chwilę na wytłumaczenie, gdzie znajduje

się biblioteka, i poinstruował, żebym obsłużył się sam. Rozejrzałem się po półkach i po chwili znalazłem sfatygowaną, grubą czerwoną pozycję pt. *Kto jest kim w Ameryce.* Dotarłem do notki, którą zdążyłem już wcześniej przeczytać w biurze Wolfe'a: „BARSTOW, Peter Oliver, autor rozlicznych publikacji, pedagog, fizyk; ur. w Chatham, Illinois, 9 IV 1875... ".

Odłożyłem spis i wyszedłem na korytarz, gdzie leżało kilka książek telefonicznych, po czym zatelefonowałem do Sary Barstow i spytałem, czy mógłbym na parę minut wpaść z wizytą. To było tylko kilka dodatkowych mil drogi i pomyślałem, że dobrze będzie doprowadzić ten trop do końca. Idąc wzdłuż werandy do miejsca, w którym zaparkowałem, natknąłem się na Manuela Kimballa. Był w towarzystwie paru ludzi, ale skinął mi głową na przywitanie, a ja odwzajemniłem pozdrowienie. Mogłem się domyślać, co powiedział do swoich towarzyszy, bo kiedy ich mijałem, gapili się na mnie jak na muzealny okaz.

Dziesięć minut później byłem na drodze należącej do posiadłości Barstowów.

Small zaprowadził mnie do salonu, w którym nie gościłem poprzedniego dnia. Po chwili zjawiła się Sara Barstow. Była blada i wyglądała na mocno przejętą - mój telefon musiał ją nieźle wystraszyć, choć nie miałem tego w planach. Mogłem uprzedzić ją o celu swojej wizyty, ale uważałem, że nie ma sensu drażnić bestii bez potrzeby.

Wstałem. Ona jednak nie siadała.

- Zajmę pani tylko minutę - powiedziałem. - Nie mam zamiaru pani zamęczać. Interesuje mnie jedna rzecz. Czy pani ojciec urodził się 9 kwietnia?

Spojrzała, jakby ją zatkało. Przytaknęła.

- Czy pańska matka podarowała mu na ostatnie urodziny zestaw kijów do golfa?

- Och! - westchnęła i wsparła dłoń na oparciu krzesła.

- Proszę posłuchać, panno Barstow. Uszy do góry. Myślę, że zdaje pani sobie sprawę, że Nero Wolfe pani nie okłamuje, a do kiedy będzie mi płacił, może mnie pani spokojnie traktować na równi z nim. To, że czasami zadajemy dziwne pytania, nie znaczy, że chcemy panią oszukać. Jeżeli niepokoi panią przypuszczenie, że pani ojciec został zamordowany za pomocą kija, który podarowała mu na urodziny pańska matka, proszę o tym zapomnieć. Mamy powody, by wiedzieć, że było inaczej i taka ewentualność odpada.

Spojrzała na mnie, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale nawet nie otwarła ust. Myślę, że gdyby nie krzesło, nie byłaby w stanie utrzymać się na nogach. Trzymała się kurczowo oparcia.

Kontynuowałem więc:

- Nie wiem, czy powiedziałem pani coś nowego, o czym nie wiedziałaby pani wcześniej. Ale jak tylko się upewniłem w tej sprawie, uznałem, że pani również ma prawo o tym wiedzieć i od razu podzieliłem się tym z panią. Jeżeli w jakiś sposób pomogłem, cieszę się. Czy z kolei mogłaby pani zrobić coś dla mnie? Być może też będę zmuszony liczyć na pani pomoc. Czy powodem pani

obaw był urodzinowy prezent dla ojca? Czy to było przyczyną całego tego zamieszania?

W końcu odnalazła w sobie siłę, by przemówić, ale powiedziała tylko:

- Nie jest pan zdolny, by okłamywać mnie w ten sposób. To byłoby zbyt okrutne.

- Nie. Ale nawet gdyby tak było, proszę wziąć pod uwagę, że tak czy owak wiem o tym prezencie, więc może pani spokojnie odpowiedzieć na moje pytanie bez popadania w histerię. Czy właśnie ta sprawa tak panią gryzła?

- Tak - odpowiedziała. To i... Tak, właśnie to.

- Co jeszcze?

- Nic. Moja matka...

- Jasne - potwierdziłem. - Pani matka miewa czasami gorsze chwile, gnębiły ją różne myśli na temat pani ojca i podarowała mu na urodziny zestaw kijów do gry. Co jeszcze?

- Nic. - Zdjęła dłonie z oparcia, ale za chwilę położyła je tam ponownie. - Panie Goodwin, myślę, że... chyba powinnam usiąść.

Podszedłem i wziąłem ją za ramię, po czym przysunąłem jej nogą krzesło i pomogłem zająć miejsce. Przymknęła na chwilę oczy, a ja poczekałem cierpliwie, aż otworzy je ponownie.

- Ma pan rację. Powinnam wziąć się w garść. Nie czuję się zbyt dobrze. To był duży stres. Nie tylko to. Cała historia trwa już długo. Zawsze uważałam matkę za wspaniałą osobę, do tej pory tak myślę - wiem, że tak jest. Ale to było takie potworne. Doktor Bradford twierdzi, że teraz - gdy ojciec nie żyje - matka może w pełni wyzdrowieć i na zawsze przezwyciężyć swoje... problemy. Ale choć kocham ją tak bardzo, cena okazała się za wysoka. Myślę, że lepiej byłoby darować sobie uciekanie się do najnowszej psychologii - wszystko, co nam oferuje, to samo zło. Studiowałam ją dlatego, że ojciec tak chciał.

- Tak czy inaczej, jeden problem ma pani z głowy.

- Tak. To jeszcze w pełni do mnie nie dotarło, ale wkrótce się otrząsnę. Powinnam podziękować panu, panie Goodwin. Proszę mi wybaczyć. Mówi pan, że moja matka nic nie zrobiła... że nie istnieje taka możliwość...

- Mówię, że kija do gry, który sprowadził śmierć na pani ojca, w dniu 9 kwietnia w ogóle nie było. Nie istniał jeszcze co najmniej miesiąc później.

- Na ile jest pan tego pewny?

- Cholernie.

- Dobrze. To się nieźle składa. - Próbowała się uśmiechnąć. Podziwiałem jej opanowanie. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest równie bliska zapomnienia o zmartwieniach, smutku i bezsennych nocach jak Hiob radosnego śmiechu. Każdy, kto miałby choć odrobinę przyzwoitości, zostawiłby ją teraz w świętym spokoju w towarzystwie nowin, które jej przyniosłem. Ale cóż, biznes to biznes. Była w tej chwili tak spięta, że nietrudno było sprowokować ją do mówienia.

Głupio było przepuścić taką okazję. Zapytałem więc:

- Czy nie sądzi pani, że dobrze byłoby mnie wtajemniczyć, kto zabrał z samochodu torbę i gdzie ta rzecz znajduje się w tej chwili? Skoro już wiemy, że upragniony przez nas kij nie jest tym, który podarowała mężowi pani matka?

Odpowiedziała bez wahania:

- Wyjął ją z samochodu Small.

Moje serce poruszyło się w taki sam sposób, jak na widok wydymającego usta Wolfe'a. Oto właśnie wszystko miało się wyjaśnić! Brnąłem dalej, nie dając jej czasu do namysłu.

- Dokąd ją zabrał?

- Na górę. Do pokoju ojca.

- Kto ją stamtąd usunął?

- Ja. W sobotę wieczór, po wizycie pana Andersona. Dom został przeszukany w niedzielę.

- Gdzie ją pani ukryła?

- Pojechałam do Tarrytown, wsiadłam na prom i wyrzuciłam do rzeki. W środku były kamienie.

- Miała pani szczęście, że pani nie śledzili. Oczywiście sprawdziła pani wcześniej kij. Wyjęła go pani z torby?

- Nie wyjmowałam go... Śpieszyłam się.

- Nie obejrzała go pani? Chce pani powiedzieć, że nawet nie wyjęła go pani i nie rzuciła okiem?

- Nie.

Spojrzałem na nią.

- Miałem o pani lepszą opinię. Nie mogę uwierzyć, że jest pani taka głupia. Załamuje mnie pani.

- Nie, panie Goodwin. Nie jestem.

Nie odrywałem od niej wzroku.

- Pozbyła się pani narzędzia zbrodni na własnym ojcu, nawet nie rzuciwszy nań okiem? Powierzyć coś kobiecie! Gdzie byli w tym czasie pani brat i doktor Bradford? Grali w bilard?

Pokręciła głową.

- Oni nie mają z tym nic wspólnego.

- Ale przecież Bradford twierdził, że pani matce poprawi się po śmierci ojca...

- Tak? Skoro tak mówił...

Przerwała. Przypomnienie matki w tym momencie było taktycznym błędem. To ją na powrót przygnębiło. Spojrzała na mnie. Po raz pierwszy ujrzałem w jej oczach łzy.

- Chciał pan, żebyśmy ubili interes. Pańska kolej.

Coś sprawiło, być może właśnie łzy, że wyglądała teraz jak dziecko, które próbuje udawać dorosłego. Wyciągnąłem rękę i poklepałem ją po ramieniu.

- Jest pani w porządku, panno Barstow. Daję już pani spokój.

Wyszedłem do hallu, zgarnąłem kapelusz i opuściłem posiadłość Barstowów.

Ale - pomyślałem, jadąc szosą prowadzącą na południe. Cholernie dużo tych „ale". Z jednej strony szanowałem lojalność Sary Barstow wobec matki, z drugiej - pomimo całej sympatii, jaką dlań żywiłem - miałem ochotę przełożyć ją przez kolano i spuścić jej tęgie lanie za to, co zrobiła. Nie miałem powodu, by jej nie wierzyć, i wierzyłem. Nie wymyśliła tego wszystkiego. W takich okolicznościach mogliśmy jednak pożegnać się na zawsze z dowodem zbrodni. Przy bardzo dużym szczęściu i ogromnej dawce cierpliwości można było wyłowić go z dna rzeki, ale operacja kosztowałaby więcej, niż Nero Wolfe skłonny był poświęcić. To tylko zwykły kij golfowy. Kiedy mijałem White Plains, ledwo oparłem się pokusie, by zjechać z Parkway, udać się do siedziby Prokuratury Okręgowej i rzec do Andersona: „Założę się o dziesięć dolców, że torba z kijem, który zabił Barstowa, spoczywa na dnie rzeki w połowie drogi między Tarrytown a Nyack". To nie był taki zły pomysł - Anderson byłby skłonny wysłać tam łodzie i odszukać zgubę. Ale jak się potem okazało, w gruncie rzeczy dobrze, że tego nie zrobiłem.

Pomyślałem, by wrócić do Nowego Jorku inną trasą niż zwykle, przez Blueberry Road - po to, by zobaczyć miejsce, gdzie zostało odnalezione ciało Carla Maffei. Nie żebym miał nadzieję, iż morderca zostawił tam przez przypadek chusteczkę do nosa z monogramem czy prawo jazdy, ale tak po prostu - uznałem, że nic nie stracę, gdy rzucę nań okiem. Ale ponieważ wizyta u Sary Barstow zajęła jednak trochę czasu, a chciałem jak najszybciej zatelefonować, toteż wybrałem najkrótszą drogę. Przy końcu Park Avenue zaparkowałem przy domu towarowym i zadzwoniłem do Wolfe'a. Poinformował mnie, że telefonował wcześniej do gabinetu doktora Bradforda, około wpół do dwunastej - ale powtórzyła się ta sama historia („zbyt zajęty, by podejść do aparatu"). Polecił mi się za to zabrać. Pomyślałem, że skoro Bradford jest teraz tak zajęty, z pewnością nie zmieni się to w najbliższym czasie. Przedostanie się na Sześćdziesiątą Dziewiątą Ulicę zabrało mi niespełna dziesięć minut. Zaparkowałem za rogiem.

Doktor Nathaniel Bradford rzeczywiście posiadał okazały gabinet. Jego korytarz był tak szeroki, że spokojnie zmieściłyby się w nim po obydwu stronach dwa rzędy brazylijskich paproci, a poczekalnia była przestronna i imponująca. Rozkład świateł, dywany, obrazy oraz meble czyniły owo wnętrze dostatnim, lecz niekrzykliwym. Wszystko było na najwyższym poziomie, wliczając zapewne rachunki pacjentów. Jednak w poczekalni nie było żywego ducha. Dziewczyna w recepcji, ubrana w wykrochmalony śnieżnobiały fartuch, poinformowała mnie, że doktor Bradford jest nieobecny. Wyglądała na tak zdziwioną, iż o tym nie wiem, jakby to było równie oczywiste jak fakt, że Central Park zaczyna się przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Spytała, czy jestem nowym

pacjentem. Potem wyjaśniła, że doktora nigdy nie ma w gabinecie przed szesnastą trzydzieści i nie przyjmuje nikogo, kto nie był wcześniej umówiony na wizytę. Kiedy powiedziałem, że przychodzę w takim właśnie celu - umówienia się na wizytę, podniosła w zdumieniu brwi. Wyszedłem.

Z początku miałem zamiar poczekać na niego na zewnątrz, ale było dopiero niewiele po trzeciej, toteż wróciłem do roadstera, by pomyśleć w spokoju nad tym, jak wykorzystać wolny czas. Po chwili mnie oświeciło. Poszedłem do restauracji przy Park Avenue w celu rzucenia okiem na książkę telefoniczną, po czym usiadłem z powrotem za kółkiem i pognałem wzdłuż Sześćdziesiątej Dziewiątej, by przy Fifth Avenue skręcić do centrum. Stamtąd pojechałem dalej Czterdziestą Pierwszą w kierunku wschodnim.

Jak zwykle parkował tam samochód na samochodzie - musiałem jechać aż do Third Avenue, żeby w końcu znaleźć jakąś namiastkę miejsca. Wróciłem pieszo niemal dwie przecznice, zanim trafiłem na interesujący mnie adres. Okazało się, że jest to nowy biurowiec wysoki na kilometr. Ze spisu na dole dowiedziałem się, że mój cel znajduje się na dwudziestym piętrze. Wjechałem windą na górę i na drzwiach w głębi korytarza znalazłem wizytówkę, której szukałem: MIEJSKI REJESTR MEDYCZNY.

W recepcji siedział tym razem mężczyzna, a nie kobieta - miła odmiana. Powiedziałem więc:

- Chciałem poprosić o drobną przysługę, o ile nie jest pan zbyt zajęty. Czy macie jakiś spis konferencji medycznych i tym podobnych zjazdów? Chodzi mi o piątego czerwca, Nowy Jork?

Wyszczerzył się w uśmiechu.

- Sam Bóg wie, jak bardzo nie jestem zajęty. Tak, sir, mamy, oczywiście. Momencik. Piątego czerwca?

Podszedł do ułożonego na półce stosu magazynów i zdjął jeden z samej góry.

- Nasze ostatnie wydawnictwo, powinno to być tutaj. - Zaczął kartkować czasopismo, by po chwili zatrzymać się gdzieś w okolicy środka. Czekałem. - Obawiam się, że nie ma nic na temat piątego czerwca... A nie, jest. Większość ważniejszych spotkań jest na dalszych stronach. Piątego odbyło się spotkanie Nowojorskiego Towarzystwa Neurologów w hotelu Knickerbocker.

Spytałem, czy mogę rzucić okiem. Wręczył mi periodyk. Przebiegłem oczami informację.

- Rozumiem. To informacja o planowanym spotkaniu. Oczywiście została opublikowana, zanim się odbyło. Nie ma czegoś późniejszego? Raportu? Recenzji?

Pokręcił głową.

- Powinno coś być w następnym numerze. Czy szuka pan czegoś konkretnego? Było pewnie coś w codziennej prasie.

- Być może. Nie czytałem. Interesuje mnie referat doktora Bradforda. Szczerze mówiąc, interesuje mnie właściwie tylko to, czy uczestniczył w spotkaniu. Wie pan coś na ten temat?

Pokręcił głową.

- Skoro chce pan to wiedzieć, dlaczego po prostu go pan nie zapyta?

Uśmiechnąłem się.

- Nie chciałem zawracać mu głowy. Ale oczywiście, to dziecinnie proste. Tak się złożyło, że akurat byłem w pobliżu i pomyślałem, że wstępując tu, zyskam nieco na czasie.

- Proszę zaczekać minutkę - powiedział i zniknął za drzwiami prowadzącymi do wewnętrznego pomieszczenia. Faktycznie, nie zajęło mu to więcej niż minutę. Wróciwszy, oznajmił:

- Pan Elliot twierdzi, że doktor Bradford był na spotkaniu i wygłosił referat.

Elliot, jak się okazało, był wydawcą periodyku. Spytałem, czy mogę z nim porozmawiać. Młody człowiek ponownie zniknął za drzwiami, a za chwilę pojawił się w nich tłusty facet o czerwonej, nalanej twarzy, w koszuli z rozpiętymi mankietami - w typie tych wylewnych i spontanicznych.

- O co chodzi? Co jest grane?

Wyjaśniłem. Otarł czoło chusteczką i powiedział, że uczestniczył w spotkaniu, a doktor Bradford wygłosił niezmiernie interesujący referat, zakończony aplauzem widowni. Ukaże się drukiem w sierpniowym numerze. Zadałem mu kilka pytań. Odpowiadał grzecznie. Tak, ma na myśli tego doktora Nathaniela Bradforda, którego gabinet mieści się przy Sześćdziesiątej Dziewiątej. Znają się do lat. Nie wie, o której godzinie Bradford przyjechał do hotelu, ale widział go na kolacji nie później niż o siódmej i podczas wystąpienia nie wcześniej niż o dziesiątej trzydzieści.

Z tego, co pamiętam, zapomniałem mu podziękować. Jadąc z powrotem przez miasto, byłem wściekły jak pies. Oczywiście z powodu Bradforda. Jak, do diabla, to możliwe, żeby włóczył się po konferencjach, czytając gazety na temat neurologii, skoro już utwierdziłem się w przekonaniu, że był w tym czasie w Westchester County i wbijał nóż w ciało Carla Maffei?

Myślę, że dostanie się przed oblicze Bradforda zajęłoby mi rok, gdyby nie to, że przekraczając ponownie próg jego gabinetu, byłem tak cholernie wściekły. W poczekalni czekało dwóch pacjentów. Doktor był w środku. Poprosiłem recepcjonistkę o kartkę papieru, usiadłem i używając jako podkładki jednego z czasopism, napisałem:

Doktorze Bradford, przez ostatnich kilka dni byłem pewien, że jest pan mordercą, ale teraz wiem, że jest pan jedynie starym osiem. Podobnie jak pani Barstow, jej córka oraz syn. Wyjaśnienie tej sprawy zajmie mi jedynie trzy minuty.

W imieniu Nero Wolfe'a

Kiedy dwójka pacjentów weszła do gabinetu, podszedłem do dziewczyny za biurkiem i oznajmiłem, że jestem następny w kolejce. Zniecierpliwiła się i zaczęła objaśniać, co oznacza umówiona wizyta. Powiedziałem:

- Świat się nie zawali, jeżeli wręczy mu pani tę kartkę. Szczerze mówiąc, bardzo mi się śpieszy. Proszę być człowiekiem. Czeka na mnie w domu siostra. Proszę nie czytać tego, co jest na kartce. Są tam brzydkie słowa.

Wyglądała na zdegustowaną, ale wzięła ode mnie liścik i zniknęła za tymi samymi drzwiami, za które przed chwilą weszli pacjenci. Po chwili pojawiła się w progu i wywołała moje nazwisko. Zabrałem ze sobą kapelusz, gdyż upłynęło wystarczająco dużo czasu, by można było wezwać policję.

Jedno spojrzenie na doktora Bradforda wystarczyło, by zdać sobie sprawę, jak wielu nikomu niepotrzebnych ekscytujących podejrzeń można było uniknąć, gdybym miał możliwość ujrzeć go wcześniej. Był wysokim, poważnym i akuratnym w każdym calu, dystyngowanym dżentelmenem starego typu. I nosił bokobrody! Być może zdarzały się w dawnych czasach historie, kiedy jegomość z bokobrodami wyciąga nóż i zatapia go w czyichś plecach, ale jeżeli tak bywało, to z pewnością dawno, dawno temu. Obecnie takie rzeczy się nie zdarzają. Bokobrody Bradforda, podobnie jak i włosy, były zupełnie siwe. Będąc szczery - choć alibi Bradforda, o którym dowiedziałem się podczas wycieczki na Czterdziestą Pierwszą, było jak skała, nastawiłem się na znalezienie w nim słabego punktu - do momentu, gdy ujrzałem lekarza.

Podszedłem do jego biurka. Ledwie rzucił na mnie okiem, a gdy drzwi zamknęły się za dziewczyną, powiedział:

- Nazywa się pan Archie Goodwin. Czy pan także jest geniuszem?

Wyszczerzyłem się.

- Tak, sir. Przejąłem tę cechę od Nero Wolfe'a. Jasne, pamiętam - oznajmił pannie Barstow, że jest geniuszem, a ona oczywiście powtórzyła to panu. Być może odebrał to pan jako żart.

- Nie. Posiadam otwarty umysł. Ale niezależnie od tego, czy jest pan geniuszem, czy tylko impertynencką gnidą, nie pozwolę, by moi pacjenci tracili przez pana czas. Co ma oznaczać nota, którą mi pan podesłał - to jakiś haczyk? Daję panu trzy minuty na wyjaśnienie.

- To bardzo dużo. Powiem tak: Nero Wolfe odkrył pewne fakty. Z tych faktów wyciągnął wnioski odnośnie do przyczyny i sposobu śmierci Barstowa. Kiedy autopsja potwierdziła jego przypuszczenia, doszły kolejne wnioski, które pasowały do układanki. Morderca jest jedną z jej części. Barstowowie jednak tu nie pasują i, jak się okazuje, pan również. Miał pan po prostu pecha.

- Proszę mówić dalej.

- Dalej?

- To ogólniki, które wszyscy znają. Proszę przejść do konkretów.

- Co to, to nie - pokręciłem głową. - My, geniusze, mamy swoje metody. Nie dajemy się tak łatwo nabić w butelkę. Poza tym to zajęłoby dużo więcej niż trzy minuty. Zresztą czego pan oczekuje? Ma pan tupet! Wszak musiał istnieć powód, dla którego nie odróżnił pan zakrzepu tętnicy od śmierci w wyniku otrucia. Coś także spowodowało, że przez te wszystkie dni bał się pan podejść do telefonu. Miło ze strony Nero Wolfe'a, że poświęcał czas i pieniądze na odgonienie chmur znad pańskiej szlachetnej głowy, ale i on sam także nie ma zamiaru wplątać się w kłopoty z pańskiego powodu. Byłem zmuszony spreparować podstępną notatkę, by dostąpić zaszczytu ujrzenia pańskich bokobrodów. Ma pan tupet!

- Ojojoj! - Doktor Bradford zaczynał przeklinać! - Pańskie inwektywy były elokwentne i barwne, ale były to jednak tylko i wyłącznie inwektywy. - Spojrzał na zegarek. - Nie muszę pana przekonywać, że jestem niezmiernie zaintrygowany tą sprawą. I pomimo iż nadal uważam poszukiwanie skandali na cmentarzu za wyjątkowo nikczemny sposób na życie, będę nieskończenie wdzięczny panu i Nero Wolfe'owi, o ile wasze ogólnikowe tezy znajdą oparcie w rzeczywistości. Czy może pan wrócić do mnie wpół do siódmej?

Pokręciłem głową.

- Ja jestem tylko chłopcem na posyłki. Nero Wolfe je kolację o siódmej. Mieszka w zachodniej części Trzydziestej Piątej Ulicy. Zaprasza pana dziś wieczór. Będzie pan?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Dobrze. To wszystko. - Miałem po uszy starych zgredów, much i w ogóle wszystkiego. - Jeżeli poczuje pan kiedyś ból albo osobliwe swędzenie, proszę nas za to nie winić. Nie interesuje nas to, co może się panu przydarzyć, próbujemy jedynie pomyślnie zakończyć naszą robotę. Moje trzy minuty minęły.

Odwróciłem się do wyjścia. Nieśpiesznie podszedłem do drzwi I położyłem dłoń na klamce.

- Panie Goodwin!

Nie odrywając dłoni od klamki, odwróciłem głowę w jego stronę.

- Przyjmuję zaproszenie pana Wolfe'a. Będę o siódmej.

- Zapraszam. Zostawię adres w recepcji - powiedziałem i wyszedłem.

Rozdział 12

Czasami zastanawiałem się, ilu jest ludzi w Nowym Jorku, od których Wolfe mógłby pożyczyć pieniądze. Przypuszczam, że ponad tysiąc. Trzeba by sporego wysiłku, żeby zawęzić tę liczbę. Oczywiście było dużo więcej takich, którzy mu coś zawdzięczali, i jeszcze więcej tych, którzy mieli powody, by go nienawidzić. Prawdą jest jednak to, że istnieje rodzaj szczególnej słabości w stosunku do kogoś, kto - zanim wpędzi cię w długi - potrafi znaleźć bardziej konkretne lekarstwo na twoje zmartwienia niż zakłopotanie na twarzy i marszczenie brwi. To mieszanka szczerego zaufania, życzliwości i wdzięczności, która rzadko kiedy ulega rozkładowi. Co najmniej tysiąc osób! Nie żeby Wolfe kiedykolwiek skorzystał z pożyczki. Pamiętam sytuację sprzed paru lat, gdy byliśmy spłukani niemal do zera, a ja wspomniałem pewnego multimilionera, który zawdzięczał Wolfe'owi drobnostkę w postaci własnego życia. Wolfe nawet nie wziął tego pod uwagę: „Nie, Archie. Natura wprowadziła na świecie takie porządki, że to, w jaki sposób przezwyciężasz swoje trudności, zwraca ci się z nawiązką. Gdybym zaczął się bawić w pożyczanie pieniędzy, skończyłbym, wymyślając, jak skłonić ministra skarbu do użyczenia mi swej żelaznej rezerwy". Próbowałem go przekonać, że w takiej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, powinniśmy wykorzystać ten sposób i parę innych, ale nie słuchał.

Po tamtej środowej kolacji mogłem spokojnie dodać do tego tysiąca doktora Nathaniela Bradforda. Wolfe rozgromił go doszczętnie, podobnie jak radził sobie z każdym innym, gdy wziął się porządnie do rzeczy. Między szóstą a siódmą, przed przybyciem Bradforda, zdałem Wolfe'owi zwięzłą relację z wydarzeń dnia, zaś przy stole z miejsca zauważyłem, że Wolfe przyznaje mi rację w kwestii wykreślenia bez wahania gościa z listy podejrzanych. Był jowialny i serdeczny, a z długoletniej praktyki wnosiłem, że zawsze starał się utrzymać oficjalne relacje z kimś, kto, jak uważał, jest w drodze do więzienia Sing Sing albo celi w Auburn, a on, Wolfe, właśnie płaci za jego bilet.

Przy stole rozmawiali o uprawie roślin i sytuacji ekonomicznej Tammany Hall. Wolfe wypił trzy butelki piwa, Bradford butelkę wina. Ja pozostałem przy mleku, aczkolwiek wychyliłem wcześniej na górze co nieco żytniej whisky. Powiedziałem Wolfe'owi o uwadze Bradforda dotyczącej „nikczemnego sposobu na życie" i dodałem, co o tym myślę. Wolfe odrzekł:

- Zdystansuj się, Archie, osobiste resentymenty w stosunku do ogólnych stwierdzeń to barbarzyńska pozostałość ograniczonych umysłów.

- To nic więcej jak kolejna błyskotliwa sentencja, która nic nie znaczy - rzuciłem.

Odparł:

- Nie. Brzydzę się nic nieznaczącymi sentencjami. Jeżeli ktoś wykona lalkę, która stanowi twoją podobiznę, a potem uderzy ją w twarz, czy twój nos zacznie krwawić?

- Nie. Za to napastnika i owszem, zanim zdążę uporać się z resztą.

Wolfe westchnął tylko:

- Przynajmniej pojąłeś, że moja uwaga nie była pozbawiona znaczenia.

Po kolacji, w biurze, Wolfe powiedział Bradfordowi, że chciałby zadać mu kilka pytań, ale wcześniej udzieli mu stosownych wyjaśnień. Opowiedział mu całą historię: o Carlu Maffei, wycinkach z gazety, pytaniu o kij do golfa, które tak zamurowało Annę Fiore, gierkach z Andersonem, stu dolarach otrzymanych przez Annę w liście. Mówił w sposób jasny i wyczerpujący, po czym dodał:

- Doktorze, nie śmiałbym prosić o przysługę przed zapoznaniem pana z faktami. Ale teraz proszę o jedno - zależy mi, żeby zachował pan wszystko, co powiedziałem, w tajemnicy. To prośba w moim własnym interesie. Zamierzam zarobić pięćdziesiąt tysięcy dolarów. *

Bradford zmiękł. Wciąż usiłował spuścić Wolfe'a po brzytwie, ale wrogie uczucia go opuściły, a wino sprawiło, że zaczął traktować rozmówcę jak starego kumpla.

- To niezwykła historia - powiedział. - Naprawdę niezwykła. Nie wspomnę o niej nikomu, doceniając pańskie zaufanie. Nie mogę powiedzieć, żeby zupełnie wszystko było w niej dla mnie jasne, ale rozumiem, że odkrycie przez pana prawdy o okolicznościach śmierci Barstowa stanowi nieodzowną część śledztwa dotyczącego morderstwa niejakiego pana Maffei. Widzę też, że uwolnił pan Sarę i Larry'ego Barstowów od stresu ponad siły, a także mnie samego od odpowiedzialności, która okazała się czymś poważniejszym, niż oczekiwałem. Jestem wdzięczny, proszę mi wierzyć.

- To delikatne sprawy - przytaknął Wolfe. - Niektóre z owych subtelności panu umknęły. To, czego tak naprawdę zdołaliśmy dowieść, to fakt, że żadne z waszej czwórki - a więc pani Barstow, jej syn, córka oraz pan - nie jesteście mordercami Carla Maffei i że feralnego kija nie było w torbie dziewiątego kwietnia. Wciąż istnieje jednak teoretyczne prawdopodobieństwo, że któreś z was lub wszyscy razem, będąc w zmowie, zabiliście Barstowa. Według takiej teorii musiałby jedynie istnieć jakiś wspólnik, który usunął pana Maffei.

Bradford, tracąc nieco ze swego spokoju, spojrzał podejrzliwie na Wolfe'a, po chwili jednak jego spojrzenie na nowo złagodniało.

- Bzdura! Nie wierzy pan w to, co mówi. - Zaraz jednak zesztywniał ponownie. - Ale z drugiej strony właściwie dlaczego pan nie wierzy?

- Dojdziemy do tego. Wcześniej proszę pozwolić mi zadać pytanie. Czy nie myśli pan, że moja szczerość zasługuje na coś w zamian?

- Zgadzam się z panem.

- A zatem proszę mi powiedzieć, na przykład, kiedy i w jaki sposób pani Barstow po raz pierwszy targnęła się na życie swego męża?

To było coś - zobaczyć minę Bradforda w tamtym momencie. Najpierw okazał przerażenie,

potem zesztywniał i umilkł, w końcu zdał sobie sprawę, że się zdradza i próbował nadać swej twarzy wyraz naturalnego zdziwienia.

- Co pan przez to rozumie? To śmieszne! - powiedział.

Wolfe wyciągnął palec w jego kierunku.

- Spokojnie, doktorze. Błagam, proszę nie podejrzewać mnie o nieuczciwe sztuczki. Ja tylko zbieram fakty, by złożyć w kupę całą tę układankę. Widzę, że lepiej będzie, jak od razu wtajemniczę pana, dlaczego nie biorę pod uwagę możliwości winy ze strony pana ani Barstowów. Przeczucie. To wszystko. Oczywiście posiadam racjonalne przesłanki, by wierzyć w swoje przeczucia lub ich brak. Proszę sobie wyobrazić wyrachowanie, przebiegłość i cierpliwość, które wykazać musiałaby żona, syn lub córka planująca w ten sposób morderstwo ojca. Skomplikowanie i czas konieczny na spreparowanie wiadomego narzędzia. Jeżeli dokonałaby tego żona lub córka, musiałby istnieć wspólnik, który zabiłby Carla Maffei. To dotyczy również syna. Archie Goodwin spędził tam sporo czasu - nie dla towarzyskiej pogawędki, lecz by wyniuchać smród wlokący się za całą tą sprawą, i zrobił to. Pan także, chcąc zabić Carla, musiałby mieć wspólnika. Tak się składa, że spędziłem z panem wieczór. Nawet jeżeli byłby pan zdolny do zbrodni, na pewno nie w ten sposób, i z pewnością nie zaufałby pan żadnemu wspólnikowi. Oto moje przesłanki, które dają podstawę przeczuciom.

- W takim razie dlaczego...

- To jeszcze nie wszystko. Pan - wykwalifikowany i kompetentny medyk, człowiek prawa, orzeka atak serca, w momencie gdy prawdziwa przyczyna śmierci jest ewidentnie zupełnie inna. To ryzykowne posunięcie dla renomowanego lekarza. Nie ma wątpliwości, że kogoś pan chronił. Zeznanie panny Barstow wskazuje na to, kim ów ktoś był. Odkrywszy śmierć Barstowa, zapewne myślał pan, że zabiła go własna żona. Nie doszedł pan jednak do tak szokującej konkluzji, nie mając ku temu realnych podstaw - bardziej realnych niż fakt, że pani Barstow w chwilach załamania życzyła swemu mężowi rychłej śmierci. Jeżeli takie życzenia oznaczałyby zbrodnię - który z lokali w tym kraju mógłby pozwolić sobie na nieobsługiwanie opryszków? Miał pan ku temu lepszy powód, poparty wiedzą o planowanej zbrodni lub o wcześniejszej jej próbie. Ponieważ nasze dochodzenie wyklucza pierwszą ewentualność, uznałem, że w grę wchodzi druga, w związku z czym zadałem panu proste pytanie - kiedy i w jaki sposób pani Barstow próbowała pozbawić życia swe, go męża. Pytam o to jedynie w celu poskładania do kupy faktów. Później będziemy mogli skazać tę część układanki na wieczne zapomnienie.

Bradford wahał się. Jego spokój zniknął bezpowrotnie - siedział sztywno na krześle, próbując nadążać za tokiem myślenia Wolfe'a.

- Czy posłał pan kogoś do koledżu? - spytał.

- Nie.

- Wiedzą tam o sprawie. A zatem zgadł pan. Ostatniej jesieni, w listopadzie, pani Barstow strzeliła do męża z pistoletu. Chybiła. Później przeżyła załamanie.

- Doznała ataku, ma się rozumieć. - Wolfe pokiwał głową. - Och, mniejsza o termin, jakkolwiek by określić jej stan, był to rodzaj ataku, czyż nie? Czegoś tu jednak wciąż nie rozumiem, doktorze. Skoro był to jedynie chwilowy napad morderczych instynktów, skąd wniosek o planowanej z premedytacją zbrodni?

- Nie wyciągałem tego typu wniosków - powiedział z oburzeniem Bradford. - Dobry Boże, znajduję nagle najlepszego przyjaciela martwego, a przyczyną śmierci jest bez wątpienia otrucie. Skąd miałem wiedzieć, jakim rodzajem trucizny został otruty, kiedy i w jaki sposób? Pamiętałem jedynie to, co powiedziała Ellen - pani Barstow - poprzedniego wieczoru. Podobnie jak i pan działałem pod wpływem przeczuć - z tym, że moje okazały się chybione. Zależało mi, żeby został pochowany godnie i bez rozgłosu. Nie żywiłem żalu w stosunku do nikogo. Potem autopsja wykazała tak zadziwiające efekty, że byłem zbyt wstrząśnięty i zbyt zaangażowany w to wszystko, by działać rozsądnie. Kiedy pani Barstow wysunęła propozycję nagrody, sprzeciwiłem się - jak pan wie, nieskutecznie. Jednym słowem, pokonał mnie strach.

Nie wychwyciłem momentu, w którym Wolfe naciskał dzwonek, ale kiedy tylko Bradford skończył, w progu pojawił się Fritz.

- Porto dla doktora Bradforda. Dla mnie butelka Remmersa. Archie?

- Nic, dziękuję.

- Ja również dziękuję, czas na mnie - oznajmił Bradford. - Dochodzi jedenasta, a mnie czeka jeszcze wyprawa za miasto.

- Ależ, doktorze - zaprotestował Wolfe. - Nie powiedział mi pan jeszcze jednej rzeczy. Piętnaście minut? Wystarczy, by zweryfikować kilka mało istotnych drobnych domysłów. Czy nie docenia pan nakładu pracy i sprytu, które musiałem włożyć, by zyskać pańskie zaufanie oraz szacunek? Na koniec chciałem zadać tylko jedno pytanie - i oczekuję wyczerpującej, szczerej odpowiedzi: kto zabił pańskiego przyjaciela Barstowa?

Bradford wlepił wzrok w Wolfe'a, nie dowierzając własnym uszom.

- Nie jestem pijany, tylko nieco dramatyzuję wypowiedź - kontynuował Wolfe. - Jestem urodzonym aktorem, tak przynajmniej uważam. Tak czy inaczej dobre pytanie wymaga odpowiedniej stylistyki. A moje pytanie jest dobre. Widzi pan, doktorze, musi pan się oczyścić ze śmieci zatruwających pański umysł, zanim pan na nie odpowie we właściwy sposób. Musi pan się pozbyć wszystkiego, co spowodowało pańskie niewczesne i krzywdzące wnioski na temat pana przyjaciółki - pani Barstow. Musi pan przezwyciężyć wszelkie niepożądane obawy. Proszę zrozumieć, że niepokoje, które nosi! pan w sobie przez tyle miesięcy, to już tylko przeszłość. Pani Barstow nie zabiła swojego męża. W takim razie kto tego dokonał? Kto taki, działając z rozmysłem

godnym samego diabła i iście szatańskim poczuciem humoru, mógł spreparować śmiertelne narzędzie, przez które Barstow zginął z własnej ręki? Z tego, co wiem, był pan jego najbliższym przyjacielem.

Bradford pokiwał głową.

- Pete Barstow i ja przyjaźniliśmy się od najmłodszych lat.

- Zasada wzajemnego zaufania - niezależnie od rozbieżności zainteresowań, które was podzieliły, postanowiliście zawsze trzymać wspólny front?

- Dobrze powiedziane. - Bradford był poruszony, dało się to wyczuć w tonie jego głosu. - Zaufanie, które trwało bez uszczerbku pięćdziesiąt lat.

- Dobrze. W takim razie - kto zabił? Oczekuję od pana pewnego wysiłku. Co takiego pański przyjaciel mógł powiedzieć lub zrobić, że musiał umrzeć? Może nie zna pan całej historii, ale musiał do pana dotrzeć któryś z jej rozdziałów, akapit, choćby zdanie? Proszę się wsłuchać w szept przeszłości, być może odległej przeszłości. Musi pan pozbyć się uprzedzeń. Nie mam zamiaru oskarżać pana ani nikogo innego. Niebezpieczne nie jest w tej sytuacji to, że możemy zadać uszczerbek czyjejś niewinności, ale fakt, że winny wciąż chodzi po tym świecie bezkarnie.

Fritz wniósł piwo i porto. Doktor oparł się ponownie wygodnie na krześle, z kieliszkiem w dłoni, wpatrzony w gęsty czerwony płyn. Nagle zadarł gwałtownym ruchem głowę, pokiwał nią, patrząc na Wolfe'a, po czym podjął na nowo przerwaną kontemplację. Wolfe nalał sobie piwa, poczekał, aż piana opadnie, po czym wyżłopał wszystko za jednym zamachem (zawsze był pewien, że ma chusteczkę w kieszeni marynarki, ale zwykle jej zapominał, toteż podszedłem do szuflady, gdzie trzymałem ich zapas, wyjąłem jedną i podałem mu).

- Nie słyszę żadnych szeptów z przeszłości - odezwał się w końcu Bradford. - Być może to dziwne, ale jestem pod wrażeniem faktu, że nie istnieje nikt taki, kogo pan ma na myśli. Znalazłem za to jeszcze jeden powód, dla którego tak łatwo wywnioskowałem, że pani Barstow jest odpowiedzialna (a raczej nieodpowiedzialna) za śmierć swego męża. Myślałem tak, ponieważ podświadomie wiedziałem, czy też czułem, że nie istnieje nikt inny, kto mógłby tego dokonać. Widzę teraz z większą wyrazistością niż kiedykolwiek, jak niezwykłym człowiekiem był Pete Barstow. Jako chłopiec był nieśmiały, jako mężczyzna walczył do upadłego w imię każdego ideału, w który wierzył, ale przysiągłbym, że nie istnieje na świecić nikt, kto szczerze życzyłby mu źle. Nikt.

- Nie licząc własnej żony.

- Nawet i ona nie. Wymierzyła w niego z odległości dziesięciu stóp i chybiła.

- Tak... - Wolfe westchnął głęboko i przełknął zawartość kolejnej szklanki. - Obawiam się, że nie mam za co panu dziękować, doktorze.

- Ma pan rację. Proszę mi wierzyć, panie Wolfe - gdybym tylko potrafił, pomógłbym panu.

To niezwykłe, co czuję w tej chwili - niż gdy bym się czegoś takiego po sobie nie spodziewał. Teraz, gdy wiem, że Ellen jest poza tym wszystkim, nie sądzę, bym dalej miał coś przeciwko nagrodzie. Mógłbym sam nawet co nieco dorzucić. Czy to oznacza mściwość? Jeżeli chodzi o Pete'a Barstowa, być może tak. Myślę, że on jednak by mnie zrozumiał.

To był ciężki wieczór dla każdego z nas, jak by na to nie patrzeć. Przez ostatnich dziesięć minut byłem śpiący i niewiele do mnie docierało. Zaczynało to wyglądać tak, jakby Wolfe na chybił trafił chciał wskazać zabójcę. - Takie było jak na razie jedyne wytłumaczenie powodu, dla którego śmiercionośna igła wtargnęła w ciało Barstowa, skoro wszyscy jak jeden mąż byli zgodni, że nikt nie miał innej motywacji.

To był trudny dzień, ale jego koniec okazał się całkiem miły.

Bradford wstał i podszedł do Wolfe'a, by się z nim pożegnać. Zauważyłem jego wahanie. Powiedział:

- Jeszcze jedna drobnostka, panie Wolfe. Winien jestem panu przeprosiny. Dziś w moim gabinecie rzuciłem pod adresem pańskiego współpracownika pewną uwagę, zupełnie niepotrzebną - coś na temat poszukiwania skandali na cmentarzu...

- Zupełnie nie rozumiem. Przeprosiny? - Zdumienie Wolfe'a było bezgraniczne. - A cóż to może mieć wspólnego ze mną?

Bradford czym prędzej skierował się do wyjścia.

Kiedy ów dystyngowany dżentelmen zniknął za drzwiami, zasunąłem rygiel na noc i w drodze powrotnej do biura wstąpiłem do kuchni po szklankę mleka. Powiedziałem Fritzowi, że zmarnował w jeden wieczór tyle porto, że może zamykać interes. Wróciwszy do biura, zastałem Wolfe'a rozpartego w fotelu. Siedział z zamkniętymi oczami. Usiadłem również i zająłem się mlekiem. Kiedy w szklance pokazało się dno, poczułem się wystarczająco znudzony i zacząłem mówić - ot tak, dla wprawy, do siebie:

- Więc tak, proszę Szanownych Państwa. Problem polega na odkryciu, co za diabeł spowodował, że trzeba było fatygować wartego milion dolarów geniusza, aby wykrył tkwiącą w brzuchu pewnego człowieka trującą igłę, której nikt nie miał powodu ani ochoty tam umieszczać. Postawmy sprawę tak. Co można osiągnąć, umieszczając jakąś rzecz w miejscu, w którym nikt nie chce, by się znalazła? Albo inaczej. Skoro torba ze sprzętem tkwiła w domu Barstowa przez dwadzieścia cztery godziny przed morderstwem, może by tak zorientować się, czy któryś ze służących nie wpadł na lepszy pomysł od samej pani Barstow? Oczywiście panna Barstow twierdzi, że nie ma takiej możliwości, a innym argumentem przeciw jest fakt, że mnie też się to nie uśmiecha. Boże, jak ja nienawidzę zmagać się ze sforą służby! Tak więc myślę sobie, iż wybiorę się jutro z samego rana do państwa Barstowów i przystąpię do rzeczy. Wygląda na to, że albo tak zrobię, albo możemy dać sobie spokój i pomachać na pożegnanie pięćdziesięciu tysiącom baksów.

To beznadziejny przypadek. Tkwimy wciąż w punkcie wyjścia. Nie miałbym nic przeciw temu, żeby ktoś zechciał mi pomóc i żebym nie musiał myśleć oraz planować wszystkiego w pojedynkę, na dodatek po całych dniach jeżdżenia w kółko tam i z powrotem, zakończonych klapą...

- Mów dalej, Archie - odezwał się Wolfe, nie racząc jednak otworzyć oczu.

- Już nie mogę. Jestem zbyt zdegustowany. Wie pan co? Ktoś zrobił z nas durniów. Ten facio od zatrutej igły jest od nas lepszy i tyle. Jasne, że zmarnujemy jeszcze parę dni, włócząc się wśród służby i próbując odkryć, kto też zamieścił w gazecie ogłoszenie o pracy dla metalowca i tak dalej, ale to, iż ktoś zrobił z nas palantów, jest równie oczywiste jak fakt, że jest pan wielką chodzącą beką pełną piwa.

Wolfe otworzył oczy.

- Zamierzam się ograniczyć do pięciu kwart dziennie. Dwanaście butelek. Jedna butelka to niecałe pół kwarty. Nie mam jeszcze zamiaru iść w odstawkę.

Rozpoczął rytualne przygotowania do podniesienia się z fotela.

- Tak przy okazji, Archie, czy mógłbyś wstać jutro faktycznie wcześnie? Dobrze byłoby zjawić się w Green Meadow Club, zanim chłopcy znikną w towarzystwie swych „dzieciaków". To jedyne określenie rodem ze slangu z dostarczonych przez ciebie w ostatnim czasie, które do mnie trafia. Być może mógłbyś także złapać tych dwóch pozostałych, którzy jeszcze chodzą do szkoły. Byłoby wygodnie mieć ich tu naraz całą czwórkę jutro o jedenastej. Poinformuj Fritza, że będzie miał gości podczas lanczu. Co jadają chłopcy w tym wieku?

- Wszystko.

- Poleć Fritzowi, żeby to właśnie przyrządził.

Kiedy tylko upewniłem się, iż jest w stanie doczłapać do windy o własnych siłach, sam poszedłem do siebie, nastawiłem budzik na szóstą rano i zasnąłem jak kamień.

Rano, podążając po raz kolejny na północ wzdłuż Parkway, nie podśpiewywałem już wesoło pod nosem. Lubiłem mieć coś do roboty, nie powiem, ale nie byłem skłonny szaleć z radości, gdy miałem podstawy, by podejrzewać, że moje starania zakończą się jedynie kopnięciem w tyłek. Nikt nie musiał mi mówić, że Nero Wolfe potrafi czynić cuda, jednak ta zabawa z chłopakami od kijów to było błądzenie po omacku i nie wiązałem z nią wielkich nadziei. Faktem jest, że tym razem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej wyglądało, że zmierzamy donikąd. Jeżeli to wszystko, na co było Wolfe'a w tym momencie stać...

Przerwał mi gliniarz na motorze.

Droga prowadząca wzdłuż Parkway w kierunku północnym była o tej porze prawie całkiem pusta, toteż nawet nie zauważywszy, jechałem jakieś pięćdziesiąt na godzinę. Kozak na motocyklu zasygnalizował mi machnięciem dłoni, bym zjechał na bok. Skręciłem na chodnik i stanąłem. Poprosił o moje prawo jazdy. Wręczyłem mu je, a on wyjął blankiet mandatu.

- Jasne, jechałem za szybko - powiedziałem. - Być może to niekoniecznie pana zainteresuje, ale jechałem właśnie do urzędu Prokuratury Rejonowej w White Plains - z poufną wiadomością w sprawie morderstwa Barstowa. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Glina trzymał ołówek w gotowości.

- Identyfikator jest?

Wręczyłem mu wizytówkę. Działam na własną rękę. Mój szef, Nero Wolfe, jest człowiekiem, który wprawił w ruch całą tę sprawę.

Oddał mi wizytówkę i prawo jazdy.

- Dobrze, tylko niech pan nie próbuje brać górą żywopłotów.

Poczułem się nieco lepiej. Może jednak szczęście nie opuściło nas jeszcze zupełnie.

Znalazłem bez problemu tamtych dwóch chłopaków w klubie, ale ściągnięcie dwóch pozostałych zajęło mi godzinę z hakiem. Chodzili do różnych szkół, i o ile pierwszego ani przez chwilę nie musiałem namawiać na przejażdżkę do Nowego Jorku, o tyle drugi najwyraźniej kwalifikował się na szkolnego prymusa albo stypendystę Oksfordu. Najpierw starałem się go podejść klasycznie, ale gdy nie podziałało, zastosowałem sposób na poczucie sprawiedliwości i obowiązki dobrego obywatela. Połknął ten haczyk, podobnie jak i paniusia ze szkoły. Nie chciało mi się znosić jego smętnego towarzystwa, toteż posadziłem go wraz z tamtym drugim na tylnym siedzeniu, a pozostałych dwóch z przodu przy sobie, po czym odnalazłem powrotną drogę do Parkway i skręciłem na południe. Od tej pory pilnowałem, by wskazówka prędkościomierza nie przekroczyła czterdziestki, wiedząc, że tym razem kit z Andersonem niewiele pomoże.

Byliśmy na miejscu za piętnaście jedenasta. Wziąłem chłopaków do kuchni i nakarmiłem kanapkami, bo lancz miał być dopiero o pierwszej. Miałem ochotę zabrać ich na górę i pokazać kwiaty, myśląc, że nie zaszkodzi im trochę się pozachwycać, ale nie było już na to czasu. Spisałem ich nazwiska i adresy. Jeden z nich - blady, chudy dzieciak, usługujący w grze Manuelowi Kimballowi, miał wybrudzoną twarz, więc wziąłem go do łazienki i zarządziłem mycie. Zanim Wolfe pojawi! się na stanowisku, zdążyłem się poczuć jak dowódca drużyny skautów.

Rozlokowałem chłopców w rzędzie na krzesłach naprzeciw biurka. Wolfe wkroczył z naręczem *Cymbidium,* które ulokował w wazonie na stole, po czym siadł za biurkiem i przekartkował pocztę. Wchodząc, powiedział gościom „dzień dobry", teraz omiótł ich wzrokiem, poprawił się w fotelu i zaczął lustrować szczegółowo jednego po drugim. Byli zakłopotani i wiercili się na krzesłach.

- Przepraszam cię, Archie, ale niezbyt precyzyjnie zaaranżowałeś ten układ. - Zwrócił się do chłopca siedzącego na końcu - rudzielca z niebieskimi oczami. - Pańskie nazwisko, sir?

- William A. Riley.

- Dziękuję. Gdybyś mógł przysunąć swoje krzesło tutaj, bliżej ściany - o, dużo lepiej. A

pańskie?

Gdy już zakonotował wszystkie nazwiska i poprzemieszczał chłopaków wedle swojego zamysłu, spytał:

- Który z was podawał w wątpliwość, że Peter Oliver Barstow został zabity przez igłę wystrzeloną z rękojeści kija do golfa? Dalej, chcę się tylko dowiedzieć, który?

- To byłem ja - odezwał się przysadzisty Mike.

- Ach, Michael Allen. Posłuchaj, Michael - jesteś jeszcze młody. Nauczyłeś się słuchać komunałów, musisz jeszcze nauczyć się akceptować niecodzienne rzeczy. Dobrze, chłopcy, mam zamiar opowiedzieć wam pewną historię. Proszę, słuchajcie uważnie, gdyż chcę, byście zrozumieli wszystko, co wam powiem. To prawdziwa historia. Było kiedyś duże otwarte spotkanie, w którym wzięła udział setka psychologów. Psycholog to - wyjaśnię przez grzeczność - człowiek wyuczony sztuki obserwacji. Podczas spotkania została zainscenizowana (bez uprzedniej wiedzy uczestników) taka oto sytuacja. Nagle na salę wpada mężczyzna, goniony przez drugiego wymachującego pistoletem. Przez inne drzwi wbiega jeszcze jeden mężczyzna. Ten z pistoletem strzela do pierwszego. Trzeci mężczyzna rzuca się na niego i wytrąca mu z ręki broń. Wszyscy trzej wybiegają przez troje różnych drzwi. Jeden z psychologów wstaje i ucisza resztę, tłumacząc, że całe zajście było zaaranżowane, po czym prosi swoich kolegów o napisanie szczegółowego raportu o zaistniałej sytuacji. Ci wykonują polecenie, 'po czym raporty zostają odczytane i porównane. Żaden nie jest w pełni poprawny. Nie ma wśród nich dwóch identycznych. W jednym nawet pomylono obrońcę z agresorem.

Wolfe skończył i omiótł wzrokiem swoich słuchaczy.

- To już wszystko. Nie jestem dobry w opowiadaniu historii, ale myślę, że załapaliście jej sens. Wiecie, co chciałem wam powiedzieć?

Przytaknęli.

- Wiecie. Wobec tego nie będę obrażał waszej inteligencji zbędnymi naukami. Przejdźmy zatem do naszej historii. Będziemy mówić o śmierci Petera Olivera Barstowa, a w szczególności wydarzeniach towarzyszących pierwszej turze gry, które do niej doprowadziły. O pierwszej mamy w planie lancz, potem wrócimy do tematu. Nasza rozmowa potrwa długo, całe popołudnie, wiele godzin. Będziecie zmęczeni, ale nie głodni. Jeżeli poczujecie się senni, możecie uciąć sobie drzemkę. Ustaliłem taki program, więc będziecie mogli sami ocenić, ile trudu i pracy nas czeka. Pan Goodwin usłyszał od was dwie stereotypowe wersje. Wyobrażam sobie, że dwie pozostałe są praktycznie identyczne. Stereotyp to coś zamkniętego na wszelkie zmiany. Nie oczekuję od was, moi drodzy, byście zmienili swoją wersję tego, czego byliście świadkami. Proszę jedynie, abyście zapomnieli o wszystkich waszych dyskusjach oraz kłótniach na ten temat, o tym, co recytowaliście w gronie rodziny i przyjaciół, o wszystkich obrazach, które wryły wam się w pamięć, a powrócili

do samego tylko miejsca wydarzeń. To ogromnie ważne. Opuściłbym chętnie swoje mieszkanie i pojechał z wami w to miejsce, jednak musimy działać w skupieniu - nie możemy pozwolić sobie, by nam przeszkodzono, gdyż to mogłoby spisać na marne nasze wysiłki. Toteż musimy przenieść scenę tutaj.

Oto jesteśmy na polu, w pierwszej turze gry. Jest niedzielne popołudnie. Larry Barstow angażuje dwóch z was. Pozostali dwaj są przy Kimballach, macie ze sobą ich sprzęt. Stoicie wszyscy blisko siebie. Robicie rzeczy znane wam tak doskonale, że moglibyście wykonywać je niemal automatycznie. Na ramionach trzymacie torby. Ty, Michael Allen, widząc pana Barstowa - swojego „dzieciaka" z ubiegłego sezonu - wypróbowującego w oddali nowe mashie, nie potrzebujesz żadnych instrukcji. Podchodzisz do niego, bierzesz jego torbę, być może podajesz mu kij...

Mike zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie? W takim razie co robisz?

- Przynoszę piłki.

- A! Piłki, w które on uprzednio mierzy z kija.

- Tak, sir.

- Dobrze. Co robisz w tym czasie ty, Williamie Rileyu?

- Żuję gumę.

- I to wszystko? Mam rozumieć, że to najbardziej odpowiedzialne z twoich zadań?

- No, nie. Stoję i pilnuję torby Kimballów.

Obawiałem się, że przeciągający się wstęp Wolfe'a zniechęci te dzieciaki do tego stopnia, że zamkną się w sobie na amen i nie puszczą więcej pary z ust, ale okazało się, że miał zupełnie odwrotny skutek. Nie mówiąc tego wprost, Wolfe dał chłopakom poczucie, że liczy, iż okażą się mądrzejsi od setki tępych psychologów i nie dadzą się zrobić w konia jak tamci.

Przechodził po kolei od jednego punktu do drugiego, od jednego dzieciaka, do drugiego, by po chwili rozmawiać z nimi wszystkimi jednocześnie. Pozwolił im wdać się w długą dyskusję na temat szczegółów związanych z kijami do gry, siedząc w tym czasie z na wpół przymkniętymi powiekami i udając, że niezmiernie go to interesuje. Przepytywał ich przez pół godziny o nazwiska i cechy innych pomocników oraz zawodników, uczestniczących w rozgrywkach tuż przed turą Barstowów. Za każdym razem, gdy któryś z chłopaków zbaczał z tematu pierwszej rozgrywki, Wolfe natychmiast przywoływał go do porządku. Pośród całego tego szumu informacyjnego, miejscami zupełnie niezwiązanego z meritum sprawy, dało się zauważyć jedną rzecz - być może zasadniczą. Wolfe ani przez chwilę nie stracił wątku, co działo się z każdym z osobna kijem z każdej z toreb.

Na lancz Fritz podał dwa ogromnych rozmiarów pieczone kurczaki oraz cztery melony. Przy

stole dania serwowałem ja, jak zawsze gdy mieliśmy gości, i pomimo pośpiechu sam ledwie zdążyłem cokolwiek dziubnąć z tych przysmaków, bo ledwo się obróciłem, a wazy były wyczyszczone do dna. Z melonami sprawa była prosta - przydzieliłem po połówce owocu każdemu z chłopców oraz Wolfe'owi i sobie, a jeden cały zostawiłem dla Fritza. Podejrzewałem, że go nie tknie, za to będzie mógł wykorzystać do czegoś później.

Po lanczu wróciliśmy do pracy. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak dalece Wolfe zdołał otworzyć umysły tych chłopaków i ile powietrza tam wpuścić. Zmiany następowały w niezwykłym tempie. Zupełnie zapomnieli, że ktoś usiłuje coś od nich wyciągnąć, czy zmusza ich, by wysilali pamięć. Byli jak dzieci rozmawiające o zabawie, w którą bawili się nie dalej jak wczoraj, z tym, że Wolfe panował nad tym wszystkim w każdej minucie, nie pozwalając im opuścić najdrobniejszego szczegółu i co chwilę kierując ich wspomnienia na właściwe tory. Mimo tego wciąż się posuwali. Larry Barstow wykonał swój ruch, Manuel Kimball swój.

Wtedy nastąpiła chwila przerwy. Dalej poszło tak gładko, że na chwilę straciłem wątek. Wolfe powiedział do grubego Mike'a:

- W tym momencie podajesz kij Barstowowi. Umieszczasz jego piłkę na stanowisku?

- Tak, sir... Nie, biegnę za piłką, którą on wybił wcześniej z dołka.

- Rzeczywiście, Mike, mówiłeś nam wcześniej, że twoim zadaniem jest bieganie po piłki. Ciekawi mnie zatem, kto umieszcza piłkę na stanowisku Barstowa.

W tej chwili wtrącił się Riley:

- Barstow zrobił to sam. Piłka ześlizgnęła się z podstawki, a ja ustawiłem ją tam ponownie.

- Dziękuję, William. A zatem ty, Mike, nie ustawiłeś piłki Barstowa. Czy torba ze sprzętem nie jest zbyt dużym utrudnieniem podczas biegania po piłki?

- Nieee... Zdążyłem się przyzwyczaić.

- Czy odnalazłeś zgubioną piłkę?

- Tak, sir.

- Co z nią zrobiłeś?

- Umieściłem w kieszeni na piłki.

- Czy jesteś tego pewien, czy zakładasz tak ze względu na przyzwyczajenie?

- Włożyłem ją tam. Pamiętam.

- Od razu?

- Tak, sir.

- W takim razie, biegnąc po nią, musiałeś mieć torbę przy sobie. A wobec tego nie mogłeś podać Barstowowi kija w tym momencie, gdyż cię tam nie było. On sam zaś nie mógł wyjąć go ze swojej torby, bo miałeś ją przy sobie. Czy wręczyłeś mu kij wcześniej?

- Naturalnie. Musiało tak być.

- Michael! Stwierdzenie „musiało tak być" to dla nas za mało! Albo tak było, albo nie. Pamiętaj, że masz mówić...

- Hej! - wtrącił się Riley - Mike, to dlatego on pożyczył kij od Kimballa. Bo ty pobiegłeś za piłką.

- A! - Wolfe na ułamek sekundy zamknął oczy, po czym otworzył je ponownie. - William, nie musisz krzyczeć. Kto pożyczył kij od pana Kimballa?

- Barstow.

- Skąd ten pomysł?

- To nie pomysł, to fakt. Trzymałem kij, chcąc podać go staremu Kimballowi, wtedy piłka Barstowa ześlizgnęła się z podstawki. Poprawiłem ją, wstałem i wtedy stary Kimball powiedział do Barstowa: „Weź mój". Barstow wyciągnął rękę, a ja podałem mu kij.

- Użył go?

- Jasne. Wybił piłkę od razu. Mike wrócił dopiero, gdy stary Kimball wybił swoją.

Ledwie byłem w stanie usiedzieć na miejscu. Miałem ochotę zatańczyć taniec *Wiosna na górskim stoku,* który widziałem kiedyś w kinie, rzucić w Rileya bukietem orchidei i objąć Wolfe'a wpół, o ile starczyłoby mi na to rąk. Bałem się spojrzeć na Wolfe'a ze strachu, że uśmiechnę tak szeroko, iż rozerwie mi szczękę.

Wolfe wrócił do bladego chudzielca i tego drugiego, co to chciał być dobrym obywatelem, ale żaden z nich nie potrafił przypomnieć sobie nic więcej na temat pożyczania kija przez Barstowa. Chudy twierdził, że zajęty był w tym czasie wypatrywaniem miejsca w krzakach, w które potoczyła się piłka wybita przez Manuela Kimballa, a „dobry obywatel" po prostu nie pamiętał. Wolfe powrócił do grubego Mike'a. Ten nie wiedział z całą pewnością, czy kij Barstowa znajdował się w torbie w momencie, gdy pobiegł za piłką, i nie przypominał sobie, czy podawał go Barstowowi później. Nie pamiętał także faktu odbierania go od Barstowa, ani chowania z powrotem do torby. W tym czasie William Riley stara! się być na tyle uprzejmy, by się nie wtrącać. W końcu Wolfe skierował pytanie do niego:

- Wybacz, Williamie - nie myśl, że podaję w wątpliwość twoją pamięć i wierność prawdzie. Ale nigdy nie zaszkodzi się upewnić. Może wydawać się nieco dziwne, że zapomniałeś o tak istotnym szczególe.

Chłopak zaprotestował.

- Nie zapomniałem. Po prostu jakoś mi umknęło.

- Chcesz powiedzieć, że nie wspomniałeś o tym nikomu ze swoich znajomych?

- Tak, sir.

- Dobrze, Williamie. Źle postawiłem to pytanie, ale widzę, że jesteś na tyle inteligentny, by przypomnieć sobie wszystko, jak należy. Być może wspomniałeś o tym fakcie panu Andersonowi?

Chłopak pokręcił głową.

- Nie rozmawiałem z panem Andersonem. Przyszedł tylko tamten detektyw, zadał mi parę pytań, ale nie dużo.

- Rozumiem. - Wolfe westchnął długo i przeciągle, i wcisnął guzik dzwonka.

- Czas na herbatę, *messieurs.*

Oczywiście dla Wolfe'a oznaczało to czas na piwo. Wstałem, zgarnąłem chłopaków i zagnałem ich do kuchni w nadziei, że melon pozostał nietknięty. Rozciąłem go na cztery części i dałem każdemu po ćwiartce. Fritz, w odpowiedzi na sygnał dzwonka, ułożył na tacy szklankę oraz dwie butelki, ale zamiast skierować się z nimi do biura, skręcił w stronę schodów. Spojrzałem na zegarek. Było za dwie czwarta. Ten sukinsyn Wolfe nie miał zamiaru zakłócić swego stałego rozkładu zajęć! Zostawiłem chłopaków i wybiegłem za nim. Złapałem go w drodze do windy. Powiedział:

- Podziękuj chłopcom, zapłać im, ile trzeba, ale niezbyt hojnie, gdyż nie należę do hojnych, i odwieź z powrotem. Przed wyjściem zadzwoń do biura Kimballa i dowiedz się, kiedy planuje powrót z Chicago. Prawdopodobnie jeszcze żyje, skoro miał tyle szczęścia lub rozumu, by umknąć tysiąc mil od swego przeznaczenia. Jeżeli niechcący się okaże, że już wrócił, sprowadź go natychmiast. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

- Tak, sir. Ale nie sądzi pan, że kiedy to odkrycie dotrze do Andersona, tylko go rozjątrzy i zepsuje mu nastrój? Może by tak poinstruować chłopców, żeby ta sprawa została w rodzinie?

- Nie, Archie. Najlepszym wyborem jest, o ile tylko mamy takowy, zawierzyć sile bezwładności. To największa potęga w skali świata.

Gdy wróciłem do kuchni, Fritz właśnie kroił szarlotkę.

Rozdział 13

Kiedy porozwoziłem już dzieciaki, gdzie trzeba, przemierzając wzdłuż i wszerz okręg Westchester, zapragnąłem nagle wpaść do Kimballów i powiedzieć Manuelowi: „Nie masz nic przeciw temu, by powiedzieć mi, czy twój ojciec trzyma swój sprzęt do golfa w klubie i czy masz może klucz od jego szafy?". Myślę, że zorientowałby się, iż nie jest to pytanie z cyklu takich, na które wystarczy odpowiedzieć uniesieniem brwi. W myślach już poddawałem go działaniu dwóch tysięcy woltów. Ale zdawałem sobie sprawę, że jeżeli to faktycznie on, lepiej nie zakłócać jego słodkiej niewiedzy o naszym dzisiejszym odkryciu, i jeśli chcę doprowadzić do jego aresztowania oraz skazania za morderstwo, dobrze byłoby mieć w garści mocniejsze dowody niż fakt, że działa mi na nerwy.

Poczułem też inne pragnienie - by wstąpić do biura Andersona I zaproponować mu zakład o dziesięć tysięcy dolarów, że nikt nie zamordował Petera Olivera Barstowa. Wolfe naturalnie zabawiał się w ciuciubabkę. Przez dwa dni on i ja byliśmy jedynymi ludźmi na ziemi (nie licząc oczywiście samego sprawcy) wiedzącymi o morderstwie. Teraz byliśmy jedyni, z tym samym wyjątkiem oraz pomocnikami od piłek, wiedzącymi, że Barstow zginął przez pomyłkę.

Odstawiwszy ostatniego z chłopców, wstąpiłem do Green Meadow Club, który był po drodze. Miałem zamiar udać się do szatni I tam trochę rozejrzeć, ale kiedy przybyłem na miejsce, stchórzyłem. Jeżeli wyda się, że interesujemy się w jakimkolwiek stopniu tą kwestią, skoro powszechnie wiadomo, że torby Barstowa nie było w szatni, sprawa może się rypnąć. Toteż zamieniłem jedynie parę słów z przełożonym pomocników i pożegnałem się z zarządcą klubu. Być może miałem ochotę spojrzeć jeszcze raz w oczy Manuelowi Kimballowi, ale nie udało mi się spotkać go tym razem.

E. D. Kimball, tak jak mówił jego syn, posiadał firmę zajmującą się handlem zbożem, z siedzibą na Pearl Street. Kiedy zatelefonowałem tam parę minut po szesnastej, powiedziano mi, że wraca z Chicago następnego dnia, w piątek, samolotem linii Century. Gdyby nie to, próbowałbym tego wieczoru podziałać w Westchester, choćby tylko poczekać do wieczora i wedrzeć się na teren posiadłości Kimballów, by pogapić się w okna. Ale skoro Kimball był nieobecny, nie pozostawało mi nic innego, jak cierpliwie czekać. Wróciłem do domu.

Po kolacji Wolfe nakazał mi sięgnąć do notatek i odczytać raz jeszcze wszystko na temat mojej wizyty u Manuela Kimballa oraz to, co mówili na jego temat Sara i Larry Barstow, choć nie było tego zbyt wiele. Poteoretyzowaliśmy trochę, porównując nasze wnioski. Rozważyliśmy nawet ewentualność, że cala ta sprawa z pożyczeniem kija została ukartowana i stary Kimball zrobił to z premedytacją, mordując w ten sposób Barstowa, ale oczywiście zarzuciliśmy ów trop - to była jawna bzdura. Zszedłem na temat Manuela, ale musiałem przyznać Wolfe'owi rację, że nie tylko

nie' potrafimy mu nic udowodnić, ale nawet nie ma powodu, by go podejrzewać. Wiedzieliśmy bowiem, że każdy bez wyjątku członek Green Meadow Club miał taki sam dostęp do rzeczy Kimballa jak on sam.

- Tak czy inaczej - upierałem się - gdyby to był mój syn, wysłałbym go w podróż dookoła świata i w tym czasie zbudował mur wzdłuż Pacyfiku, żeby drań został tam już na zawsze.

Przed pójściem do łóżka Wolfe zaplanował mi cały następny dzień. Nie odniosłem się z entuzjazmem do pierwszego punktu, ale miał rację - było jasne, że chłopaki zaczną gadać, a ta gadanina dotrze do Andersona i w związku z tym nie zaszkodzi się z nim spotkać, skoro i tak tego nie unikniemy. Byłem gotów wykonać ten. gest miłosierdzia, nie rezygnując jednak z planu dotarcia do biura Kimballa, w miarę możliwości zaraz po jego powrocie z lotniska Grand Central.

Następnego dnia skoro świt gnałem ile sił do White Plains tą samą drogą, co zeszłego ranka. Miałem nadzieję, że zostanę przyłapany przez tego samego gliniarza - byłoby mi niezmiernie na rękę wcisnąć mu tę samą historyjkę - być może tym razem spotkałaby mnie przyjemność bycia odeskortowanym do gmachu sądu. Niestety, na trasie z Woodland do mostu przy Main Street nie napotkałem nic ciekawszego od wspinającej się na czubek drzewa wiewiórki.

Przez Main Street wlokłem się za trzema jadącymi w ślimaczym tempie autobusami, jak kucyk w cyrku za paradą słoni, gdy nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Wolfe najwyraźniej zżył się z myślą, że aby pogadać, z kim tylko przyjdzie mu ochota - poczynając od Dalajlamy, na Alu Capone kończąc - wystarczy kazać mi pojechać po tego kogoś i sprowadzić go do naszego biura. Z doświadczenia wiedziałem jednak, że trudno przewidzieć, kiedy trafisz na kogoś z liczbą nóg równą stonodze, w dodatku każdą bardziej oporną od pozostałych. I oto nie dość, że oczekiwano ode mnie, bym ściągnął trzęsącego światowym rynkiem zboża maklera, natychmiast jak tylko raczy się zjawić po tygodniowej nieobecności, to jeszcze miałbym pojechać w poszukiwaniu szczęścia do prokuratury, gdzie najprawdopodobniej nie uniknę przyjemności spotkania z niejakim Corbettem, a w poczekalni biura Kimballa innymi zbirami z policji. Zaparkowałem roadstera na pierwszym wolnym miejscu, jakie znalazłem, i poszukałem telefonu, z którego zadzwoniłem do Wolfe'a, mówiąc mu, że chyba robimy falstart. Wolfe upierał się przy swoim, twierdząc, że opłaci się nam nieco podlizać Andersonowi, zanim tak czy inaczej sprawa się sypnie. W końcu jednak dał się przekonać, że mam rację, i zgodził się, bym wracał do Nowego Jorku i jechał na Pearl Street, by tam zarzucić sieć na ofiarę.

W drodze powrotnej pomyślałem, że ostatecznie wyszło na dobre, iż glina na motorze nie zaszczycił mnie dziś swoją uwagą.

Kiedy odnalazłem właściwy adres na Pearl Street i wysiadłem z windy na dziesiątym piętrze, zorientowałem się, że firma E. D. Kimball & Company to jednak nieco więcej niż producent karmy dla podwórkowych królów drobiu. Zajmowała połowę piętra, jej nazwa

figurowała na każdych drzwiach, a jedne z nich - solidne, dwuskrzydłowe - zdobiły nazwy setek filii rozsianych po całym kraju. Zegar ścienny wskazywał za kwadrans dziesiątą - jeżeli Century przybył zgodnie z rozkładem, był już na Grand Central, a zatem Kimball powinien pojawić się w przeciągu piętnastu, dwudziestu minut.

Podszedłem do dziewczyny w recepcji. Wykonawszy odpowiedni telefon, zaprosiła mnie do wewnętrznego pokoju i zostawiła w towarzystwie jakiegoś faceta o kwadratowej szczęce, który siedział z nogami na parapecie okna, czytając poranną gazetę.

- Moment - powiedział, a ja usiadłem. Po chwili rzucił gazetę na biurko i odwrócił się.

- Pan Kimball przybędzie tu lada moment - odezwałem się. - Wiem, że będzie zajęty sprawami, które narosły w ciągu tygodnia jego nieobecności, ale zanim przystąpi do pracy, potrzebuję zająć mu dziesięć minut - to pilna sprawa osobista. Jestem prywatnym detektywem, oto moja wizytówka. Pan Kimball nigdy o mnie nie słyszał - pracuję dla Nero Wolfe'a. Czy zechce pan mi w tym pomóc?

- Czy mogę się dowiedzieć najpierw, czego pan chce?

Pokręciłem głową.

- To bardzo osobiste i cholernie pilne. Musi pan po prostu uwierzyć szczerości wypisanej na mojej młodej, uroczej twarzy. Może pan też wykonać dyżurny telefon do Metropolitan Trust Company. Powiedzą panu, że w wolnych chwilach zbijam nieco grosza, wyprowadzając dzieci na spacer.

Kwadratowa szczęka rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- No, nie wiem, nie wiem. Pan Kimball ma w planie tuzin spotkań, najbliższe o dziesiątej trzydzieści. Jestem jego osobistym sekretarzem i wiem o jego interesach więcej niż on sam. Lepiej będzie, jak mnie pan wtajemniczy.

- Przykro mi, ale muszę spotkać się z nim w cztery oczy.

- Rozumiem. Proszę zatem poczekać na zewnątrz, albo nie - lepiej tu. Gazetę?

Podał mi gazetę, wstał, zebrał z biurka pocztę oraz parę innych rzeczy i zostawił mnie samego. Podczas szybkiego śniadania zdążyłem rzucić okiem tylko na pierwszą stronę, na więcej brakło czasu. Teraz, kartkując numer, zorientowałem się, że temat Barstowa zajmuje jedynie notkę na siódmej stronie. Jak twierdził Anderson - „śledztwo postępuje". Stary, dobry postępie, pomyślałem - nie zmieniłeś się nic a nic od chwili, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, poza tym, że pokryły cię zmarszczki i wypadają ci zęby. Koroner nadal nie mógł powiedzieć nic pewnego na temat trucizny, ale już wkrótce wszystkiego się dowie. W żadnej z gazet, które widziałem do tej pory, nie było ani cienia podejrzenia, że mogły tu wchodzić w grę jakiekolwiek sprawy rodzinne, a teraz już z pewnością takowe się nie pojawią. Ta nota rzucała jednak pewien cień na postać doktora Bradforda i domyślałem się, że będzie musiało upłynąć sporo wody, zanim ów orzeknie ponownie

zakrzep tętnicy, nie nabrawszy uprzednio głębokiego oddechu. Przeszedłem do strony ze sportem.

W drzwiach pojawił się sekretarz.

- Panie Goodwin, proszę tędy.

W obszernym pomieszczeniu z oknami po obu stronach, mnóstwem zabytkowych mebli i pozostającą w ciągłym ruchu taśmą notowań giełdowych w rogu siedział gładko ogolony, szpakowaty mężczyzna. Choć nie można go było nazwać tłuściochem, z pewnością nie zalicza! się do chuderlawych. Miał zatroskany wygląd, a jednocześnie sprawia! wrażenie rozbawionego - jak gdyby ktoś opowiedział mu bardzo zabawną historię, a jego właśnie bolał ząb. Zastanawiałem się, czy to, co powiedział mu sekretarz na temat mojej wizyty, stało się przyczyną jego troski czy rozbawienia, ale wkrótce zorientowałem się, że nie - po prostu taka była jego uroda.

- To właśnie ten człowiek, panie Kimball - oznajmił sekretarz.

Kimball odchrząknął i zapytał, czego chcę. Odrzekłem, że jest to sprawa ściśle osobista.

- W takim razie lepiej będzie, jak podzieli się pan nią ze mną w towarzystwie mojego sekretarza. Nie mam przed nim żadnych tajemnic - powiedział Kimball i roześmiał się głośno, na co sekretarz również odpowiedział uśmiechem, a ja także się wyszczerzyłem.

- Potrzebuję zająć panu jedynie dziesięć minut, więc najlepiej będzie, jak zacznę z miejsca. Nero Wolfe chciałby spotkać się z panem w swoim biurze dzisiaj o jedenastej.

- O Boże! - Rozbawienie na jego twarzy sięgnęło zenitu. - Czy Nero Wolfe jest królem Anglii lub kimś w tym rodzaju?

- Kimś w tym rodzaju. Pójdzie nam sprawniej i szybciej, panie Kimball, jeżeli pozwoli mi pan kontynuować. Po prostu proszę mnie wysłuchać. W niedzielę, czwartego czerwca, Peter Oliver Barstow umarł nagle, grając w golfa w towarzystwie swego syna, pana oraz pańskiego syna. W czwartek, ósmego, pan wyjechał do Chicago. Jedenastego, w niedzielę, został ogłoszony wynik autopsji. Jak przypuszczam, chicagowskie gazety pisały o tej sprawie?

- Ach, więc o to chodzi... - Tym razem przeważyło zatroskanie. - Wiedziałem, że jak wrócę, nie obejdzie się bez kłopotów. Czytałem o jakiejś truciźnie, igle i podobnych bredniach. - Zwrócił się do sekretarza: - A nie mówiłem, Blaine, że jak wrócę, będą problemy?

- Zgadza się, sir. O jedenastej trzydzieści ma pan umówione spotkanie z przedstawicielem Prokuratury Rejonowej Westchester - przytaknął sekretarz. - Nie miałem czasu pana poinformować.

Nie okazałem rozbawienia.

- To nie są brednie, panie Kimball. Barstowa zabiła zatruta igła, która wystrzeliła z uchwytu kija do golfa. Została tam umieszczona w tym właśnie celu. A teraz proszę posłuchać przez chwilę uważnie. Oto stoi tam pan, gotowy do pierwszego wybicia. Jest tam cała wasza czwórka wraz ze swoimi pomocnikami. Nie, proszę poczekać i słuchać, to poważna sprawa. Chodzi o pana. Larry Barstow wybija piłkę. Pański syn Manuel wybija. Teraz kolej Petera Olivera Barstowa. Stoi pan

przy nim - pamięta pan? Jego piłka ześlizguje się z podstawki i pana caddie ustawia ją ponownie, gdyż chłopak Barstowa właśnie pobiegł za inną piłką. Przypomina pan sobie? Barstow jest gotów, ale nie ma kija, bo jego pomocnik przed chwilą zniknął wraz z całym sprzętem. Mówi pan do Barstowa: „Weź mój". Pana caddie kończy ustawianie piłki w podstawce, wstaje i wręcza mu pański kij. Pamięta pan? Barstow używa go, po czym podskakuje i zaczyna rozcierać brzuch, bo ukąsiła go osa. To była osa, która wystrzeliła z pańskiego kija. Dwadzieścia minut później Barstow nie żył.

Kimball słuchał ze zmarszczonym czołem. Zarówno zatroskanie, jak i rozbawienie zniknęły z jego twarzy. Zmarszczył się jeszcze bardziej. W końcu powiedział tylko:

- Brednie!

- Nie! - odpowiedziałem. - Samo nazwanie faktów bredniami nie uczyni z nich bredni. Tak czy inaczej, brednie bredniami, ale Barstow użył w pierwszej turze pańskiego kija. Przypomina pan sobie ów fakt?

Pokiwał głową.

- Tak. Nie myślałem o tym, ale teraz, gdy mi pan o tym przypomniał, widzę tę scenę z całą wyrazistością. To tak, jakby pan...

- Panie Kimball! - Sekretarz był na posterunku. - Może lepiej będzie, gdy pan... przemyśli to jeszcze...

- Lepiej będzie, gdy co? O nie, Blaine, mówiłem, że będą z tego same kłopoty. Oczywiście, Barstow użył mojego kija. Dlaczego mu go dałem? Ledwie znałem Barstowa. Oczywiście historia z zatrutą igłą to stek bzdur, ale to nie zapobiegnie kłopotom.

- To więcej niż kłopoty, panie Kimball. - Przysunąłem się do niego wraz z krzesłem. - Proszę wziąć pod uwagę, że policja nie wie jeszcze, że Barstow używał pańskiego kija, prokuratura również. Nie sugeruję, że będzie pan mógł zataić to przed nimi, dojdą do tego wcześniej czy później. Wiedzą, że Barstow zginął w wyniku ukłucia zatrutą igłą wystrzeloną z kija do golfa w pierwszej turze gry. Kiedy odkryją, że ów kij należał do pana, jak pan myśli - co zrobią? Nie aresztują pana od razu za morderstwo, ale z całą pewnością zmuszą pana do poszukania w słowniku lepszego słowa niż „kłopoty". Oto, co panu radzę. Proszę się spotkać z Nero Wolfe'em. Może pan wziąć ze sobą adwokata, jeżeli pan chce, ale proszę uczynić to niezwłocznie.

Kimball skubał palcami dolną wargę. Opuścił dłoń. Po dłuższej chwili powiedział:

- O Boże!

- Tak, sir, przyda się jego wsparcie.

Spojrzał na sekretarza.

- Wiesz, Blaine, nie dowierzam prawnikom.

- Nie, sir.

Kimball wstał.

- No to pięknie. Mówiłem ci nieraz, Blaine, że jest tylko jedna rzecz na świecie, w której jestem dobry. Handel. Jestem dobrym handlowcem i, jak się dobrze zastanowić, dziwne, jak miękki jestem przy tym wszystkim. Mam miękkie serce. W bardziej osobistych sprawach często nie mam pojęcia, co zrobić. - Huśtał się na krześle w przód i w tył. - Tak, to wygląda na coś gorszego niż kłopoty. O, Boże! Co byś zrobił na moim miejscu, Blaine?

Spojrzałem na sekretarza. Wahał się.

- Jeżeli obawia się pan spotkania z tym Nero Wolfe'em, mogę się udać tam razem z panem. Na pana miejscu wziąłbym też adwokata.

- Jakie spotkania mam w planie na dziś?

- Rutyna, nic ważnego. O jedenastej trzydzieści ktoś z Prokuratury Rejonowej.

- Och, odpuszczę sobie. Wymyśl coś. Jak notowania?

- Póki co, bez zmian. Bawełna spada.

Kimball zwrócił się do mnie:

- Gdzie ten Nero Wolfe? Niech go pan zawoła.

- Niemożliwe, panie Kimball. On jest... - Przypomniałem sobie jednak, jak Wolfe kiedyś dowiedział się, że nazwałem go „niedołęgą" i nie chciałem, by to się powtórzyło. - ... Jest ekscentrycznym geniuszem. To bardzo blisko, na Trzydziestej Piątej. Mam samochód na dole i będzie mi miło pana tam podrzucić.

Kimball powiedział:

- Poznałem w życiu tylko jednego geniusza - był nim argentyński kowboj. *Gaucho*. Dobrze, proszę poczekać w pokoju obok.

Wróciwszy do pomieszczenia, w którym byłem na początku, usiadłem na skraju krzesła. Spotkanie ze starym Kimballem i rozmowa z nim otworzyły jakieś nowe klapki w moim mózgu. Ujrzałem jasno to, co powinno dotrzeć do mnie już poprzedniego wieczoru, w momencie gdy wyszło na jaw, że kij, który Wolfe nazwał „śmiercionośnym narzędziem", należał do Kimballa. W naszej grze to był prawdopodobnie rozstrzygający moment. To było tak niesamowite, jak gdyby natknąć się na ofiarę morderstwa i jakimś cudem ożywić ją na wystarczająco długi czas, by sama odpowiedziała na pytanie, kto jest sprawcą. To E. D. Kimball był tym żywym trupem. Musiałem dostarczyć go do Wolfe'a i zamknąć za nim drzwi na klucz - jak najszybciej, zanim zdąży dopaść go Corbett albo ktokolwiek inny. Każdy był niebezpieczny. Skąd miałem wiedzieć, czy to chociażby nie ów sekretarz - Blaine o kwadratowej szczęce - zlecił wykonanie kija, a potem znalazł okazję, by podrzucić go Kimballowi? W tej samej chwili, gdy siedziałem beztrosko na brzegu krzesła, Blaine mógł zatapiać nóż w ciele Kimballa, podobnie jak uczynił wcześniej z Carlem Maffei...

Była dziesiąta pięćdziesiąt. Wstałem i zacząłem chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Człowiek od Andersona - byłem pewien, że chodzi o Corbetta - miał tu być o wpół do dwunastej, a mógł nabić sobie do tej swojej tępej głowy, by zjawić się wcześniej i zaczekać. Już podjąłem decyzję, by poprosić dziewczynę przy biurku o wykonanie telefonu do Blaine'a, gdy drzwi otworzyły się zamaszyście i stanął w nich gotowy do wyjścia Kimball. Cholernie się na jego widok ucieszyłem. Podskoczyłem do drzwi i otwarłem je przed nim na oścież.

Kiedy znaleźliśmy się w windzie, rzuciłem uwagę:

- Pan Blaine nie jedzie z nami.

Kimball pokręcił głową.

- Będzie bardziej potrzebny tu, na miejscu. Podoba mi się pańska twarz. Zawsze zwracam uwagę na twarz człowieka i jeszcze nigdy się nie zawiodłem. Zaufanie jest jedną z najwspanialszych rzeczy na ziemi, zaufanie i wiara w bratnią duszę.

Tak, pomyślałem sobie. Założę się, że taki sprytny handlarz jak ty potrafi zrobić użytek z cudzego zaufania.

Do miejsca, gdzie zaparkowałem, trzeba było przejść jedynie połowę długości kamienicy. Wrzuciłem gaz do dechy i było ledwo piętnaście po jedenastej, gdy otwierałem przed Kimballem drzwi mieszkania Wolfe'a.

Zaprowadziłem gościa do salonu i poprosiłem o chwilę cierpliwości, po czym wróciłem do wejścia i sprawdziłem, czy drzwi są dobrze zamknięte. Potem wstąpiłem do kuchni. Fritz przyrządzał tartę z wiśni - wyjmował właśnie z pieca formę, więc skubnąłem jedną wisienkę z wierzchu i wepchnąłem ją do ust, o mało nie paląc sobie na wiór języka. Powiedziałem do Fritza:

- Jedno dodatkowe nakrycie na lancz. Nie wkładaj tym razem żadnej trucizny. I uważaj, kogo wpuszczasz. Jeśli będziesz miał jakiekolwiek wątpliwości, daj znać.

Wolfe siedział w biurze, przy biurku. Na jego widok wkurzyłem się nieźle - był właśnie w trakcie porządków! Miał tylko jedną szufladę w biurku - szeroką i płytką, umieszczoną pośrodku blatu - i odkąd zaczął używać piw w butelkach zamiast beczkowych, wypracował sobie nowy zwyczaj - za każdym razem po otwarciu butelki odruchowo otwierał szufladę i wrzucał doń kapsel. Do obowiązków Fritza nie należało sprzątanie szuflad w biurze, a ja wiedziałem skądinąd, że Wolfe wyobraża sobie, iż te kapsle do czegoś mu się kiedyś przydadzą, toteż ich nie ruszałem. W momencie gdy wszedłem, szuflada była w połowie opróżniona, a na blacie biurka piętrzyła się góra kapsli, które Wolfe układał w oddzielne stosiki.

- Pan Kimball czeka w salonie. Czy ma tu przyjść i pomóc panu w porządkach? - spytałem.

- Do diabła! - Wolfe spojrzał na cały ten bałagan, a potem na mnie i westchnął bezradnie. - Czy może chwilkę zaczekać?

- Oczywiście, jasne. Czy przyszły tydzień będzie dobry?

Westchnął ponownie.

- Niech to szlag! Przyprowadź go!

- Do tego złomowiska rupieci? Nie ma sprawy! Poinformowałem go, że jest pan ekscentrykiem - mówiłem ściszonym głosem, teraz zaś ściszyłem go jeszcze bardziej, wtajemniczając Wolfe'a w to, co zdążyłem Kimballowi powiedzieć i jak zareagował. Wolfe zarejestrował powyższe fakty, a ja poszedłem po gościa.

Kimball przybrał ponownie zatroskany, ale jednocześnie rozbawiony wygląd. Przedstawiłem go i podałem mu krzesło. Odczekałem, aż wymienią kilka grzecznościowych uwag i powiedziałem:

- Jeżeli nie potrzebuje mnie pan teraz, sir, zajmę się tymi raportami.

Wyraził zgodę skinieniem głowy, a ja zasiadłem przy swoim biurku, zawalonym papierami, częściowo powtykanymi za okładkę, której w sytuacjach takich jak ta używałem w charakterze notatnika. Opanowałem do tego stopnia operowanie skrótem, że potrafiłem zanotować każde słowo nawet z bardzo szybkiej rozmowy, nie dając po sobie nic poznać i sprawiając wrażenie zainteresowanego wyłącznie poszukiwaniem rachunku z delikatesów z zeszłego tygodnia.

Wolfe mówił:

- Ma pan absolutną rację, panie Kimball. Człowiek wie, że żyje naprawdę tylko wtedy, gdy cierpi. Jest tyle rzeczy, które mogą pozbawić nas tego, co posiadamy: powódź, głód, wojna, małżeństwo - nie mówiąc już o śmierci, która jest z tego wszystkiego najlepsza, bo wtedy mamy wszelakie problemy z głowy.

- Boże! - Kimball niespokojnie wiercił się na krześle. - Co może być dobrego w śmierci?

- Był pan niedawno o krok od tego, by się przekonać na własnej skórze. Nie dalej jak w przedostatnią niedzielę. - Wolfe wyciągnął palec w jego stronę. - Jest pan zapracowanym człowiekiem i właśnie wrócił pan do swych obowiązków po tygodniu nieobecności. Dlaczego, wobec takich okoliczności, poświęcił pan dzisiejsze przedpołudnie, by złożyć mi wizytę?

Kimball spojrzał zdumiony.

- O to samo właśnie chciałem zapytać pana.

- Dobrze więc, powiem panu. Zrobił to pan, bo jest pan zdezorientowany. To nie najbardziej pożądany stan dla kogoś znajdującego się w ekstremalnym niebezpieczeństwie. Nie widzę u pana oznak przerażenia, a jedynie dezorientację. To doprawdy zadziwiające, biorąc pod uwagę, co panu powiedział pan Goodwin. Poinformował on pana, że to, co wydarzyło się czwartego czerwca, dwanaście dni temu, nie było niczym innym jak niedopatrzeniem mordercy. W jego wyniku zginął Peter Oliver Barstow, a pan wciąż pozostaje przy życiu. Przyjął pan tę wiadomość, tak oczywistą, z niedowierzaniem. Dlaczego?

- Bo to niedorzeczność! - Kimball zaczynał się niecierpliwić. - Nonsens!

- Wcześniej określił to pan jako brednie. Dlaczego tak pan sądzi?

- Bo tak jest. Nie przyszedłem tu spierać się o takie rzeczy. Jeżeli policja ma problem z wyjaśnieniem pewnych spraw, których nie potrafi rozwiązać, stara się fabrykować bajeczki na swoje usprawiedliwienie. Uważam, że to, komu pożyczam swój kij do golfa, jest moją prywatną sprawą, ale ich nie interesuje moje zdanie, a nawet mogą mnie nie dopuścić do jego wyrażenia. Jestem zajętym człowiekiem i mam ważniejsze sprawy na głowie. Jest pan w błędzie, panie Wolfe. Nie przyszedłem tu dlatego, że jestem zdezorientowany, ani tym bardziej, by dać się panu zastraszyć. Przyszedłem, bo najwyraźniej policja usiłuje wkręcić mnie w jakąś wyssaną z palca historię, która może przysporzyć mi sporo kłopotów i rozgłosu, a ja go nie potrzebuję, natomiast pana człowiek zasugerował, że pan potrafi pokazać mi, jak tego uniknąć. Jeżeli faktycznie może pan tego dokonać, proszę to zrobić - zapłacę. Jak nie, proszę powiedzieć, a ja poszukam sobie lepszego doradcy.

- Tak. - Wolfe siedział oparty wygodnie na krześle i przygląda! się gościowi spod półprzymkniętych powiek. W końcu pokręcił głową. - Obawiam się, że nie powiem panu, jak uniknąć kłopotów, panie Kimball. Mogę, przy odrobinie szczęścia, powiedzieć panu, jak uniknąć śmierci. A i to nie jest pewne.

- Nigdy nie oczekiwałem, że uniknę śmierci.

- Proszę nie łapać mnie za słowo. Miałem na myśli oczywiście wyjątkowo nieprzyjemną i przedwczesną śmierć. Będę z panem szczery, sir. To, że nie mam zamiaru życzyć panu już teraz miłego dnia i pozwolić wrócić do swoich pilnych zajęć, nie jest spowodowane moją bezsporną wiedzą o tym, że staje pan jak idiota ze śmiercią twarzą w twarz. Nie robię tego, by dokładać się do pewnego chrześcijańskiego przedsięwzięcia, gdyż uważam, że nie da się nikogo zbawić na siłę. Działam wyłącznie we własnym interesie. Pani Barstow zaoferowała zapłatę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów dla tego, kto znajdzie mordercę jej męża. Mam zamiar go znaleźć, a żeby to zrobić, potrzebuję jedynie informacji, kto czwartego czerwca zamierzał pozbawić pana życia, i muszę dowiedzieć się tego w rozsądnym czasie, gdyż jak dotąd nie znaleziono zaradczych środków, by odwieść mordercę od kolejnych zbrodni. Jeżeli pomoże mi pan, korzyść będzie obustronna. Jeżeli nie, niewykluczone, że jedynie przez niedopatrzenie czy pomyłkę dokonaną podczas drugiej, skutecznej tym razem próby, uda mi się udowodnić sprawcy pierwszą, chybioną.

Kimball pokręcił głową, nie ruszył się jednak ze swego miejsca. Z jego twarzy nadal nie można było wyczytać śladu paniki, a jedynie zainteresowanie.

- Jest pan dobrym mówcą, panie Wolfe - powiedział. - Nie sądzę, żeby mógł pan cokolwiek dla mnie zrobić, biorąc pod uwagę, że lubi pan wymyślać fantastyczne historyjki, na wzór policji, ale muszę przyznać, że jest pan dobrym mówcą.

- Dziękuję. Ceni pan dobrych mówców?

- Cenię wszystko, co dobre. Dobrych mówców, dobry handel, dobre maniery, dobre życie. Nie mam na myśli bogatego życia, lecz jego dobrą jakość. Staram się, by moje życie było dobre, i chciałbym, aby życie innych także było dobre. Wiem, że nie każdy ma taką możliwość, ale pewnie każdy na swój sposób się o to stara. Myślałem o tym dziś przed chwilą, w drodze do pana. Nie mówię, że historia, którą mi opowiedział pański człowiek, nie wywarła na mnie żadnego wrażenia. Oczywiście, że tak. Kiedy nazywałem ją brednią, sądziłem w ten właśnie sposób i nadal tak sądzę - dała mi jednak sporo do myślenia. Jeżeli faktycznie ktoś chciał pozbawić mnie życia, kto to mógł być?

Przerwał, a wtedy Wolfe mruknął pod nosem:

- Właśnie, kto?

- Nikt - Kimball zaczął popadać w emfazę.

Pomyślałem sobie, że jeżeli ów gość okaże się taki jak Barstow - nieskazitelny do tego stopnia, że nawet komar nie mógłby go ugryźć - to ja dziękuję.

- Spotkałem kiedyś człowieka, który zamordował dwóch ludzi dlatego, że wyprzedzili go w interesach - powiedział Wolfe.

Kimball roześmiał się.

- Dobrze, że nie dotyczyło to handlu zbożem. Gdyby ta metoda była powszechna, zostałbym zamordowany już nie raz, ale milion razy. Jestem dobrym handlowcem i szczycę się tym. Moją miłością jest pszenica. Oczywiście pan kocha wymyślanie mrożących krew w żyłach historii i przemyślne morderstwa - nie ma sprawy, to pańska praca. Ja kocham pszenicę. Czy zdaje pan sobie sprawę, że na świecie jest siedemset milionów buszli pszenicy? A ja wiem, gdzie znajduje się każdy z nich w dowolnym momencie. W każdej chwili.

- Pewnie sam pan posiada ze sto albo coś koło tego?

- Nie, nie posiadam ani jednego. Jestem teraz poza. Ale już jutro albo w przyszłym tygodniu zajmę się pszenicą na nowo. Jak powiedziałem, jestem w tym dobry. Stoję na czele wielu poważnych przedsięwzięć, jednak nikt nie ma zamiaru podłożyć mi świni, gdyż trzymam się zasad. O tym właśnie myślałem, jadąc tu. Nie wiem za wiele o sprawie Barstowa, jedynie tyle, ile zdołałem przeczytać w gazetach. Jak rozumiem, ów kij nie został odnaleziony. Prawdopodobnie w ogóle nie istnieje. Ale nawet, jeżeli go znajdą i gdy okaże się, że to ja pożyczyłem go Barstowowi, wciąż trudno mi będzie uwierzyć, by ktoś chciał zrobić mi coś takiego. Trzymam się zasad i uczciwych reguł - zarówno w biznesie, jak i w prywatnym życiu.

Przerwał. Wolfe mruknął:

- Są różne rodzaje ran, panie Kimball - prawdziwe, wyimaginowane, materialne, duchowe, lekkie, śmiertelne...

- Nikogo nie zraniłem.

- Czyżby? Istotą świętości jest skrucha. Zgadza się pan z tym stwierdzeniem? Weźmy chociażby mnie. Kogo to ja nie skrzywdziłem? Nie wiem, dlaczego pańska obecność skłania mnie do tego rodzaju wyznań, ale jakoś tak się złożyło. Zapomnijmy o morderstwie Barstowa, skoro uważa pan je za brednię. Zapomnijmy o policji - znajdziemy jakieś środki zaradcze, by zapobiec nękaniu pana z ich strony. Miło się rozmawiało, jednak pańskie interesy nie cierpią zwłoki. Nie chciałbym odciągać pana od ważnych spraw.

- Nie robi pan tego - Kimball wyglądał na ugłaskanego. - Gdybym miał coś pilnego do zrobienia, nie byłoby mnie tu. Firma poradziła sobie beze mnie przez tydzień - jedna godzina więcej nie zrobi wielkiej różnicy.

Wolfe pokiwał głową z aprobatą.

- Napije się pan piwa?

- Dziękuję, nie piję.

- No, no - Wolfe wcisnął guzik. - Jest pan niezwykłym człowiekiem, sir. Potrafi pan sobie odmówić alkoholu, jest pan dobrym biznesmenem, a w dodatku filozofem. - Jedna szklanka, Fritz. - Ale zaczęliśmy rozmawiać na temat ran i stanęło na wyznaniu. To oczywiście retoryka, nie snobuję się na brutala - cierpię raczej z powodu romantycznych rozterek. A jednak mimo to, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, trudno mi uwierzyć, że wciąż żyję. Niespełna rok temu człowiek siedzący na miejscu pana, obiecał, że zamorduje mnie przy najbliższej ku temu okazji. Pozbawiłem go środków do życia, kierując się wyłącznie czystym wyrachowaniem. Niecałe dwadzieścia numerów dalej mieszka pewna kobieta, w dodatku bardzo inteligentna, której położenie uległoby niebywałej poprawie, gdybym wyniósł się z tego świata. Mógłbym mnożyć tego rodzaju przykłady w nieskończoność. Mam też na sumieniu inne - trudniejsze do wyznania i trudniejsze do wybaczenia winy. - Dziękuję, Fritz.

Wolfe sięgnął do szuflady po otwieracz, otworzył butelkę i wrzucił kolejny kapsel do swojej kolekcji. Napełnił szklankę i wychylił jej zawartość.

- Oczywiście, każda profesja to jakieś ryzyko - zgodził się Kimball.

Wolfe pokiwał głową.

- Oto znów budzi się w panu filozof. Nietrudno dostrzec, panie Kimball, że jest pan kulturalnym i wykształconym człowiekiem. Być może słyszał pan o trudnych do zrozumienia psychologicznych potrzebach, które nakazują ludziom - weźmy mój przykład - robić rzeczy zasługujące na bezwarunkowe potępienie. Pod tym oto dachem, na najwyższym piętrze, mieszka kobieta, która nie życzy mi śmierci jedynie dlatego, że w jej szlachetnym sercu nie ma ani odrobiny jadu. Torturuję ją każdego dnia, o każdej godzinie. Zdaję sobie z tego sprawę i ta wiedza mnie zabija. Ale wciąż to robię. Być może zrozumie pan tę niejasną potrzebę i siłę owych tortur, gdy wyznam, że tą kobietą jest moja własna matka.

Zanotowałem to, co_ powiedział, i omal nie spojrzałem na niego w zdumieniu - powiedział to z wielkim przekonaniem, nadając głosowi ton niemal pozbawiony emocji, a jednak sprawiający wrażenie, że gdzieś wewnątrz skrywa się tak dojmujące uczucie, iż tylko niezwykła siła woli pozwala na utrzymanie go w ryzach. Przez moment omal nie zacząłem głęboko współczuć jego matce, choć sam osobiście, każdego miesiąca, kombinowałem, jak mogłem, z rachunkami, by wystarczyło na wysłanie okrągłej sumki na adres jej domu w Budapeszcie, gdzie mieszkała.

- O Boże - westchnął Kimball.

Wolfe wychylił kolejną szklankę i wolno pokiwał głową.

- Rozumie pan teraz, po co wymieniałem owe rodzaje ran. Po prostu obcuję z tym na co dzień.

Wyglądało na to, że Kimball nie zrozumiał aluzji. Sprawiał wrażenie współczującego i zarazem zadowolonego z siebie. Uśmiechnął się z pewną wyższością.

- Zastanawiam się, z czego wnosi pan, że jestem wykształcony.

Wolfe uniósł brwi.

- Czy to nie oczywiste?

- To miło z pana strony, skoro tak pan myśli. Rzuciłem szkolę - to było w Illinois - i uciekłem z domu. To nie był prawdziwy dom - wychowywałem się u wujostwa. Nie miałem rodziców. Od tamtej pory nie chodziłem do szkoły. Jeżeli jestem wykształcony, to zawdzięczam to tylko i wyłącznie samodzielnej pracy.

- To dobry rodzaj edukacji - Wolfe powiedział to głosem niskim i cichym, takim, który mówi: „dalej, słucham cię" bez użycia słów. - Jest pan na to kolejnym dowodem. Nowy Jork stanowi niezłą edukację dla chłopca w tym wieku, o ile ów dysponuje odpowiednią siłą ducha i charakteru.

- Być może. Niewykluczone, ja jednak nie udałem się do Nowego Jorku. Pojechałem do Teksasu. Po roku przeniosłem się do Panhandle, potem do Galveston, a w końcu do Brazylii i Argentyny.

- Naprawdę?! Dysponuje pan niezwykłą siłą charakteru. I wykształceniem godnym obywatela świata.

- Tak, zwiedziłem trochę świata. Spędziłem dwadzieścia lat w Ameryce Południowej, głównie w Argentynie. Kiedy wróciłem do Stanów, musiałem uczyć się angielskiego niemal od nowa. Żyłem godnie, próbowałem w życiu wielu różnych ciekawych rzeczy. Widziałem też wiele rzeczy przykrych - i mnie samego one nie ominęły - ale zawsze, gdziekolwiek i kiedykolwiek by to było, trzymałem się zasad. Wróciwszy do Stanów, sprzedawałem wołowinę, później, stopniowo, zająłem się zbożem. Tu właśnie odnalazłem swoje miejsce - zboże jest dla ludzi, którzy nie boją się ryzyka i gotowi są robić to w taki sposób, w jaki *gaucho* ujeżdża konia.

- Był pan *gaucho?*

- Nie. Zawsze trudniłem się handlem. To narodziło się we mnie samo. Ciekaw jestem, tak przy okazji, czy potrafi pan w to uwierzyć. Nie wstydzę się tego. Czasem, siedząc w swoim biurze, ze świadomością, że tuzin światowych firm czeka na jeden mój ruch, wspominam tamte czasy i jestem z siebie dumny. Przez dwa lata byłem sprzedawcą lin.

- Żartuje pan.

- Nie. Trzy tysiące mil w siodle na sezon. Wciąż widać, gdy chodzę.

Wolfe spojrzał z głębokim podziwem.

- Prawdziwy nomad z pana, panie Kimball. Oczywiście, nie ożeni! się pan w tamtym czasie.

- Nie, ożeniłem się później, w Buenos Aires. Miałem już wtedy własną firmę - na Avenida de Mayo...

Przerwał. Wolfe nalał sobie kolejną szklankę. Kimball zapatrzył się w niego, lecz jego oczy były niewidzące, a raczej śledziły obrazy ukryte gdzieś wewnątrz. Nagle coś wyrwało go z tego transu i przeniosło w jakieś inne miejsce.

Wolfe pokiwał głową ze zrozumieniem i zamruczał:

- Wspomnienia, znam je i ja...

- Tak, wspomnienia. Zabawna rzecz. Boże! Może się zdawać, że obudziły się w odpowiedzi na to, co powiedział pan wcześniej na temat różnych rodzajów ran. Wyimaginowanych ran, śmiertelnych. Ale nie chodzi tu o żadną z nich. Właśnie mnie została zadana rana. I nie była to wyimaginowana rana. Ja również miewam rozterki, podobnie jak pan, ale nie uważam, by było w tym cokolwiek z romantyzmu.

- Została panu zadana rana?

- Jedna z najgorszych, jaką człowiek jest w stanie znieść. To było trzydzieści lat temu, ale wciąż odczuwam ból. Poślubiłem dziewczynę, prześliczną Argentynkę. Mieliśmy dziecko - chłopca. Skończył dwa lata, gdy wróciłem kiedyś za wcześnie do domu z podróży i zastałem w swoim łóżku najlepszego przyjaciela. Chłopiec siedział na ziemi i bawił się zabawkami. Miałem swoje zasady. Powtarzałem sobie później tysiąc razy, że gdybym miał cofnąć się w czasie do tamtej chwili, zrobiłbym to samo. Oddałem dwa strzały...

- Zabił ich pan - mruknął Wolfe.

- Zgadza się. Krew zachlapała podłogę i poplamiła jedną z zabawek. Zostawiłem chłopca - często zastanawiałem się później, dlaczego i jego nie zabiłem, skoro wiedziałem, że nie był mój - poszedłem do knajpy i upiłem się w trupa. To był ostatni raz, kiedy się upiłem.

- Przyjechał pan do Stanów...

- Nieco później, jakiś miesiąc. Nie było mowy o ucieczce, nie uciekniesz od sprawiedliwości w Argentynie, ale pozałatwiałem jakoś sprawy i wyjechałem z Ameryki

Południowej na zawsze. Wróciłem tam tylko raz, przed czterema laty.

- Wziął pan ze sobą chłopca?

- Nie. Z tego powodu wróciłem. Oczywiście nie chciałem go, zaopiekowała się nim rodzina mojej żony. Mieszkał poza miastem, na stepie, gdzie ją poznałem.. Na imię miał Manuel - tak samo, jak mój przyjaciel - dałem mu to imię na jego cześć. Wróciłem sam i przez dwadzieścia sześć lat byłem sam. Handel okazał się dla mnie lepszą żoną niż poprzednia. Ale teraz widzę, że przez cały ten czas trawiły mnie wątpliwości, a być może człowiek po prostu łagodnieje z wiekiem. Może po prostu poczułem się samotny, a może zrozumiałem, że jednak mam syna. Przed czterema laty podjąłem decyzję i pojechałem do Buenos Aires. Odnalazłem go szybko. Rodzina wykruszyła się, gdy był jeszcze bardzo młody, prawie wszyscy pomarli. Miał ciężkie dzieciństwo, ale jakoś dał sobie radę. Gdy go odnalazłem, był jednym z najlepszych lotników w argentyńskiej armii. Musiałem go długo przekonywać, by dał sobie z tym spokój. Próbował odnaleźć się w mojej branży, ale okazało się, że nie jest do tego stworzony i próbuje teraz wejść w biznes lotniczy przy udziale moich pieniędzy. Kupiłem ziemię w Westchester i wybudowałem tam dom. Mam nadzieję, że gdy Manuel się ożeni, nie spotka go taki los, jaki spotkał mnie.

- Oczywiście wie... o swojej matce?

- Nie sądzę. Nie wiem, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Mam nadzieję, że nie. Bowiem ja nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia - gdybym miał cofnąć się w czasie do tamtej chwili, zrobiłbym to samo. Nie udaję, nawet przed nim samym, że posiadanie takiego syna jak on stwarza wiele problemów. Ostatecznie jest Argentyńczykiem, a ja pochodzę z Illinois. Ale nosi moje nazwisko i ma głowę na karku. Poślubi amerykańską dziewczynę i będzie po kłopocie.

- Niewątpliwie. - Wolfe nie tknął piwa przez tak długi czas, że piana całkowicie opadła, czyniąc napój podobnym do herbaty. Sięgnął po szklankę i wziął długiego łyka. - Tak, panie Kimball, przekona! nas pan - została panu zadana głęboka rana. Ale pan - nazwijmy rzecz po imieniu - zadbał o wszystko. Jeżeli rana została zadana także chłopcu - załatwił pan sprawę w elegancki sposób. Pańskie wyznanie nie było ani w połowie tak demoralizujące jak moje. Ja nie potrafiłem zaprzeczyć swojej winie - jak by powiedział pan Goodwin - nie było szans. Ale co jeśli chłopiec jednak czuje się skrzywdzony?

- Nie!

- A co jeśli jednak, z jakiegoś powodu, tak?

Zwróciłem uwagę, że Kimball unika kontaktu wzrokowego ze swym rozmówcą. Fakt, czasami trudno było złapać również taki kontakt z Wolfe'em, ale wytrawny handlowiec nie powinien mieć z takimi rzeczami problemu. A jednak. Nie miał już nic więcej do powiedzenia. Wstał.

- Nie. Pańska spowiedź w niczym mi nie pomogła, panie Wolfe - oświadczył.

- Czyżby? - Na Wolfie to oświadczenie nie wywarło wrażenia. - Jestem otwarty na wszelką pomoc. Powiedzmy sobie szczerze - niewinny nie ma powodów do obaw. - Spojrzał na zegarek. - Za pięć minut lancz. Nie będę udawał pańskiego przyjaciela, ale oczywiście nie życzę panu źle. Trzydzieści lat temu spotkało pana gorzkie rozczarowanie i zareagował pan spontanicznie. Stracił pan panowanie nad sobą. Zobaczmy, co się da zrobić. Zapraszam pana na lancz.

Ale Kimball nie przyjął zaproszenia. Faktem jest, że w tamtym momencie po raz pierwszy zobaczyłem w jego oczach strach. Chciał jak najszybciej się stąd wydostać. Zaczynałem się w tym wszystkim powoli gubić.

Wolfe próbował go jeszcze namawiać, by został, ale nic nie wskórał. Kimball przestał okazywać strach i stał się niezmiernie uprzejmy. Oznajmił, że („o, Boże!") nie wiedział, iż jest już tak późno. Przykro mu, że Wolfe nie może nic zrobić, by zapobiec nękaniu go przez policję, i ufa, iż zachowa tę rozmowę dla siebie.

Odprowadziłem go do drzwi. Zaproponowałem podwiezienie, ale odmówił, twierdząc, że złapie za rogiem taksówkę. Obserwując z progu, jak znika w ulicznym tłumie, na widok jego wygiętych kolan stwierdziłem, że faktycznie musiał spędzić sporo czasu w siodle.

Kiedy wróciłem do biura, Wolfe'a już nie było, toteż poszedłem od razu do jadalni. Właśnie sadowił się na krześle, które Fritz miał zamiar lada chwila dosunąć do stołu. Kiedy był gotów, ja również zająłem swoje miejsce. Wolfe nigdy nie miał w zwyczaju mówić o interesach podczas posiłku, ale myślałem, że tym razem być może zrobi wyjątek. Nie zrobił. Pogwałcił jednak jeden ze swych zwyczajów - uwielbiał gadać przy jedzeniu, na luzie i na zupełnie przypadkowy temat, jaki mu akurat przyszedł do głowy (zarówno do mnie, jak i do siebie samego, aczkolwiek zawsze stanowiłem lepszą publiczność niż żadna). Tym razem nie odezwał się słowem. Obserwowałem, jak pomiędzy jednym kęsem a drugim jego wargi na przemian wydymają się i kurczą. Nie pamiętał nawet, by pochwalić Fritza za dania, toteż gdy ten zbierał naczynia, robiąc miejsce na kawę, mrugnąłem do niego, a on kiwnął głową z poważnym uśmiechem, który oznaczał, że rozumie i nie żywi urazy.

Po lanczu Wolfe zajął swoje miejsce w biurze, wciąż w milczeniu. Uporządkowałem papiery na biurku i spiąłem ze sobą wyjęte zza okładki kartki, których użyłem do zapisu rozmowy. Usiadłem i czekałem na przybycie ducha, który ożywi ciało Wolfe'a. Po pewnym czasie Wolfe omiótł wszystko spojrzeniem zdolnym na całe popołudnie wprowadzić w ruch kowalski miech, odsunął gwałtownie krzesło, by móc otworzyć szufladę biurka i zamaszystymi ruchami jął zgarniać doń stosy kapsli. Obserwowałem go. Gdy skończył, zamknął z hukiem szufladę i powiedział:

- Pan Kimball jest nieszczęśliwym człowiekiem.

- To cwaniak - odrzekłem.

- Być może. Nie zmienia to jednak faktu, że nieszczęśliwy. Dopadł go za jednym zamachem

cały wór nieszczęść. Własny syn pragnie go zabić. Ale gdy Kimball uzna ten fakt, nawet przed samym sobą, będzie skończony. Jego syn, a tym samym przyszłość rodziny Kimballów, jest w tej chwili jedynym celem jego życia. Tak więc nie chce uznać tego faktu i nie zrobi tego. Ale jeżeli nie uzna tego faktu, a w dodatku nie zrobi niczego, by mu przeciwdziałać - także jest skończony, gdyż czeka go szybka śmierć i to prawdopodobnie w wyjątkowo niemiłych okolicznościach. Ten problem go przerasta, co powoduje dodatkowe komplikacje. Człowiek ów potrzebuje pomocy, ale nie ma odwagi się do tego przyznać. Powodem jego braku odwagi jest to, że jak każdy durny śmiertelnik wierzy w rzeczy niemożliwe. Co zrobi, jeśli okaże się, że (przecież Kimball nie jest na tyle ograniczony, by w jego sytuacji nie zadać sobie takiego pytania) syn rzeczywiście próbował pozbawić go życia i przez pomyłkę zamiast ojca pozbawił życia Barstowa? Czyż ów syn nie poczyta sobie tej pomyłki za znak z nieba? Czyż nie da sobie przetłumaczyć (może ojciec powinien nawet omówić z nim tę sprawę w cztery oczy), by dobić poważnego targu z losem, polegającego na darowaniu swemu ojcu życia w zamian za życie już nieodwracalnie odebrane? W ten sposób Kimball mógłby spokojnie dokonać żywota, piastując wnuki. Ale, do chwili, gdy targ ów - stanowiący największy triumf w całej jego karierze - zostanie dokonany, Kimball żyć będzie pod presją ciągłego niebezpieczeństwa, zdolnego zniszczyć o wiele młodszego i uczciwszego człowieka niż on. A nie śmie przy tym poprosić o pomoc, gdyż czyniąc to, narazi z kolei swego syna na niebezpieczeństwo równe temu, które czyha na niego. Niezwykły dylemat. Rzadko można natrafić na podobny - gdzie nie pójdziesz, tam deszcz, a raczej oberwanie chmury. Kimballa tak dobija ten fakt, że zaczął działać - co, jak sądzę, nie jest dlań rzeczą codzienną - jak kompletny głupiec. Zdemaskował syna, rezygnując z ochrony własnego bezpieczeństwa. Żyjąc w strachu, zdradził pewne fakty, jednocześnie odmawiając strachowi racji istnienia.

Wolfe przerwał słowotok. Opadł na oparcie fotela, zwieszając podbródek na piersi i splatając dłonie na brzuchu.

- Dobrze - powiedziałem. - To tyle na temat Kimballa. Przejdźmy teraz do Manuela. Mówiłem panu, że mnie wkurza. Jednak czy - niezależnie od tego - nie powinniśmy usiąść przy maszynie i zrobić listy wszystkich dowodów, którymi dysponujemy?

- Do diabła, Archie - westchnął głęboko Wolfe. - Wiem, obraz wymaga werniksu. Ale puszka jest pusta. Nie mamy werniksu. Nie mamy nawet puszki. Nie mamy nic.

Nie mogłem nie przyznać mu racji.

- Jeżeli jednak mógłbym coś zasugerować - w Armonk, zaledwie kilka mil od Pleasantville, jest lotnisko. Można by tam podskoczyć i sprawdzić, co w trawie piszczy.

- Można. Ale śmiem wątpić, by Manuel korzystał z publicznego lotniska. Raczej ceni sobie prywatność, jak sądzę. Zanim pojedziesz, spróbuj zrobić tak... Pisz!

- Dużo?

- Malutko.

Wyjąłem notatnik i ołówek. Wolfe podyktował:

Jeśli ktokolwiek widział, jak lądowałem samolotem na pastwisku w poniedziałek wieczór, piątego czerwca, proszę o kontakt w tej sprawie. Mam zamiar założyć się i podzielić wygraną.

- Niezłe - powiedziałem. - Świetne. Ale to mogło być także pole golfowe.

Wolfe pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne - także za dużo ludzi. Zostaw „pastwisko". Będzie wyglądało bardziej wiarygodnie. Nie, nie dzwoń. Zatrzymaj się po drodze przy redakcji „Timesa" - nadaj ogłoszenie i upewnij się, że odpowiedzi dotrą także do nas. Poza tym... tak, do wszystkich innych gazet też - porannych i wieczornych - ustal z nimi, co trzeba. Manuel Kimball jest wystarczająco rozgarnięty, by się zaniepokoić. Jak przeczyta ogłoszenie, zda sobie sprawę, że ktoś się zgłosi.

Wstałem.

- Dobra. Już mnie nie ma.

- Moment. Czy White Plains jest po drodze do Armonk?

- Zgadza się.

- W takim razie wstąp także do Andersona. Opowiedz mu wszystko ze szczegółami, pomijając Carla Maffei i Argentynę. Zrób to dobitnie - nie wystrzegaj się teatralnego gestu. Powiedz mu też, że E. D. Kimball znajduje się nieustannie w śmiertelnym niebezpieczeństwie i potrzebuje ochrony. Kimball naturalnie temu zaprzeczy i odrzuci oferowaną mu pomoc, niemniej jednak, gdy ktoś miesza się do spraw takich furiatów jak ty i ja, pewne środki muszą zostać przedsięwzięte i nie powinno się ich zaniedbywać.

Wiedziałem, że ma rację, ale rzuciłem uwagę:

- Prędzej dałbym napiwek strażnikowi metra, niż podarował Andersonowi jakąś informację.

- Wkrótce wyślemy mu rachunek - odparł Wolfe.

Rozdział 14

Postoje przy redakcjach gazet w celu nadania ogłoszeń oraz panujący w piątkowe popołudnie ruch uliczny spowodowały, że w prokuraturze stawiłem się dopiero około szesnastej. Nie zawracałem sobie głowy uprzednim dzwonieniem, gdyż tak czy inaczej miałem przejeżdżać przez White Plains.

Okazało się, że zarówno Anderson, jak i Derwin są na miejscu. Dziewczyna za biurkiem uśmiechnęła się do mnie, co sprawiło mi przyjemność (kiedy przestają cię pamiętać, znaczy, że zszedłeś na drugi plan). Nie pytając o moje nazwisko, ani z kim chcę się widzieć, odpowiedziała na moje pozdrowienie i wcisnęła natychmiast przycisk na pulpicie. Spytałem:

- Jak pani sądzi, kim jestem? Synem marnotrawnym?

- Zabiją pana zamiast cielaka - odrzekła.

Zaraz, jak tylko odłożyła słuchawkę, jedne z drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Derwin. Podszedł do mnie.

- Czego chcesz?

Wyszczerzyłem się.

- Robi się gorąco. Czy może pan bezzwłocznie zadzwonić po Bena Cooka? Nie przepadam za agresywnym traktowaniem, toteż wpadłem bez uprzedzenia. Mam parę ciekawostek dla pana Andersona. Dla pana też. A może i dla was obu.

Nie udało mi się dowiedzieć do dziś, co ta banda z White Plains robiła w ciągu sześciu dni od chwili przeprowadzenia autopsji. Coś tam obiło mi się oczywiście o uszy - tamtego piątkowego popołudnia Anderson wspomniał, że Corbett spędził dwa dni w koledżu w Holland. Prawdopodobnie dotarła do nich plotka, że Barstow usadził jakiegoś studenta albo inna podobna bzdura. W każdym razie z pewnością nie zrobili milowego kroku w tej sprawie. Choć trudno w to uwierzyć, Anderson nie wiedział nawet, że Barstow miał tamtego dnia nowy zestaw kijów do golfa, ofiarowanych przez żonę na urodziny, dopóki mu o tym nie powiedziałem. Dowiedziałem się tego popołudnia tylko jednej nowej rzeczy - chemik z Nowego Jorku orzekł jednoznacznie, że w krwi Barstowa znajduje się jad węża. To z powodu tego raportu Anderson i Derwin odwrócili uwagę od pola golfowego i oddali się dogłębnym studiom nad rodziną grzechotnikowatych. Mnie samemu, choć trudno jak cholera się do tego przyznać, zabrało to ładnych parę godzin. Mimo że kwestia igły pozostała niewyjaśniona, zacząłem wyobrażać sobie przeróżne dziwniejsze jeszcze rzeczy w ludzkim brzuchu, które mogły znaleźć się tam przypadkowo. Grzechotniki nie były czymś niezwykłym w Westchester - być może jeden zawędrował do Green Meadow Club i ukąsił Barstowa. W stopę czy gdziekolwiek. Wystarczyło tego wszystkiego, by nabawić się bólu głowy. Raport o jadzie węża nie został przekazany do prasy, a mnie poinformowano o tym fakcie, dopiero

gdy zdałem własną relację, w związku z czym nie popsuł on stylistyki mojej opowieści.

Poza tym, nawet gdyby pole golfowe Green Meadow Club było wybrukowane metrowej grubości chodnikiem złożonym z żywych grzechotników, Anderson i Derwin nie mogli nie brać pod uwagę wyników autopsji.

Derwin wziął mnie do pokoju Andersona. Był tam jeszcze jeden mężczyzna - nie gliniarz - o wyglądzie prawnika. Usiadłem i zawiesiłem na kolanie swoją panamę.

- Co tym razem chcesz nam opowiedzieć?

Nie lubiłem tego gościa i tyle. Nawet żartowanie sobie z niego w trakcie rozmowy nie mogło przynieść mi cichej satysfakcji, gdyż w jego twarzy i zachowaniu tkwiło coś tak odpychającego, że jedyne, co sprawiłoby mi prawdziwą przyjemność, to przyłożenie mu prosto w nos. Derwin był inny - naturalnie nie należał do grona moich ulubionych kumpli, ale przynajmniej miał poczucie humoru.

- Mam wieści od Nero Wolfe'a. Może nie byłoby źle, gdybyście zawołali stenotypistę.

Anderson nie mógł darować sobie paru uwag, ale dałem sobie na wstrzymanie. Po co się wysilać, skoro najważniejszego asa i tak muszę zachować w rękawie. Tak też wkrótce, zdawszy sobie sprawę, że wiele w ten sposób nie wskóra, zawołał stenotypistę, a ja zacząłem swoją nawijkę. Powiedziałem o prezencie urodzinowym, torbie ze sprzętem i wszystkim, co z tym związane, oraz o historii z pożyczaniem kija w pierwszej turze gry. Wysunąłem sugestię, że można by podążyć tropem torby Kimballa - gdzie ją trzymał i kto miał doń dostęp, ale raczej nie sądzę, by mógł on doprowadzić dokądkolwiek - gdyż choćby Manuel musiał mieć ku temu tysiąc okazji. Potem powiedziałem o konieczności ochrony Kimballa. Wyraziłem się w sposób ostry i zdecydowany. Powiedziałem, iż Wolfe uważa, że odpowiedzialność za bezpieczeństwo obywatela, którego życiu zagraża niebezpieczeństwo, spoczywa na władzy I jest jej obowiązkiem, a on sam nie będzie odpowiadał - przed sobą ani nikim innym - za to, co może przydarzyć się Kimballowi lada moment.

Kiedy skończyłem, Anderson przystąpił do zadawania pytań. Na część z nich odpowiadałem, na część nie. Trwało to ładną chwilę, aż w końcu uśmiechnąłem się doń szeroko:

- Panie Anderson, próbuje mnie pan wrobić.

Zachował spokój.

- Niestety, bezskutecznie. Goodwin, będę z tobą szczery. Kiedy autopsja potwierdziła przewidywania Wolfe'a, pewien byłem, że on wie, kto jest sprawcą. Kiedy pojawiła się oferta nagrody, a on jej nie zgarnął, pewien byłem, że nie wie. Wiemy teraz wszystko to, co wy, oraz wiele więcej, oprócz jednego szczegółu - w jaki sposób Wolfe doszedł do swych spekulacji w temacie igły. Chciałbym to wiedzieć, aczkolwiek nie wierzę, by wiedza ta miała jakąkolwiek wartość, skoro zaprowadziła Wolfe'a donikąd. A więc mógłbyś mi o tym powiedzieć, nic nie tracąc. Ja również jestem w posiadaniu pewnych informacji. Na przykład - dziś rano w krwi Barstowa

zidentyfikowano jad węża.

- Dzięki. To zaoszczędzi mi kłopotu czytania wieczornych gazet.

- Nie będzie o tym w gazetach. Mogę powiedzieć ci także o paru innych rzeczach.

Co też uczynił. Wżenił mi historyjkę o wyprawie Corbetta do koledżu i parę innych bzdur, po czym zakończył wykładem na temat grzechotników. Chcąc znaleźć się już w drodze do Armonk i przemyśleć w samotności informację na temat węża, podziękowałem mu, podniosłem się i włożyłem na głowę kapelusz. Wkurzył się. Miałem to gdzieś. Przypomniałem mu o ochronie E. D. Kimballa i wyszedłem.

Nie wiedziałem dokładnie, ile czasu zabierze mi droga do Armonk, więc - jako że było to niemal po drodze - postanowiłem wcześniej złożyć wizytę Barstowom. Zatelefonowałem z budki na Main Street - Sara Barstow była w domu. Dwadzieścia minut później byłem na miejscu. Ten sam strażnik, co poprzednim razem, zmierzył mnie wzrokiem i wskazał gestem wejście.

Na głównym tarasie pili herbatę jacyś goście. Podszedłem do bocznych drzwi, a Small zaprowadził mnie do słonecznego pokoju na tyłach domu. Ponieważ było już popołudnie, podniesiono zasłony, a pokój tonął w cieniu. Small poinformował mnie, że panna Barstow zaraz do mnie dołączy, i spytał, czy mam ochotę na herbatę.

- Nie wpadłeś na to sam - skomentowałem.

Nawet nie mrugnął.

- Panna Barstow poleciła zaproponować panu herbatę, sir.

- Jasne. Poproszę szklankę mleka, jeżeli można.

Po minucie był z powrotem, niosąc na tacy mleko, a gdy zdążyłem wychylić pół szklanki, zjawiła się Sara. Uprzedziłem ją przez telefon, że chodzi tylko o towarzyską rozmowę i nie ma żadnego powodu do zmartwień - i gdy ujrzałem ją tym razem - naturalną, młodą i pełną życia, pomyślałem sobie, że gdyby wpadła kiedyś na pomysł założenia kliniki złamanych serc, byłbym pierwszy w kolejce, gdybym tylko nie był tak okrutnie zajęty. Zacząłem więc uprzejmie:

- Zdrzemnęła się chyba pani przez chwilę od mojej ostatniej wizyty.

Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie narzekałam na brak snu. Proszę usiąść.

Zająłem miejsce i uniosłem szklankę.

- Dziękuję za mleko, panno Barstow. Przednie, także i ono. Przepraszam, że odrywam panią od przyjaciół, ale to zajmie tylko chwilkę. Wracam właśnie z biura Andersona, z którym uciąłem sobie małą pogawędkę. Opowiedziałem mu o prezencie urodzinowym i o pani nocnej wycieczce do Tarrytown. Proszę poczekać chwilę, zanim naciśnie pani spust. To nie ma żadnego znaczenia dla sprawy - zwykła strategia wojenna, wie pani, takie coś, przez co generałowie przegrywają bitwy. Ten problem mamy już z głowy. W torbie pani ojca nie było żadnego podmienionego kija. Ani w

dniu, w którym podarowała mu ją pani matka, ani w żadnym innym. Nikt nie chciał go zabić. Umarł w wyniku pomyłki.

Spojrzała na mnie z przerażeniem. Dałem jej chwilę na przetrawienie tej informacji.

- A więc nie było żadnego mordercy... Nero Wolfe był w błędzie... Ale jak zatem...

- Nie powiedziałem, że nie było mordercy. Nero Wolfe się nie mylił. To była pomyłka. Caddie pani ojca pobiegł za piłką wraz z jego torbą, w związku z czym ten pożyczył kij od Kimballa. To był powód jego śmierci. Fatalna pomyłka, ot i wszystko. Nikt nie zamierzał go zabić.

- Mój ojciec... Znałam go dobrze... - powiedziała.

- Tak, przypuszczam, że znała go pani doskonale. Tyle chciałem pani powiedzieć, panno Barstow. Nie chciałem tego rozgłaszać, bo nie wiem, co Anderson zamierza zrobić z tą informacją. Poza tym to poufna wiadomość. Nie chciałem, by dowiedziała się pani od Andersona tego, co wie ode mnie, i pomyślała, że być może chcę panią oszukać. Jeżeli będzie na tyle ciekawski, że zacznie wypytywać, dlaczego wyrzuciła pani torbę do rzeki - biorąc pod uwagę rozwój wypadków, proszę mu po prostu kazać iść do diabła. Oto dlaczego pani o tym mówię. Chciałem, by wiedziała pani o tym pożyczonym kiju, bo wiem, że nie ma nic zabawnego w spędzaniu nocy na rozmyślaniach, kto zabił twojego ojca, w czasie gdy powinno się smacznie spać. Nikt go nie zabił. Ale będzie lepiej, gdy ta wiadomość zostanie na jakiś czas w rodzinie. - Wstałem. - To wszystko.

Nie poruszyła się. Podniosła na mnie wzrok.

- Już pan idzie? Chyba zostanę tu jeszcze chwilę. Dziękuję, panie Goodwin. Nie dokończył pan mleka.

Podniosłem szklankę, wychyliłem ją do dna i opuściłem dom. Pomyślałem, że może nawet, pomimo tylu obowiązków, znajdę kiedyś chwilę, by wstąpić do tej kliniki złamanych serc.

Dotarłem do Armonk dobrze po szóstej, ale słońce wciąż było wysoko. Na polu znajdowało się jeszcze kilka samolotów, jeden właśnie lądował. „Lot 58", „Niebo dla ciebie" i inne tego typu wabiki zdobiły mur ogrodzenia oraz drewniane ściany hangarów. Jeśli chodzi o wyposażenie, nie zauważyłem tu żadnych cudów, ale trzeba przyznać, że lotnisko było godziwych rozmiarów, porządnie utrzymane i płaskie jak stół. Zaparkowałem i wszedłem przez bramę umieszczoną przy jednym z hangarów. Na zewnątrz nie było nikogo prócz pilota i dwóch pasażerów wysiadających z samolotu, który właśnie wylądował. Poszedłem się rozejrzeć - w trzecim z hangarów znalazłem dwóch mężczyzn, grających w „kto trafi centem do dołka".

- Dzień dobry - wyszczerzyłem się. - Strasznie przepraszam, że wam przeszkadzam w grze, ale szukam mapy - takiej książki w okładce z mapami lotów. Może to niefachowy termin, ale nie jestem lotnikiem.

Jeden z nich był prawie dzieckiem. Drugi, starszy, w kombinezonie mechanika pokręcił głową.

- Nie sprzedajemy map.

- Nie mówiłem, że chcę kupić mapę. Szukam takiej jednej, w czerwonej oprawce, którą zostawił tu mój brat w zeszły poniedziałek. Piątego czerwca. Może coś sobie pan przypomina? Wiedząc, że będę przejeżdżał tędy dzisiaj po drodze do Berkshires, poprosił, bym wpadł i zapytał. Lądował tu, na waszym lotnisku, prywatnym samolotem, około szóstej wieczór i wyleciał około dziesiątej. Jest pewien, że zostawił tę mapę gdzieś tutaj.

Mechanik zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie lądował u nas.

Zdziwiłem się.

- Jak to? Musiał lądować. Powinien wiedzieć, na którym lotnisku zostawia samolot.

- Powinien, ale widocznie nie wie, skoro twierdzi, że to tu. Nie było tu nic, prócz naszych maszyn przez miesiąc z górą, nie licząc jednego dwupłatu któregoś dnia rano w zeszłym tygodniu.

- To zabawne - nie mogłem zrozumieć. - Jesteście pewni? Może was tu wtedy nie było?

- Zawsze tu jestem, drogi panie. Śpię tu. Jeżeli chce pan wiedzieć, co myślę - niech lepiej pański brat znajdzie tę mapę - przyda mu się.

- Rzeczywiście, na to wygląda. Czy jest tu w pobliżu jakieś inne lotnisko?

- Kawałek stąd. Jedno w Danbury, jedno jeszcze dalej, w stronę Poughkeepsie.

- No tak. To cały on. Przepraszam, że przeszkodziłem wam w grze. Wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy.

Wyszedłem i siadłem za kółkiem roadstera, by pomyśleć. Mechanik nie wyglądał na kogoś, komu zamknięto usta za pomocą pięciodolarówki. Nadawał raczej w stylistyce: „dobrze wiem, co tu w trawie piszczy", niż „ja tu tylko sprzątam". Armonk odpadało. Poughkeepsie też - choć Manuel mógł pokonać tę trasę samolotem w ciągu dwudziestu minut, to przecież musiał znaleźć czas, by wrócić do samochodu, gdziekolwiek go zostawił, i dostać się w miejsce, w którym umówił się z Carlem Maffei. Niemal na sto procent spotkał się z nim przy którejś ze stacji nowojorskiego metra na przedmieściach, a godzina spotkania wyznaczona była na siódmą trzydzieści. Za nic nie dałby rady dojechać na ten czas z Poughkeepsie. Danbury też było mało prawdopodobne, pomyślałem, kierując roadstera na północ.

Wyjątkowo nie miałem na to ochoty, gdyż był akurat szesnasty czerwca - rocznica odzyskania dzięki Wolfe'owi - małego Tommiego Williamsona. Dziś więc państwo Williamson wraz z Tommiem - już o cztery lata starszym - jak co roku przychodzili w gości, by świętować wraz z Wolfe'em. Za każdym razem próbowali nakłonić go, by przyjechał do nich z wizytą - bez skutku. Byli w porządku, małego też lubiłem, ale główna atrakcja imprezy polegała na powadze, z jaką podchodził doń Fritz - wiedział, ma się rozumieć, że Williamsonowie posiadali sieć hoteli i prawdopodobnie starał się im pokazać, jaka to szkoda, iż w żadnym z nich nigdy nie ma nic, co

nadawałoby się do jedzenia. Jak by powiedział Saul Panzer - ale jazda, co za żarcie! Jedna piąta tych delicji należała się mnie, a tymczasem ja, zamiast być na miejscu i degustować, o ósmej wieczór siedziałem żałośnie wśród palm i paproci lokalu w Danbury nad talerzem opływającej tłuszczem wątróbki z boczkiem.

W Danbury wszystko szło jak po grudzie. Po uczcie z tłustą wątróbką w roli głównej skierowałem się na lotnisko. Nikt nic nie wiedział. Czekałem do późnej nocy - dopiero długo po zapadnięciu zmroku pojawił się gość, który dobił mnie do reszty. Posiadał szczegółowy rejestr lotów - zupełnie niepotrzebnie, gdyż pamiętał z dokładnością co do jednej minuty każdy detal, począwszy od ostatnich Świąt Wielkanocnych. Opuszczając tamto miejsce, byłem pewien, że noga Kimballa nigdy w życiu nie postała w tej okolicy, i choć była cudowna letnia noc, jazda powrotna do Nowego Jorku nie sprawiła mi przyjemności. Gdy dotarłem na Trzydziestą Piątą Ulicę, było po północy. Williamsonowie zdążyli sobie pójść, a i Wolfe już smacznie spał...

W górnej szufladzie swojego biurka znalazłem notę z jego eleganckim wysmukłym charakterem pisma:

Archie, jeżeli nie dowiedziałeś się niczego nowego, wypróbuj trop ogłoszenia dla metalowca. I jeśli Twój czar i urok zdołają raz jeszcze uwieść pannę Fiore, przywieź ją tu na jedenastą. NW.

O ile tylko dało się tego uniknąć, nie miałem zwyczaju jadać późno w nocy, wybrałem się jednak do kuchni po szklankę mleka i po to, by powieść smętnym wzrokiem po pozostałościach uczty, niczym kochanek nad grobem swej miłości.

Poszedłem na górę i zasnąłem od razu.

Wstałem późno. Przy śniadaniu Fritz opowiadał mi o kolacji, która mnie ominęła, ale słuchałem jedynie z uprzejmości - zeszłoroczny śnieg mnie nie obchodził. Przeglądając gazetę, otworzyłem na stronie z ogłoszeniami drobnymi w poszukiwaniu anonsu, który zamieściłem dzień wcześniej - był tam i pomyślałem, że wygląda nie najgorzej. Przed wyjściem zaszedłem do biura i trochę uprzątnąłem bałagan - nie zajmowało mi to nigdy wiele czasu.

Jednym z wielu szczegółów, które podważały moje podejrzenia wobec Kimballa, był fakt, że ogłoszenie dla metalowca zostało nadane w biurze mieszczącym się w samym centrum miasta. Czy nie byłoby rozsądniej - wszak nawet człowiek planujący morderstwo powinien przestrzegać pewnych reguł - nadać je na Times Square lub Sto Dwudziestej Piątej? Ale to oczywiście nie przesądzało o niczym - ot, jedna z wielu drobnostek, do których można się przyczepić, gdy szuka się usilnie jakiegokolwiek pewnego punktu. Tak czy inaczej nie liczyłem na nic w związku z tym ogłoszeniem. I tyle też znalazłem. Spacer do biura ogłoszeń drobnych „Timesa" i próba

wyciągnięcia informacji, która też dziewczyna przyjęła jakiś tam pojedynczy anons dwa miesiące wcześniej, jak wyglądał człowiek, który je zamieszczał i kto później na nie odpowiedział, miały podobny skutek, jak gdyby zapytać strażnika na Long Island, czy pamięta łysego gościa kąpiącego się w morzu czwartego lipca. Po drodze zatrzymałem się przy budynku prokuratury, skąd zgarnąłem Purleya Stebbinsa (uznałem, że może przydać się jego odznaka). Oczywiście nie obeszło się bez postawienia mu drinka. Przerzuciwszy stos starych gazet, dowiedziałem się, że ogłoszenie ukazało się 16 kwietnia. Choć ta informacja nie psuła niczego, gdyż pasowała do reszty układanki, nie uważałem, by warta była chociażby forsy wyłożonej na drinka.

Odwiozłem Purleya z powrotem do świątyni sprawiedliwości i pojechałem na Sullivan Street.

Pani Ricci nie miała zamiaru mnie wpuścić. Na mój widok zaryglowała drzwi. Uśmiechnąłem się do niej szeroko i oświadczyłem, że zamierzam wziąć Annę Fiore na przejażdżkę. Zachowywałem się jak dżentelmen aż do momentu, gdy pchnęła mnie drzwiami tak mocno, że omal nie spadłem ze schodów. Wtedy przeszedłem do rzeczy.

- Proszę posłuchać, pani Ricci - i tak musi pani wziąć głębszy oddech, więc może pani w tym czasie mnie wysłuchać. Anna ma problem - nie chodzi o nas, ale o policję. Powiedziała nam coś, co może wpędzić ją w niezłe kłopoty, gdy gliny się o tym dowiedzą. Póki co, nie wiedzą o tym, a i nam nie zależy, by się dowiedzieli, ale zaczynają coś podejrzewać. Mój szef chce dać Annie kilka wskazówek. Czy pragnie pani, by skończyła w więzieniu? Proszę pomyśleć jak człowiek i skończyć z tą urażoną kobiecą dumą.

Spojrzała na mnie.

- Kłamie pan.

- Nie. W żadnym wypadku. Niech pani zapyta Annę. Proszę ją tu przyprowadzić.

- Niech pan tu zostanie.

- Zgoda.

Zatrzasnęła drzwi, a ja usiadłem na stopniu i zapaliłem papierosa. Była sobota, w związku z czym ulica znów zamieniła się w dom wariatów. Dostałem piłką w goleń i zaczęły mi pękać w uszach bębenki, ale z drugiej strony był to niezły show. Gdy tylko wyrzuciłem niedopałek, drzwi otworzyły się, a ja wstałem.

Stanęła w nich Anna ubrana w żakiet oraz kapelusz. Pani Ricci oznajmiła:

- Dzwoniłam do pani Maffei. Twierdzi, że jest pan w porządku, ale ja w to nie wierzę. Jeżeli wpędzi pan Annę w kłopoty, mój mąż pana zabije. Anna jest sierotą. To dobra dziewczyna, choć ma w głowie trociny.

- Proszę się nie martwić, pani Ricci. - Uśmiechnąłem się do Anny. - Ma pani ochotę na przejażdżkę?

Pokiwała głową. Zaprowadziłem ją do roadstera.

Gdybym miał kiedykolwiek kogoś zabić, jestem pewien, że tym kimś byłaby kobieta. Spotkałem wielu zatwardziałych mężczyzn - takich, którzy wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałem, a chciałem wiedzieć, i nie zamierzali mnie w to wtajemniczyć. W niejednym przypadku nie potrafiłem ich do tego skłonić, choć robiłem, co mogłem. Ale niezależnie od stopnia uporu, zawsze zachowywali się jak ludzie. Pozostawała jakaś nadzieja, że jak trafię we właściwy punkt, zdołam wyciągnąć od nich to, czego chcę. Z kobietami było inaczej - nie tylko nie czuło się takiej nadziei, ale więcej - miało się cholerną pewność, że sobie nie odpuszczą. Potrafiły przybrać wyraz twarzy, który doprowadzał cię do szaleństwa, i myślę, że niektóre z nich robiły to celowo. Wyraz na twarzy mężczyzny mówił: prędzej umrę, niż ci o tym powiem - i to był jasny przekaz, z którym można było próbować coś zrobić. Ze spojrzenia kobiety mogłeś wyczytać, że równie dobrze mogłaby ci to powiedzieć, jak i nie, ale nie ma zamiaru i tyle.

Siedziałem i wpatrywałem się w Annę Fiore przez godzinę, podczas gdy Wolfe wypróbowywał nań wszelkie triki, jakie znał, i przysięgam - uszła z życiem tylko dzięki temu, że powtarzałem sobie w myślach, iż nie zabija się kury, o której myślimy, że może znieść złote jajko, nawet jeśli aktualnie nie ma takiego zamiaru. Oczywiście, podobnie jak Wolfe, nie miałem wcale pewności, że ta kura faktycznie nosi w sobie jakieś złote jajko, ale co można zrobić, skoro na widoku nie było żadnych innych złotonośnych kur.

Zajechaliśmy z Anną na Trzydziestą Piątą przed jedenastą i poczekaliśmy na zejście Wolfe'a. Zaczął rozmowę spokojnie, sprawiając wrażenie, jakby jedynie zamierzał podzielić się z nią informacjami, które sam posiada, nie licząc na nic w zamian. Powiedział, że człowiek, który wysłał jej sto dolarów, jest tym samym, który zabił Carla Maffei. Że jest to człowiek szalony i niebezpieczny. Że wie o tym, iż ona ma jakieś informacje i ten fakt jest mu nie na rękę, a zatem może ją zabić. Że panna Maffei to miła kobieta, a Carlo Maffei był miłym człowiekiem, który nie zasłużył sobie na taki los, jaki go spotkał, i że ten ktoś, kto tego dokonał, powinien być schwytany i ukarany.

Z twarzy Anny można było wyczytać, że ta przemowa prowadzi donikąd.

Wolfe przeszedł do objaśniania, na czym polega coś takiego jak umowa. Powtórzył kilkakrotnie, używając różnych określeń, że umowa pomiędzy dwoma stronami posiada moc jedynie wtedy, gdy obie strony zgadzają się nań dobrowolnie. Anna nie była związana z mordercą żadnym rodzajem zmowy milczenia, ponieważ taka umowa nie została zawarta - sprawca wysłał jej pieniądze i nakazał, co ma robić, nie pytając jej o zdanie. Co więcej, dał jej nawet wybór - mogła spalić pieniądze, jeżeli uzna to za stosowne. Wolfe otworzył szufladę, wyjął z niej pięć dwudziestodolarowych banknotów i rozłożył je na biurku.

- Może je pani spalić, panno Fiore. To świętokradztwo, zatem będę musiał opuścić to

miejsce na chwilę, by na to nie patrzeć, ale pan Archie pani potowarzyszy. Proszę je spalić, a te oto pieniądze, które pani widzi, zajmą miejsce tamtych. Rozumie pani - daruję je pani, kładę je przed panią na biurku. Ma pani wciąż tamte pieniądze?

Pokiwała głową.

- W pończosze?

Podniosła spódnicę i wyciągnęła nogę - forsa tkwiła na swoim miejscu.

- Proszę je stamtąd wyjąć - powiedział Wolfe.

Odpięła pończochę, sięgnęła dłonią po zwitek dwudziestodolarówek i rozwinęła je. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Oto zapałki - mówił dalej Wolfe. - Tu jest popielniczka. Wychodzę. Pan Archie pomoże się pani z tym uwinąć i da pani nowe pieniądze. I bardzo się ucieszy, mogąc to zrobić.

Wolfe spojrzał na mnie wymownie. Powiedziałem więc:

- No, Anno. Wiem, że ma pani dobre serce. Wie pani o tym, że pan Maffei był dobry dla pani, więc pani powinna być dobra dla niego. Zrobimy to razem, zgoda?

Zrobiłem błąd, wyciągając rękę - właściwie ledwo zaczynając ją wyciągać, gdyż w tym momencie dwudziestki z szybkością błyskawicy zniknęły z powrotem w pończosze. Próbowałem uspokoić Annę, mówiąc:

- Proszę się nie bać i nie być głupią. Nikt nie tknie pani pieniędzy, dopóki tu jestem. Może je pani spalić sama. Nawet nie spróbuję pani pomóc.

- Nie zrobię tego - odrzekła.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

- Mówiła pani to już. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Teraz, gdy spali pani pieniądze, dostanie pani nowe i wyjdzie na jedno.

Pokręciła głową z takim wyrazem twarzy, że oniemiałem. Nie miała prawdopodobnie zbyt wiele w głowie, ale wszystko, cokolwiek w niej tkwiło, odmalowało się teraz na tej twarzy.

- Nie zrobię tego. Nigdy! Wiem, panie Archie, że nie uważa mnie pan za bystrą, wiem o tym między innymi dlatego, że wszyscy inni też tak mówią. Ale nie jestem tępa, to znaczy nie jestem zupełnie głupia. To moje pieniądze i nie mam zamiaru ich spalić. Nie wydam ich, aż wyjdę za mąż. To nie jest głupie.

- Nie wyjdzie pani za mąż, jeżeli ten człowiek zabije panią, podobnie jak zabił pana Maffei.

- Nie zabije mnie.

Pomyślałem - na Boga, jeśli nie on, ja to zrobię.

Wolfe zmienił taktykę. Próbował ją zbałamucić. Spytał o jej rodziców, wcześniejsze życie, obecną pracę i zwyczaje panujące u państwa Riccich, jej zdanie na ten temat i tak dalej. Wyglądało na to, że odetchnęła z ulgą i odpowiadała z łatwością, ale gdy Wolfe przyszedł do pytań o sam dom,

stała się bardziej czujna. I kiedy tylko zadał pierwsze pytanie na temat porządków w mieszkaniu Carla Maffei, zamknęła się w sobie niczym małż. Spróbował ją podejść z innej strony, ale gdy tylko zahaczał o wiadomy temat, milczała jak grób. To było piękne - w innych okolicznościach zostałbym jej wiernym fanem. Niezależnie od tego, jak była ograniczona, najwyraźniej potrafiła zaprogramować siebie w taki sposób, że gdy tylko pojawił się cień obawy, iż padnie nazwisko Maffei lub cokolwiek z nim związanego, natychmiast zapalała się w niej czerwona lampka - tak niezawodna, jak metody pracy Wolfe'a.

Wolfe nie poddawał się. Przyjął spokojny nieoficjalny ton i, znając jego cierpliwość oraz wytrzymałość, pomyślałem, że być może ostatecznie uda mu się ją rozpracować w przeciągu paru najbliższych tygodni.

Nagle drzwi biura otworzyły się i stanął w nich Fritz. Wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Na znak Wolfe'a podszedł doń i wręczył mu na tacy wizytówkę. Wolfe uniósł wizytówkę i ujrzałem, jak jego nozdrza poruszają się nieznacznie.

- Miła niespodzianka, Archie - powiedział i sięgnąwszy nad biurkiem, podał mi wizytówkę.

Widniało na niej nazwisko: MANUEL KIMBALL.

Rozdział 15

Wstałem. Wolfe siedział przez chwilę w milczeniu, wydymając i zaciskając usta, po czym powiedział:

- Zaprowadź tego dżentelmena do salonu, Fritz. W korytarzu jest tak mało światła, że wątpię, czy go rozpoznam. Poczekaj. Upewnij się, czy wszystkie okna w salonie są odsłonięte i zostaw uchylone drzwi na korytarz, by wpuścić więcej powietrza.

Fritz wyszedł, a Wolfe odezwał się głosem cichszym niż zazwyczaj:

- Dziękuję, panno Fiore. Była pani niezwykle cierpliwa i trzymała się swoich przekonań. Nie będzie pani miała nic przeciw temu, że pan Archie nie odwiezie pani tym razem? Ma bardzo dużo pracy. Pan Fritz także jest świetnym kierowcą. Archie, zaprowadzisz panią do kuchni i omówisz tę sprawę z Fritzem? Możesz ją odprowadzić później do wyjścia.

- Wiem, co robić. Chodź, Anno.

Zaczęła, nazbyt głośno:

- Ale czy nie mógłby pan Archie...

- Cicho. Odwiozę cię innym razem. Chodź.

Zaprowadziłem ją do kuchni i wyjaśniłem Fritzowi, jaka przyjemność go czeka. Nie sądzę, bym żywił w stosunku do Anny jakiekolwiek współczucie aż do momentu, gdy zobaczyłem, że nawet Fritz nie zarumienił się na wieść o tym, iż czeka go odwożenie jej do domu. To było naprawdę straszne! Odłożyłem jednak kwestię współczucia na później. Podczas gdy Fritz zdejmował fartuch i nakładał płaszcz oraz kapelusz, rozważałem, jak uporać się z bieżącymi obowiązkami. Powiedziałem:

- Anno, chodź, trochę się zabawimy. Mówiłaś coś o wychodzeniu za mąż. Ciekaw jestem, jakiego mężczyznę chciałabyś poślubić. W salonie siedzi teraz taki jeden. Założę się, że ci się spodoba. Bardzo przystojny. Gdy wyjdziemy na korytarz, będzie go widać przez drzwi. Na zewnątrz powiesz mi, czy jest w twoim typie.

- Znam swój typ - rzuciła Anna.

- Dobra, chodźmy. Nie chcę, żeby słyszał twój głos, bo zorientuje się, że się na niego gapimy. Gotowy, Fritz?

Wyszliśmy. Fritz wykonał polecenie - drzwi do salonu były otwarte. Poprowadziłem Annę po swojej lewej, by nie rzucała się w oczy. Manuel Kimball siedział w środku - wyglądał imponująco, rozparty w fotelu z nogą założoną na nogę. Na dźwięk kroków spojrzał w naszą stronę, ale było zbyt ciemno, by mógł wiele zobaczyć. Trzymałem Annę za łokieć i obserwowałem wyraz jej twarzy, kiedy patrzyła na Kimballa. Dałem jej chwilę czasu, po czym pociągnąłem w stronę drzwi wyjściowych, które Fritz dla nas otworzył. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, zamknąłem je

szczelnie za sobą.

- Czy to pani typ, Anno?

- Nie. Panie Archie. Mogę powiedzieć panu...

- Innym razem. Oto dziewczyny! Nie śpiesz się Fritz i nie przejmuj, gdyby lancz miał się opóźnić. Mam wrażenie, że nam też się przeciągnie. Nie będzie żadnych gości.

Dałem nura z powrotem do domu i skierowałem się prosto do biura, mijając po drodze drzwi salonu.

Wolfe nie poruszył się.

- Nie widziała go wcześniej na oczy - oznajmiłem. - A jeżeli widziała, może spokojnie stawać w szranki z Lynn Fontannę i ma spore szanse na wygraną.

Pokiwał głową.

- Przyprowadzić go tutaj? - spytałem.

Pokiwał głową ponownie.

Poszedłem bezpośrednio do salonu, używając bocznych drzwi. Manuel Kimball wstał, rozejrzał się i ukłonił.

- Przepraszam, że kazaliśmy panu czekać - powiedziałem. - Mieliśmy młodą klientkę, liczącą na to, że odnajdziemy jej męża jednym gwizdnięciem, a to niestety nie jest aż takie proste. Tędy proszę.

Wolfe nie poczuł na tyle respektu, by podnieść się z miejsca, nawet dłonie trzymał splecione na brzuchu. Kiedy wprowadziłem Manuela, pozdrowi! go słowami:

- Witam, panie Kimball. Proszę wybaczyć, że nie wstaję - nie jestem nieuprzejmy, jedynie ociężały. Proszę siadać.

Nie było widać po Kimballu szczególnych oznak zdenerwowania, ale był dość spięty. Jego czarne oczy zdawały się mniejsze, niż kiedy widziałem go ostatnio, i przepełnione wyrazem troski w stopniu utrudniającym bezkarne lustrowanie otoczenia i lądowanie wzrokiem, na czym popadnie. Wyglądał gustownie oraz elegancko, ubrany w lekki, dobrze skrojony garnitur z żółtą muszką i żółtymi rękawiczkami w jednej z kieszeni. Nie zawracał sobie głowy moją osobą. Gdy tylko zajął krzesło, jeszcze ciepłe po tym, jak zajmowała je Anna Fiore, utkwił oczy w twarzy Wolfe'a i nie odrywał ich stamtąd ani na chwilę.

- Napije się pan piwa? - zapytał Wolfe.

Skinął głową.

- Poproszę.

Wychwyciłem aluzję. Skoczyłem do kuchni, wyjąłem dwie butelki z lodówki i postawiłem je wraz ze szklankami na tacy. Zrobiłem to szybko, nie chcąc, by coś mi umknęło. Wróciłem i położyłem tacę na biurku Wolfe'a, a sam zająłem miejsce przy swoim. Wyjąłem z szuflady papiery

i zabrałem się do roboty. Manuel Kimball mówił:

- ... powiedział mi o swojej wizycie w pańskim biurze. Pozostaję z ojcem w wielkiej zażyłości. Powtórzył mi wszystko, co mu pan powiedział. Dlaczego pan to zrobił?

- Tak. - Wolfe wysunął szufladę, wyjął otwieracz, otworzył butelkę i wrzuciwszy kapsel tam, gdzie trzeba, napełnił szkło. Przez chwilę patrzył na opadającą pianę, wreszcie odrzekł: - Po pierwsze, panie Kimball, stwierdził pan, iż pański ojciec powtórzył panu wszystko, co mu powiedziałem. Nie może pan tego wiedzieć. Spróbujmy być bardziej precyzyjni. W pańskim tonie wyczuwam pretensję. O co konkretnie ma pan do mnie żal? Co takiego powiedziałem pańskiemu ojcu, co, pana zdaniem, powinienem przemilczeć?

Manuel uśmiechnął się chłodno:

- Niech pan nie przekręca moich słów, panie Wolfe. Nie mam zamiaru przedstawiać panu moich poglądów na ten temat, proszę jedynie o uzasadnienie wyciągniętych przez pana wniosków, które moim zdaniem są bezpodstawne. Mam do tego prawo jako syn człowieka, który nie jest już pierwszej młodości. Nigdy wcześniej nie widziałem strachu na twarzy mego ojca, tymczasem pan wpędził go w przerażenie. Powiedział mu pan, że Barstow został zamordowany, ponieważ użył kija mego ojca zamiast własnego.

- W rzeczy samej, tak powiedziałem.

- A więc przyznaje pan. Mam nadzieję, że pański człowiek ujmie pańskie wyznanie w swoich notatkach. To, co powiedział pan memu ojcu, to nonsens. Nigdy nie wierzyłem w bajeczkę o zatrutej igle, a w tę wierzę jeszcze mniej. Jakim prawem tworzy pan te absurdalne, wyssane z palca, żałosne opowieści, by zarzucać nimi najpierw całą rodzinę Barstowów, a teraz mojego ojca? Prawdopodobnie jest to karalne - mój adwokat już nad tym pracuje. A z całą pewnością nie ma żadnego pokrycia w rzeczywistości i należy natychmiast z tym skończyć.

- No, nie wiem - Wolfe sprawiał wrażenie, że się zastanawia.

Jeżeli chodzi o mnie, życzyłbym Kimballowi na tyle bystrości umysłu, by zwrócił uwagę na to, co robiłem przez pierwsze pięć minut jego wizyty. Póki co jednak moje starania nie na wiele się zdały. Wolfe wychylił szklankę do dna i otarł usta wierzchem dłoni.

- Naprawdę nie wiem. Jeżeli można by mnie było o coś zaskarżyć, to chyba jedynie o ewentualne pomówienie o morderstwo. Chyba nie to miał pan na myśli?

- Mam na myśli tylko jedno - oczy Manuela zrobiły się jeszcze mniejsze - że trzeba natychmiast z tym skończyć!

- Ależ, panie Kimball. Proszę dać mi szansę. Oskarża mnie pan o tworzenie absurdalnych bajek. Niczego nie stworzyłem. Dzieło - absolutnie niezwykłe i oryginalne, wręcz genialne - wiem, co mówię - nie jest mojego autorstwa, do mnie należy jedynie jego odkrycie. Gdyby autor tego dzieła powiedział do mnie to, co pan przed chwilą, uznałbym go za niepomiernie skromnego. Nie,

sir, to nie ja stworzyłem ten kij.

- Ani nikt inny. Gdzie on rzekomo jest?

- Niestety... - Wolfe wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. - Ta kwestia jest jeszcze nierozwiązana.

- Skąd pewność, że w ogóle coś takiego istnieje?

- Dowodzi tego igła tkwiąca w brzuchu Barstowa.

- Niby skąd wiadomo, że wystrzeliła z kija do golfa? W dodatku podczas pierwszej tury?

- Dokładnie wtedy przyleciała osa i zsynchronizowała ukąszenie z wybiciem.

- Błąd, panie Wolfe. - Czarne, zawzięte oczy Manuela przepełniła pogarda. - Jest tak, jak mówiłem - to kompletny nonsens. Jeżeli to wszystkie dowody, jakimi pan dysponuje, powtarzam - mam podstawy żądać, by natychmiast pan z tym skończył. Co niniejszym czynię. Dziś rano wykonałem telefon do pana Andersona, prokuratora okręgowego w White Plains. Poparł moje żądania. Domagam się, by spotkał się pan z moim ojcem, przeprosił go i wycofał się ze sprawy. Podobnie uczyni pan z Barstowami, o ile powiedział im pan to samo, co jemu. Mam powody, by tak podejrzewać.

Wolfe pokręcił powoli głową. Po chwili rzekł smutno:

- Niedobrze, panie Kimball.

- Zgadza się. Ale jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

- Nie. Nie zrozumiał mnie pan. Miałem na myśli, że niedobrze, iż stara się pan stawać ze mną w szranki. Być może jestem jedynym człowiekiem na tej półkuli, którego pański rozum i odwaga nie mogą odstraszyć, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że trafił pan właśnie na mnie. Złożyło się również tak, że - podobnie jak pan podjął się zadania odpowiadającego pańskim zdolnościom i kwalifikacjom - i ja uczyniłem to samo. Proszę wybaczyć, że toczę wojnę podjazdową, ale nie dal mi pan możliwości bezpośredniej konfrontacji. Nie sądzę, by spodziewał się pan, że osiągnie coś w ten sposób - nie mógł pan mieć o mnie tak niskiego mniemania. Prawdziwy cel pańskiej wizyty nie został zatem jeszcze wyjawiony. Jak sądzę, jest nim odkrycie natury i zasięgu dowodów, które zdołałem dotychczas zebrać. Oczywiście wie pan już, w jaki sposób przewidziałem wynik autopsji? Błagam, proszę pozwolić mi skończyć. Tak - wiem, kiedy, gdzie i przez kogo został wykonany ten kij. Wiem, gdzie mężczyzna, który go wykonał, znajduje się w tej chwili. Wiem także, czego mogę oczekiwać po ogłoszeniu, które zamieściłem dziś w porannej prasie i z którym prawdopodobnie zdążył się pan już zapoznać.

Na twarzy Manuela nie drgnął żaden mięsień i nic nie zmąciło tonu jego głosu. Patrząc Wolfe'owi prosto w oczy, oznajmił:

- Jeżeli wie pan to wszystko - w co wątpię - czy nie powinien pan tego zgłosić do prokuratury?

- Ma pan rację. Chce pan, bym to zrobił?

- Czy ja chcę? Oczywiście, jeżeli ma pan co zgłaszać.

- Dobrze. - Wolfe skierował palec w jego stronę. - Poradzę panu coś, panie Kimball. Proszę pana o przysługę. Po drodze do domu proszę wstąpić do biura pana Andersona, powiedzieć mu o tym, jakie informacje posiadam, i zasugerować, żeby przyjechał po szczegóły. A teraz - proszę wybaczyć, ale mój lancz już jest spóźniony. Czy mogę powiedzieć panu komplement? Gdyby ktokolwiek inny, kogo znam, znalazł się w pana sytuacji, próbowałbym zatrzymać go jeszcze, by dowiedzieć się czegoś więcej. Ale poznawszy pana, sądzę, że zjedzenie lanczu przyniesie mi więcej korzyści.

Manuel wstał:

- Powinienem pana uprzedzić, że udaję się stąd prosto do mojego prawnika. Skontaktuje się z panem.

Wolfe pokiwał głową.

- Naturalnie to najlepsze posunięcie, jakie może pan w tej chwili wykonać. Oczywiste, ale tak czy inaczej najlepsze. Pański ojciec mógłby zacząć coś podejrzewać, gdyby pan tego nie zrobił.

Manuel Kimball odwrócił się i wyszedł. Poszedłem otworzyć mu drzwi, ale zniknął tak szybko, że nie zdążyłem.

Wróciłem do Wolfe'a. Siedział rozparty w fotelu z zamkniętymi oczami. Odezwałem się na tyle głośno, by go obudzić:

- Czy ten facio przyszedł tu dzisiaj, by sprawdzić, czy ma przejść do rzeczy i załatwić swego ojczulka w najbliższy weekend?

Wolfe westchnął. Otworzył oczy i potrząsnął głową.

- Lancz, Archie.

- Nie będzie wcześniej niż za dziesięć minut. Fritz ledwo co zdążył wrócić.

- Porozmawiamy przy selerze i anchois.

Przeszliśmy więc do jadalnego.

W tym miejscu historię Barstow-Kimball trafi! szlag. A w każdym razie trafi! Wolfe'a, co na dobrą sprawę wychodziło na jedno. To nie by! kolejny nawrót depresji, po prostu ten potwór zamkną! się w sobie na amen. Podczas gdy w czasie lanczu wiele zniknęło w jego przepastnym wnętrzu, to nic nie wydostało się na zewnątrz. Po zakończeniu posiłku poszliśmy z powrotem do biura. Usiadłem przy swoim biurku i uporałem się z paroma zaległościami, nie było tego jednak wiele, toteż jąłem gapić się na Wolfe'a, zastanawiając się, kiedy mu minie. Choć siedział z zamkniętymi oczami, najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że na niego patrzę, gdyż ni stąd, ni zowąd odezwał się:

- Do cholery, Archie, czy nie masz nic lepszego do roboty?

Wstałem.

- Dobra, już się wynoszę. Tylko, do diabła, gdzie mam iść? Zapomniał pan języka w gębie?

- Gdziekolwiek. Wybierz się na spacer.

- Kiedy mam wrócić?

- Kiedy chcesz. Nieważne. Na obiad.

- Czy chce pan, by w tym czasie Manuel załatwi! swojego staruszka?

- Idź już, Archie.

Sprawiał wrażenie, jakby wciąż trawił tę historię - było bowiem wpół do czwartej, kiedy zwykle zaczynał zbierać się do swoich roślinek. Ale widząc, w jakim jest nastroju, wziąłem kapelusz i wyniosłem się.

Poszedłem do kina, aby spokojnie pomyśleć, ale im dłużej myślałem, w tym większe popadałem przygnębienie. Wizyta Manuela Kimballa i jego żądanie, w które się zamieniła, nie na wiele się nam zda, myślałem. Co prawda miałem wcześniej świadomość, że nie jesteśmy jeszcze w pełni gotowi, by poinstruować panią Barstow, pod jakim adresem ma wysłać czek, nie wiedziałem jednak, jak głęboko w lesie nadal tkwimy. Odkryliśmy już parę rzeczy - dla swojej własnej satysfakcji - ale nie mieliśmy więcej dowodów w sprawie mordercy niż na początku. Zostawiając nawet na boku kwestię, kto nim jest - najgorsze było to, że wykorzystaliśmy już wszystkie możliwe ruchy i znaleźliśmy się w sytuacji patowej. Zakładając, że mordercą jest Manuel Kimball - w jaki sposób mamy mu to udowodnić? Odnaleźć kij? Marne szanse. Już widziałem oczami wyobraźni, jak lecąc swym samolotem nisko nad rzeką lub innym wodnym zbiornikiem, wyrzuca do wody kij z przytroczonym do uchwytu kawałkiem ołowiu. Pójść tropem trucizny? Podobne szanse. Facet planował to wszystko prawdopodobnie przez lata, a już na pewno miesiące - mógł nawet mieć truciznę przy sobie już wtedy, gdy wracał z Argentyny. Mógł też ją stamtąd sprowadzić w dowolnym momencie. Może go jakoś zmusić, by zadzwonił do pani Ricci - niech rozpozna jego głos. To jednak dalej za mało. Sąd nie uwierzy nikomu na słowo.

Spędziłem w kinie trzy godziny, nie mając pojęcia, co dzieje się na ekranie, i jedyne, co na tym zyskałem, to ból głowy.

Do dziś nie mam pojęcia, co Wolfe robił tego sobotniego popołudnia ani następnego dnia. Bił głową o ścianę, podobnie jak ja? Niewykluczone, ostatecznie nie był zbyt towarzyski. A może czekał na kolejny ruch ze strony Manuela? Ale jedynym kolejnym ruchem Manuela miało być morderstwo - gdy tego dokona, będziemy mieć sprawę z głowy. Anderson zostawi nas naturalnie na lodzie i choć nie naszą sprawą jest opłakiwanie E. D. Kimballa, trochę szkoda byłoby tamtych pięćdziesięciu tysięcy baksów. Jeżeli chodzi o wyżej wspomnianego, to - pomyślałem - biorąc pod uwagę, że na dobrą sprawę powinien nie żyć od czwartego czerwca, i tak ma powody do wdzięczności za łaskę podarowania mu kolejnych dwóch tygodni.

Padało całą niedzielę. Napisałem parę listów, przejrzałem dwie gazety i spędziłem kilka godzin na poddaszu, plotkując z Horstmannem i doglądając kwiatów, ale za cokolwiek się zabrałem, zaraz dopadał mnie zły nastrój. Cholerny deszcz nie ustawał na chwilę. Nie żebym kiedykolwiek przejmował się takim szczegółem jak pogoda - kiedy miałem coś do roboty, nie zwracałem uwagi na deszcz, słońce ani tym podobne drobiazgi. Ale szwendanie się po tym ciemnym cichym domu od rana do nocy przy akompaniamencie owego nieustającego szumu na zewnątrz nie wprawiało mnie w dobry humor. Byłem wdzięczny, gdy w końcu koło piątej trzydzieści zaszło coś, co ożywiło mnie i wkurzyło jednocześnie.

Siedziałem w biurze, ziewając nad gazetą, gdy zadzwonił telefon. W jednym momencie zerwałem się z fotela i rzuciłem w kierunku swego biurka. Kiedy podniosłem słuchawkę, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszałem głos Wolfe'a. Odebrał telefon w pokoju roślinnym! Owszem, zdarzało mu się to czasem, kiedy nie było mnie akurat w domu, ale gdy wiedział, że jestem, zostawiał to zawsze na mojej głowie. Tym razem jednak odebrał osobiście.

- Tu Wolfe.

- Durkin po tej stronie, panie Wolfe - odezwał się drugi głos. - Wszystko idzie jak po maśle. Była dziś rano w kościele, a przed chwilą poszła do cukierni, gdzie kupiła lody w wafelku. Jest już z powrotem. Czekam do wieczora.

- Dziękuję, Fred. Dobrze byłoby, gdybyś został tam do dziesiątej. Saul będzie na posterunku jutro od siódmej, ty zmienisz go o drugiej.

- Tak, sir. Coś jeszcze?

- To wszystko.

Rzuciłem słuchawką z taką siłą, że istniała szansa, iż Wolfe'owi popękały od tego bębenki w uszach.

Gdy wkroczył do biura pół godziny później, zadbałem, by wyglądać na pochłoniętego gazetą w takim stopniu, że nawet upewniłem się wcześniej, czy nie trzymam jej do góry nogami. Trwałem w tej pozie niewzruszenie kolejne pół godziny, odwracając stronę w chwili, gdy sobie o tym przypomniałem. Omal nie zagotowałem się ze wściekłości.

W końcu Wolfe się odezwał:

- Pada, Archie.

Nie uniosłem głowy znad gazety.

- Niech pan idzie do diabła. Czytam.

- Nie sądzę. Z pewnością w tym nastroju ci to nie idzie. Ciekaw jestem, jak myślisz - czy to dobry pomysł, byś wybrał się jutro z rana w sprawie odpowiedzi na nasze ogłoszenie?

Pokręciłem głową.

- Nie, sir. Nie wytrzymałbym tak ekstremalnych emocji.

Wolfe wydął policzki.

- Odnoszę wrażenie, Archie, że ten uporczywy deszcz ma na ciebie jeszcze gorszy wpływ niż na mnie. Czy aby przypadkiem mnie nie przedrzeźniasz?

- Nie, sir. Deszcz nie ma tu nic do rzeczy. Wie pan o tym cholernie dobrze. - Rzuciłem gazetę na podłogę i wlepiłem w niego wzrok. - Jeżeli uważa pan, że najlepszym sposobem na schwytanie najbardziej zmyślnego mordercy, jaki kiedykolwiek ugościł mnie drinkiem, jest gra w pchełki na Sullivan Street, może pan równie dobrze polecić mi, bym odmawiając pacierz, poprosił o zdrowie dla biednego Durkina. Być może to jedyne, do czego się nadaję. Co zamierza Durkin - schwytać Annę na gorącym uczynku z kijem do golfa w dłoni?

Wolfe wyciągnął palec w moją stronę.

- Uspokój się, Archie. Skąd te drwiny? O co pretensje? Jestem tylko geniuszem, nie Bogiem. Geniusz może odkryć tajemnicę i objawić ją światu, ale tylko Bóg potrafi stworzyć coś z niczego. Przepraszam, że zapomniałem powiedzieć ci o Durkinie, mój umysł jest przepełniony. Zadzwoniłem do niego wczoraj, podczas twojego spaceru. Nie zamierza schwytać panny Fiore, lecz ją chronić. W domu prawdopodobnie jest bezpieczna, na zewnątrz prawdopodobnie nie. Nie sądzę, by Manuel Kimball zdecydował się na realizację swego planu, dopóki nie upewni się, że zniknęło niebezpieczeństwo bycia pociągniętym do odpowiedzialności za jego pierwszą nieudaną próbę. To, że owa próba nie powiodła się, nie jest winą Kimballa. Plan był idealny. Nie widzę obecnie innego tropu niż osoba Anny Fiore. A słowo „zmyślny" to za słabe określenie w stosunku do Kimballa. On także jest geniuszem. Trudno wyobrazić sobie lepszy sposób na zabijanie czasu w deszczową niedzielę niż kontemplacja tak niezwykłego dzieła. Nie zostawił nam żadnego innego śladu poza Anną Fiore, a zadaniem Durkina jest zapewnić jej szczelną ochronę.

- „Szczelna" to właściwe określenie. I tak zamknęła się jak konserwa.

- Myślę, że damy radę ją otworzyć. Póki co jednak, musimy zaczekać, aż rozwikłamy ostatecznie kwestię piątego czerwca. A tak przy okazji - czy numer Marii Maffei jest w książce telefonicznej? Dobrze. Oczywiście nie wiemy, czego Anna Fiore strzeże tak zazdrośnie. Jeżeli ta rzecz okaże się błaha i niewystarczająca, będziemy musieli skończyć z tą dziecinadą i przystąpić do prawdziwego ataku. Nikt nie potrafi zaplanować czegoś tak skomplikowanego jak morderstwo, nie zostawiając żadnego słabego punktu. Co najwyżej może liczyć, że nie zostanie on nigdy odkryty, o ile nie zajmie się tym ktoś o cierpliwości i geniuszu przewyższającym jego własne. W przypadku Manuela Kimballa - trudno ocenić stopień owych przymiotów. Jeżeli Anna Fiore faktycznie ukrywa skarb, którego szukamy, żywię wielką nadzieję, iż on nie ma tej świadomości. Jeśli ją ma - dziewczyna już jest martwa.

- Pomimo szczelnej ochrony Durkina?

- Nie uciekniesz przed piorunem, możesz co najwyżej namierzyć jego uderzenie. Fred o tym

wie. Jeżeli Manuel Kimball zabije dziewczynę, mamy go w garści. Ale nie sądzę, by to zrobił. Przypomnij sobie okoliczności, w jakich wysłał jej sto dolarów. Z pewnością nie mógł podejrzewać wówczas, że Anna wie coś na temat jego związku z Barstowem - inaczej nie wykonałby tak niewłaściwego posunięcia. Zna tylko jej imię. Prawdopodobnie Carlo Maffei wspomniał kiedyś o niej i ojej odkryciu. To spowodowało, że Kimball, gdy już uporał się z nim, postanowił zaryzykować sto dolarów, by zapewnić sobie dodatkową ochronę na wypadek ewentualnego niebezpieczeństwa. Jeżeli to rozumowanie jest logiczne i Anna Fiore nie wie nic więcej prócz tego, czego świadomy jest Kimball, musimy przystąpić do natarcia. Saul Panzer pojedzie do Ameryki Południowej. Uprzedziłem go wczoraj przez telefon, by był na to przygotowany. Zadanie dla ciebie, które zdążyło się w czasie wyklarować w moim umyśle, będzie pracochłonne i niełatwe. Wielka szkoda, ale wciąż nie mamy ostatecznych dowodów winy Manuela Kimballa. Jedynie fatalnemu dlań zrządzeniu losu oraz mojemu uporowi w dręczeniu Anny Fiore bezpodstawnymi i banalnymi pytaniami zawdzięczamy odkrycie pierwszej części tej układanki.

Wolfe przerwał swój wywód. Wstałem, by rozprostować kości.

- Jak chce pan znać moje zdanie, to jakiś brudny Hiszpaniec.

- Nie, Archie. To Argentyńczyk.

- Dla mnie na jedno wychodzi. Mam ochotę na szklankę mleka. Przynieść panu piwo?

Odpowiedział, że nie. Poszedłem do kuchni.

Poczułem się nieco lepiej. Były chwile, kiedy obrzydliwa pewność siebie Wolfe'a była jak walenie obuchem w twarz, czasami jednak bywał subtelny jak dotyk pięknej i niewinnej dziewicy. Dziś reprezentował to drugie oblicze. Uporawszy się z odpowiednią ilością mleka i ciasteczek, poszedłem do kina i nie przeoczyłem żadnej sceny. Gdy wracałem, wciąż padało.

Poniedziałkowy poranek był za to przepiękny. Wstałem wcześnie. Nawet nowojorskie powietrze było tak świeże i czyste - deszcz zdołał rozpuścić jakoś samochodowe wyziewy i milion ludzkich zapachów wypełzających z drzwi i okien mieszkań, wind oraz brudnych zaułków - że przyjemnie było nim oddychać. Korzystałem z tego, jak się dało. Przed wpół do dziewiątej wyjeżdżałem już z Bronx Park.

Zebrałem ponad dwadzieścia odpowiedzi na ogłoszenie i przejrzałem je skwapliwie. Jakaś połowa z nich to były fałszywki. Paru drobnych cwaniaczków próbowało nieudolnie wyhaczyć trochę grosza, kilku innych kretynów starało się udawać zabawnych. Inne anonsy wyglądały na prawdziwe, ale nie zrobiły na mnie wrażenia - najwyraźniej piąty czerwca był czymś w rodzaju „dnia lotnika". Trzy kolejne relacje nie tylko pasowały idealnie, ale także pokrywały się w stu procentach - wyglądało na to, że ich autorzy widzieli jednocześnie ten sam samolot lądujący na łące kilka mil od Hawthorne. To było zbyt piękne, by mogło okazać się prawdziwe.

A jednak. Milę za Hawthorne, podążając we wskazanym kierunku, zjechałem z autostrady i

skręciłem w nierówną, prowadzącą pod górę dróżkę, pełną mokrych kamieni, poprzecinaną błotnistymi koleinami. Po chwili dróżka zrobiła się tak wąska i niepewna, jakby miała za chwilę się skończyć. Zatrzymałem się przy jednym z domów i spytałem o niejakich Carterów. Trzeba jechać dalej - objaśniono mi. Pojechałem więc dalej.

Wzniesiona na wzgórzu rezydencja Carterów sprawiała wrażenie, jakby miała rozlecieć się lada chwila. Dom nie był malowany od czasów wojny, wokół pienił się gąszcz chwastów. Za to pies, który podniósł się, by mnie przywitać, był radosny i przyjazny, a susząca się przed domem na sznurze bielizna lśniła w słońcu czystością. Znalazłem panią Carter kończącą pranie na tyłach domu. Była chuda, energiczna i miała duże wystające zęby.

- Pani T. A. Carter?

- Tak, sir.

- Przyjechałem w sprawie odpowiedzi na ogłoszenie, które zamieściłem w sobotniej gazecie. O samolocie. Pani relacja zgadza się z prawdą. Widziała mnie pani?

- No pewno. Nie widziałam ogłoszenia, ale Minnie Vawter powiedziała mi o nim, bo mówiłam jej wcześniej o tym samolocie, a ona sobie zapamiętała i przyniosła mi je w sobotę po południu. Dobrze, że jej o tym powiedziałam. Widziałam pana na pewno.

- Śmiem wątpić, czy mogła mnie pani zobaczyć z takiej odległości.

- Ależ tak. Proszę tylko zobaczyć, jak tu jest wysoko. - Poprowadziła mnie przez zachwaszczone podwórze. - Proszę spojrzeć, jaki widok. Mój mąż mówi, że ten widok wart jest miliona dolarów. Widzi pan ten zbiornik, wielki jak jezioro? - Wskazała dłonią poniżej. - Tam na dole właśnie pan wylądował. Zastanawiałam się, co się stało. Myślałam, że coś się panu zepsuło. Widziałam już wiele samolotów w powietrzu, ale nie widziałam, żeby jakiś lądował w tym miejscu.

- Ma pani rację. Dziękuję - pani relacja jest wystarczająca, nie mam więcej pytań. Widziała mnie pani lądującego dziesięć po szóstej. Później wysiadłem z samolotu i poszedłem przez łąkę w kierunku południowym, w stronę drogi. Wtedy wróciła pani do domu przypilnować kolacji i nie widziała mnie już więcej. O zmierzchu mój samolot wciąż tu był. Położyła się pani do łóżka wpół do dziesiątej. Rano samolot zniknął.

- Zgadza się. Pomyślałam, że będzie dobrze napisać o tym wszystkim w liście, bo...

- Bardzo dobrze. Sądzę, że jest pani zawsze taka dokładna. Opisała pani mój samolot tak dobrze, że sam lepiej bym nie potrafił. I to z takiej odległości! Ma pani dobry wzrok. A tak przy okazji - mogłaby mi pani powiedzieć, kto mieszka w tym białym domu, tam na dole?

- No pewnie. Pani Wellman. Artystka z Nowego Jorku. To Art Barrett, który dla niej pracuje, zawiózł pana wtedy do Hawthorne.

- Ach tak, oczywiście. To właśnie to miejsce. Jestem pani bardzo wdzięczny, pani Carter, pani spostrzegawczość pomoże mi wygrać zakład. Ciekawe, ile jeszcze osób mnie widziało.

Zdecydowałem dać jej piątaka. Sądząc po wyglądzie, Bóg jeden wie, jak bardzo go potrzebowała. Poza tym teraz już miałem Manuela Kimballa w garści. Nie wiem, co sądził o nim do tej pory Wolfe, faktem jest jednak, że odłożył prace ze względu na Annę Fiore do momentu ustalenia wszystkich szczegółów wydarzeń z piątego czerwca. Ja nie miałem żadnej pewności. Nie wierzyłem swoim przeczuciom w takim stopniu jak Wolfe. Choć nieraz sporo mi pomogły, nigdy nie czułem się pewnie, dopóki nie poparłem ich realnymi dowodami. Tak więc myślę, że jałmużna w postaci pięciu dolców to nie nazbyt wysoka zapłata za to, co uzyskałem od pani Carter. Jak dla nas, wina Manuela Kimballa była pewna. Zdobycie wystarczających dowodów dla sądu było, co prawda, osobną sprawą, ale według naszych ustaleń nie mogło być już mowy o pomyłce. Pani Carter obejrzała pięciodolarówkę ze wszystkich stron i skierowała się do domu, mówiąc, że pranie samo się nie zrobi.

Postałem jeszcze chwilę, patrząc na rozciągającą się w dole łąkę. To tu Manuel Kimball zostawił samolot, po czym skierował się na przełaj przez pole do białego domu i poprosił mężczyznę, którego tam spotkał, o podwiezienie do Hawthorne. Tam zaś - zaledwie kilka mil od domu, zostawił wcześniej swój lub może wynajęty wóz, którym udał się do Nowego Jorku, robiąc po drodze przystanek w White Plains, skąd prawdopodobnie zatelefonował do Carla Maffei w celu umówienia spotkania. Zapewne był mocno skołowany i zaalarmowany już samym faktem, że Maffei zrezygnował z wyjazdu do Europy. A kiedy spotkali się tego wieczoru o siódmej trzydzieści, i ten zaprezentował mu jeszcze wycinki z porannego wydania „Timesa" wraz z gadką na temat, jak trudno utrzymać język za zębami w kwestii kijów golfowych, Manuelowi zupełnie puściły nerwy. Wykierował samochód w ustronny zaułek i w odpowiedniej chwili zatopił pięciocalowe ostrze w plecach Carla, trafiając prosto w serce. Nie wyjąwszy noża, by ograniczyć krwawienie, objechał okolicę w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, po czym wyciągnął ciało i zawlókł je w chaszcze. Następnie wrócił do wozu i pojechał do Hawthorne, gdzie złapał taksówkę, którą przyjechał z powrotem do białego domu położonego w dolinie rozciągającej się właśnie u moich stóp. Jeśli potrzebował pomocy przy starcie, Art Barrett i taksówkarz byli pod ręką. W okolicach dziesiątej lądował na własnym rzęsiście oświetlonym lotnisku, by opowiedzieć Skinnerowi, o ile fajniej lata się w nocy niż w dzień.

Wszystko to by się zgadzało, prócz być może jednej rzeczy - trzeba było mianowicie założyć, że Carlo Maffei miał nieźle poukładane w głowie, skoro wystarczyła mu wzmianka w gazecie o śmierci Barstowa, by od razu poskładać wszystkie fakty do kupy. Ale nie zawracałem sobie tym teraz głowy. Nie wiadomo bowiem było do końca, czy wcześniej nie wydarzyło się coś, co mogło wzbudzić w Carlu podejrzenia. Poza tym sam fakt zamówienia tego dziwacznego ustrojstwa za tak sowitą zapłatę z pewnością dał mu już do myślenia.

Postanowiłem odpuścić sobie Arta Barretta. Nie mogłem, jak w przypadku pani Carter,

przedstawić się jako lotnik, skoro odwoził osobiście Manuela do Hawthorne, poza tym nie mógł mi już powiedzieć nic takiego, co warte byłoby trudu dojazdu w to niedostępne miejsce. Wiedziałem już wystarczająco dużo. Będzie czas później, jeżeli uznamy to za niezbędne. Dwie pozostałe odpowiedzi na ogłoszenie mogły także poczekać. Umierałem z niecierpliwości, by znaleźć się jak najszybciej na Trzydziestej Piątej Ulicy, mając w pamięci, że Wolfe obiecał wypróbować swój otwieracz do konserw na Annie Fiore, jak tylko uda mi się ściągnąć z chmur samolot Manuela Kimballa i umiejscowić go tam, gdzie wylądował tamtego wieczoru piątego czerwca. Zatrzymałem się obok sznura z bielizną, by pożegnać panią Carter, i manewrując roadsterem wśród kamieni, którymi upstrzona była polna dróżka, podryfowałem w dół wzgórza ku autostradzie.

Zorientowałem się, że podśpiewuję z radości i zadałem sobie pytanie, skąd ta euforia. Wszystko, co odkryłem, dowodziło jedynie, że jesteśmy na dobrej drodze, a nie błądzimy w lesie po omacku, do celu jednak wciąż było równie daleko jak poprzednio. Ale nie przestawałem śpiewać, mknąc wzdłuż Parkway, a na Fortham Road nie mogłem się powstrzymać, żeby stanąć i zatelefonować do Wolfe'a. Zdążył już skończyć z roślinami i czekał w biurze. Gdy utknąłem na Trzydziestej Szóstej na czerwonym świetle, gwizdek u Tiffany'ego ogłaszał południe.

Zostawiłem roadstera przed domem. Wolfe siedział w biurze, a Fritz właśnie wnosił tacę ze szklanką i dwiema butelkami piwa.

- Dzień dobry, kwakrze Goodwin - powiedział Wolfe.

- Co takiego? Och, kumam. - Zorientowałem się, że nie zdjąłem kapelusza. Wróciłem do hallu, zatknąłem go na hak i wróciłem. Usiadłem i wyszczerzyłem się w uśmiechu. - Nie dam się podejść w tej chwili, nawet samej Emily Post. Nie mówiłem, że Kimball to tylko brudny Hiszpaniec? Oczywiście wszystko zawdzięczamy twojemu ogłoszeniu.

Wolfe nie sprawiał wrażenia, że za mną nadąża. Nie wyglądał na zainteresowanego. Ale przytaknął i rzekł:

- Znalazłeś to pastwisko.

- Znalazłem wszystko. Kobietę, która widziała, jak lądował, i pamięta, która część jego samolotu jest niebieska, a która czerwona. Faceta, który odwiózł go do Hawthorne. Wszystko, o co tylko chciałby pan zapytać.

- No. - Nie patrzył na mnie.

- No! O co panu znowu chodzi? Znów chce mnie pan wkurzyć? Co jest grane...

Powstrzymał mnie, podnosząc dłoń z oparcia fotela.

- Spokojnie, Archie. Twoje odkrycie warte jest celebracji, ale musisz wybaczyć, że odłożę ją na później. Twoje triumfalne wejście przerwało niestety moje przygotowania do odbycia pewnej interesującej rozmowy telefonicznej, do której właśnie się przymierzałem. Sięgałem akurat po książkę telefoniczną. Być może zaoszczędzisz mi trudu. Czy pamiętasz telefon do Barstowów?

- Jasne. Coś się stało?

- Wybierz numer, proszę, i posłuchaj. Poproś Sarę Barstow.

Usiadłem przy biurku, rzuciłem okiem do książki, by się upewnić, i wykręciłem numer. Po chwili usłyszałem głos Smalla. Poprosiłem do telefonu Sarę Barstow i po chwili, gdy pojawiła się na linii, dałem gestem Wolfe'owi znak. Podniósł słuchawkę. Ja trzymałem przy uchu swoją.

- Panna Barstow?... Tu Nero Wolfe. Pozwoliłem sobie zadzwonić, by zapytać, czy orchidee dotarły bezpiecznie... Nie, miałem na myśli orchidee... Co pani mówi?... Och. To z pewnością pomyłka. Czyż to nie pani zaszczyciła mnie dziś rano, wysyłając notę z prośbą o kwiaty?... Nie wysyłała pani żadnej noty?... Nie, nie, nie ma żadnego problemu... Musiała zajść jakaś pomyłka, bardzo przepraszam... Do widzenia.

Połączenie zostało przerwane. Wolfe usiadł wygodnie w fotelu. Uśmiechnąłem się.

- Starzejesz się, sir. W dawniejszych czasach nie posyłaliśmy dziewczynom kwiatów, o ile o to nie poprosiły.

Wolfe wydął policzki. Wciągał i wydymał wargi, a ja obserwowałem go w napięciu. Sięgnął do szuflady, gdzie trzymał otwieracz do butelek, ale za chwilę cofnął dłoń, nie dotknąwszy jej.

- Archie - zaczął - słyszałeś nieraz, jak nazywałem siebie aktorem. Obawiam się, że mam słabość do dramatycznych wypowiedzi. Byłoby głupio nie pofolgować sobie w momencie, gdy trafia się tak wspaniała ku temu okazja. W tym pokoju czai się śmierć.

Chyba musiałem rozejrzeć się odruchowo, bo dodał:

- Nie trup. Nie miałem na myśli śmierci spełnionej, ale śmierci *in spe* - czekającej być może tylko na mnie, być może na nas obu. Nie wiem. Ona tu jest. Kiedy byłem dziś w pokoju na górze, wśród kwiatów, Fritz przyniósł mi tę oto notę. Sięgnął do kieszeni i wyjął zeń zwitek papieru, który następnie mi wręczył. Przeczytałem:

Drogi Panie Wolfe!

W zeszłym tygodniu, w Pańskim domu, Pan Goodwin podarował mi dwa kwiaty orchidei - olśniewająco piękne. Ośmielam się być na tyle bezczelna, by spytać, czy zechciałby pan przysłać mi jeszcze sześć lub osiem podobnych egzemplarzy. Są tak cudowne! Jeżeli okazałby się pan tak hojny, mój posłaniec poczeka. Będę niezmiernie wdzięczna!

Sara Barstow

- To do niej nie pasuje - powiedziałem.

- Być może. Znasz ją lepiej ode mnie. Ja naturalnie zapamiętałem brassokatleję *Truffautiana* w jej dłoni, gdy sprowadziłeś Sarę wtedy na dół. Wraz z Theodorem ucięliśmy tuzin i zapakowaliśmy, a Fritz zniósł je na dół. Kiedy zszedłem do biura o jedenastej i usiadłem przy

biurku, wyczułem w powietrzu nieznajomy zapach. Ktoś tu był. Jestem wyjątkowo wrażliwy na punkcie nieznajomych. Wiedziałem oczywiście o wizycie posłańca, ale nie rozwiało to mojego niepokoju. Wezwałem Fritza. Powiedział mi, że młody człowiek, który dostarczył notę i czekał na kwiaty, miał przy sobie pakunek - podłużne pudełko z rączką. Wychodząc, zabrał je ze sobą. Fritz widział je w jego ręku, gdy opuszczał dom. Ale przez co najmniej dziesięć minut ów człowiek był w salonie sam. Drzwi z salonu do biura nie były zamknięte na klucz. Drzwi z hallu do biura były zamknięte.

Wolfe westchnął.

- Niestety, wychodzi na to, że to nie panna Barstow napisała tę notę.

Zerwałem się na równe nogi.

- Wstawaj pan! - Pokręcił głową. - Chodź! - wrzasnąłem. - Ja mogę uskoczyć, pan nie. Cholera, wyłaź pan stamtąd, już! Wiem, jak obchodzić się z bombami. Fritz! Fritz! - Fritz zjawił się w te pędy. - Napełnij zlew wodą. He się da. Panie Wolfe, na Boga, wynoś się stąd, eksplozja może nastąpić w każdej chwili! Zaraz to znajdę.

Słyszałem, jak Fritz w kuchni nalewa wodę. Wolfe nie ruszył się z miejsca, a sam Bóg wie, że ja ruszyć go nie byłem w stanie. Pokręcił głową i wystawił palec w moją stronę.

- Archie, proszę, przestań! Nie ruszaj niczego. Nie ma żadnej bomby. One tykają albo skwierczą, a ja mam dobry słuch i nasłuchiwałem. To nie bomba. Błagam, bez paniki. Dramatyzowanie - tak, ale nie panika. Przemyślałem to i przeczułem. Zastanów się: w czasie gdy pan Kimball był w tym pokoju, nie wykonałem żadnego ruchu, nie licząc jednego. Widział, jak otwieram szufladę biurka i wkładam tam rękę. Być może nic ci to nie mówi, ale jestem pewien, że jemu tak. Zobaczymy.

Skoczyłem w jego stronę, myśląc, że ma zamiar otworzyć szufladę, ale nakazał mi gestem wrócić na miejsce. Okazało się, że czynił jedynie przygotowania, by podnieść się z krzesła.

- Przynieś moją czerwoną laskę. Do cholery, czy możesz się ruszyć?

Pobiegłem do hallu, wyjąłem laskę ze stojaka i wróciłem biegiem do biura. Wolfe przesuwał się wzdłuż blatu biurka. Stanął po drugiej stronie, dokładnie naprzeciw swego fotela. Sięgnął po tacę, na której wciąż stała szklanka oraz dwie butelki, i przyciągnął ją do siebie.

- Teraz - polecił. - Proszę, podejdź tu. Nie, najpierw zamknij drzwi. - Spełniłem jego polecenie i wróciłem na posterunek. - Dziękuję. Chwyć laskę za drugi koniec. Sięgnij nad biurkiem i zahacz rączką laski dolną krawędź szuflady. Pchnij i otwórz. Poczekaj! Otwieraj najwolniej, jak potrafisz, i postaraj się zrobić to tak, by móc uwolnić laskę w każdej chwili - może się przydać jeszcze w innym celu. Zaczynaj.

Zacząłem. Wywinięty uchwyt laski zahaczył elegancko o dół szuflady, ale ponieważ trzymałem narzędzie pod kątem, szuflada nie chciała się otworzyć. Próbowałem pchać lekko, by

otwierać ją stopniowo, ale w końcu zdecydowałem się na gwałtowniejszy ruch. I wtedy nagle szuflada otwarła się z trzaskiem na pół stopy, a ja o mało nie wypuściłem narzędzia z ręki. Poderwałem się w górę, by uwolnić laskę, i wrzasnąłem:

- Uwaga!

Wolfe, którego każda dłoń uzbrojona była w trzymaną za szyjkę butelkę, zamachnął się jedną z nich, roztrzaskując butelkę o blat, nie trafił jednak w to coś, co wychodziło z szuflady biurka. Wysuwało się szybko - głowa była już blisko krawędzi, przy której staliśmy, podczas gdy ogon wciąż spoczywał we wnętrzu szuflady. Uwolniłem laskę i mierzyłem w głowę zwierzęcia, ale ona ruszała się we wszystkie strony i nie mogłem utrafić, podczas gdy blat biurka był cały zalany piwem i pełen potłuczonego szkła. Miałem już odskoczyć i chwyciłem Wolfe'a, by go pociągnąć za sobą, gdy ten wymierzył drugą butelką prosto w odrażającą głowę, zgniatając ją na miazgę. Długie brązowe ciało zwierzęcia zaczęło wić się na biurku w konwulsjach, ale było już po nim.

Druga butelka także się roztrzaskała i byliśmy cali zbryzgani jej zawartością. Wolfe zrobił krok w tył, wyjął chusteczkę i zaczął wycierać twarz. Ja wciąż nie wypuszczałem laski z dłoni.

- *Nom de Dieu!*

To był Fritz, osłupiały z przerażenia.

- Tak, Fritz, straszny bałagan. Będziesz miał dodatkową robotę. Przepraszam - przyznał ze skruchą Wolfe.

Rozdział 16

Spróbowałem raz jeszcze:

- Fer du lans? Tak to się wymawia?

- Nieco lepiej - przytaknął Wolfe. - Wciąż zbyt przednie „r", za mocne „n" i za mało nosowo. Nie jesteś urodzonym lingwistą, Archie. Przyczyną twojego braku wyczucia nie jest prawdopodobnie sama kwestia techniczna. By artykułować francuski poprawnie, musisz czuć w sobie głęboką niechęć, by nie rzec - pogardę dla większości anglosaskich świętości. Na swój sposób poradziłeś sobie jednak pomimo braku owych uprzedzeń, sam nie wiem jak. Tak: fer-de-lance. *Bothrops atrox* - żararaka lancetowata. Nie licząc bushmastera, najjadowitszy wąż na świecie.

Fritz posprzątał, z moją pomocą, i podał lancz. Właśnie skończyliśmy jeść. Kiedy wąż przestał się wić, rozwinąłem go na kuchennej podłodze i zmierzyłem: sześć stóp, trzy cale. W środkowej części był prawie tak gruby jak moja pięść. Miał brudnożółtobrązową barwę i nawet martwy wyglądał nikczemnie. Zmierzywszy go, wstałem i zastanowiłem się, patrząc na stojącego obok Wolfe'a - co teraz z tym zrobić. Czy mogę po prostu wynieść „to" do pojemnika na śmieci? Czy może lepiej wrzucić do rzeki?

Wolfe wciągnął policzki.

- Nie, Archie, szkoda by było. Weź z piwnicy karton i wełnę drzewną, ładnie to wszystko razem zapakuj i zaadresuj do pana Manuela Kimballa. Fritz zaniesie pakunek na pocztę. Może to odciąży umysł pana Kimballa.

Wykonałem polecenie i nawet, o dziwo, nie zepsuło mi to lanczu. Siedzieliśmy znów w biurze, czekając na Marię Maffei, do której Wolfe zadzwonił po moim telefonie z Fordham Road.

Powiedziałem:

- Przywiózł go z Ameryki Południowej.

Wolfe z półprzymkniętymi oczami siedział wygodnie w fotelu, zadowolony z siebie. Nie ubolewał nad faktem, że to jego uderzenie pozbawiło bestię życia, aczkolwiek wyraził żal z powodu zmarnowanego piwa. Mruknął:

- Zgadza się. To rodzaj grzechotnika i jeden z niewielu węży, które atakują bez ostrzeżenia. Nie dawniej jak w zeszłym tygodniu widziałem gada na zdjęciu w jednej z książek, które mi przyniosłeś. Jest ich mnóstwo w Ameryce Południowej.

- We krwi Barstowa znaleziono jad.

- Tak. To było do przewidzenia, skoro analiza nie wykazała nic innego. Igła musiała zostać obficie wysmarowana. Zasadniczy problem się zacznie, jeżeli okaże się, że Anna Fiore nas zawiedzie i trzeba będzie przejść do właściwego ataku. Większość kłopotów można przezwyciężyć dzięki nakładowi cierpliwości i... cóż, czasami także środków. Czy na terenie posiadłości

Kimballów znajduje się dół, w którym Manuel mógł trzymać szczury dla swojej bestii? Czy wycisnął jad z węża własnoręcznie, zaciskając uprzednio jego zęby na kawałku banana? Mało prawdopodobne. Może ma przyjaciela w Ameryce Południowej, który przysłał mu gotową truciznę? Bardziej prawdopodobne. Ów młody mężczyzna - ciemny i przystojny, jak twierdzi Fritz - który przyniósł list - nie od panny Barstow - i który posiada godny podziwu dar obchodzenia się z wężami - czy pracuje jako odźwierny w kinoteatrze na Sto Szesnastej Ulicy? Czy może raczej jako marynarz na południowoamerykańskim statku, który dziwnym zbiegiem okoliczności przybił do Nowego Jorku nie dalej jak wczoraj? Trudne pytania, ale na każde z nich można znaleźć odpowiedź, jak się dobrze postarać. Niewykluczone, że Manuel Kimball zorganizował podróż swojego pupilka fer-de-lance'a już wcześniej, myśląc, że gdy próba z urządzeniem przygotowanym przez człowieka przypadkiem nie wypali, trzeba będzie dać szansę mechanizmowi wyprodukowanemu przez naturę. Tymczasem, gdy odsiecz przybyła, okazało się, że bardziej potrzebna jest w innej roli - pragnienie zemsty ustąpiło potrzebie bezpieczeństwa. Niestety, tak się ułożyło, że nie udało się osiągnąć ani jednego, ani drugiego.

- Być może. Ale o ile właśnie stracił jedną z tych rzeczy, o tyle za chwilę może osiągnąć drugą.

Wolfe wyciągnął palec w moim kierunku.

- Błąd, Archie, niewybaczalny błąd. Zemsta poczeka. Pan Manuel Kimball nie działa pod wpływem impulsu. Nawet gdy okoliczności pchną go do desperackich czynów, nie będą to czyny spontaniczne. Ale, ale - pani Maria Maffei przybędzie tu za pół godziny, a ty powinieneś wiedzieć, zanim się zjawi, w czym rzecz. Notes.

Zasiadłem przy biurku, a on dyktował dwadzieścia minut bez przerwy. Po dwóch pierwszych minutach uśmiechnąłem się i tak mi już zostało do końca wywodu. To było coś pięknego. Wszystko zostało zaplanowane w każdym szczególe, bez pominięcia jednego detalu. Wolfe nawet brał pod uwagę, że Maria Maffei nie zgodzi się przekonać Anny - w takim wypadku akcja miała pozostać bez zmian, jedynie role byłyby rozdzielone nieco inaczej - ja wówczas miałem przejąć owo zadanie. William Durkin został wcześniej poinformowany telefonicznie, a Saul Panzer miał zadzwonić o szóstej po sedana i dalsze instrukcje w sprawie. Gdy Wolfe skończył dyktować, wszystko było tak jasne i przejrzyste, że nie miałem już powodu pytać o cokolwiek. Gdy wyjaśniłem ostatecznie wszystkie wątpliwości, przejrzałem raz jeszcze notatki, podczas gdy Wolfe rozwalił się z brzuchem pełnym piwa w fotelu, udając, że wcale nie jest z siebie zadowolony.

- Dobra - powiedziałem. - Nie da się ukryć - jest pan geniuszem. Jeżeli tylko ona na to pójdzie, jesteśmy w domu.

Przytaknął moim słowom bez zażenowania.

Maria Maffei przybyła punktualnie. Czekałem na nią z niecierpliwością i na dźwięk

dzwonka znalazłem się przy drzwiach, zanim Fritz zdążył wynurzyć się z kuchni. Była ubrana na czarno i gdybym spotkał ją na ulicy, wątpię, czy bym ją poznał - tak marnie wyglądała. Tak mnie podekscytował plan Wolfe'a, że miałem zamiar powitać ją szerokim uśmiechem, ale po chwili zganiłem się w myślach za ten pomysł. W twarzy Marii Maffei nie było cienia radości, a ja na jej widok zapomniałem, że sam kiedykolwiek potrafiłem się śmiać. Dotarło do mnie, czym dla kobiety może być śmierć brata. Postarzała się o dziesięć lat, a żywy błysk na stałe zniknął z jej oczu.

Zaprowadziłem ją do biura i postawiłem dlań krzesło naprzeciw Wolfe'a, a sam wróciłem za swoje biurko.

Maria odpowiedziała na pozdrowienie Wolfe'a i stwierdziła:

- Chce pan pieniędzy, jak sądzę.

- Pieniędzy? Za co? - spytał Wolfe.

- Za odnalezienie Carla. Ale to nie pan go znalazł. Nie zrobiła tego także policja. Znalazło go dwóch chłopców. Nie zapłacę panu.

- Oczywiście - westchnął Wolfe. - Nie chodzi o to, panno Maffei. Przykro mi, że myśli pani w taki sposób. To mnie stawia w nie najlepszym świetle. Ale póki co, dajmy sobie z tym spokój. Nie jest mi pani nic winna. Nie ma o czym mówić. Proszę jednak pozwolić, że spytam - przepraszam, jeżeli sprawię pani ból, ale to konieczne - czy widziała pani ciało brata?

Spojrzała na niego chmurnym wzrokiem i wtedy zobaczyłem, że byłem w błędzie - życie jej nie opuściło, a jedynie skryło się w głębi, jakby czekając na odpowiedni moment, by się znowu objawić.

- Tak, widziałam - odrzekła cicho.

- Zapewne widziała pani również ranę w jego plecach - zadaną nożem mordercy?

- Widziałam.

- Dobrze. A teraz - czy jeśli istniałaby szansa, że znajdę tego człowieka i doprowadzę go przed oblicze sprawiedliwości - pomogłaby mi pani?

Matowe oczy na chwilę rozjaśnił błysk.

- Zapłacę panu za to, panie Wolfe - powiedziała.

- Tak sądzę. Ale potraktujmy to jako prezent. Potrzebuję od pani innego rodzaju wsparcia. Jest pani wystarczająco bystrą osobą, by móc powiązać ze sobą pewne fakty - a zatem uznałem, że dobrze będzie wtajemniczyć panią w tę sprawę. Człowiek, który zamordował pani brata, został wykryty przeze mnie (i przez innych) w związku z drugą zbrodnią, której również jest sprawcą. Zbrodnią bardziej nagłośnioną i nie mniej ohydną. Wiem, kto to jest, ale potrzebuję pani pomocy...

- Wie pan? Proszę mi powiedzieć. - Poderwała się z krzesła, a błysk, który rozjaśnił jej oczy, tym razem zagości! w nich na stałe.

Wolfe wyciągnął palec w jej stronę.

- Spokojnie, panno Maffei. Obawiam się, że musi pani przekazać zemstę w inne ręce. Proszę pamiętać, że ludzie cywilizowani, którymi jesteśmy, jeżeli dopuszczają się zbrodni, działają w taki sposób, który pozwala im uniknąć osobistej odpowiedzialności. Przejdźmy do rzeczy. Oczekuję od pani pomocy. Ale musi mi pani zaufać. Durkin - mąż pani przyjaciółki mówił, że jestem człowiekiem godnym zaufania, poza tym on także weźmie udział w tej akcji. Chcę porozmawiać o pannie Annie Fiore - dziewczynie, która pracuje w domu, w którym mieszkał pani brat. Znają pani?

- Oczywiście, znam.

- Czy ona panią lubi? Potrafi pani zaufać?

- Nie wiem. Jest skrytą osobą.

- Faktycznie? Ładnie to pani ujęła. Dziękuję. Czy udałaby się pani tam dziś wieczór - moim samochodem z szoferem - i namówiła ją na dłuższą wycieczkę w pani towarzystwie? Trzeba by było dobrać odpowiednie argumenty, żeby się zgodziła.

Maria Maffei spojrzała zdziwiona. Po chwili przytaknęła, zastrzegając jednak:

- To nieco dziwne, musiałabym się zastanowić...

- Będzie pani miała na to czas. Wolę dać pani wolną rękę w kwestii wymyślenia powodu - będzie pani wówczas bardziej przekonująca. Ale to jedyna rzecz, jaką pozostawiam pani inwencji. Jeden z moich ludzi będzie prowadził samochód. Musi pani zastosować się w pełni do moich instrukcji. A raczej instrukcji pana Goodwina. Archie, jeżeli mogę cię prosić. - Wolfe opar! dłonie o krawędź biurka, odepchnął się i wstał. - Wybaczy pani, że panią opuszczę, panno Maffei, ale nadszedł czas dla moich kwiatów. Być może, gdy skończycie, zechce pani podejść na górę z panem Archiem, by je zobaczyć.

Zostawił nas.

Nie zaprowadziłem tamtego dnia Marii Maffei na górę do oranżerii - gdy skończyliśmy rozmowę, była piąta, a ja miałem jeszcze do załatwienia parę spraw. Nie okazała żadnego sprzeciwu, ale byłem zmuszony udzielić jej wielu stosownych wyjaśnień, a gdy przyszło do omawiania szczegółów, musiałem powtórzyć je trzykrotnie, zanim miałem pewność, że zrozumiała na tyle, by tego nie schrzanić. Zdecydowaliśmy, że będzie lepiej, gdy wcześniej zatelefonuje do Anny, by uprzedzić ją o swoich planach. Później razem wyszliśmy i wsadziłem ją do samochodu, którym udała się na Sullivan Street.

Wtedy przystąpiłem do własnych zadań, do których należało: przygotowanie noża, masek i pistoletów, wynajęcie samochodu - nie mogliśmy ryzykować, że Anna rozpozna roadstera - oraz telefon do Billa Gore'a i Orriego Cathera. Zaproponowałem właśnie tych dwóch, a Wolfe się zgodził. Kazał Durkinowi zameldować się o siódmej. Wyrobiłem się z tym wszystkim na czas, aczkolwiek na styk. Zjadłem w kuchni szybką kolację, podczas gdy Wolfe dogadywał w biurze szczegóły z Saulem Panzerem. Ten zajrzał do kuchni przed wyjściem i zrobił głupią minę, jakby

sama jego paskudna gęba nie wystarczyła.

- Smacznego, Arch - zawołał. - Naciesz się, bo to może być twój ostatni posiłek w życiu!

Miałem pełne usta, więc tylko rzuciłem:

- Spadaj, dupku.

Bill Gore i Durkin przybyli na czas, a i Orrie prawie się nie spóźnił. Powiedziałem im, co i jak, a Orriego odpytałem z zadanego materiału jeszcze kilka razy, bo sporo od niego zależało. Nie robiliśmy nic razem od przeszło dwóch lat i na widok, jak zwija usta w trąbkę oraz się rozgląda, gdzie by tu wypluć przeżuty tytoń, poczułem się jak za dawnych dobrych lat.

Wyszliśmy trochę przed ósmą - Wolfe jeszcze nie zdążył uporać się z kolacją. Udało mi się wypożyczyć czarnego buicka - miał cztery kółka i silnik, ale roadsterem z pewnością nie był. Orrie usiadł z przodu koło mnie, Bill Gore i Durkin z tyłu. Zacząłem żałować, że to tylko zasadzka, bo w towarzystwie tych trzech ptaszków można było gwizdnąć każdy pojazd - od autobusu z Jersey po ciężarówkę z ładunkiem whisky. Orrie powiedział, że powinienem zawiesić na chłodnicy emblemat z napisem: KRÓLOWA BANDYTÓW. Uśmiechnąłem się, ale pozostałem czujny. Wiedziałem, że sprawa jest poważna, a jej powodzenie zależy przede wszystkim ode mnie. Trzeba było uważać - Wolfe miał rację, mówiąc, że Anna Fiore jest umysłowo ograniczona, ale ma umiejętność spostrzegania rzeczy, które mogłyby umknąć komuś o dużo szerszych horyzontach.

Pojechałem w kierunku zachodnim i zjechałem na Sawmill River Road. Posiadłość Williamsonów znajdowała się przy drugorzędnej drodze, w zapadłej wsi wschodniej części Terrytown. Zdążyłem poznać ją jak własną kieszeń przed czterema laty, podczas swych licznych wypadów w te strony. Miałem nadzieję zajechać na miejsce przed wpół do dziesiątej, ale ruch, jaki panował na trasie do Yonkers, nieco pokrzyżował moje plany. Musiałem włączyć światła, zanim skręciłem w miejscu, gdzie onegdaj znalazłem omdlałą panią Williamson i zawiozłem nad staw, by ją ocucić.

Zajechałem pod dom, położony jakąś jedną trzecią mili dalej i, zostawiwszy całą uroczą trójkę w samochodzie, poszedłem zadzwonić do drzwi. Panzer - kamerdyner - pamiętał mnie. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Oznajmiłem, że nie będę wchodzić do domu, chcę tylko porozmawiać z jego pracodawcą. Burke Williamson zjawił się po chwili. Przywitaliśmy się serdecznie - powiedział, że żałuje, iż nie było mnie w piątek wieczór na kolacji. Ja też żałowałem.

- Jestem chwilę spóźniony, panie Williamson. Wpadłem tylko sprawdzić, czy wszystko gra i czy ktoś ze służby nie zamarudził, polując na pluskwy, i nie szwenda się niepotrzebnie po okolicy. To jak, możemy zaczynać?

- Wszystko gotowe - roześmiał się. - Nikt nie przeszkodzi waszej złowieszczej intrydze. Oczywiście wszyscy umieramy z ciekawości. Jak sądzę, nie zgodzisz się, byśmy podpatrywali zza krzaków?

Pokręciłem głową.

- Lepiej będzie, jak zostaniecie w domu, o ile nie ma pan nic przeciwko. Nie wpadnę się pożegnać. Będę musiał zniknąć jak najszybciej. Wolfe podziękuje panu jutro rano, jak sądzę, przez telefon.

- Niech się nie kłopocze. I tak nigdy nie spłacę długu wdzięczności, jaki u niego zaciągnąłem.

Wróciłem do samochodu i pojechałem z powrotem. Miałem upatrzone miejsce - jakieś trzysta jardów od drogi publicznej, z gęstymi krzakami i drzewami rosnącymi po obu stronach szosy. Było już ciemno i wszystko szło, jak trzeba. Droga w tym miejscu była na tyle wąska, że mogłem spokojnie zablokować ją autem, nie zadając sobie nawet trudu ustawiania go w poprzek.

Postawiłem wóz na upatrzonej pozycji i wyłączyłem światła. Wysiedliśmy. Była prawie dziesiąta - nasza „zdobycz" miała nadciągnąć za około kwadrans. Dałem Orriemu nóż, rozdałem pistolety i nałożyliśmy na twarz maski. Wyglądaliśmy na niezłych zbirów i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, słysząc komentarze Orriego, ale szczerze powiedziawszy, miałem niezłego pietra. Wszystko było przygotowane, jak należy, ale jeszcze raz z ich pomocą sprawdziłem każdy szczegół. Rozbiegliśmy się po krzakach. Było zupełnie ciemno. Zaczęli się wzajemnie nawoływać, więc w końcu kazałem im się zamknąć. Nasłuchiwałem.

Parę minut później dobiegł nas warkot zjeżdżającego właśnie na boczną drogę sedana Wolfe'a. Zarośla utrudniały mi widoczność, ale wkrótce ujrzałem światła. Po chwili widziałem je już wyraźnie, a zaraz za nimi dojrzałem sam wóz. Kiedy zbliżył się na tyle, że kierowca zauważył mój samochód, zwolnił i zaczął hamować. Wyskoczyłem z zarośli prosto przed maskę, podbiegłem od strony kierowcy i przystawiłem rewolwer do twarzy siedzącego za kółkiem Saula Panzera.

Pozostali również przystąpili do akcji. Bill Gore znalazł się przy mnie i wsadził pistolet przez otwarte okno, Orrie z Durkinem za plecami otwierał drzwi po drugiej stronie. Maria Maffei krzyczała. Anna nie wydała żadnego dźwięku.

Orrie powiedział:

- Wyłazić. Chcecie, żebym wsadził wam kulkę w brzuch?

Anna wysiadła i stanęła bez ruchu przy samochodzie. Bill Gore wyciągnął ze środka Marię Maffei i powlókł ją za sobą. Orrie warknął:

- Zamknij gębę! - a potem zawołał do mnie: - Jak ten szofer piśnie słowo, załatw go. Wyłącz światła.

- Mam jej portfel, tłuściutki - oznajmił Bill Gore.

- Której?

- Tej.

- Dobra. Ucisz ją. Jak nie przestanie się drzeć, to jej przyłóż. - Orrie zwrócił się do Durkina:

- Daj tutaj tę drugą, do światła.

Durkin chwycił Annę od tyłu, a Orrie skierował na jej twarz strumień światła. Była blada i miała zaciśnięte usta.

- Ach, więc to ty. Mamy cię, dzięki Bogu. Więc masz zamiar wypaplać światu o Carlu Maffei, gazetowych wycinankach i rozmowie telefonicznej, o których miałaś zapomnieć raz na zawsze? Tak? Nie uda ci się. Ten nóż był wystarczająco dobry dla Carla Maffei, będzie dobry i dla ciebie. Pozdrów go ode mnie.

Wyciągnął długi połyskujący w świetle latarki nóż i pomachał jej nim przed nosem. Był naprawdę niezły. Maria Maffei wrzasnęła i rzuciła się w jego stronę, prawie wyrywając się z uchwytu Billa Gore'a. Bill, który waży! dwieście funtów i nie miał na sobie grama tłuszczu, objął ją ciasno dwiema rękami. Durkin odciągnął Annę Fiore i rzucił do Orriego:

- Nic z tych rzeczy! Odłóż to! Umawialiśmy się - nic z tych rzeczy!

Orrie przestał wymachiwać nożem i ponownie omiótł Annę strumieniem światła.

- Dobra - nadał głosowi ton żądny krwi. - Wyciągaj portfel! Dalej! Nie stój jak słup soli! Gdzie masz forsę?! Gdzie stówa, którą ci posłałem? Nie masz? - Trzymaj ją - rzucił do Durkina - muszę babę przeszukać.

Sięgnął pod jej pończochę, a wtedy w Annie obudził się dziki zwierz. Wyrwała się Durkinowi i wydała wrzask, który musiał dotrzeć aż do White Plains. Orrie złapał ją za rękę, odrywając rękaw sukienki. Durkin schwycił ją ponownie i gdy zdała sobie sprawę, że nie uda jej się uciec, zaczęła gryźć i kopać, gdzie popadło, aż ucieszyłem się, że zleciłem to zadanie pomocnikom. Durkin w końcu złapał ją mocno, jedną ręką oplatając ramiona, a drugą przytrzymując głowę, ale Orriemu i tak nie udało się włożyć ręki pod jej pończochę - musiał ją dosłownie podrzeć na strzępy. Wiedziałem, że najwyższa pora się stąd zabierać, bo za chwilę trzeba będzie dziewczynę spętać i zakneblować. Saul zjechał swoim samochodem na skraj drogi, bym mógł zmieścić się z moim sedanem. Durkin przytargał Annę, która wciąż wierzgała i starała się go ugryźć, i wepchnął ją na tył samochodu Saula. Orrie pomagał mu, rzucając pod jej adresem wściekłe uwagi:

- Zatrzymało się forsę, co? Nie spaliło się kapusty? Następnym razem lepiej trzymaj gębę na kłódkę.

Wskoczyłem za kierownicę buicka, zapaliłem silnik i ruszyłem z piskiem opon. Maria Maffei darła się wniebogłosy, Anna siedziała cicho. Brałem zakręty tak szybko, jak się dało, i dopiero gdy wjechałem na publiczną drogę, nieco zwolniłem.

Bill Gore, siedzący na tylnym siedzeniu, omal nie udusił się ze śmiechu. Wjechałem na Sawmill River Road, skręciłem na południe i zwolniłem do czterdziestki. Orrie siedział kolo mnie w milczeniu.

- Masz forsę? - spytałem go.

- Tak, mam - nie zabrzmiało to nazbyt entuzjastycznie. - Zatrzymam ją chyba, dopóki nie upewnię się, że Nero Wolfe pokryje koszty mojego leczenia.

- Czyżbyś był ranny?

- Ugryzła mnie dwa razy. Gdybyś raczył mnie uprzedzić, że będę musiał gołymi rękami walczyć z tygrysem, pamiętałbym o tym, że mam w planie randkę.

Bill Gore zarżał ze śmiechu.

To była naprawdę niezła akcja. Wolfe nie mógł wymyślić nic bardziej genialnego. Obawiałem się jedynie, że Anna będzie w takim szoku, iż zamknie się w sobie jeszcze bardziej. Ale raczej na to nie wyglądało. Byłem wdzięczny, że Wolfe wpadł na pomysł wykorzystania Marii Maffei, a ona się zgodziła, bo miałem przynajmniej z głowy problem odstawiania do domu Anny w podartych pończochach. Teraz pozostawało jedynie dowiedzieć się, co ona ukrywa i kiedy będziemy mogli to z niej wyciągnąć. Czy plan Wolfe'a skończy się szczęśliwie, tak jak sobie zamierzył? I jeśli tak, to jaki będzie ów koniec?

Tak czy inaczej, moim następnym zadaniem było dostać się do biura najszybciej, jak się da, toteż nie bawiłem się w dżentelmena rozwożącego swoich pasażerów kolejno do miejsca zamieszkania. Wysadziłem Billa Gore'a na Dziewiętnastej, a Durkina i Orriego dowiozłem do stacji metra przy Times Square. Nie mogłem zostawić buicka przed wejściem - od razu odwiozłem go tam, skąd pożyczyłem, i do domu wróciłem piechotą.

Nie miałem czasu na rozważania, jak Manuel Kimball zareaguje na nasz dzisiejszy prezent, toteż wychodząc, nakazałem Fritzowi zamknąć drzwi na zasuwę i teraz musiałem zadzwonić po niego, by mnie wpuścił. Była prawie północ, ale zszedł na dół po moim pierwszym dzwonku.

Wolfe siedział w biurze, wcinając ciastka i kreśląc ołówkiem po katalogu Hoehna. Stanąłem nad nim i poczekałem, aż raczy podnieść wzrok. Po dłuższej chwili przerwał swoje pilne zajęcie.

- W samą porę - zauważył.

- Zgadza się. W dodatku nie na tarczy. Niestety, Orrie Cather odniósł rany. Ugryzła go. Durkina też. Niezłe z niej ziółko. Pana plan wypalił, jak się patrzy. Będą tu wkrótce. Pójdę na górę i przebiorę się do kolejnego aktu. Czy mogę dostać szklankę mleka?

Wolfe wyraził łaskawie zgodę i wrócił do przerwanego zajęcia.

Wziąłem szklankę i poszedłem do siebie, gdzie zmieniłem wojenne przebranie na nocny strój. Ta część przedstawienia była wyjątkowo wymyślna, ale nie martwiło mnie to, gdyż w końcu miałem okazję wystroić się w fikuśną koszulę nocną, którą dostałem w prezencie od Wolfe'a ładnych parę lat temu i miałem na sobie nie więcej niż raz. Pijąc mleko, wypaliłem papierosa, przebrałem się i stanąłem przed lustrem. Wtedy dotarł do mnie przez okno odgłos parkującego przed domem samochodu. Podszedłem bliżej okna i usłyszałem głos Saula Panzera, a później Marii Maffei. Usiadłem i zapaliłem kolejnego papierosa.

Siedziałem tak jeszcze przez prawie godzinę. Słyszałem, jak Fritz wpuszcza ich do środka, potem głosy w hallu, gdy kierowali się do biura, w końcu zaległa cisza. Trwało to tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy wszystko idzie, jak należy, nabrałem nawet podejrzeń, że Wolfe znowu zabawia się ze mną w kotka i myszkę. W końcu usłyszałem kroki w hallu i na schodach, po czym do moich drzwi zapukał Fritz, oznajmiając, że Wolfe oczekuje mnie w biurze. Odczekałem chwilę, na tyle długo, by zdążyć się obudzić, zburzyłem włosy i w koszuli nocnej, jak gdybym dopiero co zerwał się z łóżka, zszedłem na dół.

Wolfe siedział przy biurku. Maria Maffei zajmowała krzesło naprzeciw niego, a Anna drugie, przy ścianie. Anna prezentowała sobą godny pożałowania widok - rękaw zwisał jej smętnie, jedną nogę miała gołą, twarz wysmarowaną, a włosy rozczochrane jak czupiradło.

Wybałuszyłem na nie wzrok.

- Panno Maffei! Anno! Czy poszczuto was psami?

Wolfe wyciągnął palec w moją stronę.

- Przykro mi, Archie, że cię niepokoję, ale panie spotkało przykre zdarzenie. Jednym słowem, stały się ofiarami agresji. Jechały za miasto w odwiedziny do siostry panny Maffei, gdy napadła na nich czereda chuliganów. Ich samochód został zatrzymany, a one potraktowane parszywie i obrabowane. Panna Maffei utraciła portfel i pierścionek. Panna Fiore została pozbawiona pieniędzy, które nam wcześniej raczyła pokazać, a na które tak ciężko zapracowała.

- Nie! - krzyknąłem z niedowierzaniem. - Anno! Nie zabrali ci chyba tych pieniędzy?

Wytrzymałem jej wzrok przez parę sekund, ale po chwili stwierdziłem, że lepiej będzie, jak skoncentruję się teraz na postaci Wolfe'a.

- On je zabrał - powiedziała Anna.

Wolfe pokiwał głową.

- Anna odniosła wrażenie, że mężczyzna, który ją ograbił, to ten sam, który wcześniej wysłał jej pieniądze. Poddałem myśl, by iść z tym na policję, ale panie nie mają takiego zamiaru. Panna Maffei z założenia nie ufa policji. Panna Fiore uznała, że my - a w szczególności ty - będziemy bardziej pomocni. Ma się rozumieć, nie masz akurat na sobie odpowiedniego stroju, by udać się prosto na polowanie na rabusiów, a miejsce akcji znajduje się trzydzieści mil stąd, ale panna Fiore pragnęła się widzieć właśnie z tobą. Czy masz jakiś pomysł?

- Tak... - zastanowiłem się. - To potworne. Ohydne. Pomyśleć, że ja w tym czasie smacznie spałem. Szkoda, że nie poprosiłaś, bym zawiózł cię za miasto. Gdybym to był ja, na pewno by do tego nie doszło. Nie interesuje mnie, kto cię okradł. Nie wierzę, by zrobił to ten sam człowiek, który wysłał ci pieniądze. Tamten zabija ludzi - gdyby to był on, zabiłby i ciebie.

Anna przenosiła wzrok ze mnie na Wolfe'a i z powrotem, ale przestałem się w tym dopatrywać podejrzliwości. Była jedynie w szoku, przytłoczona niewyobrażalną stratą.

- On chciał mnie zabić. Pogryzłam go.

- Miałaś szczęście. Sama widzisz, Anno, jak to jest, gdy się zaufa złemu człowiekowi. Gdybyś spaliła te pieniądze wtedy, gdy cię o to prosiłem, i powiedziała nam wszystko, co wiesz, miałabyś teraz pieniądze Wolfe'a. Teraz nie możesz ich już spalić, bo ich nie masz, a jedyna szansa, że je odzyskasz, polega na tym, że schwytam tego człowieka. Pamiętaj, że to on zabił Carla Maffei. I spójrz, co zrobił tobie. Potargał ci sukienkę i pończochy - czy nie jesteś ranna?

Pokręciła głową.

- Nie zranił mnie. Czy może go pan złapać?

- Mogę spróbować. To znaczy mógłbym, gdybym wiedział, gdzie szukać.

- Czy odda mi je pan?

- Pieniądze? Ależ oczywiście.

Anna spojrzała na swą gołą nogę, a jej dłoń zawędrowała pod spódnicę i zatrzymała się w miejscu, gdzie wcześniej spoczywał zwitek banknotów.

Maria Maffei chciała coś powiedzieć, ale Wolfe uciszył ją gestem. Anna wpatrywała się wciąż w swoją pozbawioną pończochy nogę, aż w końcu powiedziała:

- Muszę się przebrać.

Nie zrozumiałem. Wolfe za to załapał natychmiast.

- A, oczywiście. Archie, trzeba zapalić światło w salonie. Panno Maffei, czy może pani potowarzyszyć pannie Fiore?

Poszedłem do salonu, zaświeciłem światło, zamknąłem okna i zasunąłem zasłony. Anna i panna Maffei podążyły moim śladem i poczekały, aż wyjdę. Opuszczając salon, posłałem Annie uśmiech. Wyglądała blado, ale jej oczy błyszczały jak nigdy dotychczas. W biurze zamknąłem za sobą drzwi. Wolfe siedział w fotelu, tym razem jednak nie opierał się wygodnie. Nie można było wyczytać wiele z jego ospałej, nieruchomej twarzy, ramiona spoczywały sztywno na oparciach krzesła, a palec wskazujący prawej ręki zataczał na politurze małe kółeczka. U Wolfe'a oznaczało to stan wzmożonej aktywności.

Usiadłem. Z salonu dobiegały niewyraźne odgłosy rozmowy. Trwało to dość długo.

- Niezła ta toga, którą mi pan podarował - powiedziałem.

Wolfe spojrzał na mnie, westchnął i przymknął oczy.

Na dźwięk otwieranych drzwi wróciłem do rzeczywistości. Anna weszła, trzymając w dłoni jakiś papier. Oderwany rękaw miała przypięty agrafką, a włosy sczesane do tyłu. Podeszła do mnie i wręczając mi to, co przyniosła, wymamrotała:

- Panie Archie.

Miałem ochotę poklepać ją po ramieniu, ale chyba by się wtedy rozryczała, toteż skinąłem tylko w podziękowaniu. Anna zajęła ponownie swoje krzesło, podobnie jak Maria. To była mała,

ale gruba, szara koperta. Podszedłem do biurka Wolfe'a i chciałem mu ją wręczyć, ale nakazał gestem, bym otworzył ją sam. Nie była zapieczętowana. Wyjąłem zawartość i rozłożyłem przed nim na biurku.

Jak się okazało, była to niezła kolekcja i przyjrzenie się jej zajęło nam dłuższą chwilę. Po pierwsze, był tam wycięty z „Timesa" artykuł o śmierci Barstowa. Po drugie - stos rysunków na oddzielnych karteluszkach - pełnych sprężynek, zapadni i innych skomplikowanych rzeczy. Na jednym z nich figurował schemat główki kija do golfa. Po trzecie, wycięta z „Sunday Rotogravure" fotografia Manuela Kimballa z samolotem i podpis pod zdjęciem z jego nazwiskiem, na temat wzrostu popularności lotnictwa wśród młodej społeczności Westchester. Na dole napisano ołówkiem: *Człowiek, dla którego wykonałem kij. Rzuć okiem na rysunki. Maj 1933. Carlo Maffei.* Po czwarte, dziesięciodolarowy banknot - złota seria, z podpisem czterech osób: Sary Barstow, Petera Olivera Barstowa, Lawrence'a Barstowa i Manuela Kimballa. Podpisy zostały wykonane tępym, miękkim ołówkiem i zajmowały połowę awersu.

- Niezła jazda - mruknąłem do Wolfe'a.

- To, że toleruję takie powiedzonka u Panzera, nie znaczy, że będę je tolerował u ciebie, Archie - powiedział. - Nawet w okolicznościach tak niezwykłego odkrycia. Biedny Carlo! To niezwykłe, jak można połączyć w sobie przezorność, nakazującą gromadzić tego typu dokumentację, z brawurą, która zaprowadziła go na to fatalne spotkanie. My teraz wyciągamy profit z pierwszej, on zapłacił życiem za drugą. Zrobił marny interes. Panno Maffei, straciła pani portfel, ale odzyskała spokój sumienia - morderca pani brata został zdemaskowany, a dowód jego winy leży w naszych rękach. - Panno Fiore, odzyska pani swoje pieniądze. Pan Archie zajmie się tym i zwróci je pani, daję za to głowę. Zrobi to najszybciej, jak się da, gdyż mogę sobie wyobrazić, jak niewiele znaczą dla pani tego typu obietnice. Dla pani liczy się jedynie prosty konkret - konkret w postaci dwudziestodolarowych banknotów i nie dba pani o innego rodzaju banialuki. Odzyska je pani lada dzień, panno Fiore. Proszę mi powiedzieć, jak doszło do tego, że pan Maffei dał pani te rzeczy?

Anna zaczęła mówić. Nie nazwałbym tej wypowiedzi kwiecistą, ale wystarczyła, by sprostać wymaganiom Wolfe'a. Nie pomijała żadnego szczegółu, a ja notowałem skwapliwie. Faktycznie - widziała kij. Przez wiele dni Carlo Maffei zabraniał jej wchodzenia do swojego mieszkania, gdy pracował, a szafę miał zamkniętą na klucz. Pewnego dnia jednak, pod jego nieobecność, Anna zajrzała z ciekawości do szafy (dała się ona jednak otworzyć na skutek pewnych starań), ale ku swemu rozczarowaniu nie znalazła tam nic interesującego, nie licząc jakiegoś tam golfowego kija, najwyraźniej w trakcie montażu. Gdy po swoim powrocie Maffei zorientował się, że kij nie leży dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go zostawił, wychodząc, bardzo się zdenerwował i zagroził Annie, że utnie jej język, jeżeli piśnie komukolwiek słówko. To było wszystko, co wiedziała na ten temat. Kopertę Maffei dał jej piątego czerwca, w dzień swego

zniknięcia. Około siódmej wieczór, po tamtej rozmowie telefonicznej, zawołał ją do siebie na górę. Powiedział, że rano poprosi o zwrot tych rzeczy, gdyby jednak nie wrócił na noc i słuch po nim zaginął, Anna ma przekazać kopertę jego siostrze.

Gdy Anna skończyła, w Marii obudziło się zwierzę. Zerwała się ze swego miejsca i natarła na dziewczynę jak lwica. Rzuciłem się Annie na pomoc, ale ostry jak bicz głos Wolfe'a uprzedził mnie w tym:

- Panno Maffei! - Wyciągnął palec. - Siadać! Powiedziałem - na miejsce! Dziękuję. Pani brat i tak jest już martwy, więc proszę z łaski swojej powstrzymać agresję. Wyrywając włosy z głowy panny Fiore, prawdopodobnie uzyskałaby pani odpowiedź na pytanie, dlaczego Anna nie oddała pani wtedy tej koperty. Mnie jednak wydaje się to na tyle oczywiste, że oszczędzę jej tej przyjemności. Nie wiem, czy pani brat zabronił jej zaglądać do koperty - tak czy inaczej, zrobiła to. Zobaczyła dziesięciodolarowy banknot - był teraz w jej posiadaniu. Panno Fiore, jaką największą sumę miała pani w swoim życiu, zanim Carlo Maffei dał pani tę kopertę?

- Nie wiem - odrzekła Anna.

- Czy miała pani kiedykolwiek wcześniej w ręku dziesięć dolarów? - spytałem.

- Nie, panie Archie.

- Pięć dolarów?

Pokręciła głową.

- Pani Ricci daje mi raz na tydzień jednego dolara.

- Świetnie. Czy kupuje pani sobie sama buty i ubrania?

- No pewno.

Uniosłem ręce w poddańczym geście. Wolfe rzeki:

- Panno Maffei - zarówno panią, jak i mnie kuszą złote góry, z tym że są one zdecydowanie wyższe. Anna prawdopodobnie biła się z myślami i być może kiedy indziej przekazałaby pani tę kopertę, ale następnego dnia rano przyszedł ów drugi list - a to nie była już zwykła góra, ale wręcz złote Himalaje. Poddała się - a może wręcz przeciwnie - zostało to gdzieś wpisane na poczet wygranych - nie dowiemy się tego. Tak czy inaczej, rozterki poszły w las. A teraz, panno Maffei, proszę zrobić, co następuje i nie przeoczyć żadnej z tych rzeczy. Weźmie pani Annę ze sobą do domu i ją przenocuje. Szofer już czeka na panią. Niech pani wytłumaczy swemu pracodawcy, że przyjechała do pani w odwiedziny kuzynka. Niech pani zresztą powie, co chce, ale proszę mieć oko na pannę Fiore. Pod żadnym pozorem nie wolno jej wychodzić z domu. Panno Fiore, czy słyszy pani, co mówię?

- Zrobię to, co powie pan Archie.

- Wspaniale. Archie, pojedziesz z nimi i wytłumaczysz co i jak. Nie powinno ci to zająć dłużej niż dobę.

Poszedłem na górę zdjąć koszulę i schować ją do szafy na kolejny rok.

Rozdział 17

Kiedy odstawiłem panie do apartamentu na Park Avenue, gdzie Maria pracowała jako gospodyni, i wróciłem do domu, w biurze było już ciemno. Czekała na mnie kartka o treści:

Archie, zwróć się do panny Barstow o usprawiedliwienie w sprawie dewastacji amerykańskiej gotówki.

Spodziewałem się czegoś w tym stylu. Poszedłem uderzyć w kimono, ale z szacunku dla Manuela Kimballa zatrzymałem się jeszcze na chwilę pod drzwiami Wolfe'a. Spod drzwi nie dobywało się światło.

- Zmieścił się pan do łóżka?

- Niech to szlag! Daj mi spokój.

- Wykonano, sir. Czy alarm jest włączony?

- Tak.

Poszedłem do swego pokoju i rzuciłem się na posłanie. Nastał już odpowiedni czas - było po drugiej w nocy.

Rano padało, ale nawet tego nie zauważyłem. Zjadłem pośpiesznie śniadanie oraz poleciłem Fritzowi, by zamknął drzwi na zasuwę i nie otwierał nikomu aż do mojego powrotu. Ubrałem lekki przeciwdeszczowy trencz oraz gumowy kapelusz i pogwizdując cicho, odbyłem spacer do garażu. Jedną z rzeczy, która wprawiła mnie w dobry nastrój, był artykuł w porannej gazecie. Pisano, iż policja White Plains doszła do niemal pewnego wniosku, że śmierć Petera Olivera Barstowa nastąpiła na skutek ugryzienia węża, zaś inne okoliczności okazały się przypadkowe i niemające wiele wspólnego ze sprawą. Byłoby zabawnie zadzwonić do Harry'ego Fostera z „Gazette" i powiedzieć mu, jak łatwo można w tej chwili przyszpilić Andersona, ale wolałem nie ryzykować, nie znając póki co planów Wolfe'a. Innym powodem do radości była zawartość pakunku, który jak się okazało, Anna Fiore nosiła przy sobie przez cały czas, przypięty gdzieś pod ubraniem. Kiedy zdałem sobie sprawę, że musiał tam być już tego dnia, gdy dzwoniłem z Marią Maffei na Sullivan Street, a mnie nawet nie przeszło to przez głowę, poczułem się jak głupek. Ale może i dobrze, że stało się tak, a nie inaczej. Gdyby koperta dostała się do rąk Marii Maffei, kto wie, co mogło się wydarzyć.

Zatelefonowałem do posiadłości Barstowów i gdy zjawiłem się tam o wpół do dziesiątej, Sara już na mnie czekała. Od tamtego czasu przed czterema dniami, gdy widziałem ją ostatni raz, zmieniło się wiele w jej wyglądzie - policzki nabrały zdrowych kolorów, a plecy wyprostowały się. Wstałem z fotela w słonecznym (dokładnie rzecz biorąc - aktualnie deszczowym) pokoju, gdzie na

nią czekałem. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Powiedziała, że jej matka czuje się lepiej, a doktor Bradford twierdzi, że to poprawa na dobre. Potem spytała, czy mam ochotę na szklankę mleka!

Uśmiechnąłem się.

- Raczej nie, dziękuję. Jak uprzedziłem przez telefon, dzisiaj przyjeżdżam w interesach. Moja ostatnia wizyta była towarzyska - co także zapowiedziałem, pamięta pani? Dzisiaj to tylko czysty biznes. Wyjąłem z kieszeni dziesięć dolarów i wręczyłem jej.

- Nero Wolfe ujął rzecz w ten sposób: „Co pani ma na swoje usprawiedliwienie w sprawie dewastacji amerykańskiej gotówki"?

Spojrzała zaskoczona. Potem na moment jej twarz rozjaśnił uśmiech, by po chwili ustąpić miejsca cieniowi, który wystąpił na wspomnienie zmarłego ojca.

- Skąd pan... Gdzie pan je znalazł?

- Dostałem od pewnego kolekcjonera, który chomikował je na gorsze czasy. Ale tu jest pani nazwisko. Czy to pani podpis?

- Tak. To nasze podpisy. Chyba wspomniałam panu o tym, że zeszłego lata Larry rozgrywał mecz tenisa z Manuelem Kimballem, a ja z ojcem bawiliśmy się w sędziów. Zrobili zakład i Larry musiał zapłacić panu Kimballowi dziesięć dolarów, a ten poprosił, byśmy złożyli mu na pamiątkę swoje podpisy. Siedzieliśmy... na bocznym tarasie...

- Manuel Kimball wziął banknot?

- Oczywiście. Zasłużył na niego. Wygrał.

- I to jest właśnie te dziesięć dolarów?

- Naturalnie. Są na nim nasze podpisy. Panie Goodwin, proszę wybaczyć mi prostacką zapewne ciekawość - ale skąd pan je ma?

Wziąłem banknot i włożyłem go do koperty - nie tej samej, która należała onegdaj do Carla Maffei, lecz specjalnie zabezpieczonej, by podpisy się nie ścierały, po czym schowałem kopertę do kieszeni.

- Przykro mi, panno Barstow, ale skoro to jedynie zwykła ciekawość, może poczekać. Już niedługo, mam nadzieję. I proszę wybaczyć moją śmiałość, ale muszę powiedzieć, że wygląda pani wspaniale. Gdy pani weszła, pomyślałem, że mam ochotę uszczypnąć panią w policzek.

- Co? - Wybałuszyła na mnie wzrok, ale za chwilę roześmiała się. - To mi dopiero komplement!

- Ależ oczywiście, że komplement. Gdyby pani wiedziała, ile policzków jest na świecie, których za żadne skarby bym nie uszczypnął... Do zobaczenia, panno Barstow.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, podczas gdy ona nie przestawała się śmiać.

Jadąc w deszczu, znów w kierunku południowym, pomyślałem, że cały ten banknot gmatwa nieco sprawę. O ile pozostałe rzeczy w kopercie stanowiły niezbity dowód w sprawie, o tyle ów

pieniądz powinien mieć Manuel Kimball, tymczasem wpadł jakoś w ręce Carla Maffei. Jak do tego doszło - zastanawiałem się. No dobrze - banknot spoczywał w portfelu Kimballa. Zapłata za wykonanie kija, nieważne - jednorazowa czy w ratach - zapewne nie odbywała się w rzęsiście oświetlonym publicznym miejscu, lecz w jakimś zaułku, ciemnym na tyle, by uniknąć ewentualnych gapiów. W ciemności Kimball mógł się pomylić i włożył pamiątkowy banknot do pozostałych. Później pewnie zauważył swoją pomyłkę i zażądał zwrotu dziesięciodolarówki, a Maffei utrzymywał, że zdążył ją już niechcący wydać. To mogło wzmóc podejrzenia Manuela - i oczywiście dopomogło odkryciu Carla, skoro na banknocie figurowało nazwisko i obydwa imiona Petera Olivera Barstowa.

Tak, z pewnością do końca życia Manuel Kimball będzie żałował, że wygrał wtedy ten tenisowy mecz.

Dotarłszy do White Plains, w ostatnim momencie zmieniłem plany i zjechałem z Parkway. Wyglądało na to, że jest po sprawie i jedyną rzeczą, jaka pozostała do zrobienia, jest telefon do biura prokuratora okręgowego i wyjaśnienie mu, na czym świat stoi. Nie było w związku z tym sensu jechać w ten deszcz na Trzydziestą Piątą, a później z powrotem przez pół kraju. Znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do Wolfe'a, by zdać mu relację z tego, czego dowiedziałem się od Sary Barstow, i spytać o dalszy rozkład zajęć. Kazał mi wracać do domu. Nadmieniłem, że jestem właśnie w White Plains, gotów do załatwienia wszelkich sprawunków, jakie mu tylko przyjdą do głowy, ale uciął krótko:

- Wracaj. Czeka tu na ciebie mnóstwo sprawunków.

Wróciłem więc na Parkway.

Dotarłem na miejsce nieco po jedenastej. Nie dało się zaparkować przed domem, gdyż stał tam już inny samochód - duża, czarna limuzyna. Zgasiwszy silnik, zatrzymałem się na chwilę, by rzucić okiem na gablotę, a szczególnie na rządowy emblemat na tablicy rejestracyjnej. Pozwoliłem sobie na szeroki uśmiech i wysiadłszy, ot tak, dla zabawy, podszedłem do samochodu i spytałem kierowcę od niechcenia:

- Pan Anderson tutaj?

Zajęło mu chwilę zebranie myśli, ale w końcu pokiwał głową. Odwróciłem się i wbiegłem radośnie po schodach.

Anderson siedział z Wolfe'em w biurze. Udałem, że go nie widzę. Podszedłem do Wolfe'a i wyjąwszy z kieszeni kopertę, wręczyłem mu ją, mówiąc:

- Wszystko gra. Wpisałem datę meczu na kopercie.

Skinął głową i kazał schować mi kopertę do sejfu. Otworzyłem ciężkie drzwi i zamarudziłem dłuższą chwilę, szukając skwapliwie szuflady, w której znajdowały się pozostałe przejęte od Anny rzeczy. W końcu odwróciłem się i spojrzałem z wielkim zdziwieniem na gościa.

- O! - zawołałem - to pan! Dzień dobry, panie Anderson.

Zamruczał pod nosem w odpowiedzi.

- Archie, jeżeli mógłbyś wyjąć swój notes, poszlibyśmy nieco do przodu - powiedział Wolfe, cedząc głoski, co oznaczało, że pewnego prawnika czekają wkrótce niezbyt przyjemne chwile. - Nie, nie przy tamtym biurku, usiądź tu, z nami. Dobrze. Właśnie tłumaczyłem panu Andersonowi, że genialna teoria na temat śmierci Barstowa, którą raczył przyjąć, znieważa oblicze prawdy i zadaje gwałt sprawiedliwości, a że hołduję pierwszej, a i z drugą jestem raczej za pan brat, poczułem się w obowiązku, by uświadomić mu jej nieadekwatność. Będę wdzięczny za twoje wsparcie. Pan Anderson jest nieco skołowany tempem rozwoju spraw i moim ponagleniem, ale próbowałem go przekonać, jakim dobrodziejstwem jest wynalazek telefonu, dzięki któremu mogliśmy w tak krótkim czasie zwołać tę naszą małą, nieformalną konferencję. Jestem pewien, panie Anderson, że po krótkim zastanowieniu przyzna mi pan rację.

Żyły na szyi Andersona nabrzmiały. Nigdy nie był z niego przyjemniaczek, ale teraz, wiedząc, że nie ma innego wyjścia, starał się ukryć swą podłość, która aż go dławiła, starając się znaleźć gdzieś ujście. Twarz nabiegła mu krwią, a szyja pulsowała.

- Powiedz swojemu przydupasowi, żeby schował kajet - powiedział. - Jesteś większym palantem, niż myślałem, skoro chcesz wyskoczyć z czymś takim.

- Zanotuj to, Archie - Wolfe cedził słowa jeszcze dobitniej. - Nie ma co prawda związku ze sprawą, gdyż to tylko opinia, nic więcej, ale zanotuj. Panie Anderson, widzę, że nie bardzo orientuje się pan w sytuacji. Nie sądziłem, że jest pan tak niebywale głupi. Dzwoniąc do pana, dałem panu dwie możliwości odnośnie do miejsca naszego spotkania, a pan sam raczył wybrać to właśnie. Skoro więc jest pan tu, w moim domu, będzie pan łaskaw, że to ja będę decydował w kwestii przydziału obowiązków jego mieszkańcom. Jeżeli się panu nie podoba, może pan opuścić to miejsce w każdej chwili bez zbędnych ceregieli. Nikt pana nie może zatrzymać. Jeżeli pan to uczyni, naszym następnym krokiem będzie, co następuje: W ciągu dwudziestu czterech godzin pan Archie przyjedzie moim samochodem do pańskiego biura w White Plains w eskorcie dziennikarzy. U jego boku będzie siedział morderca Petera Olivera Barstowa i Carla Maffei, zaś w jego kieszeni spoczywać będzie niezbity dowód winy. Poza tym...

- Carlo Maffei? Kim, do diabła, jest Carlo Maffei? - wtrącił Anderson.

- Był, panie Anderson, nie jest. Carlo Maffei był włoskim rzemieślnikiem, którego zamordowano na pańskim terenie w poniedziałek wieczór, piątego czerwca bieżącego roku, przez zasztyletowanie. Oczywiście wydarzenie to figuruje w pańskich aktach.

- Nawet jeśli tak, to co z tego? Jaki związek ma to ze sprawą Barstowa?

- Owszem, ma. Zamordował ich obu ten sam człowiek.

Anderson wytrzeszczył oczy.

- Boże, Wolfe, jesteś szurnięty.

- Obawiam się, że nie - westchnął Wolfe. - Zdarzały się, owszem, sytuacje, kiedy spotykałem się z taką opinią w przypadkach próby ucieczki przed trudem życiowych obowiązków - co może potwierdzić pan Goodwin. Ale argumenty przeciw przeważają. Wróćmy jednak do interesów. Ma pan przy sobie książeczkę czekową?

Anderson wykrzywił usta.

- A co, jeśli tak?

- Będzie dobrze, kiedy wystawi pan czek na moje nazwisko na dziesięć tysięcy dolarów.

Anderson nie odpowiedział. Popatrzył ostro na Wolfe'a, a on wytrzymał to spojrzenie i westchnął. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu Anderson powiedział spokojnym głosem:

- Może i dobrze, ale niezbyt rozsądnie. Nie jest pan chyba terrorystą, prawda?

- Ależ skąd. - Wolfe wydął policzki. - Mam co prawda romantyczne usposobienie, ale fizyczne względy nieco mnie w tej kwestii ograniczają. Dalej pan nie rozumie? Pozwolę sobie wyjaśnić. W pewnym sensie dotyczy to sytuacji sprzed czterech lat - a dokładnie zaniku pamięci, którego doznał pan w sprawie niejakiego Goldsmitha. Ubolewałem nad tym wtedy i postanowiłem sobie, że przypomnę panu w odpowiednim momencie. Dwa tygodnie temu wszedłem w posiadanie informacji, dzięki której mogłem oddać panu sporą przysługę. Chciałem to uczynić. Jednak mając w pamięci sprawę Goldsmitha i w związku z tym pewne wątpliwości, które jak mniemam, dręczyły również i pana, uznałem, że przyzwoitość nie pozwoli przystać panu na moją bezinteresowną pomoc. A zatem zaproponowałem panu sprzedaż tej informacji za odpowiednią sumę - oczywiście w ramach uczciwego zakładu. Pan jednak w odpowiedzi przedstawił panu Goodwinowi tak żałosną kontrofertę, że szkoda wspominać.

- Zaproponowałem godziwą zapłatę - zaoponował Anderson.

- Panie Anderson! Proszę, nie doprowadzajmy sprawy do absurdu - Wolfe oparł się swobodnie w fotelu i zaplótł palce na brzuchu. Wraz z panem Goodwinem odnaleźliśmy mordercę i zdobyliśmy dowód jego winy. Nie jakiś tam domniemany dowód, ale dowód sądowy. Morderca naturalnie nie jest moją własnością - należy do władz Stanu Nowy Jork. Nawet informacje, które posiadam, nie należą do mnie - jeżeli zataję je przed władzą, zgodnie z prawem będę podlegał karze. Ale mogę podzielić się nimi z władzą w dwojaki sposób. Pierwszy - wypisze pan dzisiaj czek na dziesięć tysięcy dolarów. Pan Goodwin uda się z nim po południu do banku i dopełni formalności. Jutro rano pan Goodwin dowiezie pana do miejsca pobytu mordercy, wskaże go panu i przedstawi niezbity dowód jego winy. Uczyni to wszystko w sposób dyskretny i pozbawiony rozgłosu. Drugi - tak jak panu wcześniej zdążyłem opisać - zorganizujemy paradę do pańskiego biura z udziałem sprawcy i dowodu w sprawie, ale z całą pewnością nie dyskrecji. Proszę wybierać, sir. Może pan w to nie wierzyć, ale pański wybór jest mi kompletnie obojętny - oczywiście z

przyjemnością przyjmę pański czek, ale mam również ogromną słabość do ostentacji.

Wolfe skończył swą tyradę. Anderson siedział w milczeniu, rozważając wszystkie za i przeciw. Wolfe wcisnął guzik na biurku i gdy pojawił się Fritz, nakazał mu przynieść dla siebie piwo. Za każdym razem, gdy mogłem pozwolić sobie na oderwanie się od notatek, podnosiłem głowę i wlepiałem wzrok w Andersona. Widziałem, jak go to denerwuje i tym większą miałem frajdę.

- Skąd mam wiedzieć, że pański dowód jest cokolwiek wart? - spytał Anderson.

- Ma pan moje słowo, sir. Jest równie dobre jak moje przewidywania. Daję głowę za jedno i drugie.

- Czy nie ma żadnych wątpliwości?

- Przed obliczem prawa nie ma miejsca na wątpliwości.

Anderson wykrzywił usta. Fritz wniósł piwo, a Wolfe napełnił szklankę.

Anderson powiedział:

- Dziesięć tysięcy nie wchodzi w grę. Pięć tysięcy.

- Phi! Jeszcze pan się targuje? Żałosne. Dobrze, urządzimy paradę. - Wolfe podniósł szklankę i łyknął piwa.

- Proszę okazać mi dowód i wskazać mordercę - a dostanie pan czek.

Wolfe wytarł usta i westchnął.

- Panie Anderson, któryś z nas musi zaufać drugiemu. Proszę z łaski swojej nie zmuszać mnie do tego, bym wyjaśnił, dlaczego uważam, że kierunek wskazany przeze mnie jest stosowniejszy.

Anderson nie dawał za wygraną. Nie da się ukryć, że nie poszło z nim tak znowu gładko. Oczywiście nie miał żadnych realnych argumentów, ale znał wiele okrągłych słów. Gdy skończył, Wolfe tylko pokręcił głową. Anderson kontynuował natarcie, ale spotykał się za każdym razem z jedną i tą samą odpowiedzią. Notowałem każde słowo i muszę przyznać, że w tonie Andersona nie było płaczliwości. Nie miał nic na swoją obronę i strzelał cholernymi ślepakami, ale nie jęczał.

W końcu wyjął z kieszeni czek i wypisał go na kolanie wiecznym piórem. Uczynił to precyzyjnie, pieczołowicie i bez pośpiechu, jak dobry księgowy, po czym wydarł czek i położył przed Wolfe'em. Wolfe skinął w moim kierunku - sięgnąłem po czek i sprawdziłem. Odetchnąłem z ulgą, zobaczywszy, że jest wystawiony na nowojorski bank, co miało zaoszczędzić mi wyprawy do White Plains przed trzecią popołudniu.

Anderson wstał.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan tego żałował, Wolfe. A teraz gdzie i kiedy?

- Zadzwonię do pana - odpowiedział Wolfe.

- Kiedy?

- W ciągu dwudziestu czterech godzin. Raczej, jak sądzę, dwunastu. Będzie pan osiągalny przez cały ten czas w biurze lub w domu?

- Tak - rzucił Anderson, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Podążyłem za nim na korytarz i poczekałem, aż zniknie za drzwiami, po czym wróciłem do biura, wziąłem do ręki czek, oparłem go o przycisk do papieru i posiałem w jego stronę całusa.

Wolfe pogwizdywał. To znaczy jego usta zwinęły się w odpowiednią ku temu pozycję, a powietrze wchodziło przez nie i wychodziło, nie wydając najmniejszego dźwięku. Uwielbiałem to. Nie robił tego w niczyjej obecności, nawet Fritza, jedynie przy mnie. Przyznał mi się kiedyś, że to oznacza, iż daje się ponieść emocjom.

Odłożyłem notes, włożyłem do kieszeni czek i odstawiłem krzesła na swoje miejsce. Po chwili Wolfe odezwał się:

- Archie, cztery lata to mnóstwo czasu.

- Zgadza się, sir. A dziesięć patyków to mnóstwo forsy. Do lanczu została godzina. Polecę w te pędy do banku, niech od razu nagryzmolą te swoje podpisy.

- Pada. Było mi cię szkoda rano, gdy szwendałeś się gdzieś z dala od cywilizacji. Zadzwoń po posłańca.

- O nie! Nic z tych rzeczy, sir. Nie oddałbym tej przyjemności nawet za galon mleka.

- Bohater! - mruknął Wolfe, moszcząc się w fotelu i przymykając oczy.

Wróciłem punktualnie, by zdążyć na lancz.

Myślałem, oczywiście, że pośpiech jest konieczny. Tymczasem ku mojemu zdziwieniu Wolfe w ogóle się nie śpieszył. Zjadł spokojnie, wypił dwie duże filiżanki kawy, a wróciwszy do biura, rozparł się wygodnie w fotelu, sprawiając wrażenie, jakby nie miał zupełnie żadnych spraw na głowie. Zacząłem się wiercić. W końcu Wolfe ocknął się na tyle, by zlecić mi kilka zadań. Po pierwsze - miałem spisać zeznania Anny Fiore - szczegółowo i zgodnie z chronologią. Po drugie - wykonać fotokopię zawartości koperty Carla Maffei - nie ociągając się. Po trzecie - pojechać na Park Avenue i zwrócić portfel Marii Maffei, a także wziąć od Anny Fiore podpis pod zeznaniem. Po czwarte - obejrzeć wraz z Horstmannem nowy gatunek cebulek, które przypłynęły poprzedniego dnia na pokładzie „Corteza".

- Nie zapomniał pan o czymś? - spytałem.

Pokręcił głową, wkładając w tę czynność jak najmniej wysiłku, żeby się nie przemęczyć. Dałem sobie spokój. Byłem ciekaw, o co w tym wszystkim chodzi, nie zamartwiałem się tym jednak przesadnie, gdyż z wyrazu twarzy Wolfe'a można było wyczytać, że trzyma coś jeszcze w zanadrzu.

Przez resztę popołudnia biegałem jak szalony. W pierwszej kolejności udałem się na Sixth Avenue do studia fotokopii i upewniłem się, że zrozumieli, co mówię, kiedy oświadczyłem, że

gdyby coś stało się z oryginałami, lepiej niech użyją wyjścia ewakuacyjnego, gdy usłyszą, jak wracam. Potem wróciłem do biura i spisałem zeznania Anny. Nadałem im rozbudowaną formę, co zajęło chwilę. Gdy zasiadłem za kółkiem roadstera, deszcz ustał i zaczęło przebijać się słońce, ale ulice był wciąż mokre. Zadzwoniłem wcześniej do apartamentu, gdzie pracowała Maria Maffei, i kiedy dotarłem na miejsce, czekała na mnie zwarta i gotowa. Z trudem ją poznałem. W schludnym stroju pokojówki i w czymś małym, czarnym udrapowanym na czubku głowy wyglądała elegancko, a jej maniery były takie jak portiera w hotelu Pierre. Cóż, pomyślałem, one zawsze wyglądają inaczej w wannie niż w knajpie u Shraffta. Niemal krępowałem się oddać jej portfel, to było tak banalne. Ale wzięła go ode mnie i zaprowadziła do pokoju, w którym siedziała Anna Fiore, wyglądając przez okno. Przeczytałem jej zeznania, a ona je podpisała. Potem złożyliśmy swoje podpisy Maria Maffei i ja - w charakterze świadków.

Anna nie odezwała się słowem, ale od momentu, gdy wszedłem do pokoju, przewiercała mnie wzrokiem na wylot. Wstając do wyjścia, poklepałem ją po ramieniu i powiedziałem:

- Już wkrótce, Anno. Odzyskam twe pieniądze. Nie martw się, dostaniesz je z powrotem.

Dygnęła i powiedziała tylko:

- Panie Archie.

Odebrawszy ze studia fotokopie, stwierdziłem, że nie ma sensu zostawiać roadstera przed domem, skoro nie trzeba będzie już nigdzie jeździć, i odstawiłem go do garażu. Aż do kolacji sprawdzałem z Horstmannem zawartość przesyłki z „Corteza" i pisałem reklamacje do eksporterów towaru, wyrzucając im niechlujstwo. Wolfe kręcił się przy nas przez cały ten czas, ale o szóstej zszedł na dół.

Gdy zjedliśmy kolację, była ósma. Zaczęły ponosić mnie nerwy. Przez siedem lat spędzonych z Wolfe'em nauczyłem się nie obgryzać paznokci do łokci w oczekiwaniu na przyjście końca świata, ale kilka razy zdarzyło mi się już dojść do wniosku, że ekscentryk to taki gość, któremu należało się czasem dać w mordę. Tego wieczoru słuchał radia przez całą kolację. Kiedy nakazał Fritzowi gestem, by odsunął jego krzesło, wstałem i powiedziałem:

- Chyba nie będę siedział w biurze i patrzył, jak pan ziewa. Idę do kina.

- Dobrze - powiedział Wolfe. - Nie powinno zaniedbywać się dbałości o rozwój duchowy.

- Co? - wybuchnąłem. - Zgadza się pan beztrosko, bym wybrał się do kina, podczas gdy Manuel Kimball jest być może w trakcie pakowania ostatnich manatków na podróż do rodzinnego kraju? Co pan zrobi potem? Wyśle mnie do Argentyny, gdzie kupię konia i przemierzę cały step, czy cokolwiek by to było, w jego poszukiwaniu? Czy naprawdę myśli pan, że wszystkim, czego potrzeba do schwytania mordercy, jest siedzenie w cholernym biurze i wykonywanie pańskiej genialnej roboty? Być może jest to lwia część całości, ale od czasu do czasu potrzeba także pary oczu i pary nóg, a nieraz nawet przydaje się i pistolet. Tymczasem najlepszą rzeczą, jaką zdołał pan

wymyślić, jest wysyłanie mnie do kina, podczas gdy sam...

Wolfe podniósł w górę dłoń na znak, bym przerwał. Fritz odsunął jego krzesło. Wolfe uniósł się na wzór wypiętrzającej się góry.

- Archie, oszczędź sobie. Typowy agresor. Niecierpliwy jak koliber. To nie ja zaproponowałem spacer do kina, sam to zrobiłeś. Poza tym - nawet gdyby Manuel Kimball był typem człowieka, który boi się swego cienia, my nie mamy powodu do obaw. Żaden cień nie będzie go prześladował. Dlaczego niby miałby wybierać się w podróż w rodzinne strony czy gdziekolwiek indziej? Niczego takiego nie planuje, jestem pewien. Jeżeli to cię uspokoi, powiem, że siedzi teraz w swoim domu, ale z pewnością nie na walizkach. Rozmawiałem z nim przez telefon zaledwie dwie godziny temu. Fritz, dzwonek, idź otwórz. Jutro rano o ósmej zadzwonię do niego znowu i możesz być pewien, że odbierze.

- Mam nadzieję - nie byłem przekonany. - Mówię panu, że szwendanie się po domu w takiej sytuacji to nie najlepszy pomysł. Wykonał pan swoją robotę lepiej, niż byłby w stanie zrobić to ktokolwiek inny. Zostało już niewiele, ale to cholernie ważne. Pojadę tam i zakręcę się koło niego. Przypilnuję go i poczekam na przybycie Andersona. Dlaczego nie?

Wolfe pokiwał głową.

- Nie, Archie. Rozumiem twoje stanowisko - przychodzi taki moment, że trzeba pożegnać sentymenty i oddać naturze, co jej należne, dobijając rannego. Rozumiem to doskonale i nie zgadzam się z tym w żadnym calu. Ale chodź, mamy gości. Czy mógłbyś wstąpić na chwilę do biura, zanim oddasz się swoim rozrywkom?

Odwrócił się i powędrował do biura. Poszedłem za nim, zastanawiając się, co, u diabła, tym razem wykombinował. Cokolwiek by to było, nie podobało mi się.

Fritz stanął w drzwiach biura, prowadząc za sobą gości. Nie miałem sprecyzowanego pomysłu, kogo oczekiwać, ale tej wesołej paczki z całą pewnością się nie spodziewałem. Moim oczom ukazali się: Fred Durkin, Bill Gore i Orrie Cather. Przyszło mi na myśl w pierwszej chwili, że Wolfe wpadł na zabawny pomysł, iż potrzebuję do pomocy całą armię, by ujarzmić bestię o nazwie fer-de-lance, skoro zdecydowałem się pojechać do Kimballa, zamiast spędzić wieczór na oglądaniu filmów. Ale Wolfe oczywiście znał mnie za dobrze, by wpaść na coś takiego. Kiwnąłem głową na przywitanie każdemu z nich z osobna i uśmiechnąłem się na widok bandaża na nadgarstku Orriego - Anna Fiore najwyraźniej zalazła mu za skórę.

Wolfe zajął miejsce i polecił mi wyjąć ołówek oraz dużą kartkę papieru i naszkicować nań plan posiadłości Kimballów. Postanowiłem nie zadawać żadnych pytań przy gościach. Zrobiłem, co kazał, z zastrzeżeniem, że zdążyłem zapoznać się jedynie pobieżnie z terenem wokół domu i polem startowym, ale on uznał, że to wystarczy w zupełności. Gdy sporządzałem plan przy swoim biurku, Wolfe objaśniał Orriemu, jak dostać się do garażu, w którym parkował sedan, o szóstej trzydzieści

rano, i poinstruował pozostałych, by stawili się w owym miejscu o powyższej porze.

Przedstawiłem Wolfe'owi plan. Studiował go ponad minutę, po czym rzekł:

- Dobrze. A teraz powiedz mi - gdybyś miał wysłać w to miejsce trzech ludzi, by przypilnowali Manuela Kimballa i nie zostali zdemaskowani, jak byś ich porozstawiał?

- W ukryciu?

- Nie. Raczej na widoku.

- Na jak długo?

- Trzy godziny.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Bułka z masłem. Durkin przy autostradzie, naprzeciw wylotu na prywatną drogę, z sedanem zaparkowanym tyłem do niej, na wypadek gdyby trzeba było szybko się zwijać. Bill Gore w krzakach, niedaleko, tak aby mógł mieć na oku cały dom, nie licząc tylnej części. Orrie z tyłu na wzgórzu, jakąś jedną trzecią mili stamtąd, z motocyklem zostawionym w dole przy drodze. Ale biorąc pod uwagę, że nie potrafią latać, mogą równie dobrze zostać w domu i zagrać w bezika.

Wolfe wciągnął policzki.

- Saul Panzer potrafi. Chmury też będą miały oczy. Dziękuję, Archie, to wszystko. Nie będziemy dłużej odciągać cię od twoich zajęć.

Jego ton wskazywał, że mam sobie pójść, ale nie miałem ochoty. Jeżeli była jeszcze jakaś zagadka do rozwiązania, chciałem w tym uczestniczyć.

- Wszystkie kina zostały zamknięte. Z inicjatywy Towarzystwa Likwidacji Niemoralności.

- Wobec tego skocz do burdelu. Szukając jaj, trzeba sprawdzić każde gniazdo.

Bill Gore zarżał. Posłałem Wolfe'owi tak ponure spojrzenie, na jakie tylko było mnie stać, i poszedłem po kapelusz.

Rozdział 18

Obudziłem się w środę o siódmej, ale nie ruszyłem się z łóżka. Patrzyłem na słońce wpadające skosem przez okna i nasłuchiwałem odgłosów ulicy oraz wycia promów i lodzi na rzece. Myślałem o tym, że skoro Bill, Fred i Orrie mieli się spotkać w garażu o wpół do szóstej, pewnie są już gdzieś w okolicy Grand Concourse. Mnie nie przydzielono nic do roboty. Gdy wróciłem do domu poprzedniego wieczoru, Wolfe już spał, nie zostawiwszy dla mnie żadnej instrukcji.

W końcu zwlokłem się, ogoliłem i ubrałem nieśpiesznie, po czym zszedłem na dół. Fritz kręcił się po kuchni, paplając radośnie. Rzuciłem kilka kąśliwych uwag pod jego adresem, ale zdając sobie po chwili sprawę, że to nie w porządku wyżywać się na nim, zrehabilitowałem się, zjadając dodatkowe jajko i czytając mu na głos artykuł z porannej gazety o nietoperzu wampirze w zoo, któremu urodziło się młode. Fritz pochodził z francuskojęzycznej części Szwajcarii. Kupował sobie co rano własną gazetę w języku francuskim, ale nie wydawało mi się, by można było znaleźć w niej coś ciekawego. Za każdym razem ogarniało mnie zdziwienie, gdy natykałem się tam na jakiekolwiek słowo oznaczające aktualną informację - na przykład na słowo Barstow, które dominowało w niej przez cały tydzień.

Zaczynałem pić drugą kawę, gdy zadzwonił telefon. Poszedłem do biura i podniosłem słuchawkę, ale Wolfe już rozmawiał ze swojego pokoju. To był Orrie Cather zdający raport, że są już na miejscu i wszystko zostało rozplanowane, jak się patrzy. To by było na tyle. Wróciłem do kuchni dopić kawę.

Po trzeciej kawie i papierosie postanowiłem poszwendać się po biurze. Wcześniej czy później geniusz puści parę z gęby, uspokój się. Uporządkuj rzeczy na biurku, pościeraj kurze, napełnij pióro atramentem i postaraj się być miły dla pana nauczyciela. Wcześniej czy później, kochaniutki - ty cholerny głupcze. Miałem już tego powyżej uszu. Co rusz zdejmowałem słuchawkę z widełek i przykładałem do ucha, ale nie złapałem Wolfe'a ani razu. Odebrałem pocztę i ułożyłem na jego biurku, po czym otworzyłem sejf. Wysunąłem szufladę, w której znajdowały się rzeczy Maffei - po to tylko, by sprawdzić, czy są na miejscu. Koperta wydawała się cieńsza. Wyjąłem jej zawartość - jedna seria kopii zniknęła. Zacząłem się domyślać, o co chodzi w szaradzie Wolfe'a, ale ledwo co owa myśl zaświtała mi w głowie, a już w drzwiach biura ukazał się Fritz i oznajmił, że Wolfe oczekuje na mnie w swoim pokoju. Włożyłem kopertę na miejsce i poszedłem na górę.

Drzwi pokoju Wolfe'a były otwarte. Wstał już z łóżka i miał na sobie kompletny strój - brakowało jedynie płaszcza. Rękawy jego żółtej koszuli - codziennie zużywał dwie świeże koszule, zawsze w kolorze kanarkowożółtym - powiewały jak żagle statku olbrzymów, gdy stał przed lustrem, układając fryzurę. Napotkałem jego wzrok w lustrze, a on puścił do mnie oko! Byłem tak zaskoczony, że musiałem chyba stać z otwartą gębą.

Odłożył szczotkę do włosów i obrócił się do mnie.

- Dzień dobry, Archie. Jadłeś śniadanie? To dobrze. Miło zobaczyć znów słońce po wczorajszej całodziennej słocie. Wyjmij z szuflady rzeczy Carla Maffei. Nie zapomnij zabrać ze sobą broni. Jedź do White Plains, do Andersona - będzie czekał na ciebie w swoim biurze. Zabierz go do posesji Kimballa. Wskaż go Andersonowi. Kiedy Manuel Kimball zostanie aresztowany, daj Andersonowi dokumenty. Wracaj szybko - a zobaczysz, że Fritz szykuje dziś na lancz jedno z twych ulubionych dań.

- Dobrze - powiedziałem. - Ale wobec tego po co te wszystkie tajemnice?

- Przyjdzie czas na komentarze, Archie. Zachowaj je na później. Muszę być na górze za dziesięć minut, a chciałbym jeszcze nacieszyć się czekoladą.

- Mam nadzieję, że stanie panu w gardle - powiedziałem, wychodząc.

Z rzeczami Carla Maffei pod pachą, zeznaniami Anny na piersi i trzydziestką ósemką przy boku ruszyłem w stronę garażu. Dzień był ciepły i słoneczny - dwudziesty pierwszy czerwca, dzień przesilenia letniego. Najdłuższy dzień w roku - w sam raz, by zamknąć raz na zawsze sprawę fer-de-lance'a, pomyślałem. Napełniłem bak benzyną, uzupełniłem olej i ruszyłem przez miasto w stronę Park Avenue, a później na północ. Mijając marmurowy gmach Manhattan Trust Company, zasalutowałem - to tu uwierzytelniłem czek Andersona. O tej godzinie na Parkway nie było ruchu, ale pilnowałem, by prędkościomierz nie przekroczył czterdziestki. Wolfe obiecał Andersonowi, że będzie dyskretnie, a poza tym nie miałem dziś nastroju na wymyślanie dowcipów dla gliniarzy na motorach. Byłem na skraju wyczerpania nerwowego. Zawsze tak było, gdy miałem ostatecznie ukręcić jakiejś sprawie łeb. Nie mogłem złapać tchu. Oddychałem głęboko, a wszystko, czego się tknąłem - kierownica chociażby - zdawało się pulsować podskórnym życiem. Nie przepadałem za tym uczuciem, ale nigdy nie umiałem go uniknąć.

Anderson już na mnie czekał. Dziewczyna przy biurku przywitała mnie skinieniem głowy i wróciła do przerwanej rozmowy telefonicznej. Po chwili Anderson pojawił się w drzwiach. Było z nim dwóch innych ludzi, w kapeluszach, o poważnym wyrazie twarzy. Jednym z nich był H. R. Corbett, drugiego nie znałem. Anderson powiedział coś do dziewczyny przy biurku, a potem skierował się do mnie:

- I jak? - spytał.

Wyszczerzyłem się.

- Ja jestem gotów do startu. A pan? Cześć, Corbett, jedziesz z nami?

- Biorę ze sobą dwóch ludzi. Ty wiesz, o co chodzi w tej grze. Czy to wystarczy?

- Być może się przydadzą. Żeby potrzymać mój kapelusz. Chodźmy.

Człowiek o poważnym wyrazie twarzy otworzył drzwi i wyszliśmy gęsiego.

Anderson wsiadł ze mną do roadstera, dwóch pozostałych jechało za nami zakrytym wozem,

zwróciłem jednak uwagę, że nie był to samochód należący do Andersona. Gdy przemierzaliśmy Main Street, każdy napotkany gliniarz salutował mojemu pasażerowi. Uśmiechnąłem się do siebie na myśl, jak bardzo byliby zdziwieni, odkrywając, ile forsy kosztowała pana prokuratora ta przejażdżka. Gdy wjechaliśmy na autostradę, rozwinąłem szybkość. Pokonywałem nierówny teren w górę i w dół w takim tempie, aż Anderson spojrzał na mnie z niepokojem. Nie wiedział o tym, ale pośpiech był wpisany w plan, toteż zwalniałem jedynie, biorąc zakręty i w momentach, gdy musiałem się upewnić, czy Corbett nas nie zgubił. Przejazd z siedziby sądu w White Plains do bramy wjazdowej na teren Kimballów zajął jedynie dwadzieścia pięć minut. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dziesiątą czterdzieści.

Durkin był na miejscu, w sedanie zaparkowanym według moich wskazówek. Pomachałem do niego, nie zatrzymując się.

- Człowiek Wolfe'a? - spytał Anderson.

Potwierdziłem ruchem głowy. Po przejechaniu jakichś stu stóp, Anderson nakazał:

- Zatrzymaj się!

Wcisnąłem pedał hamulca, zwolniłem i zaciągnąłem ręczny.

- To posesja Kimballa - powiedział. - Gdzie on jest?

- Jeszcze chwila. Zna pan Nero Wolfe'a - wszystko zostało zaplanowane, jak trzeba. Ja tylko wykonuję rozkazy. Mogę jechać dalej?

Samochód Corbetta zatrzymał się za nami. Anderson wykrzywił usta, nie będąc pewien, co zrobić. Wytężyłem słuch - nie by usłyszeć odpowiedź Andersona, ale ze względu na dobiegający z góry odgłos silnika samolotu. Nawet gdybym chciał wysiąść i rozejrzeć się, było to niemożliwe, gdyż drzewa ograniczały widoczność. Ale z pewnością był to samolot. Ruszyłem do przodu.

- Na Boga, Goodwin, mam nadzieję, że wiesz, czym ryzykujesz. Gdybym wiedział...

- Zamknij się! - przerwałem mu.

Zatrzymałem wóz przed domem, pobiegłem do drzwi i wcisnąłem dzwonek. Po chwili stanął w nich gruby lokaj.

- Chcę rozmawiać z panem Kimballem.

- Tak, sir. Pan Goodwin? Pan Kimball oczekuje pana. Prosił, by pojechał pan do hangaru i tam na niego poczekał.

- Nie ma go tu?

Lokaj zawahał się i spojrzał z nieukrywanym smutkiem.

- Z tego, co wiem, wybiera się na przejażdżkę samolotem.

Podziękowałem i wróciłem do roadstera. Corbett wysiadł ze swojego samochodu i stał przy naszym, rozmawiając z Andersonem. Gdy wsiadłem, Anderson odwrócił się do mnie i powiedział:

- Wiesz co, Goodwin...

- Nie słyszałeś, jak mówiłem, żebyś się przymknął? Jestem w tej chwili zajęty. Uważaj, Corbett.

Wystrzeliłem na boczną drogę i pognałem żwirowaną aleją prowadzącą do hangaru. W tym miejscu odgłos silnika samolotu stał się wyraźniejszy. Zahamowałem, wyrzucając w powietrze fontannę żwiru, i zaparkowałem na betonowej platformie na wprost hangaru. Skinner, mechanik, stał w otwartych drzwiach. Wyskoczyłem z wozu i rzuciłem się w jego kierunku.

- Pan Manuel Kimball?

Skinner wskazał w górę. To był samolot Kimballa - wysoko, ale nie na tyle, by nie dało się dojrzeć charakterystycznych niebiesko-czerwonych barw. Zdawał się robić dziwnie dużo hałasu. Po chwili zorientowałem się dlaczego. Z zachodniej strony nadlatywał, wykonując powietrzne akrobacje, inny samolot, większy niż pojazd Kimballa. Potrafił rozwinąć też większą prędkość. To stąd brało się tyle huku. Samoloty zataczały powietrzne kręgi i prezentowały się pięknie na bezchmurnym niebie.

Musiałem oderwać wzrok, bo zaczęło kręcić mnie w nosie.

- Ma dzisiaj towarzystwo - zauważył Skinner.

- Właśnie widzę. Kto to taki?

- Nie wiem. Zobaczyłem go dziś rano pierwszy raz w życiu - parę minut po ósmej. Od tej pory tak lata w kółko tam i z powrotem. Podwójny silnik Burtona, krótki czas lądowania.

Przypomniałem sobie, jak Wolfe mówił, że chmury będą miały oczy. Nie było chmur, ale oczy z pewnością tak.

- O której godzinie Kimball wyleciał?

- Po dziesiątej. Byli tu już o wpół, ale okazało się, że drugie siedzenie nie jest w pełni sprawne. Trzeba było naprawić pasy.

Wiedziałem, co oznaczały te słowa, ale na wszelki wypadek upewniłem się:

- Więc nie jest sam?

- Nie. Jest z nim ojciec, sir. Starszy pan na przejażdżce. To raptem jego trzeci raz. Omal nam nie zwiał, gdy okazało się, że siedzenie nie jest gotowe, ale w końcu wspólnymi siłami jakoś go przekonaliśmy.

Spojrzałem raz jeszcze w górę, na samolot. Manuel Kimball wraz z ojcem na podniebnej wycieczce, sam na sam ze słońcem, wiatrem i hukiem silnika. Prawdopodobnie nie odzywają się do siebie słowem, tylko poddają urokowi powietrznej przejażdżki.

Wróciłem do roadstera, by pogadać z Andersonem. Corbett wysiadł ze swego wozu i podszedł do mnie.

- No to jak? Przyjechaliśmy na twoją imprezę. Gdzie honorowy gość? - spytał.

Zlekceważyłem jego uwagę. Nie widząc powodu, by wtajemniczać Skinnera w nie jego

sprawy, zniżyłem głos i powiedziałem do Andersona:

- Musi pan uzbroić się w cierpliwość, panie Anderson. Morderca Barstowa udał się na przejażdżkę samolotem. Przykro mi, że nie schwyta go pan natychmiast, ale z pewnością będzie go pan miał.

- Wsiadaj - powiedział Anderson. - Mam dość tego przedstawienia.

Pokręciłem głową. Być może chodziło o czystą przekorę, ale miałem zamiar działać zgodnie z poleceniami Wolfe'a.

- Tego nie było w planie - oświadczyłem.

Corbett podszedł do roadstera od drugiej strony, wetknął głowę przez szybę i powiedział do Andersona:

- Jeżeli on ma coś, co cię interesuje, z przyjemnością to od niego przechwycę.

Właśnie otworzyłem usta, by oficjalnie go do tego zaprosić, gdy usłyszałem swoje nazwisko. Odwróciłem się. Skinner opuścił hangar i biegł w moją stronę. W jednej ręce trzymał kij do golfa, w drugiej kopertę. Wybałuszyłem oczy ze zdziwienia.

- Zapomniałbym. Czy to pan nazywa się Goodwin? - zapytał. - Kimball kazał to panu dać.

Podbiegłem do niego i odebrałem przesyłkę. Kij! Na pierwszy rzut oka był to zwykły kij do golfa, ale wiadomo było, że to ten kij. Ale numer! Wetknąłem go pod ramię i spojrzałem na kopertę. Zaadresowano ją na nazwisko Nero Wolfe'a. Nie była zapieczętowana. Zajrzałem do środka i wyjąłem zawartość - zestaw fotokopii, które wyparowały z sejfu. Były spięte razem wraz z kartką papieru, na której napisano:

Dziękuję, Panie Wolfe. Na znak wdzięczności za okazaną uprzejmość przekazuję drobny upominek. Manuel Kimball

Spojrzałem w niebo. Czerwono-niebieski samolot z głównym bohaterem zagadki Wolfe'a za sterem wyczyniał akrobacje. Był wyżej, niż myślałem. Drugi samolot wciąż mu towarzyszył. Włożyłem fotokopie z powrotem do koperty.

Corbett w te pędy znalazł się przy mnie.

- Daj, wezmę to od ciebie.

- Nie, dziękuję, dam sobie radę.

Skoczył jak kot - nie spodziewałem się czegoś takiego. W jednym momencie trzymał w jednej ręce kij, w drugiej kopertę. Rzucił się biegiem do roadstera. W dwóch susach byłem przy nim. Zatrzymał się. Nie marnowałem czasu.

- Uwaga, tutaj! - zawołałem i walnąłem go w szczękę, biorąc spory zamach.

Zachwiał się i upuścił zdobycz. Odczekałem, aż podniesie rękę, i wykonałem lewy

sierpowy. Tym razem go położyłem. Jego przyjaciel rzucił się na ratunek, z drugiej strony nadciągał Skinner. Odwróciłem się gotowy na spotkanie z przyjacielem Corbetta i wtedy dobiegł nas głos Andersona - silniejszy, niż można było się spodziewać.

- Curry! Dość! Koniec tego!

Curry zatrzymał się. Zrobiłem krok w tył. Corbett wstał, czerwony z wściekłości.

- Corbett, ty też. Koniec! - powtórzył Anderson.

- Na mnie proszę nie liczyć, panie Anderson. Jeżeli chcą się dalej bawić w policjantów i złodziei, proszę bardzo, wchodzę w to - nawet dwóch na jednego. Ale swoją drogą powinno się ich nauczyć większego szacunku dla cudzej własności.

Pochyliłem się, by podnieść z ziemi kij i kopertę. W tym momencie usłyszałem wrzask Skinnera.

- O mój Boże! Traci go!

Przez chwilę pomyślałem, że chodzi mu o to, iż tracę kij, i uznałem, że jest stuknięty. Po chwili, wyprostowawszy się, spojrzałem na niego i zrozumiałem, w czym rzecz. Zadarłem głowę. Chodziło o samolot Kimballa znajdujący się tysiąc stóp nad ziemią. Obracał się bezładnie wokół własnej osi i spadał w dół. Rzucało nim na wszystkie strony i zdawało się, że przez chwilę przestał spadać, ale wiedziałem, że to tylko wrażenie. Był wprost nad naszymi głowami I zwiększał prędkość. Patrzyłem z otwartymi ustami...

- Uwaga! - krzyczał Skinner. - Na Boga!

Rzuciliśmy się w stronę wejścia do hangaru. Anderson biegł z nami. Wskoczyliśmy do środka i odwróciliśmy się dokładnie w momencie uderzenia. Niebo rozcięła czarna błyskawica. Rozległ się potworny huk - niepodobny do wystrzału z karabinu, raczej nagły przewiercający uszy na wylot wybuch. Odłamki samolotu wystrzeliły w górę i posypały się u naszych stóp. Samolot spadł na betonową platformę, niecałe dziesięć jardów od samochodu Corbetta. Zerwaliśmy się biegiem w stronę wraku, słysząc, jak Skinner woła za nami:

- Uwaga na eksplozję!

To, co ujrzałem w pierwszym momencie, nie prezentowało się zbyt ciekawie. E. D. Kimballa poznałem jedynie po tym, iż był przypięty pasem do tylnego siedzenia, a Skinner wcześniej powiadomił mnie, że starszy pan wybrał się na wycieczkę. Najwidoczniej samolot uderzył o ziemię w taki sposób, że jego przód ucierpiał nieco mniej, w związku z czym Manuel Kimball był rozpoznawalny w stu procentach. Jego twarz pozostała nienaruszona, nawet nie straciła na urodzie. Oswobodziliśmy ze Skinnerem ciało Manuela, podczas gdy pozostali zajęli się starszym Kimballem. Zanieśliśmy ich do hangaru i ułożyliśmy na rozpostartym na podłodze brezencie.

- Lepiej usuńcie samochody - powiedział Skinner. - Wybuch może nastąpić lada moment.

- Usuwając swój samochód, sam też usunę się z drogi - oświadczyłem. - Najwyższy czas.

Panie Anderson, pamięta pan, że Nero Wolfe obiecał dyskrecję z mojej strony. Taki już jestem.

Wyjąłem z kieszeni dokumenty i wręczyłem mu.

- Oto pański dowód. A na podłodze leży pański człowiek, ten, który zachował twarz.

Podniosłem z ziemi kopertę i kij. Odpalenie roadstera zajęło mi nie więcej niż cztery sekundy. Ruszyłem przed siebie, wzniecając pył.

Przy bramie zwolniłem i skręcając na autostradę, zawołałem do Durkina:

- Zbieraj swoich kolesi. Jedziemy do domu. Przedstawienie skończone. Zajechałem do White Plains w ciągu dwudziestu dwóch minut. Roadster nigdy wcześniej nie spisał się tak dobrze. Zatelefonowałem do Wolfe'a z tego samego domu towarowego, co dwa tygodnie wcześniej, kiedy poinformowałem go, że Anderson wyjechał do Adirondacks i jedyną osobą, z którą mogę się założyć, jest Derwin. Zadał kilka prostych pytań, a ja zdałem mu relację - zwięźle, ale rzeczowo.

- Wspaniale - powiedział. - Mam nadzieję, że nie byłem zbyt niedelikatny, Archie. Myślę, że lepiej będzie, byś nie zaśmiecał sobie zbytnio umysłu szczegółami ostatnich wydarzeń. Fritz stara się właśnie, jak może, by sprostać twoim kulinarnym gustom. A tak przy okazji - gdzie właściwie znajduje się White Plains? Czy będzie ci bardzo nie po drodze zatrzymać się w Scarsdale? Gluekner dzwonił do mnie, że udało mu się skrzyżować *Dendrobium Melpomene* z *Findlayanum* i ma dla mnie nasionka.

Rozdział 19

Nie wyglądał szczególnie okazale. Byt bladoniebieski i tak niepozorny, że spokojnie, bez zginania, zmieściłby się do zwykłej koperty. Sprawiał wrażenie jeszcze mniejszego niż w rzeczywistości, gdyż pismo wypełniające puste miejsca na druczku byto obszerne i niedbałe, a jednak miało w sobie niepowtarzalny styl. Należało, jak sądzę, do Sary Barstow. Podpis Ellen Barstow był za to drobny i precyzyjny. Czek przyszedł w sobotę rano, z pierwszą pocztą. Posłałem za nim ostatnie tęskne spojrzenie, gdy podawałem go przez bankowe okienko. Zadzwoniłem wcześniej do Wolfe'a, oznajmiając, że nadeszła przesyłka od Barstowów, a on zlecił mi nie cackać się, tylko otworzyć kopertę i zdeponować czek.

O jedenastej Wolfe wkroczył do biura i zadzwonił po Fritza oraz piwo. Zdążyłem wcześniej spisać na maszynie listę wydatków związanych ze sprawą Barstowa i kiedy Wolfe skończył przeglądać skromną pocztę, wręczyłem mu ów cennik. Wziął do ręki ołówek i zaczął studiować powoli każdą pozycję. Czekałem. Gdy zatrzymał się przy trzecim punkcie od końca, przełknąłem z trudem ślinę.

Uniósł głowę.

- Archie, musimy sprawić sobie nową maszynę do pisania.

Odchrząknąłem niewyraźnie.

- Ta jest zbyt impulsywna. Być może nie zwróciłeś uwagi, ale w dziesiątym punkcie, przy nazwisku Anny Fiore, jest o jedną cyfrę za dużo. Widzę, że przez nieuwagę zrobiłeś również błąd, sumując całość.

Wysiliłem się na uśmiech.

- A! Wiem, co ma pan na myśli. Zapomniałem wspomnieć o tym wcześniej. Zaskórniaki Anny zapracowały na siebie. Teraz na jej koncie jest już tysiąc dolarów. Podskoczę do niej po południu.

Wolfe westchnął. Wniesiono piwo - otworzył butelkę i wziął głębokiego łyka. Włożył listę płac pod przycisk do papieru i oparł się wygodnie.

- Od jutra ograniczam się do pięciu kwart.

Uśmiechnąłem się nieco swobodniej.

- Niech pan nie zmienia tematu. Nawet gdyby pan podwoił tę ilość, stać pana na hojność. Niech pan tylko pomyśli, ile ta suma będzie znaczyć dla Anny. Kupi sobie za nią męża. Niech pan spojrzy, ile dobra można sprawić jednym prostym gestem.

- Niech to szlag! Nie dawaj jej nic. Powiedz, że nie udało się odzyskać tamtych pieniędzy.

- Nie, sir. Oddam jej przynależną jej własność i pozwolę, by sama wykopała sobie grób. Nie stosuję przemocy, w każdym razie nie w takim sensie, jak pan. Nie uważam, że mam prawo

zmieniać wyroki losu.

Wolfe otworzył oczy. Przez ostatnie trzy dni wałęsał się po domu, na wpół przysypiając. Pomyślałem, że najwyższa pora, by się ocknął.

- Czy coś mówiłeś, Archie? - mruknął.

- Tak, sir. Pytałem, skąd przyszła panu do głowy odświeżająca myśl, by zabić Kimballa?

- Chyba masz na myśli, skąd przyszła do głowy jego synowi?

- Nie, sir. Panu. Niech się pan nie droczy. Zabił go pan.

Wolfe pokiwał głową.

- Błąd, Archie. Ja się droczę? Kimballa zabił jego maleńki syn, w momencie gdy ten opuścił go siedzącego na podłodze wśród zabawek pływających w jeziorze matczynej krwi. Jeśli pozwolisz - dokładnie rzecz biorąc, E. D. Kimball nie został zamordowany w ostatnią środę, lecz w niedzielę czwartego czerwca. Przez nieszczęśliwy wypadek, zesłany zrządzeniem ślepego losu, który pomieszał szyki naturalnego porządku życia i śmierci, zginął Barstow. To prawda, pomogłem naturze nieco naprawić ów błąd. Dostarczyłem Manuelowi przez Durkina kopię dowodów, które zebraliśmy przeciw niemu i zatelefonowałem doń, mówiąc, że jest otoczony. Resztę pozostawiłem biegowi rzeczy, wcześniej się upewniwszy, że E. D. Kimball jest w domu i nie zamierza się z niego nigdzie ruszać.

- Powiedział pan kiedyś, że nie da się ukryć prawdy w szklanym domu. Co teraz próbuje pan udowodnić? Zabił go pan.

- Problem polega na tym - mruknął - że tak uparcie utkwiłeś w świecie gołych faktów, iż nie dostrzegasz towarzyszących im okoliczności. Przysysasz się do pewnych spraw jak pijawka. Rozważ wszystko raz jeszcze z innej pozycji. Manuel Kimball próbował zabić ojca. Przez pomyłkę zamiast niego zginął niewinny Barstow. Zdobyłem dowód winy Manuela. Ale w jaki inny sposób mogłem go wykorzystać? Gdybym mógł pozwolić sobie na luksus oddania się w pełni filozoficznym rozterkom, nie użyłbym go pewnie wcale. Ale że nie mam takich możliwości, trzeba było przystąpić do interesów. Zmieniać wyroki losu? Ależ robimy to w każdej chwili swojego życia. Moglibyśmy uniknąć tego, jedynie nie robiąc kompletnie nic. A ja byłem zmuszony do działania. Gdybym pozwolił ci napaść na Kimballa bez ostrzeżenia i dostarczyć go żywego do rąk żądnego zemsty pospólstwa stanu Nowy Jork, skończyłby na krześle elektrycznym zgorzkniały i przegrany, pozbawiony jedynej satysfakcji, jaką oferowało mu jego pożałowania godne życie, a jego ojciec - równie zgorzkniały i nie mniej przegrany, pociągnąłby jeszcze parę lat, nie mając w tym jednak żadnego interesu. Jeżeli doszedłbym do wniosku, że ponoszę odpowiedzialność za taki stan rzeczy, nie uszczęśliwiłoby mnie to. Poza tym musiałem działać. Zrobiłem to i wziąłem na siebie odpowiedzialność, która jest mimo wszystko dużo mniej przykra. Podsumowałeś całe skomplikowane zjawisko jednym bezceremonialnym stwierdzeniem, jakobym zabił E. D. Kimballa.

Dobrze, Archie. Wezmę odpowiedzialność za swoje czyny. Ale nie będę zawracał sobie głowy problemami twojego prostego umysłu. Sam będziesz musiał się z tym uporać.

Uśmiechnąłem się.

- Być może. To „być może" nie dotyczy kwestii, czy się z tym uporam, czy nie, ale tego, co powiedział pan wcześniej. I tego, że „być może" jestem prosty. Jestem tak prosty, że w drodze powrotnej z banku przyszła mi dziś rano do głowy pewna prosta myśl.

- Niemożliwe. - Wolfe pociągnął ze szklanki długi łyk.

- Tak, sir. Przyszło mi na myśl, że gdyby Manuel Kimball został aresztowany i postawiony przed sądem, musiałby pan ubrać kapelusz, rękawiczki, wyjść z domu, wsiąść do samochodu, pojechać do White Plains i tkwić w sądzie tak długo, aż przyjdzie pana kolej na zeznania. Tymczasem teraz, gdy naturalne procesy biegną swoim torem, pan może oddawać się ich kontemplacji, nie ruszając się z miejsca.

- Otóż to - mruknął.